



w drodze

Agnieszka Grzelak

Matecznik

Agnieszka Grzelak

Matecznik

SŁOWO WSTĘPNE

To nie jest książka dla wszystkich. To nie jest powieść. Codzienne zmagania kobiety, której imię zmieniłam, są jak najbardziej prawdziwe.

Są tacy, którzy lubią czytać dzienniki żołnierzy miesiącami tkwiących gdzieś na froncie. Są tacy, którzy lubią dzienniki ekstremalnych podróżników zagłębiających się w niebezpieczne ostępy dżungli. Matecznik to trochę trwanie w okopach na przekór wszystkiemu, a trochę dżungla - pogmatwana, pełna pułapek i czasami trudno odnaleźć w niej drogę. I niech Was nie zwiedzie fakt, że akcja rozgrywa się w niewielkiej kuchni i kilku pokojach. Czasem nawet Dziki Ojciec boi się wejść do Matecznika.

Książkę dedykuję wszystkim żonom i matkom.

Agnieszka Grzelak

RODZINA WRZOSÓW

Kamila Wrzos - żona i matka, lat 38 Franciszek Wrzos - mąż i ojciec,

lat 38

Ich córki:

Antonina zwana Tosią, lat 10 i pół Joanna zwana Joną, lat 8 i pół Marianna zwana Majką, lat 6 i pół Daria zwana Duszka, lat 3 i pół

WRZESIEŃ

Poniedziałek, 26

Skąd się wzięła Duszka w naszym łóżku? Przecież ją wyniosłam w środku nocy i przykryłam. Kołdrą i kocem. A teraz znowu tu jest i wciska mi się pod ramię. Nie mogę się wygodnie ułożyć. No dobrze, niech już śpi.

Ktoś szura garnkami w kuchni. Ktokolwiek to jest, zaraz obudzi wszystkie dzieci. Dlaczego w tym domu o poranku nie da się spokojnie pospać? A, już sobie przypominam. To mama Franciszka, która u nas nocowała i obiecała dziewczynkom, że zrobi im kaszę manną, realizuje teraz swoją obietnicę. A ja, wredna matka (wcale nie wredna, tylko taka, która o siódmej rano nie jest w stanie normalnie funkcjonować), nie robię potomstwu żadnych śniadań. Same sobie podgrzewają mleko. Czasem nawet obsługują Duszkę, jeśli zdarzy jej się odpowiednio wcześnie wstać.

Próbuję zatrzymać resztki snu. Zwlekam się z łóżka tuż przed wyjściem dziewczynek. Jona i Majka mają warkocze. Wyglądają bardzo pięknie. To też zasługa teściowej. Cmok, cmok - całuski na pożegnanie.

Tosia najdłużej grzebie się przy wychodzeniu. Samochód już na chodzie.

- Dobrego dnia, córeczko!

- Dobrego dnia, mamusiu! Życzę ci miłego gotowania!

O tak, wszystkie dzieci wiedzą, że nie lubię gotować. Właściwie dlaczego nie lubię? Po pierwsze, bo jest to czynność stała, powtarzająca się każdego dnia, niepodlegająca dyskusji i przesunięciom czasowym

(na przykład aż na wieczór). Rodzina jest głodna codziennie, a ja, niestety, nie jestem typem matki karmicielki. Po drugie, nie mam możliwości zaprezentowania dań interesujących, niebanalnych, o

egzotycznym smaku, bo: „Mamo, ja nie lubię tego błą-zowego”, albo „To jest jakieś dziwne”, albo „Wiesz mamusiu, ja nie lubię takich mieszanek”. W najlepszym razie dziecko, które nie chce sprawiać mi przykrości, a przynajmniej pragnie okazać zrozumienie pokonanej matce (tym dzieckiem najczęściej okazuje się Jona), mówi: „Chociaż nie bardzo mi smakuje, to zjem wszystko i nie będę narzekać, bo wiem, że się napracowałaś”. Wzruszające, prawda? Franciszek usiłuje mnie przekonać, że nie warto przejmować się opiniami dzieci i należy gotować różne rzeczy. Ja jednak zdążyłam już wpaść w depresję, więc przez najbliższy tydzień będzie nudne mięso z nudnymi ziemniakami. „Mamusiu, ja nie lubię mięsa”. Jasne. Najlepiej, żeby codziennie były naleśniki i placki z jabłkami, a dla Tosi kanapki. Dużo kanapek. Najlepiej sam chleb. Świeży.

- Kamaaa! Kamaaa! - to mój mąż woła z pokoju na górze.

Właśnie zgłębiam tajniki języka hiszpańskiego, zawarte w samouczku napisanym po angielsku. Nie mam zamiaru biegać po domu na każde zawołanie.

- Taaak? - odkrzykuję, nie ruszając się z miejsca. Las mujeres españoles son habladoras.

- Kamaa! Kamaa! - znowu woła. Schodzi. Słyszę kroki na schodach.

- Dlaczego się nie odzywasz?

- Przecież mówiłam: „Taaak”.

- Nie było słyhać.

- Nie będę wrzeszczeć na cały dom.

- Chciałem ci powiedzieć, żebyś odbierała telefony, bo idę do ubikacji.

- Aha.

Las mujeres españoles son bonitas.

Wychodzę do ogrodu. Słońce. Tyle kwiatów - róże, tytonie i maki kalifornijskie. Wróble szaleją. To chyba kolejne pokolenia mazurków, które wykluły się pod naszym dachem. Dokładnie - na belce ponad oknem

Tosi. O! Szpaki jedzą nasze winogrona! Wynocha! Z tego ma być wino!

- Mamusiu, a Majka schowała Gablysię do kufla! (Kufra - Duszka jeszcze nie wymawia „r”).

- No to ją wyjmij.

- Nie mogę, bo się psytsasnę.

Podnoszę się z ogrodowego fotela. Idę do domu i grzebiemy razem w kufrze pełnym zabawek.

- Proszę bardzo, jest Gabrysia - wręczam jej lalkę wystrojoną w różowe śpioszki z falbankami.

Znów zasiadam pod jabłonią. Sielanka. Kwiaty, łagodny wietrzyk, na stoliku herbata karmelowa z cytryną. Duszka wozi lalkę w wózku i coś do siebie gada. Nareszcie mogę...

- Gablaysia płace. Moje dziecko po plostu chce do ciebie.

Lalka zostaje umieszczona na moich kolanach. Po chwili usadawia się tam też jej właścicielka. Bardzo zadowolona. Mój uśmiech kochającej mamy nosi znamię męczeństwa. Ale naprawdę się staram.

Franciszek przywiózł zakupy (wspaniały mąż) i położył torbę z jajkami na podłodze w kuchni. Gratulacje. Dobrze, że żadne z dzieci nie zdążyło wdepnąć. Ciekawe, czy byłoby na mnie?

Do dziewczynek przysłała w odwiedziny jasnowłosa, piegowata Anka - sąsiadka z ulicy. Skrzypnięcie furtki i już jest z enigmatycznym uśmiechem na twarzy. No dobrze. Nie, wcale nie dobrze, bo wszystkie dzieciaki wysypały się teraz na trawnik. Zaczyna się zabawa w berka, której nie cierpię, bo polega głównie na wydawaniu z siebie jak najgłośniejszych i najbardziej przenikliwych pisków. Bieganie idzie w drugiej kolejności. Pisk małych dziewczynek jest dźwiękiem, który sprawia, że zaczynam się oddawać marzeniom o klasztornej celi albo o ukrytej na odludziu pustelni. Nie przypominam sobie, żebym ja kiedykolwiek tak piszczała.

- Może pobawiłybyście się w coś spokojniejszego? - proponuję

zrezygnowanym głosem udręczonej matki.

Nici z dalszej pracy w ogrodzie. Pozbieram pranie i schronię się w domu, w swoim pokoju. Ale po drodze trzeba przejść przez kuchnię. Zlew! Kto ma dziś dyżur? Uuuu... co za rozczarowanie - żadna nie wpisała się na zmywanie po poniedziałkowym obiedzie. To znaczy, że dyżur mają rodzice. Jedno z rodziców. Pewnie ja.

Z Duzką w bibliotece. Wybieram książki. Mała siedzi grzecznie na obitej skóropodobnym materiałem ławeczce. Dałam jej torebkę do potrzymania.

- Zmęczyło mnie to tsymanie.

- No to odłóż torebkę na bok.

Przeglądam nowości. Czasem można trafić na coś naprawdę dobrego. Bez opisów rozbryzgujących się mózgow, psychopatycznych porywaczy i nieokielznanego seksu. Trzeba się jednak dobrze naszukać. Tymczasem moja córeczka kładzie się na podłodze i wzdycha ciężko.

- Nudzi ci się? - pyta współczująco dziewczyna wypożyczająca książki.

- Ehe - odpowiada Duszka. (Dzięki Oficjalnemu słownikowi polskiego scrabblisty wiem, że „ehe” pisze się przez samo „h”).

„Ehe” jest dźwiękiem, którym moje najmłodsze dziecko zastępuje wyraz „tak”. Nie wiem, skąd jej się to wzięło i kiedy minie.

- Zajdziemy jeszcze po drodze do sklepu i kupimy długopisy - proponuję. - Chcesz?

- Ehe.

Wtorek, 27

Budzi mnie przeciągle, żalosne, niskie wycie. Trochę podobne do syreny przeciwmgielnej. Ta syrena to Majka, która jeszcze nie przystosowała się do porannego wstawania do szkoły i niemal każdą pobudkę skrapia łzami. Co prawda, mój ukochany Franciszek wozi dzieci

do szkoły i w związku z tym mogę pospać dłużej (o, dzięki ci, mężu, nawet nie wiesz, a może właśnie wiesz, ile to dla mnie znaczy!), ale w tej sytuacji zmuszona jestem wygrzebać się spod ciepłej kołdry.

Kupka nieszczęścia siedzi w piżamie na podłodze i zalewa się łzami. Oby tylko nie obudziła Duszki. Biorę ją do naszej sypialni razem z ubraniami.

- Zzzzimno... - trzęsie się Majka.

Podkoszulek, bluza, spodnie. Ubieram ją jak małego dzieciaczka. Są chwile, kiedy trzeba odłożyć na bok zasady wychowywania do samodzielności.

- Nie będę robić kanapki do szkoły... Uuu... - buzia czerwona od płaczu, nos zasmarkany.

Według twardego porządku wprowadzonego przez Franciszka, dzieci, począwszy od zerówki, mają same sobie robić drugie śniadanie. Lamenty Majki właśnie tego dotyczą. Skapitulować czy nie? Jeśli zrobię to raz, może powstać niebezpieczny precedens. Okropnie trudno jest być konsekwentną matką.

Dylemat nieoczekiwanie rozwiązuje Tosia, która wyręcza Majkę i przygotowuje dla niej zawiniątko z jedzeniem.

- Bo wiesz, tatusiu, ona tak płakała - tłumaczy Franciszkowi. Wychodzą. Zaglądam do Duszki. Mała śpi w takiej pozycji, że za chwilę może sturlać się z łóżka. Popycham ją lekko i okrywam. Uff... Nie obudziła się. Mam pół godziny czasu dla siebie.

To jednak było mniej niż pół godziny. Rozczochrany stworek pakuje mi się na kolana i mówi:

- Zapnij mi spinę. Chcę mleko. Witaj, nowy dniu!

Jeśli ktoś myśli, że matka może sobie spokojnie pochorować, to znaczy, że nigdy matką nie był. Chodzi mi o niegroźną, ale obezwładniającą formę przeziębienia. Trochę boli gardło, coś zaczyna swędzieć w nosie i

mimo ciepłej pogody dopadają człowieka dreszcze i łamanie w kościach. Narasta potrzeba złożenia obolałego ciała na tapczanie, pod kocem.

- Dzieci, źle się czuję, muszę się położyć. Bawcie się cicho.

O, jak miło! Tak, to jest właśnie to! Ciepło koca, policzek na poduszce i stopniowe odpływanie w błogą nieświadomość.

- MAAAJKA! GDZIE JESTEŚ!?

Nie rozumiem, dlaczego Bóg wyposażył dzieci w instrument umożliwiający wydawanie tak przenikliwych i głośnych wrzasków. Duszka ryczy na cały dom. Wstaję z łóżka. Wlokę się na górę. Mówię Majce, żeby przestała się chować i że mają być cicho, bo jestem chora. Schodzę do sypialni.

Drugie podejście do kojącego snu. Zamykam oczy. Nad głową tupoty w jedną i w drugą stronę. Huk - przewrócił się stół. Śmiech i rzeźkie okrzyki. Dzieci świetnie się bawią. Chyba wstanę i spróbuję zrobić coś konstruktywnego. Na przykład wyjdę do ogrodu i posłucham ptaków.

Środa, 28

- Nie chcę, żeby dziewczyny posły do szkoły - jęczy Duszka, pakując się pod koldrę i dotykając lodowatymi stopami moich nóg.

Otwieram jedno oko. Słońce za oknem. Trzeba nastawić pranie. Ta rodzina produkuje tyle brudów, że jedynie niedziela jest dniem, kiedy pralka nie jest włączana. Prawdopodobnie najbardziej stałym dźwiękowym elementem wspomnień z dzieciństwa moich córek będzie huczenie pralki o poranku, urozmaicone klekotaniem kłapy albo rytmicznym uderzaniem maszyny o kafelki podczas wirowania.

Czasami dzieci są cudowne! No dobrze, niech będzie, dzieci są zawsze cudowne, ale w niektóre dni bardziej. Na przykład dzisiaj. Mieliśmy z Franciszkiem naszą cotygodniową lekcję francuskiego. (Mój mąż strasznie się buntował na istnienie czasu plus-que-par-fait). Po godzinie schodzimy na dół, a tam, w kuchni, stół nakryty do kolacji, dziewczynki w piżamach

(nawet Duszka), a Tosia właśnie grzeje mleko na kawę inkę. Uśmiechnięte buzie.

- Chciałyśmy wam zrobić niespodziankę - z ust Tosi kapie słodycz - żebyście sobie mogli potem pograć w scrabble. My pójdziemy na górę i zagramy w „Modę”.

Wdzięczność i duma rozsadza nasze rodzicielskie serca. W dodatku cała scena rozgrywa się przy świadku, którym jest pani od francuskiego. Jak to jednak dowartościowuje, kiedy ktoś obcy może docenić nasze sukcesy wychowawcze. (Tak to już jest - cokolwiek robią dzieci, dobrego czy złego, idzie w mniejszym lub większym stopniu na nasze konto).

- To Tosia żłobiła mi kakao - oznajmia Duszka, która wokół ust ma brązowe, czekoladowe wąsy.

Czwartek, 29

Este no es mi libro, es de ella - próbuję zgłębiać zawiloci hiszpańskiego.

Tuż obok Duszka nudzi się potężnie, nudzi się spektakularnie i intensywnie. Przewala się po tapczanie z boku na bok, machając przy tym nogami w żółtych rajstopkach.

- Jestem twoim pieskiem - oznajmia. - Małym piesulkiem.

- To dobrze. Małe piesulki nie mówią, tylko śpią.

„Piesulek” zwisa z tapczanu i kopie sfatygowany, poowijany w wielu miejscach taśmą klejącą wiklinowy fotel, na którym siedzę. Mebel trzeszczy niemilosiernie. Trzeszczy też moje macierzyńskie sumienie: „Powinnaś zająć się dzieckiem”. „Ale przecież nie dalej jak pół godziny temu pracowicie nawlekałam jej koraliki do naszyjnika”- protestuję.

No tiene Vd. el caballo. Kopnięcie w fotel. Zaciskam zęby. Jeszcze tylko dwa zdania do przetłumaczenia i skończę to ćwiczenie. Gdyby Duszka spała dzisiaj dłużej, miałabym swoją porcję języków już zrobioną. Dzieci nie zdają sobie sprawy, że przyjdzie czas, gdy nie będzie im dane wysypiać

się do woli. Mogłyby, z korzyścią dla własnych rodziców, wykorzystać lata wczesnego dzieciństwa i wylegiwać się długo o poranku. Niestety, najczęściej mają godny ubolewania zwyczaj przejawiania wzmożonej aktywności od wczesnych godzin rannych, co utrudnia rozwój intelektualny matce (czyli mnie).

Zapinam spodnie. Duszka przygląda się temu uważnie.

- Mmm... Ale jesteś głuba. Dzieci są zatrwazająco szczere.

- Mamusiu! Byłam dziś najlepsza z czytania!

- W sobotę odrabiamy Wszystkich Świętych!

Powinnam te dwa zdania, wykrzyczane - pierwsze przez Jonę, drugie przez Tosię, napisać jedno na drugim, ponieważ zostały wypowiedziane w tym samym momencie.

- To super! Jak to, już w tę sobotę? - reaguję błyskawicznie na obie informacje.

- Zobacz mamo, czytaliśmy tę czytanekę i ja byłam dyżurnym Pikusiem i tak głośno krzyczałam, jakbym naprawdę chciała zaprowadzić porządek - Jona pokazuje mi otwarty podręcznik, a potem wyciąga kartkę dotyczącą wtorkowej wycieczki. Jednocześnie Tosia podsuwa mi pod nos zeszyt z informacją o sobocie pracującej.

Najbardziej uniwersalną reakcją wydaje mi się wieloznaczne: - Aha.

Chwila na przepuszczenie wszystkich informacji przez mózg. Tosia wyjeżdża na sobotę do babci - trzeba napisać usprawiedliwienie. Jona - wtorek, wycieczka - zanotować w kalendarzu, bo zapomnimy wstać. W spokojniejszej chwili docenić sukces czytelniczy.

Matki powinny mieć dar bilokacji i zapasowe akumulatory, umożliwiające indywidualny kontakt z każdym dzieckiem, jak i własną pracę twórczą. Franciszek, mądrała, zamyka się w swoim pokoju z komputerem i nic go nie rozprasza poza własnymi myślami. Ach, gdyby ktoś zechciał wydać moje bajki i gdybym za pisanie dostawała pieniądze...

Zamykałabym się wtedy w pokoju, oczekując od męża przejęcia części kwadrofonicznych dialogów z dziećmi i byłabym prawdziwą pisarką. Wywiesiłabym na drzwiach czerwony znaczek zakazu wjazdu albo ładną haftowaną makatkę z napisem: „Mamusia pracuje - nie przeszkadzać”. Wszyscy chodziliby na palcach, szepcząc: „Cicho, mama pisze nową bajkę” (albo książkę). Może kiedyś mi się to przyśni.

Na razie piszę na kolanie. Tuż obok Majka rozwiązuje zagadki obrazkowe i przy każdym nowym zadaniu konsultuje się ze mną. Wkracza Franciszek i zaczyna coś mówić. Na szczęście przerywa w pół zdania i wycofuje się z pokoju. Wyczuł zapewne, że moje receptory rodzinne są już na wyczerpaniu. Nie jestem w stanie obdarzyć uwagą jeszcze jednej osoby. W dodatku za oknem ciągną niskie, sine chmury. Depresyjne, niskociśnieniowe, migrenowe chmurzyska. Uuu... pod wieczór mogę być nie do zniesienia.

Piątek, 30

Piątek to u nas dzień sprzątnięcia. Wydałam takie zarządzenie rok temu i nadal utrzymuje się w mocy. Zamiast psuć sobie

(i dzieciom) sobotę (zmora moich lat dziecińczych), robię porządki w dniu, który i tak postrzegany jest jako postny, pokutny czy jak tam sobie kto chce. Jako osoba nieskłonna do wyrzeczeń, mam więc rodzaj osobistej ascezy. Chociaż asceci na pewno z większą dozą akceptacji przyjmowali różne umartwienia. I nie wpadali w furję po kilkunastu minutach odkurzania.

Nienawidzę odkurzać. Wyjąca maszyna wciągająca kurz budzi we mnie już po półgodzinie rozdrażnienie (gdy mam dobry nastrój) lub wściekłość (gdy dzień jest kiepski). Dlaczego nikt nie wymyślił cichego, sączącego delikatną muzykę odkurzacza, emitującego kwiatowy zapach i tak lekkiego, żeby go było można nosić pod pachą? Ciągnę mocniej czarną rurę, żeby osiągnąć pajęczyny w rogu, i czuję, jak ciężka, czerwona bestia

na kółkach wali mnie w nogę. Konkretnie w ścięgno Achillesa.

Teraz odkurzanie schodów. W połowie drogi na górę jestem już cała spocona. Jediną domową czynnością, plasującą się w moim rankingu jeszcze niżej niż praca odkurzaczem, jest mycie okien. Fatalnie. Kobieta, która „siedzi” w domu, która „nie pracuje” i musi „tylko” wykonać kilka podstawowych robót, większości z tych robót nie znosi. Gdyby się temu z bliska przyjrzeć, to rzeczywiście nie wygląda to wesoło. Żeby się zbytnio nie pogрузić, sporządzam listę prac gospodarskich, które w mniejszym lub większym stopniu lubię. Oto ona:

*** Porządkowanie i sortowanie ubrań, książek, drobiazgów, papierów, listów, pocztówek itp. Najlepiej, jeśli część tego można od razu wyrzucić, a ubrania wynieść do pojemników na używaną odzież (nie wiem, dlaczego odruchowo pojawia się w mojej głowie nazwa „używana żywność”. Lepiej sobie nie wyobrażać, jak mogłaby wyglądać).**

*** Pakowanie ubrań do pralki.**

*** Prasowanie, ale tylko wtedy, kiedy mogę włączyć magnetofon i w spokoju słuchać sobie lekcji hiszpańskiego albo niemieckiego.**

*** Pieczenie ciast.**

*** Prace ogródkowe wszelkiego rodzaju.**

*** Przetwarzanie owoców na dżemy, galaretki i konfitury, o ile ktoś zrobi za mnie wstępną obróbkę.**

Okazuje się, że lubię wszystko, co zaczyna się na literę „p”. I jest tego aż sześć pozycji. Właściwie pięć. Ogródek się nie liczy. Ogródek to moja miłość i czysta przyjemność (też na „p”).

Niektóre z moich koleżanek mają panią (znowu „p”) do pomocy. Płacą i ktoś im sprzęta. Czasem więc marzy mi się taka porządna, pracowita, oddana rodzinie i dyskretna osoba. Lojalna aż do przelewu krwi. Pozbawiona przyjaciółek, przed którymi mogłaby roztoczyć malowniczą panoramę naszego z lekka zaniedbanego mieszkania z

szarawymi ścianami, noszącymi liczne ślady martyrologii komarów. Musiałaby być także niezależna towarzysko i emocjonalnie, to znaczy nieskłonna do pogawędek z chlebobdaw-czynią, czyli ze mną. Bo cóż mi przyjdzie z tego, że zyskam trochę czasu na sprzątaniu, kiedy później będę zmuszona do dwa razy dłuższej rozmowy z chętną do zwierzeń gosposią. Może jeszcze powinnam zaproponować jej herbatę, żeby nie czuła się traktowana przedmiotowo? Na szczęście nie mamy nadwyżek finansowych pozwalających na zatrudnienie takiej osoby.

Istnieje jeszcze jeden przygnębiający czynnik, związany nieodłącznie z piątkowym sprzątaniem. Wtedy właśnie, z wyrazistością w ciągu tygodnia nieodczuwalną, uwydatniają się liczne dowody na zapuszczenie naszego mieszkania. Brudne ściany z licznymi odciskami różnej wielkości palców i podeszew kapci, oderwane listwy przypodłogowe, wyrwana kratka wentylacyjna - pozostałość po kontroli kominiarskiej i usuwaniu gniazda kawek z przewodu kominowego... Do tego jeszcze zalakierowany brud na schodach (myślałam, że z czasem, gdy drewno ściemnieje, będzie mniej widoczny, ale srodze się rozczarowałam) i zniszczona przez ekipę budowlaną podłoga na piętrze.

Stop! Jeszcze chwila i mój bardzo niski dzisiaj poziom akceptacji rzeczywistości spadnie poniżej czerwonej kreski. A co spotyka mnie poniżej czerwonej kreski? - Depresja: Życie jest smutne, nic mi się nie udaje i nie uda, po co się wysilać, skoro i tak za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat umrę. Na pogrzebie dzieci, Franciszek, kwiaty, „biedna mama, będzie nam jej brakowało” itp., itd. Wyobraźnia produkuje pełnometrażowy film fabularny z wieloma wariantami tragicznego zakończenia. Chyba pójdę pograć sobie na pianinie. Zmaganie z zapisem nutowym, pilnowaniem rytmu i dynamiki powinno skutecznie zmienić tok moich myśli.

PAŹDZIERNIK

Sobota, 1

Sobota! Nareszcie można się wyspać! Nie, nie można. O siódmej rano tupot bosych stopek i za chwilę małe, pulchne ciało lokuje się u mego boku. Próbuję spać dalej. Duszka stara się być cicho. Szepta i mruczy coś pod nosem, lodowatymi piętami dotyka moich kolan, przekręca się z boku na bok, bawi się moimi palcami. Szeptem namawiam ją do opuszczenia pokoju. Odpowiedź jest krótka: „nie”.

Wstaję i idę do łazienki. Po drodze słyszę, jak Franciszek stanowczo wyprasza małą z łóżka. Nie ma to jak głos ojca - od razu skutkuje. Bose stopki tupią po schodach i przemieszczają się w kierunku pokoju starszych siostr.

Ubieram się. Robię sobie herbatę i małą kanapkę. Siadam z książką przy kuchennym stole. Mmm... niezwykle rzadka przyjemność. Wiem, że nie powinno się czytać przy jedzeniu (a niby dlaczego?) i że dobrze jest, gdy rodzina wspólnie zasiada do posiłków, i jeszcze że „stół jest miejscem spotkań, gdzie każdy może powiedzieć o czymś dla niego ważnym i zostać przez pozostałych uważnie wysłuchanym”. Tak jest, wszystko to prawda i mogłabym zappełnić podobnymi cytatami całą stronę. Ale czymże one są w porównaniu z rozkoszą samotnego jedzenia zaprawionego miłą lekturą. Nikt nic nie mówi, niczego nie chce. Nikomu nie trzeba podawać soli, masła, talerza z wędlinami albo słoja kiszonych ogórków. Nieczęste są takie chwile. Franciszek lubi celebrować posiłki i nie cierpi jeść sam. Mamy więc wspólne obiady i kolacje. W niedzielę także śniadania. Wszystko jak należy. Rodzina rozwija się prawidłowo. Dzieci przy stole gadają jedno przez drugie, Duszka marudzi, bo coś jej nie smakuje, starsze siostrzyczki co jakiś czas warczą na siebie: „Przecież prosiłam o masło, głucha jesteś?”. A ja tęsknię za ciszą i odosobnieniem mojego pokoju. Ach, wysunąć się chyłkiem z kuchni, sięść w fotelu i czytać, pogryzając kanapkę...

Matka nie może dawać złego przykładu. Ma być filarem i sercem ogniska domowego. W ciągu tygodnia filar ten uległ dość znacznemu

nadwyreżeniu. Dziś trzeba go oddać do konserwacji. Tak więc będę czytać przy śniadaniu i zamykać się w pokoju. Stanę się niewidzialna dla domowników. Zapomnę o tym, że trzeba rozwiesić ręczniki i zetrzeć kurz z regału w dużym pokoju. Zakradnę się do kuchni i zjem łyżeczkę konfitur z róży.

Niedziela, 2

Jedenasta rano. Za oknem słońce. Dzieci u dziadków. Trzeba wstać z łóżka. Franciszek uparcie ma zamknięte oczy. Nie będę go budzić. Żałuję, że nie wstałam wcześniej, ale trzeba było odespać wczorajszą imprezę.

Aneta i Janek wykończyli nareszcie dom i zaprosili gromadę przyjaciół i znajomych. To, co dla mnie było najbardziej pociągające, to duży kawał podłogi - w sam raz do tańca. Ubrałam się w starą sukienkę ze sklepu indyjskiego, która jakkolwiek niezbyt wyrafinowana, wspaniale wiruje podczas obrotów.

Niestety, towarzystwo nie podzielało mojej i Franciszka tanecznej pasji. Część uczestników imprezy (głównie panowie), zgromadzona wokół stołu z jedzeniem, oddawała się kombatancim wspomnieniom, które można by opatrzyć tytułem: „Wczesna młodość w PRL-u”. Kobiety, nie wiadomo dlaczego, blokowały przejście do jadalni, opowiadając sobie o dziecięcych chorobach (alergie to taki wdzięczny temat). Prawie nikt nie tańczył. Franciszek twierdzi, że onieśmieliliśmy towarzystwo znajomością wyrafinowanych figur.

W pewnej chwili kilka par zaczęło krążyć po parkiecie. Przywarłam kurczowo do Franciszka w obawie, że któryś z panów poprosi mnie do tańca. Bo też ci nasi koledzy, wywijający z werwą partnerkami i sunący śmiało przez całą długość salonu, dość rażąco rozmijali się z muzyką. Ich kobietom to chyba nie przeszkadzało, ale dla mnie byłoby katorgą. Nie potrafię tańczyć niezgodnie z rytmem. Cała zaraz sztywnieję i potykam się o własne nogi.

Po kilku ognistych salsach poszliśmy odpocząć do jadalni. Zanurzając paprykę w dipie czosnkowym, przysłuchiwałam się kolejnemu odcinkowi opowieści weteranów. Tym razem dotyczyły one podróżowania „rzeźnią”, czyli nocnym pociągiem do Zakopanego. Co za ogień w oczach! Co za gesty! Mężczyźni pod czterdziestkę stali się na nowo siedemnastolatkami i delectowali się szczegółowymi opisami włączenia do przedziałów przez okna, zajmowania miejsc w wyładowanym do granic możliwości pociągu oraz podróżowania w toalecie. Dalej następowały barwne relacje z zimowych wypraw, z błędzenia po górach. „A ten śnieg! Po pas!” „Nie! Wtedy było po pachy!” Miejsce akcji - zbocza Turbacza.

Przechadzałam się po przestronnych pomieszczeniach, doświadczając raz po raz ukłuc zazdrości. Powody były różne: a to - że Aneta i Janek mają tyle miejsca do przyjmowania gości, a to - że książki stoją w oszklonych szafach bibliotecznych i nie kurzą się tak, jak nasz księgozbiór. Schowane za szybą liczne słowniki, albumy, poradniki i powieści są moim marzeniem. Nie mamy pieniędzy na nowe meble, wszystko więc pokrywa się równą warstwą kurzu. Zwłaszcza opasłe tomy zajmujące najwyższą półkę w naszej sypialni. Odkurzanie ich jest prawdziwą męką, którą podejmuję dwa razy do roku przed świętami i której to pracy nikt nie docenia.

Kolejnym przedmiotem mojej zazdrości jest kolekcja. Aneta zbiera wszystko, co dotyczy wodnego ptactwa. Są tu więc porcelanowe gęsi, szklane łabędzie i wyrzeźbione w drewnie kaczki. W kącie salonu stoją dwa żurawie odlane z ciemnego metalu. Na ścianie pastelowy rysunek różowego flaminga i akwarelka z perkozem. Podczas tańca z Franciszkiem mój wzrok co chwila zahaczał o gabloty wypełnione fragmentami kolekcji. Imponujący widok. Nie znaczy to, że ja też marzę o wypełnieniu domu eksponatami związanymi z ornitologią. Po prostu chciałabym mieć w swoim pokoju jakiś powalający na kolana zbiór. Tylko co? Wybór nie jest prosty, bo pociągają mnie różne rzeczy. Na przykład kwiaty: malowane, haftowane, na

jedwabiu, na porcelanie, szydelkowe, z koralików, patchworkowe... Albo okna: grafiki i akwarele z oknami, kolaże, zdjęcia prowansalskich okien wylaniających się spomiędzy oblepionych kwiatami gałązek bougainvilli... Albo w ogóle hafty i gobeliny - robione samodzielnie i skupowane. Albo patchworkowe poduszki i narzuty. Albo... Nie umiem wybrać. Chyba nie nadają się na kolekcjonerkę.

Poniedziałek, 3

Wciąż jeszcze bolą mnie stopy po sobotnich tańcach. Znów bogata w zadania codzienność. W moim kalendarzu czerwony napis PRASOWANIE. Z trzema podkreśleniami. No tak, okazały stos spodni i koszul czeka już od tygodnia w malowniczym nieładzie.

Duszka pakuje mi się na kolana.

- A może będę twoim naleśnikiem? A może mnie zjes?

Dobrze. Turlam ją po tapczanie, udaję, że smaruję nutellą i polewam śmietaną. Mniam, mniam, mniam. Każde z moich dzieci, będąc mniej więcej w tym wieku, co Duszka, lubiło być „zjadane”. Zupełnie tego nie rozumiem. Równie atrakcyjną zabawą była ta, podczas której wcielałam się w czarny charakter.

- Mamo, bądź złą czarownicą - prosiła Tosia.

Bądź potworem, macochą, złą babą - co za wachlarz ról. Ciekawe, dlaczego nigdy nie prosiły mnie, żebym była dobrą wróżką. Tylko Jona szybko nużyła się moim negatywnym wcieleniem i prosiła: „Bądź już teraz zwykłą mamusią”. Nie ukrywam, że tę propozycję przyjmowałam z wielką ulgą.

- A teraz będę pielogiem - oznajmia Duszka.

Zrywam pigwy. Wbijam się w kolący krzak i odłamuję twarde owoce. Mocno przytwierdzone do grubych pędów, siedzą ściśnięte po cztery i po pięć. Zrywa się jeden, a reszta spada na ziemię, w trawę i barwinek. Majka mi pomaga. Jestem pełna wdzięczności za kolejny pogodny, jesienny dzień.

Grażyna, z którą widuję się od czasu do czasu, chciała do mnie przyjść, żebyśmy wspólnie robiły galaretkę. Kiedy?! Bardzo trudno jest mi umawiać się z kimkolwiek na wspólną pracę. Mogłoby to być nawet przyjemne. Kroimy, wydłubujemy pestki, rozmawiamy... o dzieciach. Och nie! Tylko z nielicznymi kobietami rozmowa nie schodzi na temat potomstwa. Będąc osobą małomówną i mającą problemy z podtrzymaniem konwersacji, nauczyłam się już, że wystarczy spytać: „A jak tam... Agnieszka, Maciek, Sławek, Jola, Patrycja, Maksencjusz, Hermenegilda itp.”, a rozmówczyni od razu zaczyna się rozwodzić na temat szkoły, sukcesów/porażek lub chorób syna/córki (najczęściej). Tylko z naprawdę bliskimi osobami płci żeńskiej, które z pewną ostrożnością nazywam przyjaciółkami, rozmawiam... no właśnie, o czym? O nas samych, o kobietach w ogóle, o potrzebach (najczęściej niespełnionych), o kłopotach, o jesiennych depresjach, o zmaganiu z rzeczywistością, o naszych mężach... Hej! To wszystko? Omijamy więc tematy społeczne, ogólne, wielkie, szerokie? Może nie omijamy, ale jeśli już się pojawiają, to i tak nasączone bardzo osobistym odbiorem, przefiltrowane przez damską duszę i damskie spojrzenie na świat.

Zorientowałam się w tym momencie, że te wszystkie dziewczyny, z którymi się spotykam, to kobiety domowe. Gdyby to były koleżanki z pracy, tematy siłą rzeczy skręcałyby w stronę zawodową.

Celowo napisałam „kobiety domowe”, a nie „kury domowe”. Moje przyjaciółki i znajome nie mają w sobie nic z drobiu. Bo jeśli jest się kurą, to jest się nią niezależnie od aktualnego miejsca bytowania. Mogą więc istnieć: kury biurowe kury pocztowe kury biznesowe kury szkolne kury przychodniane kury sklepowe kury polityczne... itp.

Myślę, że nazwa „kura domowa” została wylansowana przez inne przedstawicielki drobiu, które prowadząc czynne życie zawodowe, chcą przez sam ten fakt ukryć swoją kurowatość.

Wtorek, 4

Piękny październikowy dzień. Pelargonie świecą jak szkarłatne latarnie i wynagradzają wysiłek włożony w ich pielęgnowanie. Na naszej bramie liście dzikiego wina przybrały ciekawy odcień ciemnej czerwieni. Prawie bordo. Pozwalam sobie na chwilę czytania w ogrodzie. Robię się senna i ociężała od tego słońca. Gdybym wiedziała, że będzie tak pięknie, zrobiłabym pranie. Szkoda, że nie mogę tak sobie siedzieć i siedzieć. Szkoda, że nie ma nikogo, kto zrobiłby za mnie obiad.

Majka snuje się między pokojem a kuchnią, pogwizdując z cicha. Takie gwizdanie doprowadza mnie czasem do szału. Dziś nie.

Duszka przynosi mi swój rysunek, po czym wybucha płaczem.

- Mamo! Ja nie mam kapci!

- Są na werandzie.

Wychodzi na palcach i po chwili jest znowu w moim pokoju.

- Ty mi je musis założyć, bo tseba wcisnąć paski.

Kilka godzin później.

- Mama... - Duszka rzuca się na tapczan. - Chcę coś innego zjeść.

- Twój obiad jest na stole.

- Ale ja chcę inny!

Czuję ciarki przebiegające mi po plecach. Za chwilę rozpocznie się jedna z wielu bezowocnych dyskusji, które doprowadzają mnie do szału.

- Ja chcę ciasteczko, wiesz? - Duszka precyzuje swoje potrzeby.

- Najpierw obiad.

- Ale ja chcę telaz ciasteczko.

Próbuję się zdystansować i nie wpaść w furję. To jej problem, że chce ciastko, a nie zjadła obiadu. Wie, jakie są warunki otrzymania deseru. Niech się sama zмага z konsekwencjami. Łatwo powiedzieć, ale ta cholerna emocjonalna pępowina bardzo przeszkadza. Nie potrafię ze stoickim spokojem przyjmować rozzwierającego płaczu trzyletniego tyraniątka. (Co

nie znaczy, że ustępuję w sprawie obiadu). Krzywa nastroju opada jeszcze niżej, gdy dowiaduję się, że któraś z dziewczyn po raz kolejny zapchała sedes papierem toaletowym.

Na biurku leży niedokończona wiosenna makatka. Miałam nadzieję, że zawiśnie w maju, ale przyszyły ciepłe dni i całą moją twórczą aktywność ulokowałam w pracach ogrodniczych. Nie było ani czasu, ani nastroju na haftowanie. Dopiero teraz, po kilkumiesięcznej przerwie, wyciągnęłam ją z szuflady i każdego dnia powoli wyszywam kontury motyli.

Tosia wróciła do domu z opowieściami o dzieciach z Czeczenii, które zostały przyjęte do naszej szkoły.

- Wiesz mammo, podobno u nich w kraju jest teraz wojna.

- To prawda - odpowiadam i próbuję w krótkich słowach streścić sytuację czeczeńskich uchodźców, o której sama niewiele wiem.

- Oni są jacyś... - Tosia szuka odpowiedniego słowa - nieprzyjemni.

- Widziałaś ich? - dociekam. - Co ci się w nich nie spodobało? Tosia wzrusza ramionami. Czuję lekką obawę, że być może moje dziecko rozwija w sobie ksenofobię. Z drugiej strony, może istnieją jakieś konkretne przyczyny jej niechęci?

- Asia mówiła, że oni bawili się w chowanego i weszli na balkon sąsiadki, aż jej tata musiał wzywać policję - relacjonuje Tosia.

- Rozumiem - kiwam głową. - Nie wolno wchodzić do czyjś domu albo na balkon bez pozwolenia właściciela.

- A ta Czeczenka z pierwszej klasy pokazała - o tak! - moja córeczka wystawia do góry trzeci palec.

- To rzeczywiście brzydki gest - mówię ze stoickim spokojem, posłuszna jednemu z moich prywatnych przykazań, które głosi: „Nie bulwersuj się, gdy słyszysz od dzieci rzeczy bulwersujące. Bądź niewzruszoną skalą i oparciem”. - Tobie go pokazała?

- Nie mnie, tylko Natalce.

- Aaa... - w moim głosie dźwięczy ulga - Natalce...

No tak. Natalka nie jest aniołkiem. Skłonność do drwin i wyśmiewania innych może przysparzać jej wrogów. Sama chętnie bym czasami przetrzepała jej skórę, gdyby nie to, że nie biję cudzych dzieci (swoich też nie).

- Natalia mogła czymś rozzłościć tę obcą dziewczynkę - mówię i zaraz dodaję dydaktycznym tonem (którego w sobie nie cierpię)

- ale to oczywiście nie usprawiedliwia takich wulgarnych gestów.

Uff... trzeba być czujnym na wszystkich frontach. Uczyć rozróżniania, co jest dobre, a co złe. Uczyć akceptacji i rozsądku. Ale, ale... cóż to trzepocze w moim matczynym sercu? Strach... że pojawili się imigranci, że będą rozboje, że utracimy nasz sielankowy małomiasteczkowy spokój. Wspomnienia biegną ku dwóm jednocześnie obszarom z przeszłości. Po pierwsze ku czasom, kiedy Polacy masowo wyjeżdżali z kraju w latach osiemdziesiątych - do pracy albo na handel. Część z nich przyczyniła się do rozpowszechnienia obrazu polaczka - złodzieja.

Pamiętam wydarzenie, kiedy ta opinia dotknęła mnie osobiście. Był to mój pierwszy dzień pobytu w Centre de Sejour w Paryżu (rok 1990). Jakaś Niemka, zakwaterowana w tym samym pokoju co ja, zaatakowała mnie, kiedy tylko złożyłam swoje bagaże przy łóżku i o coś zapytałam (a słowiański akcent mnie zdradził). „Arre you frrom Easterrrn Eurrope? Arre you frrom Easterrrn Eurrope? My father had a man from Easterrrn Eurrope. The man had stolen money frrrrom my fatherrr!” Dziewczyna wrzeszczała (a była brzydka jak noc), wymachiwała rękami, a ja stałam ze łzami w oczach, niezdolna przemówić słowa. Później jedna ze ślicznych dziewcząt pracujących w recepcji wyjaśniła mi, że awanturująca się Niemka jest niezrównoważona emocjonalnie, i że zdążyła się już dać we znaki całemu personelowi. Wrażenie niesprawiedliwego napiętnowania jednak pozostało.

Drugie wspomnienie, które wypłynęło na fali rozmyślań o Czeczenach i o imigrantach w ogóle, jest znacznie świeższe. Pochodzi z tegorocznego pobytu w Niemczech. Byliśmy w Bonn, gdzie po ulicach, oprócz zakolczykowanych i pofarbowanych dziwadł, krążą czarnowłosi mężczyźni o śniadych twarzach. Czasami stają w bramach - po kilku. Ponure, groźne spojrzenia, na twarzach i ramionach blizny - ślady po bójkach. Może pochodzą z Turcji, a może z innego egzotycznego, muzułmańskiego kraju. Na ich widok pojawiał się we mnie strach. A przecież kilka lat wstecz niemieckie miasta wydawały się tak bezpieczne...

Stąd więc mieszane emocje w związku z imigrantami. Z jednej strony współczucie, z drugiej - różne uczucia politycznie niepoprawne.

- To jest moja lalusia! - wrzeszczy na Majkę Duszka. - Kinga jest moją lalką!

- Duszka! - wrzeszczy w odpowiedzi Marianna. - Dlaczego wszystko psujesz?!

Marzę o dźwiękoszczelnej kabinie, która odgradziłaby mnie od tych przenikliwych pisków i głośnych awantur. Na podłodze kuchni nierozpakowane zakupy. Prasowanie czeka.

- Mamusiu, obiecałaś mi obciąć włosy - to Tosia.

- Dobrze, chodź do łazienki.

Nożyce, szczotka. Ciach, ciach. Pasemko po pasemku, tak jak to podpatrzyłam u mojej fryzjerki. Hm, chyba niezupełnie tak. Fryzura Tosi jest mocno asymetryczna. Taka była moda pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Uderzam w lament. Moje niezwykle dzielne i tolerancyjne dziecko zaczyna mnie uspakajać:

- To nic, że za krótko. Przynajmniej wszyscy zauważą, że mam obcięte włosy. A ja lubię być w centrum uwagi.

Cudowna samoakceptacja.

Drżącą ręką wyrównuję przód włosów, które kończą się na wysokości

ust (a miało być do brody). Tyłu już nawet nie porządkuję, ze strachu, że będzie jeszcze gorzej. Mama, która właśnie dzisiaj przysłała do nas i ofiarnie zajęła się krojeniem owoców pigwy, zauważa spokojnie:

- Trzeba było pójść do fryzjerki.

- Wiem - wzdycham ciężko.

Wiem, mamó kochana, ale to właśnie z domu rodzinnego wyniosłam nawyk robienia wszystkiego na własną rękę i unikania, o ile tylko to możliwe, korzystania z usług fachowców. To ty obcinałaś nam wszystkim włosy: tacie, braciom i mnie. A ja zalewałam się łzami niemal za każdym razem, bo nie lubiłam tych na pół chłopięcych fryzur. Marzyłam o długich włosach. I dlatego teraz nie strzygę się modnie, nie chodzę robić sobie trwałej (Franciszek określa trwałą pogardliwym mianem „fifraki” i mówi, że w takiej fryzurze kobieta wygląda na dziesięć lat starszą), tylko pozwalam włosom rosnać i powiewać na wietrze.

Środa, 5

Rzucam okiem na Tosię tuż przed jej wyjściem do szkoły. Skutki moich wczorajszych wyczynów są porażające. Krzywo przycięte kosmyki powykręcane na wszystkie strony. Dzwonię do fryzjerki z prośbą o ratunek. Umawiam Tosię na trzecią po południu. Zaraz po lekcjach.

Dzień znowu piękny i słoneczny. Wyglądam tęsknie na ogród. Dzisiaj nic z tego. Na stole garnki z pigwą, w zlewie słoiki. Robię galaretkę. Sama, bez Grażyny, bo nieoczekiwanie rozchorowała się Duszka. Nie zaproszę przecież innej matki do domu, w którym szaleją wirusy. Na szczęście moje dzieci chorują zazwyczaj dość spokojnie. Śpią i gorączkują przez cały dzień. Tak więc mała śpi, a ja kroję, zalewam wodą, odcedzam przez sito, sypię cukier, sterylizuję słoiki w piekarniku i do gorących wlewam rubinowy albo pomarańczowy płyn.

Cała kuchnia zaparowana. Ślaniam się z gorąca. Nie chcę za mocno wietrzyć, żeby nie przewiało Duszki. Ręce szorstkie od kwasu, nadgarstek

boli od dokręcania pokrywek. Rośnie rząd słoików z przejrzystą zawartością. Czuję się Kobieta Kompetentną i Gospodarną, bohaterką dziewczęcych lektur, od Ani z Zielonego Wzgórza poczynając.

Jest coś magicznego w robieniu przetworów i zapelnianiu spiżarni. Na początku mojej małżeńskiej kariery tworzenie własnego, unikalnego domowego ogniska z jego specyficzną atmosferą polegało między innymi na smażeniu dżemów i konfitur. Czego wtedy nie robiliśmy! Sok z kwiatów czarnego bzu, miód z mniszków (proporcje były podane na trzysta kwiatów, więc żmudnie przeliczaliśmy nasze zbiory, zrywane na podwarszawskich łąkach), konfitury z owoców dzikiej róży (Nigdy więcej! Wszystko mnie swędziało od wydlubywania pokrytych czepnymi włoskami ziarenek), marynowane grzyby i ulęgałki. Franciszek po raz pierwszy (i jak na razie ostatni) zakisił ogórki.

Trochę brakuje mi tamtego entuzjazmu. Czulałam się bajkowo. Jakbym swoim życiem pisała książkę, której bohaterką chciałabym się stać. Ale było to raczej wpasowywanie się w jakiś idealny obrazek z marzeń, niż życie zgodne z tym, kim się naprawdę jest. Szybko więc codzienność wyparła bajkę. Jest bardziej prozaicznie i przemysłowo. Nie chodzimy już do lasu po dzikie owoce. Ogród dostarcza nam surowca do przetworów w ilościach hurtowych. Co dwa lata stara jabłoń zasypuje nas czterema gatunkami jablek (szczepiona). Pigwa (a raczej pigwowiec japoński) produkuje niezmierne ilości owoców każdej jesieni. No i mamy wino z ciemnych winogron - domena Franciszka. Może pomysł Grażyny, żeby wspólnie siedzieć w kuchni i robić galaretkę, nie był taki głupi. Kroić pigwy, miło sobie rozmawiać, ustroić kuchnię jesiennymi liśćmi, żeby nadać jej przytulniejszy i odpowiedni do pory roku wygląd.

Kiedyś, gdy będę inną kobietą, może babcią, stworzę takie wnętrze i postaram się emanować ciepłem i spokojem. Na razie realia są inne:

*** Nie umiem kooperować w kuchni z inną dorosłą osobą. Nawet**

Franciszek kręcący się na linii ognia (czyli między kuchenką, blatami i stołem) budzi moje rozdrażnienie. Tak więc kiedy Grażyna powiedziała: „Ja ci będę pilnować obiadu, a ty będziesz robić galaretkę”, przebiegł mi po krzyżu zimny dreszcz. Droga Grażyno, nie wiesz, co mówisz. Gdybyś ty przy mnie pilnowała moich garnków z jedzeniem i stała przy mojej kuchni, atmosfera stałaby się tak naładowana, że piorunami można by oświetlić cały dom.

* Pigw jest okropnie dużo. Cała kuchnia zasypana pestkami, podłoga się lepi. Trzeba operować kilkoma garnkami naraz, myć i wypiekać w piekarniku słoiki, wyparzać pokrywki. Tworzy się totalny bałagan. Chcę to mieć jak najszybciej za sobą.

* W tym czasie w kuchni nie da się zjeść żadnego normalnego posiłku.

Dwudziesty szósty słoik wędruje na blat. Robię sobie przerwę, bo za chwilę Franciszek i ja mamy lekcję francuskiego.

Młodsze dziewczynki, trochę przeziębione, leżą na tapczanie w naszej sypialni.

- Zapomniałam, jak się mówi „Dobry wieczór” - mówi Majka.

- Bon soir - przypominam i dodaję - możesz też powiedzieć: Je suis malade. To znaczy: „Jestem chora”.

Słyszę, jak powtarza sobie pod nosem: Bon soir, je suis malade.

Wchodzi Ewa, наша nauczycielka. Uśmiecha się do wyciągniętych na tapczanie panienek. Majka wypowiada wyuczoną przed chwilą kwestię tak cichutko, że nic nie słyhać.

- Powtórz głośniej - zachęcam. (Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Niczym nie różnię się od matek, które bardzo chcą popisać się potomstwem. Nic, tylko tłuc głową o ścianę).

W tym momencie odzywa się Duszka.

- Je suis malade - oświadcza dźwięcznym głosikiem. Padam na twarz z zachwytu (w myślach oczywiście). Chciałabym, żeby któreś z dzieci

podzielało moją pasję do języków. Nigdy nie przestanę żałować, że nie poszłam na studia lingwistyczne. Teraz to nadrabiam, ucząc się rankami czterech języków jednocześnie.

- A nie płacze ci się? - pytają znajomi.

- Tak, płacze. Głównie hiszpański z włoskim. Ale przedzielim je francuskim i niemieckim.

Być może niektórzy, słysząc to, rysują w myślach palcem kółko na czole. Ale to nic. Niezależnie nawet od dość mizernych efektów takiej nauki (zwłaszcza jeśli chodzi o niemiecki), pasjonuje mnie wgryzanie się w zawilności obcej gramatyki i odkrywanie tajemnic zawartych w dziwnie brzmiących słowach.

Dwunasta w nocy. Jestem Heroiczną i Dzielną Gospodynią, Kobieta Sumienną, Wzorem Pracowitości. Zrobiłam pięćdziesiąt dwa słoiki galaretki, umyłam podłogę i odczyściłam kuchenkę zalepioną słodką ciecżą, która wykypiała podczas gotowania. Padam ze zmęczenia. Wystawiając na zewnątrz wiadro z odpadkami, spoglądam przelotnie na niebo. Gwiazdy. Dzięki Ci, Boże, za ogród, za ten łagodny, chłodny zapach jesiennej nocy, za gwiazdozbiory nad starą jabłonią.

Czwartek, 6

Cały poranek z Duszka na rękach. Siedzę w fotelu, a mała wtulona we mnie, rozgrzana gorączką, przysypia niespokojnie. Jedną ręką podtrzymuję dziecko, drugą przewracam kartkę Gramatyki niemieckiej w ćwiczeniach. Kręgosłup buntuje się na przymusową pozycję, w której trwam od kilkunastu minut. Przerabiam całą stronę podstawowych zwrotów i biorę Język włoski dla zaawansowanych. Duszka wierci się. Zagłębiam się w zasadach tworzenia trybu warunkowego.

- Poczytaj mi książeczkę.

- Dobrze. Przynieś, którą chcesz.

- Tsy książeczki.

- Niech będzie, trzy.

Na pierwszy ogień idzie Pilka Doroty Gellner. Mogę ją recytować bez patrzenia w tekst. Starszym dzieciom czytałam to w nieskończoność. Podobnie jak i inne książeczki. Najbardziej wykańczały mnie Psie smutki, które upodobała sobie Tosia.

Jest coś odświętnego w chorowaniu dzieci. Nie chodzi mi oczywiście o jakieś naprawdę groźne choroby, ale o zwyczajne, pospolite infekcje. Dziecko jest wtedy bardziej bezbronne, bardziej spragnione czulej obecności rodziców, zwłaszcza mamy. W jakiś niepojęty sposób sprawia mi przyjemność „tracenie czasu” przy chorej Duszcze, czytanie w kółko tych samych książek i pozwalanie, żeby spała mi na kolanach. Może wtedy czuję, że dorastam do archetypu matki.

Wybiegam na chwilę do ogrodu. Jak pięknie! Niebo w kolorze lazuru i nisko, niziusińko chodzące słońce. Przytulam policzek do szorstkiego, nagrzanego tynku. Czapa rdestu nad komórką zachwyca pianistą bielą. Rozkwitły dwie kolejne herbaciane róże. W cieniu chłodno. I ten chłód jest dobitny, przejmujący do szpiku kości. Z domu dobiegają dźwięki pianina. To Tosia ćwiczy Błazny cyrkowe Kabalewskiego.

Noc. Pragnienie wypełniania świętych, macierzyńskich obowiązków maleje. Znacznie maleje... Właściwie znika. Bardzo chce mi się spać, ale Duszka krzyczy przez sen. Zakopuję się w ciepłą kołdrę. Może za chwilę przestanie, może zaśnie... Franciszek na pewno ją słyszy. Czuję, że się obudził, ale udaje, że śpi. Ja też udaję. Kochana, ciepłutka kołderka mmm...

- Mamo! Mamo! - płacz połączony z sennym bełkotem, okraszonym pełnymi rozpaczy okrzykami. Nawet we śnie dziecko wie, kogo oplaca się wołać.

Biegnę na bosaka po zimnych panelach naszej sypialni i po ciepłym drewnie pokoju dzieci (pod ich podłogą położyliśmy grubą warstwę wełny mineralnej - moje stopy doskonale wyczuwają różnicę). Przytulam Duszkę i

namawiam do wypicia kilku łyków wody. Wracam do łóżka zziębnięta i w akcie zemsty dotykam lodowatymi stopami rozgrzanych nóg Franciszka. Wycofuje się aż pod ścianę.

Piątek, 7

Rano licytacja, kto więcej razy wstawał. Umniejszam zasługi Franciszka, bo on w kapciach i niespiesznie, a ja na bosaka, biegiem - bohaterska matka z rozwianym włosiem.

Odwołuję wszystko, co pisałam wczoraj na temat pozytywnych aspektów chorób dzieci. Mam dość. W nocy bieganie. „Pić! Siku! Złe sny!” W końcu musiałam wziąć Duszkę do naszego łóżka. Franciszek tego nie lubi, bo mała się wierci i spanie jest znacznie mniej komfortowe. Skoro nie lubi, to niech sam wstaje i lata. Ja jestem już dostatecznie wykończona.

Dzień poszarpany na kawałki. Najpierw odkurzanie, potem hołubienie Duszki. Przytulam do siebie jej rozgrzane ciało i ponad skudłaczonymi od niespokojnego snu kędziorkami usiłuję robić ćwiczenia z włoskiego. W dalszym ciągu tryb warunkowy.

- Pobaw się ze mną.

Biorę szydełkową laleczkę, którą zrobiłam dawno temu, i która miała służyć do nauki angielskiego z dziećmi. Z edukacyjnych zapędów nic nie wyszło, ale kolorowa Kampanula została. Zakładam ją na palec.

- Jak masz na imię, dziewczynko? - pytam piskliwym głosem.

- Duska.

- A na nazwisko?

- Wzos.

- Ile masz lat?

- Tsy.

- A ile sióstr?

- Tsy.

- No to mnie przytul.

Duszka bierze lalkę i przytula do policzka. Jednym okiem zerkam do podręcznika Włoski dla średnio zaawansowanych. Avrebbe dovuto... Nie mogę się skupić.

- Lozmawiaj jeszcze Kampanulą.

O nie. Po co jej to proponowałam? Prawdę mówiąc, nie cierpię tego typu zabaw. Mimo to posłusznie wcielam się w szydełkową lalkę. Duszka wygląda na zadowoloną, a we mnie narasta idąca gdzieś z głębi brzucha fala irytacji. Dławię ją brutalnie. Dziecko jest chore, a ja jestem matką. Koniec i kropka. Mała uśmiecha się do mnie szeroko, a ja w tym momencie zamieram, bo widzę czerwone spuchnięte dziąsła. Zapalenie jamy ustnej! Tego tylko brakowało.

- Chodź Duszko, popsikamy do buzi, żeby cię nie bolało.

- Nie chcę!

- Ale wtedy szybciej będziesz zdrowa.

- Mówię, że jak nie chcę, to nie chcę.

Nie znoszę pakować dzieciom lekarstw na siłę. Próbuję przekupstwa.

- Jak dasz sobie psiknąć, to opowiem ci bajkę.

- Opowiedz dwa razy.

- Dobrze, niech będzie dwa razy.

Otwiera posłusznie buzię, a ja pryskam tantum verde. Potem opowiadam historyjkę, która od tygodnia jest hitem numer jeden. Duszka domaga się jej kilka razy dziennie, a ja coraz częściej żałuję, że ją wymyśliłam. Nie mam pojęcia, co dzieci widzą w takich absurdalnych opowiastkach. Ta nosi roboczy tytuł „Bajka o dziecku”:

„Było sobie dziecko, które chodziło po lesie i płakało, bo nie wiedziało, kim jest. I spotkało misia.

- Kim ty jesteś? - spytał miś.

- Ja nie wiem - odpowiedziało dziecko.

- No to będziesz misiem.

- Dobrze - odpowiedziało dziecko i uśmiechnęło się do misia. Potem spotkało lisa.

- Kim ty jesteś? - spytał lis.

- Ja nie wiem, ale miś powiedział, że jestem misiem.

- Ha ha ha! - zaśmiał się lis. - Wcale nie jesteś podobne do misia. Już raczej jesteś lisem.

- Dobrze - powiedziało dziecko i uśmiechnęło się do lisa. Potem spotkało biedronkę.

- Kim ty jesteś? - spytała biedronka. (Trzeba to powiedzieć odpowiednio piskliwym głosem).

- Ja nie wiem, ale lisek powiedział, że jestem lisem.

- Hi hi hi (też odpowiednio piskliwie). Wcale nie wyglądasz jak lisek, nie masz takiego ogona. To już raczej jesteś biedronką.

- Dobrze - powiedziało dziecko i uśmiechnęło się do biedronki. Potem wyszedł z lasu wilk (głos nastrajam na odpowiednio ponure i groźne tony).

- Kim ty jesteś? - zawołał wilk (wręcz chrapliwie).

- Ja nie wiem, ale biedronka powiedziała, że jestem biedronką.

- HA HA HA (bardzo ponury ma być ten śmiech), wcale nie wyglądasz na biedronkę, już raczej jesteś wilkiem.

- Dobrze - powiedziało dziecko i uśmiechnęło się do wilka. Potem spotkało smutną panią, która chodziła po lesie i płakała, bo zginęło jej dziecko.

- Jestem wilkiem - powiedziało na jej widok dziecko.

- Ależ nie - uśmiechnęła się pani. - Nie wyglądasz wcale na wilka, wilk jest duży i groźny, a ty jesteś małe i bardzo miłe.

- No to może jestem biedronką?

- Ależ nie, biedronki są maleńkie i mają czerwone skrzydełka w czarne kropki.

- To może jestem liskiem?

- Nie, nie jesteś liskiem. Liski mają długie, rude ogony.
- W takim razie jestem misiem.
- Ależ nie, nie jesteś misiem.
- No to kim w końcu jestem? - rozplakało się dziecko.
- Jesteś moją kochaną córeczką Duszka, która mi się zgubiła, a teraz ją znalazłam.

Pani wzięła dziecko na ręce i przytuliła. Potem poszły razem do domu i zjadły kaszę mannę z pigwą”.

Zazwyczaj kiedy dochodzę do pojawienia się pani, Duszka krzyczy, że potem mam opowiedzieć jeszcze jeden raz. Słyszając znajome fragmenty, uśmiecha się rozanielona. Ta dziwaczna historyjka wpływa na nią w jakiś sposób kojąco. Na mnie - wręcz przeciwnie.

Wychodzę na chwilę do ogrodu. Wieje wiatr. Begonie zaatakowane przez mączniaka wyglądają okropnie. Wyrzucam je z doniczki na kompost. Niepokoi mnie, że Tosi jeszcze nie ma. Pewnie znowu zagadała się z Magdą. Wychodzę za furtkę. Uff... Na końcu ulicy człapie powoli moje dziecko. Trzeba dać jej obiad.

Nie lubię takich rozlazłych dni. Mam wrażenie, że czas przecieka między palcami. Bardzo brakuje mi jakiegoś konkretnego dokonania. Jeśli czegoś zaraz nie zrobię, to oszaleję. Wyciągam torbę z luźnymi pasmami włóczki. Od dłuższego już czasu miałam w planie pozwijanie ich w porządne kłębki. Tak, oto zadanie na dziś! Bezmyślne, uspokajające i zapewniające nagrodę w postaci widzialnego efektu.

Słyszę, jak Majka uczy Duskę, który klawisz odpowiada dźwiękowi C na pianinie.

- Zobacz, tu jest C, a teraz pokaż mi, gdzie jest inne? - Tu.

- Bardzo dobrze, a jeszcze inne?...

Ale Duszcze już się znudziła nauka. Biegnie do mnie.

- Mamusiu, dlaczego ciągle mnie boli ta buzia?

- Bo jesteś chora.

Przytulam ją, a potem opryskuję jej obolałe dziąselka.

Wreszcie zasiadam do rozplątywania nici. Marzy mi się dzierganie jakichś ładnych ubranek dla dzieci, ale one zazwyczaj potem wcale w nich nie chodzą. Kiedyś próbowałam robić czapki. Pierwsza, pełna wymyślnych ściągów, przeznaczona dla trzyletniej wówczas Tosi, rozciągnęła się tak, że ja sama z powodzeniem mogłabym ją nosić. Poprzestaję więc na skarpetach dla Franciszka. Co roku jedna para. Drą się błyskawicznie. Robienie nowych jest miłsze niż cerowanie starych. Te dziurawe służą potem do polerowania wypastowanych butów.

Sobota, 8

- Chcę coś do jedzenia!

- Zaraz będzie obiad.

- Ale ja chcę teraz coś do jedzenia! - Duszka jest dziś wyraźnie w lepszej formie.

Dzień tak piękny i słoneczny, że piszę w ogrodzie. O wpół do trzeciej poczucie obowiązku sygnalizuje mi, że powinnam brać się za robienie obiadu. Szkoda mi czasu na kuchenne zajęcia. Już niedługo nadejdą chłodne dni i skończy się siedzenie pod jabłonią. Gotowanie! Idę do domu, mamrocząc w myślach, że mam tego dość, że nie chcę i że dlaczego, a mój humor pogarsza się jeszcze bardziej, gdy uświadamiam sobie, że nie ma od tego ucieczki. Do końca życia będę musiała robić obiady. Chyba że Franciszek w pewnym momencie wzięłby to całkowicie na siebie... Zdaje się, że jest to marzenie z gatunku fantasy.

Gryzie mnie poczucie winy, że nie zrobiłam ciasta na niedzielę. Wszystkim byłoby miło, a ja o kilka stopni zbliżyłabym się do ideału wzorowej matki.

Kolejny etap zwijania włóczki. Żółte pasma rozpięte na oparciach dwóch krzeseł. Jona patrzy zafascynowana.

- Mamo, daj mi pozwijać - patrzy na mnie błagalnie. Oddaję jej kłębek.

- Ja też chcę! - to Majka, od razu z pretensją.

- Proszę bardzo - podaję jej drugi koniec nitki i wychodzę z pokoju.

- Ja też chcę zwijać - to Duszka.

Co jej dać? Znajduję mały żółty kłębuszek z luźno zwisającym końcem. Mała wygląda na umiarkowanie zadowoloną. W takich sytuacjach najważniejszy jest szybki refleks.

Dziewczyny świetnie się bawią, chodząc dookoła krzesełek i znajdując drogę dla swoich kłębków w płątaninie nici. W mojej pamięci ozywają nagle wspomnienia z głębokiego dzieciństwa, kiedy musiałam trzymać przędzę na rozstawionych rękach, a mama była tą, która zwijała. Nie podobało mi się to. Ramiona omdlewały. Poza tym... może przerwano mi jakąś zabawę, a może atmosfera była niezbyt miła. „Czemu jesteś taka naburmuszona?” - padało pytanie. Zazwyczaj nie odpowiadałam, tylko pochmurniałam jeszcze bardziej. Więc kiedy teraz moje córki z chichotem manipulują kłębuszkami żółtej włóczki, odbieram tę scenę jako prywatne rodzicielskie zwycięstwo.

Mit idealnej matki zwyciężył. Zagniotłam kruche ciasto na tarte z jabłkami i biorę się za zmywanie. Na zewnątrz olimpijski spokój, w środku buzuje wulkan Etna. Wchodzi Majka.

- Mogę paprykę?

- Możesz.

- A jest umyta? - Tak.

- Pyszna jest ta papryczka. Pakryczka... Parkryczka... Dziecko niewinnie bawi się słowami, a w wulkanie wszystko drży i huczy. Rozżarzona lawa niemal przelewa się na zewnątrz. Niemal...

- Słodkie jest to pićko - uśmiecha się Majka znad kubeczka. - Słodkie, bo jest z pigwą. A po co ci ta okrągła blacha? Będziesz robić tort?

- Nie, ciasto z jabłkami.

Mój ton jest spokojny. Dziecko nic nie jest winne temu, że matka od dwóch dni ma paskudny humor. Ono tylko szuka kontaktu i zagaduje. Żeby nikomu nie zrobić krzywdy, chowam się w sypialni. Wchodzi Franciszek.

- Będziemy jeść dużo mięsa w niebie - oznajmia, stukając znacząco w trzymaną pod pachą Biblię. On też szuka ze mną kontaktu. Nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo to jest dzisiaj niebezpieczne.

- Nie mów - rzucam krótko takim tonem, że Franciszek od razu wyczuwa, jaki komunikat naprawdę kryje się za tymi słowami: „Nie odzywaj się teraz do mnie, bo za chwilę wybuchnę i możesz zostać rozerwany na strzępy. Jestem w tej chwili bombą zegarową, a nie żoną. Kryj się!”

Zrozumiał. Przerywa w pół zdania i wycofuje się z pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Nie ma to jak zgrane małżeństwo. Rozumiemy się prawie bez słów. Czasami.

Niedziela, 9

- Mamo! Ja nie chcę sama zostać z tatą! - to Duszka od rana protestuje przeciwko mojemu wyjściu do kościoła.

Mała znowu czuje się gorzej. Ma lekki stan podgorączkowy. W buzi afty.

- Kochanie, przecież są też twoje siostry. Możesz się z nimi bawić.

- Nie chcę zostać sama z tatą i z siostrami! Nie lozumies!?! Jak nie chcę, to nie chcę! Ja na ciebie patsyłam pzes całą noc!

O tak, to prawda. Patrzyła na mnie przez całą noc. Wzięłam ją do naszego łóżka, a Franciszek przeniósł się do dzieci, żeby spokojnie pospać. „Mamo, pić”, „Boli mnie buzia” - takie wezwania przerywały mi sen mniej więcej co pół godziny. Duszka kręciła się niespokojnie i przez większą część nocy wlepiała we mnie swoje szafirowe oczęta.

- Duszko, tatuś też jest fajny - próbuję zareklamować Franciszka.

- Nie „też” fajny, ale po prostu fajny - koryguje zdolowany ojciec.
- Tatuś jest fajny - poprawiam się. - Pobawi się z tobą.
- Ale ty jesteś najukochańsa.

Miód na serce matki, niezależnie od kontekstu sytuacyjnego. Biorę ją na kolana i próbuję jednocześnie skończyć własne śniadanie.

- A może Majka narysuje ci, jak zostajesz sama w domu, z mamą - podsuwam.

- Tak. I z Majką - Duszka żwawo zsuwa się z kolan i ciągnie za rękę Mariannę.

Niezawodny sposób, którego nauczyłam się na warsztatach z umiejętności wychowawczych i z książek pań Faber i Mazlish: „Zamień pragnienia dziecka w fantazję”. Jeśli tylko przypomnę go sobie i zastosuję w porę, lzy obsychają, płacz cichnie, a jasna główka Duszki pochyla się w skupieniu nad kartką.

Chwytam żakiet i wymykam się cichutko z domu prosto w rozłożoną słońcem październikową niedzielę.

Kiedy wracam po godzinie, Franciszek właśnie przykleja na lodówce piękny rysunek utrzymany w ciepłych, jesiennych barwach. To dzieło Majki. Przeszła samą siebie. Trzy radosne postaci, granatowe niebo i pomarańczowa płaszczyzna w tle. A przecież to dziecko do niedawna nie chciało niczego rysować. W myślach skaczę z radości.

Duszka senna i marudna. Kładę się z nią na tapczanie i znowu opowiadam „Bajkę o dziecku, które chodziło samotne po lesie”. Mówię coraz ciszej, przeciągając sylaby. Sama gotowa już jestem zapaść w sen. Przypominają mi się odległe czasy, kiedy to próbowałam usypiać w dzień maleńką Tosię. Po dwudziestym czwartym odczytaniu Psich smutków, miałam już mordercze pragnienia. Będąc na granicy łez, powstrzymałam się, żeby nie na-wrzeszczeć na dziecko, które zupełnie przytomne, bez śladu senności, oczekiwało ufnie na kolejną turę czytania. Codzienne usypianie

dwulatka było zmorą i przyczyną depresji. Ale tak to jest. Młoda matka i pierwsze dziecko. Wszystko musi być podporządkowane pierwotnemu potomkowi rodu. Przy Duszce machnęłam ręką - nie chce spać, to niech nie śpi. I nie spała w ciągu dnia, odkąd skończyła pierwszy rok życia. Nie widać, żeby to jej jakoś zaszkodziło.

Poniedziałek, 10

Na biurku karteczka od Tosi: „Kochana mamusiu!!!

Twoja córeńka Tosieńka prosi cię o zmierzenie temperatury powietrza o godzinie 13.00, podania stopnia zachmurzenia, rodzaju opadu, kierunku i rodzaju wiatru.

Dziękuję bardzo Tosia. PROSZĘ!”

U dołu strony rysunek: termometr, chmury z deszczem, gwiazdki śniegu i drzewo pochylone od wiatru. Załamuję ręce nad ortografią. Ponieważ Tosia nie wyszła jeszcze do szkoły, wręczam jej czerwony cienkopis.

- Napisz wyraz „zachmurzenie”.

Pisze poprawnie. Błędy wynikają więc bardziej z pośpiechu niż z niewiedzy, ale co z tego. To właśnie z powodu ortografii Tosia ma tak fatalne stopnie z polskiego. Zastanawiam się, czy nie powinnam z nią poćwiczyć pisowni. Wzdragam się na myśl o zapędzaniu jej do dodatkowej pracy. I tak ma sporo zadawane.

Duszka na razie spokojnie się bawi w swoim pokoju, więc szybko biorę się za niemiecki. Co za język! Dziś czasowniki rozdzielne.

Was machen wir mit? Po polsku, przetłumaczone dosłownie brzmiałoby: „Co bierzemy sobą ze?” Albo jeszcze gorsze: Rufen Sie mich morgen an? („Czy dzwoni pani do mnie jutro za?”).

- Mamo, Luza nie chce się psycepić.

- To przynieś ją tutaj.

- Ale ona nie chce się psycepić do podłogi!

Wstaję z ciężkim westchnieniem. Laleczka lego rzeczywiście nie daje się przyczepić w takim rozkroku, jaki zaplanowała dla niej Duszka. Znajduję jakiś wariant pośredni i wracam do niemieckiego. Rufen Sie...

- Ale ona ma za mało rozkłacone nogi! - zalana łzami buzia wygląda jeszcze bardziej tragicznie z powodu wysmarowanych gencjaną dziąseł.

- Bardziej się nie da - argumentuję słabo.

- Ale ja sobie wymyśliłam, że ma być baldziej.

- To może ci narysuję taką rozkraczoną Różę?

- Ehem.

Rysuję laleczkę. Duszka sposobi się do kolorowania. 1:0 dla mnie. „Zamień marzenia w fantazję” - zadziałało znowu. Fang schon mai an.

- A teraz narysuj mi długą.

Rysuję od razu dwie. Może to umożliwi mi szybsze zakończenie dzisiejszej porcji niemieckiego. Ich höherjetzt auf. -1 jeszcze cwałta.

Gdybym była panem Bogiem, to wszystkie matki wysyłałabym bezpośrednio po śmierci wprost do raju. Ganz ruhig...

- Psylep na lodówkę - Duszka powiewa kolorowym rysunkiem.

Jasne, trzeba doceniać osiągnięcia dzieci.

Na język włoski Duszka przeniosła się już całkowicie do mojego pokoju. Daję jej pomalowane kamienie. To powinno mi zapewnić jakieś dziesięć minut na naukę. O ile tylko zdołam się skupić wśród odgłosów kreatywnej zabawy mojego dziecka... saresti andata a trovare Gino.

- Oni się pakują do domku i idą spać. Questo valigione qui?

- A teraz wstali i jadą na wakacje. Chcę muzykę.

Super. Więc jeszcze będę miała Blackmores Night w tle. Duszka tańczy zadowolona.

- To jest moja ulubiona muzyka, wiesz? Chcę ją jeszcze raz. Czasem zastanawiam się, dlaczego tak uparcie trwam przy tej porannej lingwistycznej gimnastyce. Codziennie przerabiam symboliczną ilość

materiału - jedno lub dwa ćwiczenia z każdego języka. Przyrost wiadomości jest w związku z tym prawie niezauważalny. Pamiętam jednak usłyszane kilkanaście lat temu zdanie Zygmunta Broniarka, że ważniejszy jest systematyczny kontakt z językiem, choćby dziesięć minut dziennie, niż intensywny wielogodzinny kurs, po którym następuje kilkuletnia przerwa. Staram się postępować zgodnie z tym wskazaniem.

Od dziecka marzyłam, żeby znać francuski, bo urzekło mnie jego piękno. Chciałam czytać po angielsku nietłumaczone na polski powieści i z czasem zaczęłam coraz bardziej doceniać trafność i zwięzłość tego języka. Za włoski wzięłam się dlatego, że najlepsze czasopisma o hafcie i robótkach ręcznych, jakie można kupić w empiku, są właśnie po włosku. Łatwość, z jaką zaczęłam przyswajać ten język, była dodatkową zachętą do nauki. Hiszpański pociągał mnie egzotycznym brzmieniem... więc czemu nie hiszpański? A niemiecki? Niemiecki mnie nie pociąga. Nie potrafię wydobyć z siebie tych gardłowych dźwięków ani zapamiętać zawiłych reguł gramatyki. Niemiecki to raczej sprawa ambicji. Ale nie tylko. Prawie każda wyprawa zagraniczna wiąże się z tym, że któryś z krajów germańskich trzeba przekroczyć, a czasem nawet w nim zanoć. I wtedy bardzo źle mi jest z tym, że niczego nie rozumiem, ani ludzi, ani napisów. Nie czuję potrzeby mówienia po niemiecku. Raczej potrzebę jako takiego orientowania się, o co chodzi (na przykład w jaki sposób działają automaty na ciepłą wodę na kempingu albo w którym miejscu można zaparkować).

Jest jeszcze jeden bardzo istotny powód, dla którego codziennie staczam walkę o zrobienie kilku ćwiczeń językowych - strach, że cały dzień rozmyje mi się w czynnościach powszednich - nudnych, powtarzalnych i niepozostawiających po sobie śladu. Strach, że przestanę istnieć - ja, Kamila, a zostanie tylko ruchomy, wieloczynnościowy sprzęt domowy.

Na zewnątrz cieplej niż w domu. Wychodzę się przewietrzyć. Obiad wydany, rodzina nakarmiona, z wyjątkiem Tosi, która jak zwykle spóźnia

się z powrotem do domu. Z herbatą, książką i tym dziennikiem, w którym notuję codzienne zmagania, siadam w plamie słońca. Dlaczego je zapisuję? Z tych samych powodów, dla których opanowuję języki, żeby udowodnić sobie, że żyję. Żeby zostawić, choćby na papierze, ślad mojej codziennej działalności (w świecie rzeczywistym dość szybko znikają dowody na to, że dom był posprzątny, jedzenie ugotowane, a ubrania wyprane). Żeby wiedzieć, na czym upłynął mi dzień i dlaczego jestem wieczorem tak potwornie zmęczona.

- Mamo, ładnie spięłam włosy? - Majka przechyla się przez balustradkę schodów.

- Bardzo ładnie. Do twarzy ci z tymi spinkami. Pochyliam się nad zeszytem.

- Zobacz, a teraz inaczej.

- Mhm...

- Mamo, chcę pojeździć na loweze.

- No to wsiadaj i jedź.

- Ale ja chcę na tym dużym, a tata powiedział, że nie. Miałam pisać. Miałam czytać. Miałam wypić herbatę. Udało się tylko to ostatnie. Otwieram komórkę i wyciągam dwukołowy rower z kijem. Przy tej okazji brudzę sobie nogawkę spodni. W środku ociekam jadem. Na zewnątrz spokój. Robię z Duszką kilka kólek po ogrodzie. Potem uciekam do naszej sypialni i zatrzaszukuję za sobą drzwi. Są trochę źle zamontowane, więc trzeba użyć dużej siły, żeby je otworzyć. Żadne dziecko nie da rady. Nawet Tosia.

- Mamo! - Duszka bezskutecznie szarpie za klamkę. - Majka pseskadza mi w śpiewaniu! (W rzeczywistości przekrzykiwały jedna drugą).

O nie! Ja teraz piszę!

- Idź do taty! - krzyczę.

- Tato! Majka pseskadza mi w śpiewaniu!

- To powiedz jej pełnym zdaniem, że chcesz śpiewać i że ona ci przeszkadza - odpowiada spokojnie mój mąż.

- Ale to ona mi przeszkadza - woła z pokoju Majka. Dobrze, że te drzwi są zamknięte.

Wtorek, 11

- Udawam, że jestem motylem - Duszka biega po mikroskopijnej przestrzeni naszej sypialni (to najmniejszy pokój w całym domu) z rozłożonymi rękami.

Z odtwarzacza płynie skoczna muzyka, a ja próbuję zgłębiać zasady tworzenia czasu conditionnel passe.

- A telaz, moje dlogie, będziecie kotkami - mówi Duszka, głaszcząc mnie po twarzy. (Zdaje się, że wciela się w postać jednej z pań, która prowadzi zajęcia dla przedszkolaków).

Si jamis eu de Vargent, j'aurais encore visite I'Italie.

15.30. To dobra, spokojna pora. Jest po obiedzie, dzieci siadają do lekcji albo zabierają się za zabawę. Zachowują się w miarę cicho. Duszki nie słycać wcale. Może coś buduje?

Matki chłopców czasami dziwią się, odwiedzając nasz dom.

- Jak u was cicho! Dzieci gdzieś wyszły?

- Nie, są u siebie, w pokoju.

Błysk zazdrości w oku. Czasem kręcenie głową, które ma oznaczać: „Nie znacie prawdziwego życia”. Niby że u nich panują bardziej ekstremalne warunki i dzieci są nie do opanowania.

Trzy godziny później może już nie być śladu po sielance. Nie wiem, co wstępuje w dzieciaki gdzieś między szóstą a siódmą wieczór. Nagle zaczynają się krzyki, piski i bieganina. Zabawy w chowanego i jakieś bezsensowne przepychanki. Wrzask, tupanie, podniecone głosy, śmiech... cała ta mieszanka sprawia, że mój instynkt macierzyński spręza się w oczekiwaniu na okrzyk bólu i głośny płacz. W najlepszym wypadku

rozlegnie się nieśmiertelne: „Mamo! A ona mi...!”. W tym momencie baterie rodzicielskie są już na wyczerpaniu.

Dociągamy spokojnie do 17.30. Cichy szmer głosików i szelest kartek. Atmosfera skupienia jak w czytelni uniwersyteckiej. Może nadmiar energii wytraciły po drodze na różaniec? Jona jako dziecko przygotowujące się do Pierwszej Komunii ma chodzić na to nabożeństwo dwa razy w tygodniu. Widać, że nie bardzo ma ochotę. Pierwszy raz poszła z ciekawością. Zadziałał urok nowości i świeżo otrzymany różaniec. Teraz zrobiła minkę: „Ale mi się nie chce”. Natomiast Majka, której żaden obowiązek nie zmusza, ubiera się ochoczo i zgłasza się do mnie po zrobiony z koralików różaniec. Dostała go w zeszłym roku od czarnoskórej Florence, niezwykle żywiołowej Ugandyjki, którą poznaliśmy w Chorwacji.

- Ty też się wybierasz? - pytam zdziwiona.

- Tak - w promiennym uśmiechu odsłania dziąsła nabrzmiałe powoli przebijającymi się jedynekami.

Panienki wyszły. Po chwili rusza za nimi Franciszek. Dziwnie się czuję, nakłaniając dzieci do religijnych praktyk. Wiem, że bywa to dla nich nużące. I kiedy mówią, że im się nudzi, potwierdzam tylko: „Tak, czasem trudno jest wytrzymać na mszy” albo „Rzeczywiście, można nie mieć chęci, żeby po męczącym dniu w szkole iść jeszcze na nabożeństwo”. Bo taka jest prawda i nie ma co jej zaprzeczać, strojąc się w pobożne piórka.

Ja sama, mając osiem lat, nie miałam odwagi pomyśleć, że w kościele jest nudno, nawet nie miałam odwagi tego poczuć. (Poczucie dyskomfortu związane z sytuacjami kościelnymi spychałam do podświadomości, jak większość uczuć nieakceptowanych). Będąc w wieku Jony, biegałam codziennie na różaniec, jak sobie tego życzyła siostra katechetka. Nie było wtedy dla dzieci oddzielnych nabożeństw o wcześniejszej godzinie. Wszystkie zaczynały się wieczorem, tak że do domu wracałam już po zmroku zeszywniała ze strachu. A bałam się wtedy pijaków, hord

bezpiecznych psów i czarnej wołgi. Te wieczorne powroty odcisnęły się w mojej pamięci emocjonalnej. Teraz, kiedy o tym piszę, znowu czuję tamten ucisk w gardle i napięcie w skulonych ramionach. Tak właśnie skojarzył mi się różaniec. Dobrze więc, że to Franciszek idzie dziś z dziećmi do kościoła. Pozbawiony negatywnych skojarzeń (nie chodził w dzieciństwie na religię), nie będzie ich przenoślił na nasze potomstwo.

Środa, 12

Po raz pierwszy od dawna udaje mi się bez większych zakłóceń odrobić poranną porcję ćwiczeń językowych. Duszka siedzi w swoim pokoju i pracowicie robi wyklejankę. Czasem tylko informuje mnie donośnym głosem:

- Ta dziewczynka, Kasia, będzie miała pomarańczową sukienkę.
- To świetnie! - odkrzykuję.

Dzień nie zapowiada się jednak zbyt różowo, bo dopadła mnie migrena (fatalna spuścizna genetyczna po pokoleniach kobiet z rodziny mamy). Czuję się tak, jakby mi ktoś wbijał gwóźdź w prawe oko. Ciekawe, jak długo wytrzymam, zanim padnę na łóżko, niezdolna do jakiegokolwiek działania.

Majka wróciła z zerówki kontuzjowana. Mały palec prawej ręki spuchnięty, lekko siny i bolesny. Pytanie - czy jechać na chirurgię, czy zrobić okład i zostawić palec w spokoju. Telefon do przychodni. Żadnego chirurga nie ma. Radzą jechać na Niekłańską. Serdeczne dzięki. Kilka godzin w kolejce - oto, co nas by tam czekało. Lepiej już poradzić się naszego doktora Michała. Obejrzał. Pochwalił okład, kazał palec unieruchomić na dwa dni. Majka zadowolona paraduje z bandażem. Z tej okazji nauczyła się, jak jest po francusku „Boli mnie palec” i wyrecytowała naszej pani od francuskiego: Jai mai a mon doigt.

22.00. Tupanie za drzwiami. To starsze dziewczyny z Franciszkiem wracają od sąsiadów. Oglądali mecz Polska - Anglia. Nie mamy telewizora,

więc jak to było w latach 60., kiedy rzadko kto miał odbiornik, umawiamy się ze znajomymi na wspólne oglądanie. O, Franciszka jednak nie ma. Mecz jeszcze trwa. Na razie 1:1. Dzieci zostały odesłane do łóżek, bo już późno. Tosia i Jona, jak się okazuje, wcale nie oglądały transmisji, tylko razem z córką sąsiadów czytały czasopisma.

- A ja oglądałam - mówi z dumą Majka, kiedy pomagam jej przeciągnąć obandażowaną dłoń przez rękaw piżamy.

- I co, ciekawe było?

- Bardzo dużo się przewracali.

Czwartek, 13

Kolorowanki. Oto sposób, żeby uzyskać chwilę spokoju. Kupne książeczki do malowania są niestety traktowane przez moje dzieci z lekceważeniem. Kolorowanki musi zrobić mamusia.

- Nalysuj mi Duskę, Majkę, Tosię i Jonę.

Rysuję. Co za pokraki mi wychodzą! Najgorsze są nogi i dłonie, ale Duszka jest zadowolona, a ja otwieram samouczek Mówimy po włosku. Nareszcie zaczynam rozumieć, o co chodzi w wyrażeniu stare per partire. Rysuję następną partię pokrakowatych istot. Biorę się za hiszpański, a dziecku w tym momencie skończyła się ochota na kolorowanie i ryczy na moim tapczanie. Z zaciętą miną zgłębiłam zawilóści czasów przeszłych.

- Ja chcę, żebyś mi ułożyła modelkiiii...

- Ty je wzięłaś od Jony, możesz je więc sama ułożyć albo odnieść do pokoju dziewczynek.

- Ty musis je ułożyć - cały nacisk na słowo „ty”.

- Nie będę układała twoich modelek. Teraz się uczę. Nie zgadzam się, żebyś tu głośno płakała.

Mówię powoli i dobitnie. Jestem strasznie zła. Pochylam się nad pożółkłymi stronicami Spanish. A Complete Course for Beginners. Próbuję się skoncentrować. Niewykonalne. Na horyzoncie pojawia się Franciszek.

Idzie do kuchni. Pewnie sobie myśli, że zamiast się uczyć nie wiadomo po co czterech języków, powinnam się zająć znudzonym dzieckiem. A niech sobie myśli! Ciekawe, jak by się czuł po dziesięciu latach spędzonych na opiece nad potomstwem i na w kółko powtarzających się czynnościach zwanych szumnie „prowadzeniem domu”. Ciekawe, czy ochoczo rezygnowałby z trenowania mózgu na rzecz pięćdziesięciu odczytań „Po cichutku, po kryjomu wyskoczyła piłka z domu”. I czy miałby siły na wymyślanie tak zwanych rozwijających zabaw? Idę gotować zupę.

Franciszek przy obiedzie:

- Widzę, że dzisiaj dobrze sobie radzisz.

- Stanowczym głosem nie zgadzasz się na marudzenie Duszki. To jedyny sposób, żeby dziecko nie wlało ci na głowę.

O, drogi mężu! Więc ty mnie doceniasz, zamiast potępiać!? Ha! Ale co to znaczy? Czyżby mój własny wewnętrzny sędzia tak mnie gnębił i biczował wyrzutami sumienia, gdy tylko walczę o swój czas i rozwój? I jakąż broń ten sędzia posiada? - Obraz matki idealnej, heroicznej męczenniczki, bez reszty oddanej dzieciom i mężowi. Wszystko przez te łzawe i rzewne opisy rodziolek, które były wzorem pracowitości i łagodności. W jakiejś książce autobiograficznej czytałam: „Nie pamiętam, żeby matka kiedykolwiek podniosła na nas głos”. Ciekawe, jak tego dokonała. Może to nie ona wychowywała dzieci, tylko armia nianieł, a później szkoły z internatem? A może okupiła to migrenami i chorobą wrzodową? Taaak... chciałoby się być taką zawsze opanowaną mamą damą. Ale już przepadło. I tak wszyscy widzą, jaka jestem.

Tosia wbiega przez furtkę jak burza.

- Czemu tak długo? - pytam. - Przecież zaraz masz angielski.

- To przez tę głupią imprezę! Głupi nauczyciele nie chcieli mnie wypuścić, chociaż im mówiłam, że muszę iść na angielski! Wszystko przez ten głupi angielski! I głupi Dzień Nauczyciela!

Przytulam ją na moment. Tylko na moment, bo już zaraz zacznie się lekcja.

- Biegnij, bo się spóźnisz.

- Nie będę szła w stroju galowym! Przebiera się, szlochając.

- Jestem głodna! - krzyczy.

Głaszczę ją po głowie i prowadzę do sionki. W tym samym czasie Majka zdaje mi szczegółową relację, jakich tańców się dzisiaj uczyła i jakie były składniki surówki, którą robili w zerówce. Duszka ryczy, że zgubiła jej się rączka Rosity. Wszystkie tłoczą się w ciasnym pomieszczeniu, pomiędzy przeładowanymi wieszakami na ubrania. Pandemonium. Jakoś udaje mi się wyrzucić małe z sionki i towarzyszyć Tosi w jej gniewie. W takich chwilach lepiej nic nie mówić. Już się nauczyłam. Bezpieczniej dla nas obu, gdy akceptację i współczucie okażę tylko gestem. Na rozmowę będzie czas potem. Wyszła. Teraz mogę spokojnie wysłuchać Majki i stanowczo oznajmić Duszcze, że nie zamierzam szukać zaginionej rączki (wielkość dwa na dwa milimetry).

Włączam dzieciom Grupę MoCarta. Tańczą jak szalone. Siadam w fotelu i wyszywam. Robi się wesoło. Majka tanecznym krokiem rozkłada po szufladach niezliczone majtki i skarpety. Ja już zupełnie straciłam rozeznanie, które do kogo należą, więc scedowałam sortowanie bielizny na naszą trzecią córkę.

Wraca Tosia. Daję jej obiad.

- Posiedź ze mną w kuchni - prosi.

- Dobrze.

Siedzę i jeszcze raz słucham relacji z dzisiejszych perypetii. Siedzę, choć miałam zupełnie inne plany. I dopiero kiedy Tosia idzie do swojego pokoju, przystępuję do ćwiczeń na pianinie. Próbuję sobie przypomnieć Łabędzia Saint-Saensa (w wersji uproszczonej oczywiście). Mylę się w tym samym miejscu, co zawsze. Z góry dobiegają potężniejsze wrzaski. Robię to,

czego rozsądny i światły rodzic nie powinien robić, czyli wpadam jak burza i też wrzeszczę. Dostaję w twarz serią krzyżujących się oskarżeń.

- Bo ona mnie walila!

- A ona zabrała mój kapelusz!

- A ona na Majkę wrzeszczy! Nabieram powietrza w płuca i odwrzaskuję:

- Jak nie będzie spokoju, to Majka ma iść na dół do siebie! Tośka, nie wolno ci wchodzić na część Jony! Ani tobie, Jona, na część Tośki!

Próbuję jeszcze raz zagrać ten sprawiający mi kłopoty fragment Łabędzia. Z góry znów dobiegają odgłosy awantury. Biegnę tam i wydieram się, jak wyżej. Odbieram Tośce obity niebieskim płótnem spód od wózka dla lalek. Walila nim Majkę po głowie.

- To nie służy do bicia! - oznajmiam gniewnie i wrzucam narzędzie przemocy na najwyższą półkę w szafie.

Uparcie wracam do pianina. Nie idzie mi. Chyba nikomu by nie szło. Dzieci doszły już chyba do porozumienia, bo przestały na siebie wrzeszczeć. To nie znaczy, że są cicho. Nastąpiła właśnie TA godzina (jest 18.50), o której pisałam wczoraj. Dziewczyny z piskiem i śmiechem biegają w górę i w dół po schodach. Zamykam klapę instrumentu. Szkoda, że w naszym domu nie ma wieży, w której można by się odgrodzić od buzującej nadmiarem energii rodziny.

Piątek, 14

Hurra! Zepsuł się odkurzacz! Nareszcie będę miała nowy!

Wieczór. W pobliskim muzeum jest minikoncert jednej z uczestniczek Konkursu Chopinowskiego. Idziemy ze wszystkimi dziećmi.

Ciasne salki. Pod ścianami gabloty z pracami Wacława Nałkowskiego. Pod oknem jego biurko. W największym pomieszczeniu duży, czarny fortepian. Wszędzie porozstawiane krzeselka dla gości przybyłych na koncert. Trochę duszno.

Chopin wcale nie jest łatwy do słuchania. Siedzę z Duszką na kolanach cała spięta i zestrachana, że mała zaraz zacznie narzekać i jęczeć. Przede mną na podłużnym stolku siedzą Tosia i Jona. Za nami kilkanaście dziewcząt wyglądających na oko na piątą klasę. Bardziej się wiercą niż moje córki.

Pianistka z Tajwanu uderza mocno w klawisze, a Duszka mówi szeptem:

- Za głośna jest dla mnie ta muzyka. Już mnie od tego boli głowa.

Otulam ją szalem, przykrywając przy okazji uszy, żeby trochę wytłumić dźwięki. Trudno mi się skupić na granej muzyce, bo jestem prawie pewna, że lada chwila mała zacznie głośniejsz protestować. Końcowe oklaski. Uff... Udało się. Dotrwaliśmy bez kompromitacji.

Wychodzimy jako jedni z ostatnich i wysłuchujemy zachwyków nad naszymi dziećmi.

- Jak one cichutko słuchały! Jak uważnie! Pławię się w rodzicielskiej dumie.

Po powrocie zjadamy szybką kolację i zaganiamy dziewczyny do spania. Z górnego pokoju dobiegają odgłosy awantury. Schodzi Jona zalana łzami:

- Tośka mnie biła poduszką, a ja leżałam i nie mogłam wstać, bo siedziała na mnie Duszka.

- Chyba trzeba to dziecko przytulić - mówi Franciszek. Przytulam.

Sobota, 15

Wizyta u Eli i Jarka. Potworny harmider. Wszystkie dzieci (naszych czwórka i ich dwójka) bawią się w tym samym pomieszczeniu, gdzie my, dorośli, chcemy porozmawiać. Dom Eli i Jarka nie jest jeszcze wykończony, więc całe życie toczy się na jednej olbrzymiej przestrzeni, jaką jest salon połączony z jadalnią. Dziewczyny biegają i piszczą. Najbardziej przenikliwe dźwięki wydaje córeczka gospodarzy. Nam nie wypada jej uciszać. Oni

natomiast widocznie nie mają takiej potrzeby. Próbuję więc tylko poskramiać nasze panny. Włosy mi stają dęba na głowie, gdy obserwuję zachowanie dwuletniego stworzenia płci męskiej (Błażek). Wrzeszczy, rozwała układanki, psuje zabawy pozostałym. Rodzice nie reagują. Wygląda na to, że on tu rządzi.

Trudno mi wysiedzieć. Nie potrafię nawiązać kontaktu z Elą. Rzadko się widujemy i właściwie nic nas nie łączy. Nielatwo się zorientować, co jest dla niej ważne, o czym myśli, jakie tak naprawdę ma spojrzenie na życie. Rozmywa się w moich oczach. O czym mogą rozmawiać niezbyt bliskie sobie kobiety? Oczywiście o dzieciach, ale na to nie mam ochoty. To już lepiej o ogrodzie. O tym, jakie pnącza warto posadzić.

Tkwiąc za stołem i jednym uchem słucham niekończącej się opowieści Jarka o jego pracy. Naprawdę niekończącej się, bo nasz gospodarz przyswoił sobie umiejętność przemawiania w taki sposób, że rozmówca nie ma możliwości wtrącenia choćby słówka. Franciszek ma szklany wzrok. Nie widać nigdzie zegara. Nie potrafię ocenić, ile czasu zostało do końca wizyty. Patrzę z nadzieją na ciemniejące za oknami niebo. Różowe i seledynowe smugi na zachodzie. Niedługo będzie się stąd można wynieść.

Wracamy do domu. Ponieważ wcześniej przewidywałam, że wizyta będzie miała taki właśnie przebieg, czuję jedynie bezbrzeżną ulgę. Franciszek natomiast przeżywa rozczarowanie. Spodziewał się ciekawej wymiany myśli, a nie drobiazgowych relacji z pracy w biurze. Uwagi na temat spotkania z Elą i Jarkiem wymieniamy po francusku, żeby dzieci nie zorientowały się, o czym mówimy. Dawniej do rozmów w samochodzie wystarczał angielski, ale teraz małe znają już za dużo słówek. Ćwiczymy więc francuski, obgadując znajomych i zastanawiając się, czy po jespere używa się trybu subjonctif, czy nie. Zła jestem na siebie, że za mało czytam po francusku, bo to jedyny sposób na poszerzanie słownictwa. Ale ciężko jest czytać *Moulin de Pologne* Jeana Giono. Nauczycielka francuskiego

bardzo go polecała. Mówiła, że pięknie pisze. Może i pięknie, ale jego wielostronicowe dygresje i odbieganie od głównego wątku sprawiają, że przestają już rozumieć - kto? kiedy? z kim? i dlaczego?

Niedziela, 16

Pakowanie Tosi na pięciodniową wycieczkę. Czytam kartkę ze spisem wymaganego wyposażenia. Po dwie podkoszulki na jeden dzień, sweter, polar, dwie pary spodni, dwie pary butów, klapki pod prysznic, gruba peleryna przeciwdeszczowa, czapka, szalik, rękawiczki. Upycham wszystko. Plecak ledwo się dopina. Wyrzucam ciuchy na podłogę. Z czegoś trzeba zrezygnować. Może z ciepłej bluzy? Tak, polar i sweter powinny wystarczyć.

- Tosiu, chodź tutaj i zobacz, gdzie ci pakuję kaptcie!

- Tak, tak... - Tosia z ociąganiem podnosi wzrok znad rysunku, nad którym pracuje, i nieuważnie zerka w kierunku plecaka.

- Popatrz, w tej kieszeni masz legitymację, a w tej przybory do mycia.

- Dobrze, mamusiu, dobrze - pobłażliwie macha ręką.

Złoszczę się. Sama jestem sobie winna. Powinnam to pakowanie zostawić na jej głowie, ale boję się, że czegoś zapomni, że weźmie nie dość ciepłych rzeczy.

Popołudnie. Jedziemy do mojego brata, Wojtka. Obrośnięty bluszczem mały domek jest prawie niewidoczny spoza drzew. Magda (bratowa) ma jakiś artystyczno-praktyczny zmysł, który sprawia, że niewielkie wnętrze wydaje się przestronne i przytulne zarazem. W kuchni dużo niebieskiego - jej ulubiony kolor. Na ścianach rodzinne zdjęcia. A my ciągle nie potrafimy się zmobilizować, żeby zrobić taką wystawę. Ileż razy mówiliśmy sobie z Franciszkiem, że trzeba by powybierać najładniejsze zdjęcia, powiększyć i powiesić w antyramach? Na rozmowach się skończyło. Taki bezwład w realizowaniu niektórych zamierzeń to nasza małżeńska wada. Ona sprawia na przykład, że od ponad roku nie został naprawiony

uchwyt do szuflady z bielizną i że przy każdym odkurzeniu latają luzem źle podklejone listwy przypodłogowe.

Siedzimy w pokoju, popijamy herbatę, Magda robi sweter na drutach. Zazdroszczę jej energii życiowej i pasji, z którą wykonuje wszystkie codzienne czynności. Bierność to cecha, która jest jej obca. Magda świetnie się orientuje, co jej dzieci mają w szkole zadawane i co było na klasówce. (Ja często nawet nie wiem, że była klasówka). Lubi gotować, piec i robić przetwory (ja rzadko). Jej spiżarnia zastawiona jest słoikami z zapasami aż po sam sufit (moja nie aż tak). A przy tym odnawia i przemaalowuje ściany i meble (ja nie), od niedawna pracuje zawodowo (ja nie) i czyta, czyta, czyta (ja tak). Zapomniałam, że ponadto jeździ z dziećmi na basen i na treningi jakiejś wschodniej sztuki walki (ja nie). Zazdroszczę takim energetycznym kobietom.

Odjeżdżamy obdarowani słoikami z sokiem porzeczkowym. Tosia wiezie pożyczone od kuzynów komiksy z kaczorem Donaldem.

Wieczór. Franciszek skonfiskował komiksy, bo Tosia tak się zaczytała, że nie zeszła na kolację i nie wyszykowała do spania. A przecież jutro jedzie na wycieczkę i musi wstać o szóstej.

Poniedziałek, 17

Chłodne dni. Wiatr z północy. Franciszek obawia się, że lada chwila nadejdą przymrozki. Zamówił sobie dzisiaj ciasto. Najlepiej z jakąś polewą. Rzeczywiście, przydałoby się coś słodkiego. Na przykład ciasto kisielkowe. Przepis pochodzi z poźółklej i zatłuszczonej książki Ireny Gumowskiej **Obiad w półgodziny**. Tytuł bardzo zwodniczy, bo owo pół godziny, które rzekomo ma zająć przygotowywanie posiłku, poprzedzone jest bardziej czasochłonnymi czynnościami przygotowawczymi, jakie należy wykonać wieczorem dnia poprzedniego. Niemniej jednak, mam sympatię do tej książeczki. Przypomina mi początki małżeństwa, kiedy zmagalam się z twórczym gotowaniem. Uczylam się piec ciasta i mięsa. Robiłam

skomplikowane dania, których smak nie dorównywał nakładowi pracy.

Otwieram szufladę ze zbiorem kulinarnych czasopism. Zdjęcia wyglądają przepysznie. Czytam przepisy. Do niczego! Zawsze wsadzą coś takiego, czego nie ma w naszym najbliższym sklepiku. Jakiś kosztowny luksusik - a to marcepan w kostce, a to serek ma-scarpone. W dodatku prawie każde ciasto każą posypywać płatkami migdałowymi. Nakupiłam ich sobie kiedyś pokaźny zapas, żeby mieć pod ręką. W czasie wakacji namnożyły się w nich kuchenne mole i wszystko trzeba było wyrzucić.

Majka zaczyna smakować uroki pisania i zapelnia kartki tekstami o treści: WMWW HA N WMM NNA. Każe mi je głośno odczytywać. A kiedy to robię, wybucha zaraźliwym śmiechem. (Wystarczą dwie minuty takiego śmiechu, a już wszyscy, którzy go słyszą, dostają napadu wesołości). Wymyśliła też jakąś grę dla siebie i Duszki. Wyniki zapisuje na różowych karteluzkach. REMIZ albo DUZSKA WYGRAŁA.

Tosia wyjechała. Franciszek zobowiązał się zrobić zmywanie, które na nią przypadło. Dzięki, dzięki, dzięki! Mnie i tak czeka jeszcze dzisiaj długie stanie w kuchni, bo muszę zrobić pierś indyka. Usmażę kilkanaście kotletów, potem zamrozę i będę miała „obiad w pół godziny”.

Wieczór.

- Dzieci, sprzątajcie już! Zaraz kolacja! Duszka do kąpieli!

- Ale ja nie chcę pselywać zabawy, słysys? - Duszka wybucha płaczem. - Ja sobie wymyśliłam, że będę to układać telaz! (chodzi o mozaikę z mnóstwem maleńkich elementów).

- Nie chcesz przerywać i jest ci przykro - mówię współczująco

I jednocześnie błyskawicznie wyluskuję małą z ubrań.

Wanna, mycie głowy - to odwraca uwagę, ale kiedy zabieram się za wycieranie gołego ciała ręcznikiem, w błękitnych oczętach błyska złość.

- Nie lubię pselywać! Nie lozumies?! To ja decyduję o swoich zecach!

Brawo! Odwołała się do obowiązującej u nas zasady, że właściciel

decyduje o tym, co do niego należy.

- To prawda, ty decydujesz o swoich rzeczach, a ja decyduję, kiedy moje dzieci mają iść spać.

Zaniemówiła, więc kontynuuję:

- A jutro, kiedy się obudzisz, to... po cichutku, po kryjomu wyskoczyła Duszka z łóżka... i wyjmiesz układankę. Zamiast przychodzić do mojego łóżka, będziesz się nią bawić.

Argumenty chyba trafiły.

Przy kolacji podsuwa mi krzesło i mówi życzliwie:

- To dla ciebie zonulko.

Wtorek, 18

Ścinam piękne, bordowe tytonie. Układam bukiet na biurko Franciszka. Wchodzę na górę z wazonem pełnym kwiatów.

- Nie chcę, żebyś stawiała tam kwiaty - marudzi drepcząca za mną Duszka. Nie podoba jej się, że zajmuję się bukietem, a nie nią.

- Zobacz, jakie piękne tytonie - mówię. - Tacie będzie miło.

- Nie tseba stawiać kwiatów dla taty, bo on nie patsy na kwiaty, tylko w komputer.

Rozbawiło mnie to zdanie, ale myślę sobie, że Franciszek na pewno zauważy upiększający akcent w swoim pokoju. Kilka godzin później zaglądam do niego.

- Podoba ci się bukiet?

- Tak, jest rewelacyjny.

- A Duszka powiedziała, że nie warto stawiać ci kwiatów, bo na nie nie patrzysz, tylko w komputer.

- Na kwiaty patrzę w przerwach.

Zamykam drzwi zadowolona z siebie. Jestem dziś Bardzo Dobrą Żoną. W tym momencie mój nieskazitelnie uczciwy mąż wysuwa głowę z pokoju:

- Prawdę mówiąc, Duszka miała rację. Zauważyłem bukiet dopiero wtedy, gdy o niego zapytałaś.

Gratulacje, moja mała kobietko! Jak na swój wiek, masz całkiem nieźle rozwiniętą wiedzę na temat różnic psychoseksualnych.

Wieczór. Franciszek chce, żebym zadzwoniła do Murzasichla, do Tosi. Trochę mi głupio. Nie chcę uchodzić za nadopiekuńczą matkę. Z drugiej strony, inne dzieci, zaopatrzone w telefony komórkowe, mogą bez przeszkód kontaktować się z rodzicami. (Nasza rodzina wciąż funkcjonuje bez tego oprzyrządowania. W takiej sytuacji jak dzisiejsza, komórka byłaby przydatna, ale co za niewola być zmuszonym w każdej chwili reagować na elektroniczną melodyjkę!). Dzwonię więc do gospodarzy pensjonatu. Akurat trwa dyskoteka. Czekam ze słuchawką przy uchu, coraz bardziej zła na Franciszka.

- Halo? - miły głosik Tosi.

- Cześć kochanie, tu mama. Jak ci tam jest? - nie umiem rozmawiać z dziećmi przez telefon. Czuję się wtedy bardzo sztucznie.

- Fajnie, ale zimno, pada śnieg. I wiesz mammo, zaczęły się kradzieże, bo Magda zauważyła w koszu papierki od swoich cukierków, a tylko ona ma takie. A z kolei Ania powiedziała, że zniknęły jej trzy tik-taki. Więc ja weszłam pod łóżko i patrzyłam, czy ktoś nie nadchodzi...

Moja córka nie ma problemów z mówieniem. Z ożywieniem ciągnie opowieść. Usiłuję się koncentrować na szczegółach śledztwa w sprawie pożeracza cukierków, ale moja uwaga ulega licznym rozproszeniom. Nagle - bolesny skurcz matczynego serca, bo:

-... i wiesz mamusiu, coś się stało z moją czapką. Chyba zostawiłam ją w pociągu.

A tam śnieg i wiatr. Kurtka ciepła, ale bez kaptura. Franciszek zabiera mi słuchawkę:

- Koniecznie kup sobie czapkę! Przy wejściach do doliny są zawsze

stragany!

Martwię się nadal, że jej nie starczy pieniędzy, że jakaś przekupka wciśnie jej byle co, że na pewno już się zdążyła przeziębnić, że wróci z gorączką itp...

Środa, 19

Wieczór. Dzwonek do furtki. Akwizytor. Młody chłopak, szczerza, pogodna twarz.

- Prezenty dla dziewięciu uśmiechniętych mieszkańców ulicy! Za dwa tygodnie w Tesco będzie promocja sprzętu rehabilitacyjnego, a już dziś, tutaj, ten sam sprzęt za darmo!

I chłopak wręcza mi aparat do mierzenia ciśnienia, przyrząd do masażu kręgosłupa i jeszcze zestaw wkładek ortopedycznych.

- Pewnie pani widziała już reklamy tego wszystkiego w telewizji?

- Nie mam telewizji.

Mężczyzna na chwilę traci oddech, a tym samym następuje przerwa w słowotoku.

- Jak to, nie ogląda pani w ogóle telewizji??? - nie mieści mu się w głowie, że ktoś taki może istnieć.

- I jestem szczęśliwa z tego powodu.

- No tak, no tak - powoli odzyskuje równowagę i wraca do swojej roli.

- A więc, jak już mówiłem, te wspaniałe produkty są dla pani. A ponieważ jesteśmy na praktyce i staramy się o zatrudnienie na stoiskach firmy, więc proszę się tu podpisać. No i oczywiście jakieś koszty jednak trzeba ponieść, ale za to wszystko płaci pani jedynie 199 złotych.

Doczekałam się w końcu momentu, kiedy akwizytor zmuszony jest ujawnić, że prezent wcale nie jest prezentem.

- A, to dziękuję - mówię. - Nie będę kupować czegoś, co nie jest mi potrzebne.

Wkładam w jego ręce wkładki ortopedyczne, przyrząd do masażu

kręgosłupa i aparat do mierzenia ciśnienia.

- Ale w przyszłości coś z tego może się pani przydać - głos akwizytora brzmi żałośnie. - Może na prezenty dla rodziców...

- Nie, dziękuję bardzo - jestem spokojna i uprzejma. Chłopak rozczarowany pakuje „prezenty” do torby. Fachowo wyszkolony, żegna się uprzejmie, mówiąc, że miło mu było poznać kogoś, kto nie ogląda telewizji.

Nie wierzę, że jest mu miło. Przez całą rozmowę miał nadzieję, że dam się namówić na te zdrowotne gadżety. A ja okazałam się zupełnie niewrażliwa na kuszące argumenty. Szkoda mi go. Ciężko być akwizytorem. Tryskać radością i optymizmem, wejść w bliższy kontakt z klientem (wstępne pytanie o imię i od tego momentu już zwraca się do mnie per „pani Kamilo” - prościutka technika), omamić go słowami: „prezent”, „okazja”, „promocja”, a potem mimochodem rzucić cenę, podkreślając, jak znacznie jest (rzekomo) niższa od ceny w sklepie.

Kiedyś wściekałam się na akwizytorów. Że są bezczelni, że zabierają czas, że kręcą. Teraz czuję tylko litość. No cóż, oni po prostu starają się zarobić na życie. Wytresowani biedacy.

Czwartek, 20

Duszka wręcza mi zarysowaną kartkę.

- To dla ciebie.

- Dziękuję! - mówię entuzjastycznie. - Ile tu dziewczynek! A jedna trzyma nawet cukierki w buzi! - odkładam rysunek na biurko, gdzie leży już okazały stosik podobnych dzieł.

- Wies co, pooglądaj sobie - mówi życzliwie Duszka, uznawszy, że czas mojego skupienia nad rysunkiem był zdecydowanie za krótki.

Trzaśnięcie drzwiami. Jona wróciła ze szkoły. Rozpromieniona.

- Fajnie było tak wracać samej - mówi.

Widać, jak głęboko przeżywa radość z wolności i samodzielności. Pozwoliłabym jej wracać zaraz po lekcjach i nie czekać w świetlicy, aż

Majka skończy lekcje i aż zabiorę je obie do domu. Franciszek nie zgadza się na te samotne powroty, bo Jona jest za mała, bo piraci drogowi itp. Ale nasza druga córka jest bardzo rozważna i ostrożna. I... och, Franciszku, gdybyś tylko zobaczył tę buzię promieniejącą szczęściem!

- Wiesz mammo, przez długi czas leciał nade mną kolorowy motylek. A przy tym domu, który ciągle się buduje, stała ciężarówka i tak smrodziła, że musiałam iść tyłem, z zatkanym nosem - śmieje się, ukazując wielkie, stałe jedyńki, nieproporcjonalnie duże do jej drobnej buzi.

Teraz Franciszek dowiózł ze szkoły Majkę, która już z daleka powiewa ku mnie kartką formatu A4. O nie! Znowu się zaczyna! Upierne wierszyki, których zerówkowe dzieci muszą uczyć się na pamięć. Po raz trzeci będę w kółko czytać historyjkę o Olku, który dostał osiołka na imieniny (dzieci poznają właśnie literkę O). Jona na szczęście uczyła się sama, ale co wyprawiała Tosia... Kładła się na tapczanie i wymachiwała nogami, robiła dziwne wygibasy, nie chciała powtarzać kolejnych wersetów, wybuchwała płaczem itp. Doprowadzała mnie do granic nerwowej wytrzymałości.

No nic, trzeba brać byka za rogi. Wołam Majkę.

- „Olkowi kiedyś ktoś z rodziny”... - zaczynam.

- „Olkowi kiedyś ktoś z rodziny” - powtarza Majka. Brniemy przez pierwszą zwrotkę. Jakoś idzie. Druga jest trudniejsza.

- „gdzie zielsko bujnie się rozrasta...” - czytam.

- Jestem dużą Kasią - wtrąca się Duszka.

- No powtórz, „gdzie zielsko...”

- „... gdzie zielsko bujnie się rozrasta” - mamrocze niechętnie Majka.

- Jestem Kasią, ale dużą - informuje mnie ponownie Duszka, wpychając się przed Majkę.

- Kasie siedzą cicho i nie przeszkadzają - mówię zirytowana. - Albo uczą się wierszyków. Jak teraz się nauczysz, to w zerówce będziesz już

miała z głowy. (I ja też).

Wracam do głównego wątku:

- „gdzie zielsko bujnie się...”

- Jestem Kasią, jestem dużą Kasią.

- Tak, jesteś dużą Kasią. No, Majka, powtarzamy od początku drugą zwrotkę: „Od razu ostu mu nazbieram...”.

- „Od razu ostu mu nazbieram...” - Majka leży na tapczanie i macha w powietrzu nogami.

Franciszek: Gdybym miał taki płaszcz, który sprawia, że jest się niewidzialnym, to założyłbym go i mógłbym stać w twoim pokoju i patrzeć, jak piszesz.

Ja: Gdybym miała taki płaszcz, to założyłabym go, weszłabym cicho do jakiegoś pokoju i nikt nie mógłby mnie znaleźć.

Piątek, 21

Duszka zrzuciła Majce kredki ze stołu.

- Pozbieraj mi je! - krzyczy Majka.

- Nie moogę - mówi przeciągle Duszka - bo jestem w złym stanie.

Majka wybucha śmiechem.

Jona leży na tapczanie. Skończyła czytać Księżniczkę i koboldy i teraz nie wie, co ze sobą zrobić. Trochę marudzi i zdaje mi sprawę z różnych swoich dolegliwości.

- Wiesz, mamusiu - mówi - kiedy mam coś ciekawego do robienia, to odkładam złe samopoczucie na inny dzień. A teraz mi się nudzi i czuję się gorzej. Przed chwilą coś mnie zakłuło w nodze.

Haftuję makatkę i nie mogę patrzeć na nudzące się dziecko.

- Może porobiłabyś na szydelku ten kapelusz dla Barbie, który zaczęłaś zeszłej zimy?

Jona patrzy w sufit, zastanawia się, w końcu idzie po niedokończoną robótkę. Co ja narobiłam! Teraz się dopiero zacznie: „Mamusiu, jak to

zrobić? Ale ja nie wiem, co dalej. Nie udaje mi się...”. Na koniec łyzy. W każdym razie, nierozważną propozycją skasowałam sobie możliwość spokojnego zajmowania się haftem.

A jednak się myliłam. Po krótkim przypomnieniu podstawowej techniki robienia półsłupków, Jona samodzielnie posuwa się okrażenie za okrażeniem.

Za to Majce trzeba pomóc w odrobieniu lekcji. Nie była dziś w szkole z powodu szczepienia i ma koszmarną ilość zadań do uzupełnienia.

- Co mam zrobić w tym ćwiczeniu?**
- Narysować owoce i warzywa w słoikach.**
- Ale ja nie umiem jablek, gruszek i buraków...**

Wycinam jej z tekturki szablon. Może nie powinnam, ale szkoda mi dziecka. Nie mogę patrzeć na te nabrzmiałe łzami oczy.

- Nie umiem dokończyć tego muru.**

Wykropkowuję zarysy kamieni. Wystarczy tylko połączyć kropki.

- Drugi rząddek zrobisz sama - oznajmiam stanowczo.**
- Nie umiem, ty mi zrób kropki - łyzy, czerwony nos i pełna rozżalenia mina, za którą czai się bezradność.**

Chyba przeholowałam z tą pomocą.

- Chcę, żebyś spróbowała sama.**
- Ale ja nie wiem, jak to zrobić - głos nabrzmiała pretensją. Biorę ją na kolana, przytulam i mówię coś o odwadze i samodzielności. Potem idę do ubikacji. To świetny pretekst, żeby na jakiś czas odseparować się od dziecka, nie raniąc jego uczuć. Po wyjściu z łazienki skręcam w stronę kuchni i wykonuję szereg czynności porządkowych - myję kilka talerzy, przecieram blaty, odstawiam na miejsce krzywo stojące krzesło. Dopiero po tym wszystkim zaglądam do dziecinnego pokoju. Majka coś rysuje. Zasłania ręką, żeby nie widziała. Jeszcze ze łzami w oczach, jeszcze niby to nadąsana, ale widzę, że uzupełnia brakujące części muru. Uśmiecha się**

pod nosem.

- To się nazywa odwaga - mówię, posługując się zasadami dotyczącymi pochwały opisowej. - Spróbowałaś zrobić coś, co było dla ciebie naprawdę trudne.

Wciąż jeszcze sztucznie brzmią w moich ustach takie podręcznikowe sformułowania. Widzę jednak po dzieciach, że są to właściwe słowa we właściwym momencie. Majka wygląda na zadowoloną. Muszę pracować nad tym, żeby zwiększać jej wiarę we własne siły. Wiem, że ciągle porównuje się ze starszymi siostrami, i że chciałaby je doścignąć w umiejętnościach, co oczywiście nie jest możliwe. Stąd jej częste załamania i frustracje.

Po skończeniu pracy domowej, Majka pozazdrościła Jonie szydełkowania.

- Chcę zrobić kamizelkę dla królewicza.

Naprawdę nie mam już ochoty zajmować się dzisiaj dziećmi. Z drugiej strony, jeśli chcą się nauczyć czegoś nowego, to nie należy marnować takiej okazji. Kiepsko mi wychodzą wszelkie próby instruktażu, moja mama też nie była w tym najlepsza. Za szybko traciła cierpliwość. Nie mam więc odpowiedniego wzorca. Siedzam sobie Majkę na kolanach i krok po kroku pokazuję jej, jak trzymać nitkę i nabierać na haczyk szydełka.

- Ja też chcę kamizelkę dla mojej Lózy.

- Dobrze, ale najpierw musimy z Majką skończyć plecy.

Udaje się nam dobrnąć do końca. Gdybym nie miała tysiąca planów na dzisiejszy wieczór, takie wspólne robótki z córkami miałyby swój urok.

- Jaki kolor ma mieć ta twoja kamizelka? - pytam Duszkę.

- Jaki chcesz.

Wyciągam żółtą włóczkę i grube szydełko. To nie potrwa długo.

- Nie chcę takiej żółtej, wolę łózową.

Podświadomie spodziewałam się, że nie zechce grubego, wełnianego

serdaka. Wyciągam cienki kordonek i cieńsze szydelko. Zapowiada się nieco dłuższa robota. Przymierzam kamizelkę plastikowej laleczce. Nawet nieźle to wygląda. Zarobiłam chyba na solidny odpoczynek.

- Po kolacji chcę już mieć czas dla siebie - oznajmiam dziewczynkom bardzo stanowczo.

Dziś nie mam w związku z tym wyrzutów sumienia.

Tosia już w domu. Wróciła z wycieczki cała i zdrowa. Przytulam ją z ulgą. Nie lubię, gdy dzieci wyjeżdżają. Jestem spokojniejsza, mając je w zasięgu głosu.

Wpół do dwunastej w nocy. Siedzę w łóżku i piszę. Co za rozkosz! Porównywalna z czytaniem przy jedzeniu. Nawet większa. Delektuję się nią, ponieważ nie ma Franciszka, który codziennie już o wpół do dwunastej daje mi do zrozumienia, że powinnam gasić lampkę i iść spać. Próbuję wtedy tak ustawiać światło, żeby go nie raziło, i jak najmniej szeleścić kartkami czytanej książki. Mimo to po chwili słyszę dobiegające zza pleców, mrukliwe: „Długo jeszcze będziesz czytać?” albo prowokacyjne: „O, jak fajnie, że już kończysz”, albo bezczelne: „Dobranoc, dziękuję za zgaszenie światła, dobranoc”. W kwestii późnego czytania i w ogóle późnowieczornej działalności, czuję się dyskryminowana we własnym domu. Teoretycznie mogłabym pójść do innego pokoju i czytać skulona na fotelu, ale to zupełnie coś innego niż czytanie pod wygrzaną kołderką.

Czasem marzę o osobnej sypialni, ale o tym głośno nie wspominam, bo nawet osobna kołdra jest dla Franciszka znakiem rozpadu małżeństwa. O kołdrę walczymy zresztą prawie każdej nocy, starając się zawładnąć jak największą jej połacią. W walce jestem bezwzględna, bo to mój mąż jest głównym orędownikiem wspólnego przykrycia.

Tupanie na schodach. Wbiega przerażona Tosia.

- Pająk! Mamo, wielki pająk wybiegł na podłogę!

Biorę słoik i idę na górę. Pająk jest. Duży i niemrawy. Próbuję go

zgarnąć do słoja kawałkiem papieru, ale spryciarz ucieka pod szafkę. Tosia w płacz. Długie przytulanie i głaskanie, zanim zejść na dół. A swoją drogą, skoro widziała pająka, to musiała mieć do tej pory zapalone światło. W przeciwnym razie wcale by go nie zauważyła. Powinnam się rozzłościć, ale pająk był dostateczną karą.

Sobota, 22

Wyjeżdżając, Franciszek powiedział:

- Tak sobie ustaw dzieci i zajęcia domowe, żebyś mogła pisać. Sobota jest dniem, kiedy zamykam się ze swoją powieścią w pokoju na górze i mam święty czas pracy. Nie jest jednak łatwo, mój drogi mężu, „ustawić dzieci i zajęcia domowe”. Po pierwsze, będą dziś u nas wieczorem goście, więc muszę pójść do sklepu po pieczywo.

- Dzieci, wychodzę po zakupy!

- Ja z tobą idę.

- Duszko, idę tylko na chwilkę i zaraz wrócę.

- Ja też z tobą załaz włóce. Nie mogę zostać sama z dziewczynami, bo będę płakała.

Wlepiają się we mnie błękitne oczęta, których lazur pogłębia się jeszcze przy sukience w biało-niebieską kratę. Ufne, pełne nadziei spojrzenie. Wzdycham. No dobrze.

Na dworze słońce. Duszka podskakuje radośnie, ściskając mnie za rękę.

- Tak sobie idziemy lazem do sklepu, a liście spadają - nieświadomie tworzy poezję haiku.

Szczęście dziecka jest bezbrzeżne. Ja też troszeczkę się rozluźniam i zaczyna mnie cieszyć wspólny spacer. Kupujemy herbatniki.

- To będą dla mnie herbatniki.

- Dla wszystkich dzieci.

- Dobrze, ale ja będę częstować. I powiem dziewczynom: A kuku, mam

helbatniki.

Po raz pierwszy to ona wystąpi w roli szafarza dóbr, a nie któraś ze starszych siostr. Po wejściu do domu od razu obwieszcza dumnie:

- Jona, kupiłam helbatniki. I was pocęstuję.

Twardawe ciasteczka smakują najlepiej po rozmoczeniu w herbacie. Na prośbę dzieci parzę więc herbatę karmelową i nalewam każdej po pół kubka.

W sionce stoi nierozpakowany plecak Tosi. Fuu... co za smród - to mokre rzeczy przetrzymane za długo w torebce foliowej. Po łazience rozprzestrzenia się fetor gnijących szmat. Natychmiast nastawiam pranie. Z podręcznego plecaczka wydobywam rozgniecionego banana i rozplaskane resztki suchego prowiantu sprzed nie wiadomo ilu dni. Plecaczek kwalifikuje się do prania.

Do łazienki wchodzi Majka.

- Mamo, jak się obudziłam, to powtarzałam sobie wierszyk i chyba umiem już cały. Posłuchaj.

Słucham. Majka zaczyna: „Olkowi kiedyś ktoś z rodziny osiołka kupił na imieniny...”.

Pralka wiruje. Za piętnaście minut trzeba będzie powiesić pranie i nastawić kolejne, żeby pozbyć się ohydneho odoru.

Tak, mój drogi mężu, wygląda „ustawianie dzieci i zajęć domowych”.

Niedziela, 23

Popołudnie. Franciszek śpi zmęczony po wczorajszym zebraniu, które przeciągnęło się do dwunastej w nocy. Schroniłam się w pokoju na górze. Dopiero od dwóch lat mam swoje miejsce do pracy, gdzie mogę się zamknąć i pisać. Wcześniej, przed rozbudową domu (dobudowanie piętra), wszyscy tłoczyliśmy się na dole i nie było mowy o jakiejś prywatnej przestrzeni. Ciepły krąg lampy. Poczytam sobie w spokoju Pierrea Daninosa.

- Mamo! Gdzie jesteś!? - słyszę głos Duszki, tupanie na schodach i

placz. To na pewno dlatego, że nie ma mnie tam, gdzie zawsze - na wiklinowym fotelu w sypialni.

- Tu jestem, na górze! - odkrzykuję.

- Chcę jeść - oznajmia Duszka i dodaje - nie mozes być na górze zamknięta! Nie mozes mieć zamkniętych drzwi, bo wtedy nie wiem, gdzie jesteś.

Duszka złamała sobie ząb - górną jedynekę, która i tak od roku była już martwa. Nawet jej nie bolało, ale uczucie pustki tam, gdzie dotychczas coś było, niepokoi i frustruje.

- Ja chcę mieć tego zęba! - lamentuje. - Nie chcę, żeby był taki wypadnięty.

Pozostałe dzieci stoją w krąg przejęte. Jona ma łzy w oczach. Porusza mnie widok autentycznego siostrzanego współczucia.

Niosę małą do łóżeczka i opowiadam jej bajkę „O dziecku, które chodziło samo po lesie”.

- Dwa razy!

- Dobrze, opowiem dwa razy.

Trudno mi się skupić na snuciu opowieści, bo Franciszek właśnie włączył radio, żeby się dowiedzieć, jaki jest wynik wyborów.

Poniedziałek, 24

- Nie zaczepiaj mnie! No nie zaczepiaj!

Haftuję makatkę i próbuję ignorować dochodzące z dziecinnej sypialni dźwięki. Wrzask jest jednak tak przenikliwy, że w końcu nie wytrzymuję.

- Majka! Przestań ją zaczepiać! - krzyczę ze swojego pokoju.

- Ale ja jej nie zaczepiam!

- Ale wrzeszczy! Jak nie potraficie się dogadać, to przestańcie się razem bawić!

- Ale ja się z nią nie bawię.

Nie chce mi się wstawać z fotela i sprawdzać, jak wygląda sytuacja. Na szczęście Duszka milknie. Moja interwencja nie była więc bezowocna.

Po jakichś pięciu minutach najmłodsze dziecko zjawia się z plikiem zarysowanych kartek. Trochę to potrwa, zanim wszystkie obejrzą. Duszka oczekuje wnikliwego komentarza.

- O, jakie te dziewczyny mają długie kucyki - mówię, wpatrując się w rysunek. - A tamte to nawet stoją na włosach swojej koleżanki.

- Tak, a ona wtedy wzeszy: „Nie zacepiał mnie! Nie zacepiał!” A ja miałam pretensje do Bogu ducha winnej Majki! Powinnam była jednak wtedy podnieść się z fotela. Z drugiej strony, dzięki temu, że nie zajrzałam do sypialni dzieci, mam teraz świetną anegdotkę do opowiadania innym matkom.

Tosia ma zaczerwienione spojówki. Muszę jej zrobić kompresy z herbaty. Zanim zagotuje się woda, pogram sobie na pianinie. Rozkładam nuty. Poćwiczę Błazny Kabalewskiego.

- Chcę malować falbami - to Duszka.

Nie zdążyłam nawet zagrać pierwszego taktu!

- To sprzątnij ze stołu zabawki - mówię, nie podnosząc wzroku znad klawiatury.

- Ale ja chcę w kuchni. Lepiej mi się maluje w kuchni. Wstaję z ciężkim (ale niesłyszalnym) westchnieniem. Zdejmuję obrus, przynoszę farby, pędzelek i wodę. Siadam do pianina.

- Mamo, nie wiem, jak się rysuje truskawkę - to Majka.

- Tosia czeka, żebyś jej dała kompres na oczy - to Franciszek. Robię kompres, wyjaśniam truskawkę. Siadam do pianina.

Udaje mi się zagrać dwie linijki.

- Już skończyłam, teraz chcę malować w książecce.

Gdyby twarz odzwierciedlała w pełni klębiące się we wnętrzu uczucia, to dziecko, przerażone, uciekłoby z pokoju. Ale na twarzy maska

cierpliwiej matki. (Dwanaście Oskarów za trzecioplanową rolę kobiecą). W zapelnionej papierami dziecięcej szufladzie szukam książeczki do malowania wodą. Jest. Płuczę pędzelek po farbach, do kubeczka nalewam świeżą wodę. Siadam do pianina.

- Jak się rysuje jabłko? - to Majka.

Pochyliam się nad nią i pomagam. Siadam do pianina. Udało się zagrać trzy linijki. Wchodzi Duszka.

- Juz mozes umyć pędzelek.

W jednej ręce trzyma pędzel, w drugiej kubeczek, przechylony tak, że woda lada moment się wyleje. Chwytam go w ostatniej chwili. Idę do łazienki. Myję pędzelek. Siadam do pianina.

- Ale ja jestem głodna - ociera się o mnie z przymilnym uśmiechem Duszka.

Wtorek, 25

To jeden z tych dni. Co chwila przetaczają się przeze mnie fale irytacji. Najniewinniejsze pytanie dziecka doprowadza mnie do szału. Myję naczynia, prowadząc w myślach zajadłe dialogi z Franciszkiem. Ich tematem jest oczywiście niesprawiedliwy podział ról w naszym domu i to, że ostatnio głównie ja, jak ta wyrobница, sterczę nad zlewem, i że dla mnie został garnek po zupie, garnek po cieście naleśnikowym i sitko z resztkami ryżu.

- Jestem głodna - jęczy Duszka.

- Niedługo będzie obiad! - mój głos brzmi jak zgrzytanie noża po szkle.

- Ale ja telaz jestem głodna!

Daję jej na odczepnego plasterek żółtego sera, który kroję właśnie do pizzy. Wchodzi Tosia.

- Robisz pizzę! - cieszy się. - Może ci pomóc? Nie! Nie! Nie! Chcę być sama!

- Dobrze, jeśli chcesz, to pokrój kielbasę i resztkę salami. Bardzo znamienna jest ta rozbieżność między tym, co czuję, a tym, co wychodzi z moich ust. Nie potrafię porzucić munduru dobrej matki, mimo że tak jak dziś, zostały z niego tylko strzępy.

- A którym nożem?

Tyle razy kroїła coś na sałatkę albo do kanapek i naprawdę powinna sobie zapamiętać, które noże do tego służą. Ale nie, pyta za każdym razem. A dziś szczególnie nie powinna tego robić. Jestem tak rozdrażniona, że mam ochotę schować się w pokoju i płakać. Nie chcę wrzeszczeć. Ubieram więc głos w maskę znużenia:

- Tosiu, nie pytaj, wiesz przecież. Możesz na przykład wziąć ten z niebieską rączką.

Tosia kroi i coś wesoło opowiada. Nie potrafię się dostroić do jej pogodnego nastroju. Muszę się bardzo pilnować, żeby nie stracić kontroli nad emocjami i nie wybuchnąć.

Pakuje pizzę do piekarnika i idę do pokoju. Spróbuję jakoś się odrestaurować przez najbliższe dwadzieścia minut (tyle piecze się pizza). Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiają się dzieci: Majka, Duszka i Jona. Z odpowiednią dozą wesołych pisków przewalają się po tapczanie. Duszka zaczyna jęczeć, że Majka zabiera jej poduszkę. Każę im wyjść z pokoju. Patrzą na mnie jak nic nierozumiejące cielęta. Nie wychodzą, ale milkną na chwilę. Jednak gdy tylko zaczynam czytać, klótnia o poduszkę zaczyna się na nowo. Zabieram przedmiot sporu.

Jona biegnie do kuchni i zagląda do piekarnika.

- Zobaczcie, jak ser oddycha!

Majka zaciekawiona wychodzi. Duszki nie obchodzi ser. Wyje, bo chce odzyskać poduszkę.

- Możesz na niej leżeć, ale w swoim pokoju.

- U ciebie jest więcej miejscaaa...!

Och, schować się w jakimś niedostępnym zakątku świata i płakać, płakać, płakać! Albo wrzeszczeć przeraźliwie, aż wszyscy się przestraszą i pouciekają. Pogoda koresponduje z nastrojem - zasnuwane chmurami niebo i kapiący monotonnie deszcz.

Obiad gotowy. Kroję pizzę. Duszka jękliwym głosem żąda keczupu.

- Najpierw pokroję ci ten kawałek.

- Chcę teelaaz... Wchodzi Franciszek.

- Jestem w tak fatalnym nastroju - ostrzegam go - że jeszcze jeden pisk małej i wychodzę jeść do swojego pokoju.

- Lepiej idź od razu - mówi z łagodnym uśmiechem. - Pozwalam ci.

Za to: „Pozwalam ci” mam ochotę huknąć go talerzem w głowę. Oczywiście nie robię tego. Szkoda talerza, pizzy i własnego wizerunku. Wychodzę z jedzeniem i herbatą do pokoju. Stawiam wszystko na biurku. Jem i czytam smętną powieść o losach czterech przyjaciółek. Jej akcja rozgrywa się w szarym, beznadziejnym PRL-u... Można tylko jeszcze głębiej popaść w depresję.

Po jedzeniu, herbacie i dziesięciu minutach samotności czuję się nieco lepiej. Nie do końca potrafię zrozumieć, skąd biorą się te nagle, niszczące ataki złości i przygnębienia. Są przecież dni, kiedy mam dużo pracy, a mimo to nie wpadam w tak głęboki emocjonalny dół. Narasta poczucie winy, że źle traktuję dzieci, że nie potrafię być dla nich miła. Odnajduję je więc, zajęte już swoimi sprawami i przytulam po kolei Tosię, Jonę i Majkę. Duszki nie. Za bardzo mi dzisiaj zalazła za skórę. Nie mija dziesięć minut, a ona sama pakuje mi się na kolana.

- Jestem głodna.

- A zjadłaś obiad? (Wiem, że nie zjadła).

- Niecee...

- To dokończ.

- Ale... ale... ja jestem głodna na słodyce - buzia w podkówkę i lży na

koniuszkach rżęs. Spadły na policzki i toczą się w dół, wielkie jak grochy.

- Dostaniesz herbatniki, jak zjesz pizzę - mówię przez zaciśnięte zęby.

- Ale ktoś mnie musi pokalміć.

- Możesz poprosić którąś z siostr. Ja nie mam zamiaru cię karmić.

Duszka wychodzi z wielkim rykiem. Słyszę kojące głosy starszych dziewczyn. To niezaprzeczalny atut życia w rodzinie wielodzietnej. Rozlega się głośny śmiech Majki. Płaczu małej już nie słyhać. Nakarmiły ją chyba. Przychodzi do mnie umazana keczupem.

- Juz zjadłam.

Idziemy do kuchni, trzymając się za ręce.

Środa, 26

Koszmar na noc. Duszka przyszła do nas spać. Franciszek ją wynosi. Mała krzyczy okropnie: „Ja nie lubię swojego łózka!”. Leży u siebie i płacze, płacze, płacze...

- Duszka, przestań już płakać! - krzyczy Franciszek.

- Ja nie umiem klótko! Ja umiem tylko długo płakać, lozumies!?

Zaczynam się śmiać. Potem wychodzę z łózka, idę do pokoju dziecinnego i kładę się obok córeczki. Tulę ją i głaszczę, aż zasypia. Nie mam odwagi wstać, bo boję się, że najmniejszy ruch obudzi Duskę. Łózczo jest twarde, a poduszka za płaska. W końcu powolutku opuszczam dziecięcą sypialnię. Kładę się obok Franciszka. Nie mogę zasnąć. Przewracam się z boku na bok. Słyszę kroki na górze i cichy szloch... Zapala się światło na schodach. To na pewno Jona. Miałam rację. Obok naszego łózka stoi smutny, długowłosy elf.

- Boli mnie brzuch. Byłam w łazience, ale nic nie mogłam zrobić.

Bez słowa biorę ją do siebie pod kódrę. Przez chwilę masuję jej chudziusięńki brzuszek.

- Trochę lepiej? - pytam po jakichś pięciu minutach.

- Tak, pójdę do ubikacji. Jesteś kochana. Po wyjściu z łazienki woła

półgłosem:

- Już mi lepiej.

Powoli zapadam w sen. Tupot bosych stóp na podłodze. Znowu Duszka. Bez słowa kładę ją między nas.

Ranek. Majka budzi się na pierwsze piknięcie budzika. Nie płacze. Jest przejęta, bo w zerówce ma dzisiaj być fotograf. Ułożyłam jej wczoraj na krzeselku eleganckie ubranie, żeby mnie nie obudziła pytaniem, w co ma się ubrać.

- Mamo, a jakie mam włożyć rajstopy? - jednak przyszła.

- Białe, wiszą na oparciu krzesła - mruczę, chowając twarz pod poduszkę.

Wyszła. Zakrywam kołdrą uszy, żeby nie słyszeć porannej krzątany. Po nocnych wędrówkach rozpaczliwie potrzebuję jeszcze choćby kilkunastu minut snu.

- Mamo, dałaś mi koszulkę na ramiączkach, to pewnie muszę założyć jakiś sweter.

- Tak, załóż ten elegancki - odpowiadam męczeńsko-jęklwym tonem.

Z góry zbiega Jona - jeszcze w piżamie.

- Mamo, pomóż mi wybrać jakiś ładny strój. (Ona też ma fotografa).

Zwlekam się z łóżka. Nie mogę znaleźć kapci, więc idę na bosaka. Od razu ziębną mi nogi. W dużym pokoju na podłodze Franciszek robi ćwiczenia na kręgosłup. Wyjmuję z szafy granatową sukienkę dla Jony. Potem wracam do łóżka. Może chociaż jeszcze chwilka...

- Mamo, gdzie są moje białe spinki? No wiesz, te, co dostałam od babci...

Wywiadówka u Jony. Miło być mamą dobrej uczennicy. Można siedzieć w pozie zrelaksowanej i rozkoszować się świadomością, że wszelkie uwagi ogólne na temat biegania po korytarzu, kopania, popychania i wrzasków nie dotyczą mojego dziecka. Wychowawczynie oczywiście

starannie unika wymieniania nazwisk. Jedynie płeć zostaje ujawniona w sformułowaniach typu: „jeden drugiego szarpie”.

Nasze dzieci nie są wylewne, jeśli chodzi o relacje ze szkolnych wydarzeń. Jestem więc, jak zwykle, słabo zorientowana. Inne matki dyskutują, pełne oburzenia na fatalną jakość lekcji angielskiego. I opowiadają, że na angielskim panuje harmider, że dzieci skaczą po ławkach i niczego się nie uczą, że po czterech godzinach nauki prywatnej wiedzą więcej niż po roku nauki w szkole. Słucham z oczami wielkimi jak spodki.

Po powrocie z zebrania pytam moje dziecko, jak wyglądają zajęcia z angielskiego.

- Nudno. Ciągłe powtarzamy to samo, co było na poprzedniej lekcji.

- A czy to prawda, że dzieci skaczą po ławkach?

- Tak, bo pani jest łagodna i tylko krzyczy.

- A co robi, jak ktoś rozrabia?

- Wpisuje uwagę.

- I co? Te dzieci nie przejmują się uwagami?

- Nie... Mają ich tyle, że jedna więcej nie robi różnicy. Po namyśle

Jona dodaje:

- W dodatku pani ma złą wymowę.

- Pewnie mówi „grin” i „pink” - włącza się Tosia, która ma tę samą nauczycielkę. (Nazwy kolorów wypowiedziała, podkreślając polską fonetykę).

Jona potakująco kiwa głową.

Jestem zła, że dzieci tracą w szkole czas, zamiast się porządnie nauczyć języka. Dobrze, że nasze dziewczyny mają prywatne lekcje. Żal mi jednak tych innych. I rodziców, którzy nie mogą sobie pozwolić na zajęcia dodatkowe.

Czwartek, 27

Kawa u Ewy. Nasze córeczki są na zajęciach przedszkolnych,

możemy więc w spokoju pogadać. No, może nie w zupełnym spokoju, bo po podłodze pelza dziewięciomiesięczny Jaś, istota mocno absorbująca, jak wszystkie prawie dzieci na tym etapie rozwoju.

Kwadratowy kuchenny stolik, smukłe kubeczki w kwiatowe wzory, kawa z dodatkiem amaretto... Tego było mi trzeba. Roztrząsamy wspólnie macierzyńską martyrologię: znużenie ciągle tymi samymi czynnościami, niedospanie (ona), brak takiego czasu, kiedy można swobodnie decydować o tym, co będzie się robić (na przykład czytać, haftować i malować, bez obawy, że za chwilę ktoś przeszkodzi). Ewa patrzy na mnie znad kubka:

- Ty masz czwórkę dzieci i przeżyłaś. Zawsze mnie to podnosi na duchu.

Zerkam na Jasia, który wspina się po nodze od krzesła i widzę już oczyma wyobraźni, jak wywraca się do tyłu miażdżony upadającym krzesłem. Nic takiego na szczęście się nie dzieje. Nie cierpię tego wieku, kiedy dzieci zaczynają się przemieszczać po domu i wchodzić we wszystkie miejsca. Setki razy marzyłam wtedy o wielkiej siatce albo o klatce zawieszanej pod sufitem, w której miotałoby się, nie robiąc sobie krzywdy, stworzonko w wieku ponimow-lęcym. W wyobraźni można poszaleć.

Kawa wypita. Godzina minęła. Idziemy odebrać córeczki.

Na dworze słońce. Czereśnia przed domem przybrała piękną barwę starego złota.

- A może pochodzimy sobie po oglódku? - zagląda mi w oczy Duszka.

Jakie mądre dziecko! Gdyby nie jej zachęta, pewnie wzięłabym się za nastawienie prania i gotowanie obiadu. A tymczasem wachamy jedną z ostatnich róż. Jej płatki mają ciepłą, morelową barwę, a zapach przypomina pierwsze dni lata.

Szeleścimy liśćmi, wyrywamy przekwitłe aksamitki i oglądamy obsypane jaskrawymi owocami ogniki.

- Tak sobie chodzimy i chodzimy, a tu lecą liście - Duszka komentuje

świat.

Franciszek pisze coś w kuchni i macha do nas zza szyby. Jest pięknie.

Chcę sobie kupić spodnie. Normalne džinsy do chodzenia. Tylko, żeby nie spadały z tyłka i nie odsłaniały nerek i pępka.

Przechodzę wzdłuż wieszaków. Dziesiątki spodni. Jasne, ciemne, wytarte na udach, poprzecierane w smugi... O, te wyglądają nieźle - ciemny, jednolity granat bez wątpliwego gustu ozdób. Zdejmuję je z wieszaka i... jęk zawodu - biodrówki, a raczej półdupkówki. Na pewno będą ponad nimi wystawać kości biodrowe i góra majtek.

- Czy są normalne spodnie? - pytam młodą sprzedawczynię. (Ona też ma pasek gołego ciała między spodniami a kusą bluzeczką). - Chodzi mi o takie, które można zapiąć powyżej bioder.

Kręci głową.

- Niestety, sprzedają nam tylko takie - ręką zatacza szeroki łuk po oświetlonej rzęsiście przestrzeni sklepowej.

Moda to także odmiana totalitaryzmu. Choćbym chciała ubrać się inaczej, to i tak nie znajdę fasonu, który nie naśladowałby wiernie obowiązującego trendu. I gdzie tu szacunek dla wolności jednostki?

Piątek, 28

Znowu nocne przeprawy z dziećmi. Tym razem Majka jęczy przez sen i rzuca się w pościeli. Jak zwykle wybiegam na bosaka.

- Majka! Majka! Chcesz siku?

Siedzi na górnym łóżku kompletnie zaspana. Nie reaguje na moje słowa.

- Raz, dwa, trzy, cztery... - liczy przez sen.

- Majka! Boli cię coś? Chcesz do ubikacji?

Chyba chce, bo okropnie się wierci i znowu jęczy. Jest ciężka. Nie jestem w stanie sama ściągnąć jej z górnego łóżka. Ona tymczasem klęka i licząc rytmicznie, klaszcze i uderza rękami o uda! Rozumiem! Śnią jej się

zajęcia taneczne.

- Majka! - krzyczę. (Aż dziw, że przy tych hałasach Duszka śpi jak zabita).

Nareszcie przytomniej szy wzrok.

- Chcesz siku?

- Taaak!

- Przy mojej pomocy zwleka się z łóżka. Prowadzę ją do toalety. Uff... zdążyliśmy!

Smażę na obiad placki z jabłkami. To jedna z ulubionych potraw Franciszka. Boli mnie brzuch i kiepsko się czuję, ale chcę być dobrą żoną. Przez okno widzę nasz samochód. Mąż wrócił, pewnie się ucieszy, że jedzenie gotowe.

- Mogę jeść te placki? - pyta Franciszek.

Nienawidzę takich bezmyślnych pytań. A niby dla kogo je smażę? Dla króla kalifornijskiego?

- A jak myślisz? - rzucam z irytacją. Franciszek wybucha.

- To już nie mogę zadać zwykłego pytania?! Przyszedłem w dobrym nastroju, a ty na mnie krzyczysz!

To on krzyczy. Łzy napływają mi do oczu. Nie rozumiem, co się stało. Czy on naprawdę nie wie, że takie pytania, jak to, które zadał po wejściu do kuchni, strasznie mnie złością?! Przecież obiady gotuję przede wszystkim dla niego. Dzieci mogłyby się zadowolić czymkolwiek, chociażby makaronem ze śmietaną i z cukrem.

Milczenie. Ja smażę, Franciszek manifestacyjnie nie je, tylko zmywa naczynia. Duszka domaga się cukru pudru. Nikt nie reaguje. Czyżby czekali, że odejdę od patelni, żeby ją obsłużyć?

- Dajcie jej ten cukier! - krzyczę. - Jest w szafce!

Nikt się nie rusza. Duszka jęczy. Jona podnosi na mnie niewinny wzrok.

- Ale ja nie wiem, gdzie on jest...

- W szafce! - wrzeszczę jeszcze głośniejsze i wskazuję ręką drzwiczki. -

Rusz się i poszukaj.

Dawno tak nie krzyczałam. Jona pochlipuje i szuka cukru pudru. Ja leję łzy nad patelnią.

W końcu dzieci opuszczają kuchnię. Zostajemy sami. Tłumaczę Franciszkowi, jak bardzo zirytowało mnie tamto pytanie. Przecież wie, że obiad jest dla niego. On wyjaśnia, że po pierwsze, myślał, że najpierw chcę dać dzieciom, a po drugie, wie, że czułam się źle rano, więc spodziewał się, że zechcę, żeby mnie zastąpił przy smażeniu. Totalne nieporozumienie. Leję łzy do talerza.

Sobota, 29

Ranek. Mróz. Moje fuksje podmarzły, ale żyją. Muszę zabrać je do domu.

Wracam ze sklepu obładowana zakupami. Mam zamiar zrobić śmietanowy torcik na zimno, a potem zamknąć się w pokoju na górze i pisać, pisać, pisać... Franciszek właśnie opuszcza kuchnię. Informuje mnie, że ma dużo pracy, bo chce się wyrobić przed spotkaniem, które ma o drugiej. Zaraz, zaraz! Przecież sobota to miał być m ó j dzień na pracę twórczą!

Jednym rzutem oka ogarniam kuchnię, z której przed chwilą wymaszerował mój mąż. Na stole leży deska do krojenia, na niej piętka cebuli i obierki od jabłek. Od razu ogarnia mnie złość. Dlaczego on zawsze zostawia po sobie resztki jedzenia i wychodzi!?! Czy myśli, że będę po nim wiecznie sprzątać? Nic jednak nie mówię. Nie chcę takiej awantury, jak wczoraj przy obiedzie. Zamiast tego piszę dużą kartkę i kładę na obierkach:

**KIEDY WIDZĘ ZOSTAWIONE RESZTKI I OBIERKI NA STOLE,
JEST MI PRZYKRO. NIE LUBIĘ PO WAS SPRZĄTAĆ!!!!!!**

Tekst brzmi dużo łagodniej niż słowa, które cisną mi się na usta.

Jedynie zamaszystość wielkich liter i wykrzykniki na końcu zdradzają kłębiące się we mnie emocje.

Robię torcik. Trochę poprawia mi się humor, bo podczas ubijania masy mikserem czytam zaczynający się interesująco kryminał. (Tego nauczyłam się od mojej bratowej - że można jednocześnie robić ciasto i czytać). Poza tym udało mi się uniknąć zwarzenia masy. Pozostaje tylko zalać tort galaretką. Muszę poczekać, żeby bardziej stężała.

Za oknem czereśnia gubi ostatnie złote liście. Przepięknie wygląda, cała przeświecona słońcem i kołysana wiatrem. Zupełnie jak na filmach, których akcja dzieje się w Anglii, w dziewiętnastym wieku, a bohaterki w powłóczystych sukniach przechadzają się po parku pełnym starych drzew.

Wchodzi Tosia.

- Mamusiu, wyrzuciłam te obierki, tylko nie wiem, co zrobić z resztką cebuli.

AAAA!!! Kochane dziecko, to nie był list do ciebie! To twój ojciec miał zrozumieć, jaką przykrość wyrządza żonie!

- Cebulę też wyrzucić - mówię spokojnie. - Ale kartkę zostaw. Tylko się podpisz: „Zrobiłam. Tosia”.

Cóż, kolejny raz Franciszkowi się upiekło. Musiałabym chyba codziennie zostawiać mu kartki, kiedy po swojej „przekąsce” wraca do komputera, a na stole zostaje talerzyk z okruchami, majonez, deska do krojenia i umazany masłem nóż. Fatalnie się czuję w takiej zaśmieconej kuchni, więc albo sprzątam, albo uciekam.

Święto liści. Franciszek zagrabia liście na wielką stertę, a dzieci wskakują na środek i tarzają się w niej. Piski rozlegają się na pół ulicy. Ja tymczasem wnoszę do środka doniczki z pelargoniami i fuksjami. Rytuał przedzimowy.

Noc. Dzieci już w łóżkach. Siedzę w pokoju na górze i nareszcie mogę w skupieniu pisać. Tupot bosych stóp na schodach. Duszka.

- Mamo, my nie chcemy być same na dole. Chcemy, żebyś ty tam siedziała.

- Duszko, ja tu piszę.

Odchodzi ze spuszczoną głową i teatralnie pociąga nosem.

- Może wam włączyć muzykę? - wołam za nią.

- Ehem...

Schodzimy. Puszczam im płytę Blackmore's Night.

- Mamo, a nas nikt nie ukradnie? - pyta Majka, przechylając się przez poręcz górnego łóżka.

- Nie, kochanie, przecież drzwi są zamknięte.

- A czy na górze palą się światła od strony drogi?

- Tak, i u mnie, i u taty w pokoju.

- A gdyby ktoś wchodził przez furtkę, to zdążysz przybiec z góry?

Podchodzę do niej i całuję miękki, piegowaty nosek.

- Jasne, że zdążę przybiec. Przecież ja od siebie widzę każdego, kto wchodzi na nasz teren, a poza tym słyszę skrzypienie furtki. Jeśli chcesz, to zapalę lampkę w naszej sypialni, żeby się wydawało, że ktoś jest na dole.

- Bo tu przecież jest ktoś na dole - mówi poważnie Majka. - Dwie osoby.

Całuję ją raz jeszcze i wracam na górę. Tupot bosych stopek. Duszka.

- Paznokcie tseba obciąć.

Wzdycham ciężko i schodzę na dół, bo tam są nożyczki do paznokci. Obcinam małe pazurki i wychodzę z dziecinnego pokoju.

- Zapomniałaś wsadzić koldlę pod matelac!

- Oj, ta mama - kiwa głową Majka. - Ciągle zapomina. Wpycham brzeg koldry pod materac - to zabezpieczenie, żeby

Duszka nie spadła i się nie odkryła. Idę na górę. Próbuję pisać, ale nie mogę się skupić, bo za ścianą Franciszek dyskutuje z nocującym dziś u nas Michałem. Omawiają jakieś zagadnienia statystyczne.

Niedziela, 30

Siedzimy w pierwszej ławce w kościele. Cała rodzina. Tosia koło mnie. Przytula się. Zerkam na jej miłą buzię, a potem mój wzrok ześlizguje się w dół i zamieram ze zgrozy. Cały przód jasnoszarej kurtki jest potwornie wybrudzony. Rękawy prawie czarne! Nasza najstarsza córka wygląda jak kloszardka. Ludzie pomyślą, że kompletnie zaniedbuję dom i dzieci. Patrzę na nieskazitelnie czyste i odprasowane płaszcze współparafian i skręcam się ze wstydu.

Dziś zmiana czasu. Zapraszam tych panów, co to wymyślili, do Polski, na listopad i grudzień. Niech poczują, jak to jest, gdy zmrok zapada już o czwartej! Dobrze, że nie mieszkam w Skandynawii, chyba do końca marca leżałabym w łóżku z depresją.

Snuję się po domu z bólem głowy. Próbowałam się przespać, ale Duszka wyła, że chce mi pokazać swój rysunek. Matka nie może sobie pozwolić na spanie w ciągu dnia. Nie rozumiałam kiedyś, dlaczego Mama Muminka, gdy tylko miała wolną chwilę, mówiła: „To ja się teraz zdrzemnę. Obudźcie mnie, jak będzie się działo coś ciekawego”. Odkąd jestem mamą, wiem, skąd ta ciągła potrzeba snu.

Na zegarze dziesiąta wieczór, ale cały mój organizm, jeszcze nieprzestawiony na czas zimowy, sygnalizuje, że jest dużo później. Igraszki z zegarem biologicznym.

Poniedziałek, 31

Mam dziś zamiar uszyć patchworkową poduszczkę dla Majki. Maszyny do szycia używałam ostatnio w lutym, mogę się więc spodziewać niespodzianek. Jest okropnie zakurzona. Ma ze dwadzieścia pięć lat - Łucznik. W dodatku jest egzemplarzem z wadliwej serii. Na kawałku płótna próbuję pierwszych ściegów. Do licha! Na spodniej stronie materiału kłęb splątanych nici. Redukuję naprężenie - bez zmian. Wyjmuję bębenek. O! Pękła plastikowa szpuleczka. Nakładam nową, metalową. Łupnięcie w

środku. Spadł bębenek. Zakładam go po raz kolejny, kręcę regulatorem naprężenia nici.

Poszło. Patrząc na zegarek. Czynności wstępne zajęły mi pół godziny. Postanawiam się nie załamywać. Brakuje mi wprawy i biegłości w szyciu, więc zawsze mam tremę, kiedy zasiadam przy maszynie.

Franciszek wyszedł z dziewczynkami na drugą część „Święta liści”, mam więc spokój w domu. Rozkładam na tapczanie kwadraty z kolorowych tkanin. Projektowanie kompozycji to najmiłsza część pracy. Gorzej ze zszywaniem. Nigdy nie wychodzi mi to tak równo, jak na fotografiach w czasopiśmie „Patchwork”. Tkaniny też nie są tak piękne i wzorzyste jak tam. Moje torby ze ścinkami pełne są materiałów z epoki mrocznego komunizmu - fiolety, ciemne granaty, sztuczne, jadowite zieloności i resztki popielatych garsonek. Żadnych wesołych łączek czy wzorów w róże angielskie, żadnych pastelowych lekkości. Tworzę z tego, co mam. Tnę na kawałki spodenki, w których nie chciała chodzić Tosia. Są utrzymane w tonacji ostrego różu, mogą więc ożywić spłowiałe kolory epoki późnego Gierka.

Szyję i pruję. Powoli praca posuwa się naprzód. Rozochociona, łakomie patrzę na inne poduszki i już wyobrażam sobie, jakie fantastyczne poszewki można będzie na nie uszyć. Gdybym tylko jeszcze miała je gdzie wyeksponować. Nie mamy dekoracyjnych sprzętów do siedzenia. Żadnych sof i otoman. Szkoda.

LISTOPAD

Wtorek, 1

Wszystkich Świętych. Wychodzimy do kościoła. Tym razem uważnie oglądam kurtki. W sionce pełno śmieci. Wściekam się. Moja rodzinka beztrąsko hasała sobie wczoraj w opadłych liściach, potem wnieśli to wszystko do domu i nikt nie raczył posprzątać. Warczę z tej okazji na Tosię (Majka i Jona są u babci). Najchętniej nakrzyczałabym na Franciszka, ale

mogłoby się to skończyć całodniowym wrogim milczeniem i pretensjami.

Ubieram Duszkę. O nie! Jej śliczna, puchata czapeczka jest cała w liściach! Nie mogli założyć jej wczoraj czegoś mniej eleganckiego? Oczywiście, że nie. Franciszek nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Jakie to uciążliwe, że muszę wszystkiego dopilnowywać! W dodatku nikt tego nie docenia. Trzepię czapeczkę nad sedesem i mamrocę pod nosem. Duszka przygląda mi się z założonymi do tyłu rączkami.

- Capka musi być cysta - mówi przemądrzale.

Przy obiedzie przypomina się Duszcze, że nie skończyłam jej poduszki.

- Ja chcę, żebyś mi telaz uszyła.

- Dziś jest święto, nie będę rozkładać maszyny.

- Ale musis.

- Wiem, że bardzo byś chciała (punkt pierwszy - zaakceptować uczucia). Będę ją szyla jutro.

- A jak będę jechać, to co?- pyta zaczepnie. (Poduszcza, do której szyję poszewkę, ma być zabierana na różne wyjazdy - do babci, na wakacje itp.).

- Jak będziesz jechać, to poduszka będzie już gotowa.

- Ale ja chcę telaz!

- To poproś Tosię, żeby ci narysowała, jak jedziesz samochodem z poduszką.

Skutkuje. Duszka przenosi uwagę na kartkę papieru, a ja uciekam do swojego pokoju.

Wpół do piątej. Ciemno. Ni to popołudnie, ni wieczór. Muszę coś wymyślić, żeby przetrwać ten ponury listopad. Muminki po prostu zasypiały, napelniając sobie brzuchy igliwiem.

Środa, 2

Uczę się niemieckiego. Wchodzi Duszka.

- Możę ja będę twoją żoną?

- Dobrze.

- Ja będę się nazywać Julka, a ty?

- Wolfgang - rzucam pierwsze, co mi przychodzi do głowy. Usiłuję się skupić na niemieckim.

Duszka patrzy na mnie zdeorientowana.

- Mam na imię Julka - powtarza z naciskiem. - A ty?

- Fred.

- Nie, Klet.

- Dobrze, niech będzie Kret.

Na szczęście przypadająca na dziś porcja ćwiczeń z gramatyki nie jest zbyt trudna, więc rozwiązuję jedno po drugim, mimo ciąglej, dość absorbującej obecności mojej „żony”.

- Mamy ladio - oznajmia Duszka i wyśpiewuje melodię piosenki Life is life.

Trę dynię na sałatkę do obiadu. Jestem naładowana złością i pretensjami. Przypominają mi się niedawne słowa Franciszka: „Przecież ci pomagam”. Obracam w głowie to zdanie i lawina komentarzy ciśnie mi się na usta. Nie chcę, żeby mi pomagał. Chcę, żeby sprawy domu i dzieci zaliczył do swoich zadań. Niech to nie będzie tylko moją domeną, w której on łaskawie czasem mi pomoże. W tym kontekście słowo „pomagam” brzmi okropnie. Przynajmniej dzisiaj. Kiedyś mu to powiem. Albo może, i to będzie znacznie lepsze, dam do przeczytania. A jak chciałabym, żeby było? Wariant idealny: Ktoś zdecyduje się na wydanie moich bajek (na stałe wydawanie moich bajek). Zacznę zarabiać na życie pisaniem i obowiązki domowe będziemy dzielić z Franciszkiem pół na pół. Teraz, gdy on jest „jedynym żywicielem rodziny” - taki układ musi pozostać w sferze marzeń.

Poduszcзка dla Duszki skończona. Wyszła bardzo pięknie. Mogę być z siebie dumna.

Tosia ma problemy z ortografią. Muszę jej sprawdzać prace domowe.

Ani ona tego nie lubi, ani ja. Krzywi się, kiedy każę jej pokazać zeszyt.

- Przecież sprawdzałam wyrazy w słowniku.

- Wiem, ale chcę zobaczyć, jakie błędy zrobiłaś w poprzednim wypracowaniu.

(Z powodu ortografii dostała z niego dwóję).

Człapie na górę i po chwili wraca z zeszytem. Ma taką minę, jakbym robiła jej wielką krzywdę. Kartka upstrzona na czerwono. Błędy, jak błędy. Nikt też chyba wcześniej nie uczył jej stylistyki, bo moje dziecko nie wie, że nie należy używać tych samych słów w sąsiadujących ze sobą zdaniach. Zerkam na dzisiejszą pracę domową i całe szczęście, bo wszystkie czasowniki trybu przypuszczającego napisane są osobno („była bym” zamiast „byłabym” itp.) Wyjaśniam jej ogólną zasadę rządzącą pisownią tych wyrazów. Z rezygnacją patrzę na słówko „józ” - jak sprawić, żeby zapamiętała, że pisze się je przez „u”?

Czwartek, 3

Grabię liście. Jest ciepło i sucho. Słońce chodzi nisko, jego kłujące promienie rażą oczy. Grabię i grabię, a liści wcale nie ubywa. Te zaplątane w sztywnych gałązkach ogników będę musiała wyciągać rękami. Są ludzie, którzy z powodu trudów jesiennego sprzątnięcia pozbywają się liściastych drzew i sadzą mniej wymagające iglaki. Mnie też nuży to grabienie, ale gdy sobie pomyślę, jak piękna jest nasza czereśnia w maju i jaki głęboki cień daje w upalne dni stara jabłoń... macham grabiami bez słowa protestu.

U sąsiadów trawa już wyczyszczona... wylizana niemal. Pan Stefan ma manię wskrobywania najmniejszych okrawków liści nie tylko z trawnika, ale również z przylegającej do naszej siatki drogi wjazdowej. U nas dziki busz. Próbuję nie przejmować się kontrastem. Pocieszam się myślą, że nie wszyscy mieszkańcy naszej ulicy są tacy pedantyczni. Wyrywam przekwitłe tytonie i z odrazą patrzę na rojące się na liściach bluszczu mączliki. Na dzisiaj dość. Wracam do domu.

- Duszka! Zejdź z tapczanu, bo tu leżą zdjęcia!

- Nie psejmuję się - odpowiada beztrosko i skacze dalej.

Cale szczęście, że zwabiły ją odgłosy z drugiego pokoju i zeszła. W przeciwnym razie musiałabym interweniować, a na to zupełnie nie mam ochoty.

Spokój nie trwa długo. Teraz po tapczanie miętoszą się Jona z Majką.

- Auuu... Majka wyrywa mi uszy! - Jona uderza w ton skargi.

- Dzieci - wzdycham z rezygnacją - idźcie sobie wyrywać uszy gdzie indziej.

- Chcesz, żebyśmy nie miały uszu? - pyta z pretensją Jona.

- Żebyście nie miały uszu i języków do mówienia.

- Nie kochasz nas?

- Kocham.

- Nie kochasz, bo nie szanujesz naszych elementów ciała - Jona patrzy oskarżycielsko.

- Szanuję. Przecież to nie ja wam wyrywam uszy, tylko wy robicie to sobie nawzajem.

Podejmują przerwana kotłowanie, a ja haftuję literę D na poduszce Duszki. Na szczęście nie jest to zajęcie wymagające szczególnego skupienia.

Duszka bawi się, że jest małą dzidzią. Kiedy przez dłuższy czas skrzeczy: „Jestem malućkim dzidziusiem. Cie, cie, cie...”, mam ochotę ukryć się w niedostępnej wieży. Dziś na szczęście Majka gra rolę mamy, więc nie muszę się angażować w idiotyczne dialogi.

- Duszka! Nie będę się z tobą bawić, bo ciągle uciekasz! - irytuje się Majka.

- Juz nie będę.

Idą do swojego pokoju - tam urządziły sobie przedszkole.

- Musisz leżakować - rozkazuje Majka. - Trzeba się położyć i wyprostować nogi. O tak. Jak nie będziesz leżakować, to ci nie poczytam.

Chcesz, żebym ci poczytała?

- Nie.

Parskam cichutkim śmiechem.

Piątek, 4

Odkurzam. Duszka wyje.

- Nie chcę, żebyś u mnie odkuzala!

- Na razie sprzątam u siebie! - krzyczę i zamykam drzwi, żeby odgrodzić ją od hałasu odkurzacza, a siebie od dokuczliwego marudzenia.

Przy każdym dziecku były takie problemy - płacze i protesty, kiedy tylko włączałam maszynę. Miałam więc podwójny stres - zmaganie się z nielubianą czynnością i wyjącą córką. Franciszek nigdy nie potrafił tego zrozumieć, ale on jest bardziej odporny na dziecięcy płacz. Mnie taki rozpaczliwy ryk zupełnie rozbija.

W końcu jednak muszę wjechać do pokoju Duszki.

- Ja umrę, słysys? Nie mogę wytsymać tego odkuzania!

Ja też umrę i też nie mogę wytrzymać tego odkurzania tydzień w tydzień.

- Idź do taty! - przekrzykuję gwizd odkurzacza. Franciszek coś je w kuchni. Niezaangażowany w konflikt, wyluzowany, reaguje z podręcznikową poprawnością:

- Przytul się tak mocno, jak bardzo złości cię ten odkurzacz. Duszka, przytulona do Franciszka, oczywiście od razu się uspakaja, a ja błyskawicznie sprzątam jej pokój.

Obiad. Duszka prezentuje wizje dotyczące jej przyszłej rodziny.

- Będę miała tsy dzieci. Wies jak będą miały na imię? Ania, Malysia i Melodia. A mój mąż będzie Flancisek.

- Nie możesz teraz wymyślać imion dla swoich dzieci - Jona podnosi głowę znad talerza. - Musicie się umówić z mężem.

- Ale one będą Ania, Malysia i Melodia - upiera się Duszka.

- A jak będziesz miała synka? - pytam podchwytliwie.

- Będę miała same cólecki - odpowiada z niezachwianą pewnością mała. - Albo będę miała pięć dzieci i będą tak salary, salały (to znaczy szalały) i biegały, az im powypadają wszystkie spinki!

Wychodzę do ogrodu. Wycinam przekwitłe floksy, znowu wygrabiam liście. Porządki ogrodowe, w przeciwieństwie do domowych, nie wywołują we mnie fali negatywnych uczuć. Wręcz odwrotnie. Czuję, że powoli, powolutku się uspokajam. Jest ciepło. Między drzewami snują się dymy jesiennych ognisk. Liście szeleszczą przyjemnie.

- Mamo! Mamo! - jasna głowa Majki pojawia się w uchylonych drzwiach.

- Co tam?

- Duszka chce do ciebie!

- Dobrze, ubierz ją i niech wyjdzie. I to koniec błogiej samotności.

- Mamo! Nie mogę jej ubrać!

Wchodzę do sionki, zapinam Duszcze suwak i zawiązuję czapkę. Wychodzimy na dwór.

- Możę ty będziesz panią, a ja będę siostrą, któla kupuje?

Popołudnie. Franciszek pojechał z trzema starszymi dziewczynami na basen. Siadam do pianina, żeby choć przez piętnaście minut poćwiczyć.

- Nie chcę, żebyś głała.

Może rzeczywiście powinnam się z nią pobawić albo poczytać jej książeczki. Może nie powinnam tak uparcie dążyć do własnego rozwoju w różnych dziedzinach? Może... ale jednak gram. Duszka biega mi za plecami. Kończę porcję ćwiczeń.

- Chcesz teraz pograć? - pytam.

- Nie chcę.

- A ze mną? - Tak.

Sadzam ją sobie na kolanach. Jej łapki kładę na swoich dłoniach i w

ten sposób gramy razem Dla Elizy.

Wieczór. W kuchni Tosia uczy Majkę wierszyka o Małej Myszcze Małgorzatce (kolejna praca domowa z zerówki). Idzie im znacznie sprawniej niż wtedy, gdy ja gram rolę nauczycielki. Jona nawleka Duszcze koraliki. Franciszek wkleja zdjęcia do albumu. Mam chwilę spokoju. Wraca myśl, że powinnam bardziej twórczo zajmować się najmłodszą córeczką... Kiedyś, jeszcze podczas studiów, byłam przekonana, że mam zadatki na cudowną matkę. Wyobrażałam sobie, że będę całymi dniami bawić się z dziećmi, że nigdy nie będę krzyżeć ani okazywać zniecierpliwienia. W zderzeniu z rzeczywistością wszystko to okazało się mrzonką. Nie znałam siebie. I nie do końca zdawałam sobie sprawę, co to w praktyce znaczy - oprócz opiekowania się dziećmi, wypełniać przez całą dobę zadania gosposi wieloczynnościowej. Są kobiety, które to potrafią i pełne energii przechodzą od jednego zadania do drugiego. Niestety, nie zaliczam się do ich grona.

Sobota, 5

Zaczyna się dzień, jak każda sobota, pełen planów i zamierzeń. Od rana biorę się za pisanie. Mam kilka świetnych pomysłów. Robię sobie herbatę, układam na talerzyku dwa ptasie mleczka i...

- Mamo! Majka napluła na moje łóżko - to Duszka.
- To niech wytrze.
- Ale ja nie pozwalałam jej wchodzić na moje łóżko!
- To powiedz jej to. Całym zdaniem.

Duszka wychodzi. Próbuję na nowo podjąć urwany wątek dialogu, jaki toczą bohaterowie mojej powieści.

Franciszek jest na zewnątrz. Spala liście. Jak to jest, że dzieci ze skargami zawsze biegną do mnie? Kiedy on zamyka się sam na sam z komputerem, nikt nie śmie mu przerwać. Kiedy ja piszę...

- Mamo, mnie boli kolano - oznajmia pogodnie Duszka.

- Mamo, ja tylko przytknęłam buzię do jej poduszki - wyjaśnia w tym samym momencie Majka. - Wcale jej nie naplułam.

- I tak już zawsze będę chodziła - Duszka kontynuuje wątek bolącego kolana, podskakując na jednej nodze.

Wczoraj, kiedy Franciszek był w domu, a ja grabiłam liście, dzieci i tak przychodziły do mnie, nie do niego.

- Mamo, teraz jestem już głodna!

Żegnaj powieści fantastyczna o splątanej fabule! Obiad! Święty obiad dla rodziny!

Przy obiedzie:

- Mamo, a jak byłaś dzieckiem, to nazywałaś się Kamila? - Tak.

- A jak tata był dzieckiem, to nazywał się Flancisek? - Tak.

- A ja jak byłam dzieckiem, to nazywałam się Duska? - Tak.

- A jak będę dołosła, to też się będę nazywała Duska? - Tak.

- Już bym chciała być dołosła.

Niedziela, 6

Duszka chora. W nocy okropny kaszel krtaniowy i gorączka.

- Ja chcę być już zdrowa! Nie chcę tego kaslenia! - krzyczy.

- Chodź, poczytam ci książkę.

Sadowi się na moich kolanach i podaje mi Tomka Kociaka Beatrix Potter. Lubię tę książeczkę nie tyle ze względu na jej treść, ile na piękne ilustracje autorki, utrzymane w pastelowych barwach. Oglądamy wizerunki Tomka i jego kocich siostr. Duszka ostatnio domaga się ode mnie rysowania kotów. Wychodzi mi skrzyżowanie psa z pajacem o kociej głowie. Nigdy nie nauczyłam się rysować zwierząt. Zazdroszczę Jonie, która wydaje się nie mieć z tym większych problemów.

- Pójdę do dziewczyn - decyduje Duszka, zsuwając się z kolan. Sięgam po książkę, żeby sobie poczytać (John Darnton, Bliźnięta), ale mała jest już z powrotem. Widocznie zajęcia siostr nie wzbudziły jej zainteresowania.

- Jaka jest zabawa dla takiej dorosłej pani, jak ty i takiej małej dziewczynki, jak ja? - pyta, poważnie patrząc mi w oczy.

- No jaka? - ciekawa jestem, co jej się urodziło w ozdobionej warkoczykami głowinie.

- W bijackę! - śmieje się i wymachuje piąstkami. (W bijaczkę? Skąd takie słowo i skąd taki pomysł?)

- Nieee, to już lepiej w przytulankę - biorę ją na kolana, tulę do siebie i zerkam do leżącej na biurku otwartej powieści.

Duszka błyskawicznie orientuje się w sytuacji.

- Nie lubię, jak cytas - mówi surowo.

Wieczór. Franciszek krzyczy na dzieci, żeby się szykowały do spania, a one jak zwykle zwlekają. Niedzielne, mroczne, listopadowe popołudnia wprawiają mnie w jakieś otępienie. Nie wiem, co ze sobą zrobić, jestem senna i niemrawa. Boli mnie gardło i trochę głowa - w taki sposób, jakbym miała zajęte zatoki. Ach, chciałabym tak sobie prawdziwie pochorować. Trzy dni w łóżku, obłożona ciekawymi książkami i zwolniona z wszelkich obowiązków. Franciszek przynosi mi jedzenie i herbatę, a ja obdarzam go omdlewającym spojrzeniem i mówię, że nie mam apetytu. Wszyscy chodzą wokół mnie na paluszkach... Niestety, moje infekcje przechodzą zazwyczaj bez większych fanfar. Gardło boli, w nosie wierci, ale pranie, gotowanie i zmywanie dokonuje się moimi rękami... Starsze dzieci też lubią chorować. Jona wyraża to wprost:

- Wiesz mamusiu, ja lubię chorować, bo wtedy się mną zajmujesz i mi czytasz i smarujesz mnie tym pachnącym... (czyli amolem).

Poniedziałek, 7

- Jak będę dołosa i będę miała męża, to tutaj będę spała - stwierdza kategorycznie Duszka, pokazując palcem nasz tapczan.

Wygłosiwszy tę kwestię, wychodzi z miną władczyni.

Z dużego pokoju dobiegają dźwięki muzyki. Jak szybko stało się to

czymś normalnym, jak szybko spowszedniało. A przecież jeszcze cztery lata temu nie śmiałybym nawet pomarzyć o posiadaniu pianina. W mojej klasie była dziewczynka, która chodziła do szkoły muzycznej. Miała na imię Beata. Czasami, przed lekcją śpiewu, siadała do szkolnego instrumentu i grała Dla Elizy albo walca z filmu Noce i dnie. Aż drżałam z przejęcia i zachwytu. Tak bardzo chciałam być na jej miejscu! Ale nawet jej nie zazdrościłam. Posiadanie pianina wydawało mi się przywilejem bogaczy, a moja rodzina nie zaliczała się do nich. (Beata jeździła na zagraniczne wakacje i nosiła drogie ciuchy).

Kiedy byłam w liceum, kupiliśmy sobie z bratem gitarę. Była niedroga i miała twarde struny, które kaleczyły palce. Ćwiczyłam jednak wytrwale, ucząc się podstawowych chwytów i wygrywając uproszczone wersje piosenek Elżbiety Adamiak. Będąc (jak w prawie każdej dziedzinie) samoukiem, zatrzymałam się na podstawowym poziomie amatorstwa i z niezaspokojoną tęsknotą słuchałam wirtuozowskich popisów Paco de Lucii. A teraz... kto by się spodziewał - jestem bogaczką mającą na własność pianino (kupiła je dla wnuczek moja mama), a do dziewczynek przychodzi pani, żeby ich uczyć gry na tym instrumencie. Ja też, krok po kroku, przerabiam to, co one. Nie nadążam oczywiście. Zmagam się od kilku tygodni z tą samą sonatą, podczas gdy dziewczyny już dawno grają coś innego. Ale to nic. I tak mogę być z siebie dumna. Słucham dźwięków wypływających spod drobnych paluszków Jony i nachodzi mnie myśl, że cuda powszednieją bardzo szybko.

Tosia pisze w zeszycie do techniki: „Będę grzecznie siedzieć na lekcji i nie gwizdać”. Ma to przepisać dwieście razy. Nie znaczy to, że gwizdała na lekcji. Nie ona. Gwizdał ktoś, kto się nie przyznał. Ukarana została cała klasa. Tosia doszła do pozycji pięćdziesiątej piątej, kiedy Franciszek kazał jej przerwać i zrobił wpis do zeszytu:

„Ponieważ Tosia nie była osobą, która gwizdała, kazałem jej

przerwać pisanie przy zdaniu nr 55.

Z poważaniem Franciszek Wrzos”.

Jedenasta w nocy. Na dole kaszle Duszka, na górze kaszle Jona (okropny suchy kaszel, który słyhać w całym domu). Zdaje się, że w nocy będę biegać do obu. Muszę umówić się z Franciszkiem na jakieś dyżury. Sama nie dam rady.

Wtorek, 8

Szukam dla mamy przepisu na zupę z dyni. Taką prawdziwą, lekko pikantną, posypaną uprażonymi na patelni pestkami. I na pewno nie słodkawą breję, którą je się z mlekiem i za którą przepada Franciszek. Kiedyś, gdy miałam więcej samozaparcia, robiłam dwie zupy - jedną dla niego i dzieci, na słodko, drugą, tę pikantną, dla siebie. Teraz już mi się nie chce. Poza tym, Franciszek przejął całkowicie dyniowy interes, począwszy od wsadzenia ziarenek w kompost, poprzez pielęgnację i podlewanie, aż po kulinarny finał. Więc skoro tę dynię obiera, kroi i przyrządza, to nie będę kręcić nosem. Mogę jeść gorszą zupę, jeśli nie muszę jej robić.

Zajęcia taneczne. Chodzimy na nie już trzeci rok. Dziś nauka tanga argentyńskiego. Spośród wszystkich tańców, tango jest dla mnie czymś takim jak niemiecki wśród języków, które staram się opanować. I tu i tu wynik podobny. Zmagamy się z nowym zestawem kroków i figur. Franciszek myli się, przystaje, wydaje głośnie okrzyki. Wolałabym, żeby zachowywał się w sposób bardziej opanowany, ale nie będę się z nim sprzeczać, zwłaszcza przy ludziach. Byli tacy jedni, co się kłócili na każdym zajęciach. Już nie chodzą.

Środa, 9

Jestem zupełnie wyczerpana. Całą noc walczyłam z Duską, która kaszlała, płakała, a przede wszystkim kopała mnie dotkliwie. Franciszek spał na jej łóżku, a ona ze mną, żebym nie musiała co chwila do niej biegać. „U boku mamusi - myślałam sobie naiwnie - dziecko spać będzie spokojnie i

słodko”. Ha! Tak mi się wydawało. Oczywiście, na początku, kiedy ją przyniosłam, zwinęła się w kłębuszek i zadowolona wymamrotała na pół sennie:

- U ciebie jest więcej miejsca.

Uspokojona zasnęłam więc i ja. Nie na długo. Dręczona koszmarami Duszka zaczęła jęczeć i kopać mnie wściekle w brzuch, w ramię, raz nawet trafiła w głowę. Kilka epizodów takiej walki i pojawiło się znajome pulsowanie w oku, zwiastun migreny. Może jeszcze udałoby mi się jakoś wypaść nad ranem, gdyby nie to, że Franciszek zostawił na biurku nastawiony na jakąś niemożliwie wczesną godzinę budzik. Po omacku szukałam go w ciemnym pokoju. Zanim znalazłam, zdążyłam się wybudzić. Przynęłam znowu, ale Franciszek chciał się ze mną skonsultować, czy puścić do szkoły kaszlącą Majkę.

- Jak się źle czuje, to niech nie idzie - wymamrotałam półprzytomnie.

Za chwilę do pokoju wchodzi Jona:

- Mamusiu, czy mam iść do szkoły?

Czy te dzieci nie mają ojca? Czy nie mógłby sam zdecydować, bez budzenia mnie? Pozwoliłam jej zostać w domu.

Teraz snuję się półprzytomnie. Zaszycam dziury w dziecięcych ubrankach i słucham kaset „Espanol para ti”. Na obiad byle co. I nie zmywam. Przygotowuję dziewczynom galowe ubrania na akademię z okazji Święta Niepodległości. Wszystkie ruchy jak w zwolnionym tempie.

Czwartek, 10 Jona o poranku:

- Pani nas zmusza, żebyśmy robili zadania dodatkowe, chociaż są tylko dla chętnych! - naburmuszona mina i lży drżące na końcach ciemnych rzęs. - Tylko najgorsi nie muszą ich robić.

Krótką chwilą zastanowienia wystarczy, żebym zorientowała się, o co chodzi.

- Masz dzisiaj sprawdzian z matematyki?

Kiwa posępnie głową. Obejmuję jej drobne ciało i przytulam. Co więcej mogę zrobić?

- A jak ktoś nie chce jechać do teatru, to pani też go zmusza - Jona ciągnie dalej litanię skarg.

- Ty nie chcesz jechać?

- Ja chcę, ale Rafał mówił, że nie chce, a pani na to, że musi! Tak naprawdę, to wcale nie chodzi jej o teatr, tylko o klasówkę.

Z biegiem lat kody, którymi posługują się dzieci, stają się dla mnie coraz bardziej przejrzyste.

- Denerwujesz się tym sprawdzianem, prawda? Potakuje.

- Ja nawet lubię trudne zadania, ale takie, w których wiadomo, o co chodzi.

- Rzeczywiście, zadania dodatkowe są czasami dziwacznie sformułowane - zgadzam się z nią.

Zawijam dziewczynom kawałki sękacza i jabłka do szkoły. Franciszek tak się z nimi nie cacka. Tosia od razu to zauważa i komentuje:

- Mamusia jest kochana, bo nam wszystko szykuje.

Dzieci mają tę cudowną cechę, że doceniają nawet pojedynczy akt dobroci ze strony matki, która zazwyczaj, zagrzebana w pościeli, nawet ich nie widzi, kiedy o bladym świcie wychodzą do szkoły.

Popołudnie. Majka odrabia lekcje. Nie umie jeszcze samodzielnie odczytać instrukcji, więc woła mnie do każdego ćwiczenia:

- Mamo! Co ja mam tu zrobić?

- „Przeczytaj sylaby na ołówkach”- odczytuję głośno polecenie.

- Juuuz! - Duszka daje mi sygnał z łazienki, że skończyła robić kupę.

- Do widzenia! - mówi pani od angielskiego, która właśnie wychodzi.

- Do widzenia (to do pani). Już idę! (to do Duszki).

- Mamo, co na obiad? - w kuchni pojawia się wyglodniała Tosia.

- Kama, chodź, zobacz czasopismo - to Franciszek.

- Mamo, w co mam się przebrać? - pyta Majka, wciąż jeszcze ubrana w strój galowy.

Biegam od jednego do drugiego. Mam wrażenie, że przez wszystkie pomieszczenia naszego domu przepływa olbrzymi neonowy napis: MAMO! Powietrze wibruje tym jednym słowem. Potrzebuję urlopu.

Piątek, 11

Dzieci pojechały do rodziców Franciszka. Bez nich jestem kimś innym. Dokładniej rzecz ujmując, przestaję być mamą, a staję się sobą. Nie muszę nikomu dawać przykładu, więc nie odkurzam. Włączam sobie za to płytę Susan Vegi. Dzieci zazwyczaj zagłuszają muzykę i nie można niczego w spokoju posłuchać. No, chyba że są już w łózkach.

Cudowne odczucie, że rozciąga się przede mną cały dzień, podczas którego mogę robić to, na co mam ochotę. Przestaję być mamą - to jak zrzuć uniformu. Mundurek zdjęty i... znowu jestem dwudziestokilkuletnią dziewczyną pełną marzeń, pragnień i możliwości. Mogę tańczyć na środku pokoju, mogę nic nie jeść przez cały dzień, mogę malować aż do wieczora. Grająca w tle muzyka cofa mnie w czasie. To właśnie Solitude Standing nuciłam sobie, krocząc samotnie ulicami Paryża.

Czy kochająca matka może pisać takie rzeczy? Może nie kocha swoich dzieci, skoro nie tęskni za nimi ani nie odczuwa ich braku, kiedy wyjeżdżają. Kocham, a jednocześnie potrzebuję wakacji. Wakacji od dzieci, wakacji, które polegają na tym, że troszczę się tylko o siebie. Gapię się w okno, szperam w swoich starych pamiętnikach, porządkuję leniwie stosy czasopism... Kalendarzyk pełen spraw do załatwienia przesunęłam w najdalszy kąt biurka.

Sobota, 12

Kino! Od dawna wymarzone kino we dwoje. Ciężko znaleźć film, na który mielibyśmy ochotę. Szperamy po Internecie. Nic ciekawego. Przeważają thrillery i sensacja. A my lubimy komedie romantyczne.

Ogarnia mnie zniechęcenie. Bez przekonania czytam entuzjastyczne recenzje Nieustraszonych braci Grimm. Dotychczasowe doświadczenia pokazywały, że najlepsze dla nas były filmy określane przez gazetowych recenzentów jako cliwe i naiwne. Na przykład Zatańcz ze mną - przepiękny! Dlatego też bardzo pozytywne opinie krytyków dotyczące Nieustraszonych braci Grimm budzą niepokój. Nic innego jednak nie ma. Idziemy!

Nie wiem, jak określić ten film. Horror-groteska? (do prawdziwych horrorów na pewno mu daleko). Dużo obrzydliwości, strupieszalał mumia złej królowej, jakieś wstrętne robale, złowrogie kruki... Z ulgą opuszczamy kino. Nie rozumiem społeczeństwa lubującego się w tego typu rozrywkach.

Już w domu. Żeby zapomnieć o filmie, czytam Nowe przygody Mikołajka. Franciszek wybrał innego typu zajęcie terapeutyczne - przelewanie wina.

Niedziela, 13

Koniec dwudniowych wakacji. Odbieramy dzieci.

- Mama! Mamusia! - Jona przytula się do mojej nogi. Duszka wdrapuje się po mnie, jak po drzewie. Patrzę na Majkę.

Ma zupełnie przekrwione spojówki.

- No właśnie! - załamuje ręce mama Franciszka. - Wczoraj było całkiem nieźle, a dziś: Duszka kaszle, a Majka ma zapalenie spojówek. Łukasz właśnie szuka w Internecie jakiegoś lekarstwa. (Łukasz to mój teść).

- Najpierw zrobimy okład z herbaty - decyduję.

Każę się Majce położyć i przykrywam jej oczy kompresami.

- Mamo, ale siedź przy mnie!

Siedzę. Sama nie czuję się najlepiej. Jakieś klucia w plecach. Może mnie przewiało, gdy wychodziliśmy z kina. Głaszczę Majkę po głowie. Na kolanach mości się Duszka.

- Jesteś moją ukochaną mamą - mówi.

Zajeżdżamy do domu. Robię Majce kolejny okład. Boli mnie głowa. Zapada wczesny zmrok. Rozgrywamy z Franciszką niezbyt błyskotliwą partię scrabble. Ogarnia mnie ponury nastrój. Nic nie ma sensu, po co się wysilać. Jakie znaczenie ma to, że wyhaftuję makatkę czy uszyję kolejną patchworkową poduszkę? Na co przyda się uczenie języków, skoro cały czas tkwię w domu z dziećmi? Witaj, depresjo. Zagrzebuję się w pościeli z Nowymi przygodami Mikołajka.

Poniedziałek, 14

Pranie. Smażenie placków, zmywanie naczyń. Kompresy na oczy Majki. Duszka zapelnia kolejne kartki rysunkami osób o splątanych ze sobą włosach i kończynach. Ich twarze wyrażają całą gamę uczuć - od radości po oburzenie.

- To dla ciebie lysunek - mówi, kładąc arkusz A4 na moim biurku.

- Mamoo! A Majka mówi, że to jest tolt! - zapłakana Duszka podstawia mi pod nos maleńki plastikowy sedes z zestawu łazienkowego dla lalek.

Akurat rozmawiam przez telefon. Prawie zawsze, gdy siedzę ze słuchawką przy uchu, któreś z dzieci przychodzi z niecierpiącą zwłoki sprawą.

- Czyja to zabawka? - pytam krótko.

- Moja!

- Ty jesteś właścicielem i ty decydujesz o tym, czy to jest tort, czy nie.

Duszka wybiega do swojego pokoju i po chwili słyszę, jak gniewnym głosem informuje Majkę:

- Ja jestem właścicielem i ja decyduję, czy to jest tolt, czy nie!

Magia zasady dotyczącej poszanowania prywatnej własności ciągle działa. I dlatego unikamy kupowania dzieciom „wspólnych” prezentów. Klótnie o rozporządzanie dobrem wspólnym trwają znacznie dłużej i są trudne do rozstrzygnięcia.

Franciszek pracuje dziś do późna, więc na mnie spadają wszystkie znienawidzone procedury wieczorne. Nie cierpię poganiać dzieci, żeby szykowały się do spania.

- Jeżeli szybko się umyjecie i zjecie kolację, to poczytam wam Mikołajka - obietnica wieczornego czytania okazuje się zazwyczaj świetną przynętą.

Patrzę, co się dzieje. Dziewczyny popędzają się wzajemnie, przebierają Duszkę, smarują jej kanapki i nalewają picie. Mija pół godziny i już wszystkie cztery leżą w piżamach na naszym tapczanie. Po dwóch rozdziałach chrypnę. Czytanie przejmuje Tosia.

Jeszcze tylko wieczorna modlitwa i dzieci rozchodzą się do łóżek. Nie wszystkie. Duszka koniecznie chce przygotować sobie ubranie na jutro. Podaje mi noszone zaledwie jeden dzień spodnie.

- To schowaj. Jutro będę miała sukienkę.

Nie protestuję. Niechże się dziecko od małego uczy dokonywania samodzielnych wyborów. Otwiera szafkę i wyciąga grana-towo-czerwoną princeskę.

- I do tego laj stopy.

- Pasować mogą granatowe albo czerwone - informuję.

- Celwone - decyduje bez namysłu.

Starannie układa wszystko na krześle. To zaczyna być nużące. Chciałabym, żeby już się położyła, ale cierpliwie czekam, aż skończy. Pocieszam się nadzieją, że wyrabianie w dziecku samodzielności prędzej czy później okaże się korzystne i dla Duszki, i dla mnie (więcej wolnego czasu).

- Jesce mnie psytul.

Przytulam jasną główkę leżącą na patchworkowej poduszce. No, teraz mogę już pójść do kuchni. Najpierw pozmywam, a potem zrobię sobie kakao. Taki wieczór z dziećmi odbiera mi resztki sił. Myślę już tylko o tym, żeby zasiąść w fotelu i poczytać książkę.

- Mamo! Mamo! - to chyba Majka woła. Zachodzę do pokoju dzieci, ale Majka już śpi.

- To ja wołałam - informuje mnie z uśmiechem Duszka. - Bo ja nie chcę tu spać z samą Majką.

Stać mnie tylko na pełne rezygnacji: - Aha.

Wtorek, 15

Ranek. Przy moim łóżku stoi zapłakana i kaszłająca Jona.

- Zobacz - mówi Franciszek - ona też ma chyba czerwone oczy.

Kompletnie nieprzytomna siadam posłusznie w pościeli i usiłuję dokonać oceny stanu zdrowia mojej córeczki. Powieki ma zaczerwienione, ale raczej od płaczu, gardło nie takie znowu złe. Może po prostu nie chce się jej iść taki kawał drogi na piechotę.

- Pewnie wolałabyś, żeby tata was zawiózł do szkoły?

Kiwa głową, pochlipując. Nie chcę o tym mówić Franciszkowi, bo zaraz się rozzłości albo obrazi. Ostatnio nie wozi dzieci, bo ma dużo pracy.

- W dodatku - skarży się Jona - na pierwszej lekcji są tańce i trzeba się przebierać. Wtedy na pewno się przeziębę.

- No to wtedy naprawdę się rozchorujesz i będziesz sobie spokojnie leżeć w domu - pocieszam ją zupełnie szczerze. Wolę ewidentną chorobę niż takie nie wiadomo co.

Jona wróciła ze szkoły - spojówki czerwone jak u Majki. A więc wirus. Zaraziła się. Robi płacziwą minkę, ale trudno jej utrzymać ten żaloszny wyraz twarzy. Kąciki ust same podjeżdżają do góry w dyskretnym uśmiechu. Jest zadowolona. Doskonale ją rozumiem.

Schudłam! Schudłam! Schudłam! Dziś na tańcach, ubrana w czarne spodnie i czarny podkoszulek prezentowałam się wcale nie gorzej niż różne płaskobrzuche panienki. To bardzo poprawia samopoczucie. W dodatku tańczymy sambę - jeden z moich ulubionych tańców.

Franciszek namawia mnie na basen.

- To ci pomoże schudnąć jeszcze bardziej - kusi podstępnie. W końcu chyba ulegnę, chociaż nie cierpię basenów. Oto powody:

*Pływanie od brzegu do brzegu jest nudne.

Trzeba organizować opiekę dla Duszki albo brać ją ze sobą i cały czas pilnować.

Trzeba depilować okolice bikini (znoszę to jedynie latem).

Trzeba wpychać włosy pod czepek (przy moich długich to bardzo nieprzyjemne uczucie).

*Po wyjściu z wody śmierdzi się chlorem.

Pozytywy:

^Pływanie jest dobre na kręgosłup. *Chudnięcie.

*Być może lepsze samopoczucie.

Na razie, na szczęście, nie mam odpowiedniego kostiumu.

Środa, 16

- Jestem głodna - to Duszka.

- Chcesz ciasteczko? - Tak.

- To poproś Jonę - nie chce mi się wstawać z fotela, zwłaszcza że dopiero przed chwilą usiadłam.

Duszka z kolei nie ma ochoty biec do siostry.

- Kulce, splawdzę, cy sięgnę - postanawia. - Sięgnęłam! - woła triumfalnie z kuchni.

Majka i Jona siedzą na tapczanie i rozdzielają upraną bieliznę. Jest to zadanie wymagające niezłej pamięci i orientacji w intymnej garderobie rodziny. Jedynie majtki Franciszka nie budzą wątpliwości. Sortujące dziewczyny co chwila konsultują się ze sobą:

- Czyje to jest?

- Tośki.

- A to? - w skupieniu oglądają kremowe rajstopy. Mogą należeć do każdej z nich, wystarczy, że się je trochę rozciągnie.

- A to czyje majtki? - Jona podnosi kolejną sztukę bielizny.

- Moje - mówię.

- Mamo - dziwi się Majka - masz taką małą pupę?

- Tak - omal nie parskam śmiechem.

- Patrz, Majka, jakie mama ma ładne majtki.

Takie dialogi można usłyszeć tylko w rodzinie obfitującej w córki.

Dziewczyny skończyły pracę i przyszły bawić się na naszym tapczanie. Każda z nich trzyma maleńką laleczkę dzidziusia i te dzidziusie rozmawiają ze sobą. Okropnie skrzeczącymi i piskliwymi głosikami. Próbuję cierpliwie znosić szarpiące uszy dźwięki.

Przychodzi Duszka, która do tej pory spokojnie zajmowała się rysowaniem.

- Dlaczego jest już noc?

- Bo jest jesień i dni są krótkie.

- Ale ja nie chcę jeszcze spać.

- Nie musisz, możesz się bawić. To nie jest pora spania.

- To dobrze - Duszka zadowolona wymaszerowuje. Noc. Głuchy kaszel Jony dobiega z góry.

- Pić mi się chce - woła Duszka ze swojego pokoju.

Jestem okropnie zmęczona całym dniem. Boli mnie głowa i nie chce mi się wstawać. Ale jeszcze bardziej nie chce mi się wdawać w dyskusje z trzylatkiem i wychowywać go o takiej porze.

- Zaraz ci przyniosę! - odkrzykuję.

Czwartek, 17

Pierwszy śnieg. Skąpe płatki padają na ziemię i zaraz się topią. Dzieci mimo to szaleją z radości. Wydają z siebie dzikie okrzyki:

- Śnieg! Śnieg!

- To jest ten topiący czy ten nietopiący? - chce wiedzieć Majka.

- Nie wiem, zależy od tego, ile go napada i czy w nocy będzie mróz.

Wyglądamy przez kuchenne okno. Sójka skacze po gałęziach jabłoni. Przysiada na grubym konarze i próbuje rozłupać dziobem orzech. Zjawia się grubodziób i coś wyskubuje z trawy. Może to jeden z tych, które zeszłej zimy tłumnie oblegały nasz karmnik?

- Śnieg! Śnieg! - podskakuje Duszka, a razem z nią skaczą jej kucyki.
- Dlaczego tak się cieszysz z tego śniegu? - pytam.
- Bo będę z niego lobić bałwany.

Wszy! Czeszę długie, jedwabiste włosy Jony i nagle zauważam TO - charakterystyczne, przyklejone do włosa jajo. Gnidy! Nie dość, że zjawisko samo w sobie obrzydliwe, to jeszcze ludzie wymyślili taką nazwę, od której aż niedobrze się robi! Do zeszłego roku nie miałam pojęcia, jak wygląda wesz i jej potomstwo przed wykluciem. Żyłam w błogiej nieświadomości, aż tu nagle okazało się, że Tosia przyniosła ze szkoły i wyhodowała z jedno pokolenie, zanim się zorientowałam. Mój Boże! Nie wiedziałam, czego mam szukać! Czy białe pyłki na włosach to to, czy nie? Od razu zaczęła mnie swędzieć cała głowa, a w nocy śniło mi się, że maszerują po moim ciele setki insektów. Myślałam, że postradam zmysły z przerażenia i odraży. Zarządziłam kilkakrotne mycie głowy preparatem Pippi dla całej rodziny. Wyprałam całą pościel i godzinami przeczesywałam we wszystkie strony włosy dziewczynek wypatrując jaj, które w końcu nauczyłam się rozpoznawać.

Teraz ze spokojem weterana przystępuję do akcji. Wyszukuję wszystkie podejrzane obiekty. Pakuję Jonę do łazienki i myję jej głowę wspomnianym wyżej preparatem. Potem znowu czesanie i przegląd. Sprawdzam też głowy pozostałych dzieci. Na szczęście niczego nie znajduję. Sytuacja wydaje się opanowana, ale pewnie jeszcze przez następny tydzień będę dręczyć dzieci gęstym grzebieniem.

- Dzieci! Ja teraz piszę. To jest moja praca. Chcę zostać sama! - kolejny raz usiłuję wyprosić z pokoju przewalające się po moim tapczanie

córki.

- A ja wolę być z mamusią - uśmiecha się słodko Duszka, przypinając sobie spinkę.

- A ja wolę być sama! - jęczę z rozpaczą.

- A ja wolę być z mamusią - powtarza Duszka, bardzo z siebie zadowolona.

Tosia markotna ćwiczy na pianinie Sonatinę. Niezrozumiały impuls (może wysłany z centrum sterowania instynktem macierzyńskim?) każe mi zadać pytanie:

- Czy nie dostałaś jakiejś oceny, o której powinnam wiedzieć?

- To znaczy jakiej?

- Nooo... nie wiem. Dostałaś jakąś ocenę dzisiaj?

- Taaak... Z matematyki.

Wychodzi na jaw, że to jedynka z kartkówki. Czegoś tu nie rozumiem. Przecież Tosia dotychczas nieźle sobie radziła z matematyką. Głównym jej problemem są pomyłki wynikające z pośpiechu, ale żeby aż jedynka?!

Dziękuję niebiosom, że uczestniczyłam w warsztatach umiejętności wychowawczych i w związku z tym na wieść o jedynce: *nie krzyczę *nie prawię kazań *nie lamentuję

***nie wypytuję, co dostali inni (to chyba najważniejsze, bo trudno się przed takim pytaniem powstrzymać).**

- Przynieś zeszyt - mówię spokojnie.

Przeoglądam przykłady z odejmowania pisemnego. Chwileczkę!

- Tosiu, dlaczego napisałaś pięć? Tu powinno być siedem.

- Bo pani powiedziała, że pożyczamy z dziesiątek, a dziesięć odjąć pięć jest pięć.

- Ale w jednościach masz jeszcze dwójkę, więc odejmujesz nie od dziesięciu, ale od dwunastu.

- No właśnie! - wybucha płaczem Tosia. - Bo pani źle wytłumaczyła! I wszyscy pisali, że to jest siedem, a ja nie wiedziałam, skąd ono się wzięło!

Żeby wszystkie problemy dawało się tak szybko rozwiązać! Piszę cztery przykłady na odejmowanie pisemne i kładę Tosi na biurku.

- To twoja domowa kartkówka.

Moje dziecko nie ma zbyt zadowolonej miny.

Godzinę później. Idę sprawdzić, czy już policzyła to odejmowanie. Nic nie zrobiła. Przez ostatnie pół godziny medytowała na sedesie. TERAZ mam chęć na nią nawrzeszczyć.

Piątek, 18

Franciszek stłukł sobie wczoraj piętę i kuśtyka po całym domu. Rano pożyczył kule od sąsiada, żeby się jakoś przemieszczać. Wszystko przez jego upodobanie do teatralnych gestów. Był na szkoleniu i miał odgrywać sfruwającego z góry sokola. Zrobił to ze zbyt dużym zaangażowaniem - skoczył z krzesła i zbil sobie kość piętową.

Mój dzień rozpoczyna się od lekkiego niezadowolenia z samej siebie. Planowałam, że wstanę o godzinę wcześniej, ale niestety spałam prawie do dziewiątej. Że też są tacy, co budzą się o szóstej i rześcy jak skowronki zaczynają dzień. Był czas, że i ja musiałam wstawać o takiej porze, ale nigdy, przenigdy nie byłam wtedy rześka jak skowronek.

Zakupy. Pogawędka z panią w sklepie, że szary listopad, że dzieci chorują, że wirusy krążą itp. Nie wchodzę do domu. Zostawiam torby w sionce i idę do ogrodu rozgrabić kompost na grządkach. Wracam do dzieci i robię im śniadanie. Potem języki.

Odkurzanie. Dziś mniej pomstuję na to zajęcie niż zazwyczaj. Może dlatego, że Franciszek jest nieobecny i nie rzuca się tak w oczy niesprawiedliwość społeczna polegająca na tym, że on stuka w komputer, a ja, osoba równie inteligentna i spragniona rozwoju intelektualnego, wykonuję zadania pracownika fizycznego.

Majka i Jona mają dziś weneę do pisania bajek. Majka posługuje się fantastyczną ortografią sześciolatka. Jona zapelnia stronicie równiutkim pismem.

- Bo ja będę pisać bajki, jak już będę dorosła - podnosi znad kartki błyszczące oczy. - I nie poprawiaj mi błędów, bo chcę to sobie zachować na pamiątkę i wiedzieć, jak kiedyś pisałam i jakie błędy robiłam.

Haftuję, próbując jednocześnie słuchać płyty do nauki niemieckiego. Może tym sposobem uda mi się przyswoić kilka wyrażień. Trudno jest jednak utrzymać należyte skupienie, bo co chwila wpadają dziewczęta.

- Przyszyj kaczkowi dziurkę od nosa! (Majka)

- Chce mi się jeść! (Duszka)

- Źle się czuję. (Jona)

- Zszyj mi moją bajkę. (Majka)

- Nalej mi picia. (Duszka)

Telefon. Trzymam słuchawkę przy uchu, a tymczasem na kolana włazi mi Duszka („jestem głodna”) i z niewiadomego powodu również Tosia. Szybko kończę rozmowę, po czym urządzam córkom zwiędłą awanturę.

Wraca Franciszek. Trzeba dać mu obiad. Z tą nieszczęsną nogą może tylko leżeć. W związku z tym muszę się sama zająć kolacją, sprzątnięciem kuchni i pędzeniem dzieci do spania. Znowu dzisiaj nic nie pisałam. Powieść, urwana w pełnym napięcia momencie, leży zaniedbana.

Sobota, 19

Mój dzień pisania. Tak umówiliśmy się z Franciszkiem. W soboty twórczość literacka stoi na pierwszym miejscu, więc dzieci ze wszystkimi problemami i potrzebami mają się zwracać do ojca. Tymczasem tenże ojciec jest na szkoleniu. Uprzedzam więc córki:

- Teraz idę pracować do górnego pokoju. Proszę, żebyście swoje sprawy załatwiały same. Majka, jak nie będziesz wiedziała, jak coś się pisze

(od rana tworzy bajki), to zapytaj Jonę albo Tosię. Duszka, dziś potrzebuję być sama, jeśli czegoś potrzebujesz, zwróć się do siostr.

- Ale ja lubię być z mamusią - przekonuje mnie Duszka.

- Wiem. Dziś jednak muszę mieć trochę czasu w samotności. W przeciwnym razie mogę się zrobić zła.

- Nie lubię, jak jesteś sulowa.

- Ja też nie lubię, jak jestem surowa. Do tego, żeby być łagodniejszą mamusią, muszę pobyć czasem sama.

Wnoszę na górę kubek z kawą i zamykam za sobą drzwi. Wiem, że nie będzie łatwo, bo Duskę boli dziś ucho. Dałam jej lekarstwo, które zostało po jakiejś poprzedniej chorobie.

Słyszę płacz na dole. Charakterystyczny odgłos kroków na schodach. Wiem, kto za chwilę się tu zjawi.

- Mnie nadal boli to ucho, całymi dniami. Ciągłe i ciągle! Biorę Duskę na kolana i próbuję ze spokojem akceptować dzień.

Dziś na obiad żurek. Rozlewam dzieciom porcje do talerzy.

- Ja mam tylko dwa jajka, a Tosia ma trzy - skarży się Jona. Wyławiam kawałek białka i wrzucam jej do talerza.

- O, ona ma większy! - mówi z pretensją Tosia. Powinnam jeszcze raz przeczytać Rodzeństwo bez rywalizacji, a zwłaszcza rozdział „Równo znaczy mniej”. Zamiast tego wrzeszczę:

- Przestańcie!

I robi się cicho.

Nie znoszę tych klótni. Kto ma więcej, kto ma mniej... a jej to dałaś tyle, a mnie tak mało... W takich chwilach ogarnia mnie chęć ucieczki. Oczywiście, będąc w wieku moich dzieci, robiłam dokładnie to samo. Stawaliśmy z braćmi przed rzędem pucharków wypełnionych galaretką ze śmietaną i klóćliśmy się o porcję, która wydawała się nam największa. A mama nie mogła przeboleć, że jej dzieci klóć się o jedzenie.

Niedziela, 20

Dlaczego nikt już nie robi pięknych, spokojnych filmów dla dzieci? Dlaczego większość tego, co baśniowe i niezwykle, musi okazywać się straszne? Mieliliśmy iść z dziećmi na Charliego i fabrykę czekolady, ale po przejrzeniu recenzji doszliśmy do wniosku, że film zrobiony jest w konwencji horroru. Również to, że dozwolony jest od lat dwunastu, sugeruje, że nie nadaje się dla młodszych dzieci. A przecież książkę Dahla, na motywach której nakręcono film, czytałam moim córeczkom trzy lata temu.

Klikamy po Internecie. Mam już dość produkcji, w których „luzackie” dialogi mają dawać rozrywkę dorosłym. Nienawidzę tego. Znajdujemy w końcu brytyjski film Wallace i Gromit. Wydaje się nieszkodliwy. Mój niepokój budzi jedynie informacja, że animowane ludziki zrobione są z plasteliny.

Kłęska. Groteskowe twarze z wystającymi zębami. Plastelinowe usta dostojnej Lady wyglądają jak dwie czerwone gąsienice. Najsympatyczniej wygląda piesek Gromit. Prawdę mówiąc, zmęczyłam się. Naprawdę wolałabym, żebyśmy obejrżeli sobie jakąś starą produkcję, na przykład Błękitnego ptaka z Liz Taylor i Jane Fondą albo Małą Księżniczkę z Shirley Temple.

Pociechą jest obiad w pizzerii. Nie trzeba gotować ani zmywać. Dzieci bez narzekania pakują w siebie trójkątne kawałki pizzy pepperoni albo hawajskiej. Jona - największy chudzielec - zjada cztery kawałki. Tyle co Franciszek.

Franciszek nie lubi takich miejsc jak Promenada (tu właśnie byliśmy w kinie i na obiedzie). Denerwują go otwarte w niedzielę sklepy i ludzie robiący zakupy. Ja z kolei czuję się świetnie. Tygodniami zamknięta w domu albo przemieszczająca się między kościołem, szkołą, miejscowym sklepikiem spożywczym a biblioteką, rozkoszuję się teraz podglądaniem

innego życia. Oglądam wystawy, manekiny w falbaniastych spódnicach (ciekawe, jak bym w takiej wyglądała?), przepiękne kubki i filiżanki w sklepie z herbatami (chciałabym tak malować). Przyglądam się ludziom. Jak są ubrani? O czym rozmawiają? Kim jest ta piękna dziewczyna w kozaczkach i falującej przy każdym ruchu spódnicy do kolan? Faceci tego nie rozumieją.

Poniedziałek, 21

Zwycięstwo! Wstałam o 8.15. Brawo Kamilo! Oczywiście miały w tym swój niebagatelny udział dzieci. Dziesięć po siódmej zaczęła płakać Majka, która podczas choroby odzwyczaiła się od porannych pobudek i teraz ciężko było jej wstać.

- Mamo, źle się czuję - mokry policzek przykleja się do mojego ucha.

Przytulam ją i wyrażam ubolewanie, że musi iść do szkoły.

- Uuuu... ale ja źle się czuję...

- Weź sobie łyżeczkę miodu.

Rada chyba dobra, bo zawrodozenie ustaje, a dziecko zjawia się po chwili już ubrane i ze szczotką w ręku.

- Warkocze czy kucyk? - pytam.

- Rozpuszczone.

Przypinam jej spinki i całuję piegowaty nosek. Minę ma bardzo nieszczęśliwą, ale i tak wygląda pięknie.

Nadchodzi Jona. Czeszę ją w kucyk, a potem przytulamy się przez dłuuuugą chwilę. Całe to zamieszanie budzi Duszkę. Słyszę jej drobne kroczi i plaskanie bosych stóp o podłogę. Hop! Potargany stworek wskakuje do mnie pod koldrę. Oczka świecą jak dwie niebieskie latarenki.

- Śpij, moje kochanie - mówi, głaszcząc mnie po policzku. Przytula mnie i obsypuje całuskami. Bardzo to rozkoszne, ale skutecznie uniemożliwia sen. Wychodzę z łóżka i idę się ubrać. Brr... jakoś zimno.

Dziesiąta rano. Powieki same mi opadają. Zupełnie nie jestem w

stanie skupić się nad deklinacjami niemieckich rzeczowników. Poduszka, koc, miękki tapczan... przymykam oczy. Och, jak dobrze! Słyszę skrzypnięcie drzwi. O nie, jeśli teraz Duszka zacznie mnie o coś pytać, to chyba się rozplaczę. O dziwo, moje dziecko po cichutku się wycofuje. Zapadam w sen. I to by było na tyle, jeśli chodzi o poranne wstawanie.

Wieczór. Franciszek w pracy, więc sama muszę stawiać czoła życiu. Robię kolację. Myję głowę Majce. (Zażyczyła sobie warkoczyki na mokrych włosach, żeby jutro mieć fale. „Bo wiesz, mamusiu, Julia miała dziś fale. A czy ty masz gofrownicę do robienia loków?”). Kąpię Duskę. Dzieci jedzą, a ja robię pieczeń na jutro. To wykańczające i wcale mi się nie chce, ale będę miała obiad na wiele dni. Zmywam naczynia, które zdążyły się spiętrzyć w wielką górę. Dziewczynkom nie spieszy się do łóżek. Opowiadają sobie żarciki.

Mięso w piekarniku. Franciszek już wrócił i zasiada przy stole. Zaplatam Majce warkoczyki.

- Ja też chcę takie - oznajmia Duszka.
- Zrobię ci, jak będziesz świeżo po myciu głowy.
- Mamo, rozwalily mi się szkolne kaptcie - to Jona. Wydaję z siebie jęk. Jest 20.30.

- I mówisz mi to teraz?
- Mówiła wczoraj w samochodzie, ale wyleciało mi z głowy - mówi niebezpiecznie beztroskim tonem Franciszek. Widząc mój pełen potępienia wzrok, dodaje z odcieniem pretensji - Nie mogę pamiętać o wszystkim!

Jestem zła, ale nic nie mówię. A mogłabym. Na przykład mogłabym mu powiedzieć, że jego amnezja dotyczy głównie spraw domu i dzieci. W sprawach pracy jego pamięć funkcjonuje bez zarzutu. Lepiej jednak nie wywoływać wieczornej awantury. Kończę zaplatanie warkoczyków Majce i wyszukuję dla Jony jakieś w miarę sensowne adidas (,Byle nie na czarnej podeszwie” - powiedziała pani dyrektor na początku roku).

- Dzieci, do łóżek!
- Mamo, źle się czuję - to Majka.
- A co się dzieje?
- Boli mnie brzuch i kaszlę.
- Zaraz dam ci syrop z babki.
- Mamo, a mi spada koldla i koc!

Poprawiam spadającą pościel. Jestem przekonana, że Duszka celowo skopała koldrę, żeby mieć jeszcze chwilę mojej uwagi przed snem.

- Jutro wybiezesz mi sukienkę.
- Dobrze, ale teraz śpij.

Całuję jedną córeczkę, potem drugą i znikam.

Wtorek, 22

Siódma rano. Rozplatam Majce warkoczyki. Obiecała mi wczoraj, że powstrzyma się od porannych płaczów i obietnicy dotrzymuje. Rozczesuję ją, zapewniam, że wygląda jak księżniczka, i z powrotem wskakuję pod ciepłą koldrę. Ale Majka przychodzi znowu.

- Mamo, mnie boli to oko.

Na bosaka idę do kuchni i w porządnym świetle przyglądam się dziecku. Cholera! Lewe oko jest zaropiałe i zaczerwienione. Smaruję maścią i zziębnięta biegnę do łóżka. W tym momencie zjawia się Jona, żeby ją uczesać w kucyk. Po wyjściu dziewczyn udaje mi się przysnąć jeszcze na pół godziny. Potem wstaję i budzę Duskę, która jest rozkosznie potargana i ciepłutka. Mruczy:

- Jestem twoim kotkiem, jestem twoim kocinkiem...

Po śniadaniu prowadzę ją na zajęcia dla przedszkolaków, a sama biegnę na sąsiednią ulicę do fryzjera.

Popołudnie. Dzwoni Ewa:

- Mam pracę! Mam pracę! Czy znasz kogoś, kogo mogłabym wziąć trzy razy w tygodniu do dzieci?

Nie znam. Mimo to Ewę roznosi radość.

- Bo wiesz, ja już pięć lat siedzę w domu.

- Wiem. Ja jedenaście.

Mówiąc to, czuję się jak weteranka, bohaterka wielu bitew, poznaczona bliznami i ranami, ale wciąż niepokonana.

Środa, 23

Dzieci wróciły ze szkoły. Jona w cienkiej kurteczce. Stanowczo za cienkiej.

- Dlaczego nie założyłaś zimowej?

- Bo nie umiałam zapiąć suwaka i tatuś też nie umiał.

- Ten suwak jest zupełnie zepsuty! - krzyczy z kuchni Franciszek.

Nie, kochani, nie jest zupełnie zepsuty, jest tylko trochę zepsuty, a ja nie umiem wymieniać suwaków, więc musicie nauczyć się obsługiwać ten. Po dwóch próbach udaje mi się go zapiąć. Wołam Jonę, żeby jej pokazać, jak trzeba to robić.

To miał być dobry dzień. Rano miałam niezły nastrój. Przeczytałam fragment pism św. Kolumbana (lubię irlandzkich mnichów), w którym zaleca on łagodność, miłość i delikatność w postępowaniu z innymi. Naprawdę chciałam się do tego zastosować. Przytulałam Duskę, kiedy potrzebowała, pozwoliłam jej wybrać nowe ubranie, choć w poprzednim chodziła zaledwie jeden dzień. Narysowałam jej „mamę i tatę, i Tośkę, i Jonę, i Majkę, i mnie”. Nie złościłam się, kiedy co pięć minut ktoś przerywał mi pisanie i dużo czasu zużywałam na odnajdywanie przerwanych wątków... A teraz wchodzę do kuchni...

Na blacie, koło zlewu stoi bateria kubeczków - pozostałość po licznych kawach i herbatach, które Franciszek wypija w ciągu dnia, nie zaprzatając sobie głowy myciem. Fala złości podjeżdża mi do gardła. Żegnaj Św. Kolumbanie! Muszę umyć te kubki, żeby mieć do robienia obiadu wolny blat. Przypominam sobie, że Franciszek kupił ostatnio dwie sałaty. Trzeba

je przyrządzić, zanim zwiędną. Lubię sałatę jeść, ale nie cierpię myć osobno każdego listka, żeby wyplukać wszystkie ziarenka piasku. Wiem, mistrzowie zen albo mnisi w klasztorach kontemplacyjnych są w stanie wykonywać takie czynności, trwając w uniesieniu. Ja nie. A wracając do sałaty, choćbym nie wiem jak się starała, to Franciszek i tak coś wynajdzie - a to jakieś zabląkane ziarenko piasku („Chyba źle wyplukałaś”), a to kawałki liści są za duże („Wiesz, trzeba rwać drobniej, inaczej źle się je”).

Uprzejmie wołam rodzinę na obiad i uprzejmie pytam dzieci, czy będą jeść palcami, bo żadna nie raczyła wziąć sobie sztućców.

- Chyba nie za dobrze wymieszałaś tę sałatę - odzywa się równie uprzejmie Franciszek.

A nie mówiłam?

Czwartek, 24

- Mamo, złób mi dwa walkocyki!

- Duszko, teraz pracuję, teraz nie zajmuję się dziećmi. Duszka wybucha strasznym płaczem, ale jestem nieugięta.

Próbuję skupić się na pisaniu. Mija kilka minut. Szczęk klamki. Wchodzi zapłakana Majka.

- Duszka mnie uderzyła rogiem książki w oko. Przytulam ją. Wchodzi Duszka.

- Kiedy się kogoś uderzyło, trzeba go przeprosić i jakoś to naprawić - mówię.

- Ale ja niechący - szafirowe oczka spoglądają niewinnie.

- Niechący też boli i też trzeba przeprosić.

- Pseplasam - Duszka obejmuje płaczącą Majkę.

Tosia dostała dwóję z polskiego. Załamuję się. Dlaczego zdolne i inteligentne dziecko ma takie stopnie? (I dlaczego to ja mam poczucie winy?) Oglądam tę nieszczęsną pracę klasową. Już wiem, o co chodzi. Tosia tak bardzo rozbudowała wstęp, że nie zdążyła dojść do sedna i rozwinąć

właściwego tematu. Czuję się bezradna.

Z dołu dobiega przeciągłe wycie. Pewnie Duszka znowu pokłóciła się z Majką. Zaraz któraś przybiegnie na skargę. No właśnie:

- Mamo! Majka już nie chce się ze mną bawić! Nikt nie chce się ze mną bawić.

- Duszko - mówi poważnym głosem Majka, która przyszła do mojego pokoju tuż za młodszą siostrą - chciałabym trochę pobyć sama.

Tłumię śmiech. Moje własne słowa! Nawet ton ten sam! To się nazywa siła oddziaływania przykładu.

Piątek, 25

Zwleczenie się z łóżka wymaga nadludzkiej siły woli. Franciszek zabrał gdzieś budzik i nie wiem, która jest godzina. Duszka głaszcze mnie po włosach. Zamykam oczy. W ogóle nie chce mi się rozpoczynać dnia. Bo co mnie dziś czeka miłego? Nic. Przynajmniej tak mi się wydaje. Kolejny piątek, więc: odkurzanie, pilnowanie dzieci, żeby zrobiły swoją część porządków, prześladowanie Tosi, żeby znalazła kasetę od angielskiego, a przed tym wszystkim ubieranie Duszki. Powinna być może poświęcić trochę czasu i nauczyć ją samodzielnego ubierania, ale nie mam dziś natchnienia.

Wierszyk o indyku. Trzeba pomóc Majce nauczyć się go na pamięć. Zupełnie nie mam na to ochoty. Majka też nie. Siedzi na tapczanie naburmuszona, z oczami pełnymi łez.

- „Indyk od rana skarpetki ceruje”... - zaczynam.

- „O, indyku, lozbójniku, oddaj Idzie kolale”- wyśpiewuje Duszka piosenkę, której w zeszłym roku uczyła się Jona.

- Uciekaj stąd Duszka! - krzyczy Majka.

- Możesz tu być, ale nie śpiewaj - łagodzę.

- „igła jest ostra” - czytam kolejny werset.

- „i w palce go kłuje” - dopowiada Jona przechodząca korytarzem.

- Jona! Nie podpowiadaj! - złości się Majka. Nowe lzy spływają po policzkach.

- Nie płac - przytula ją Duszka, po czym wchodzi Majce na kolana i obie przewracają się na tapczan.

Mamy gości. Dziewczyny wpadają w amok. Gadają jedna przez drugą i przerywają innym w pół słowa. Natychmiast ogarnia mnie irytacja. Mimo to, robiąc herbatę, staram się prowadzić uprzejmą konwersację.

- Ciociu, zobac, ja tańce - woła Duszka, wyginając się na wszystkie strony na środku kuchni.

Wszyscy podziwiają. Duszka ma w sobie olbrzymi ładunek dziecięcego wdzięku, co wykorzystuje, ściągając na siebie uwagę dorosłych.

- Mamo, zatańcz ze mną... no wiesz co - Majka też chce pokazać swoje umiejętności.

Chwytam ją za ręce i tańczymy kilka taktów samby. Mam dość. Chciałabym, żeby Franciszek już wrócił z basenu i przejął ode mnie obowiązek czynienia honorów domu. Nie czuję się dobrze w roli uprzejmej gospodyni. Zwłaszcza wtedy, gdy wokół szaleje łaknący nieustannych zachwyków żywioł dziecięcy. Trzaśnięcie drzwiami. Jest mój mąż!

Franciszek przejmuje ciężar rozmowy. Nie jestem już potrzebna. Zgodnie z wcześniejszą sugestią mojego męża (ma on znacznie więcej wolności wewnętrznej niż ja), chowam się w sypialni i czytam książkę. Jest to absolutnie nietowarzystkie i sprzeczne z zasadami gościnności zachowanie. Moja mama nigdy by sobie na coś takiego nie pozwoliła. Dopóki goście są w domu, ona trwa na posterunku, niezmordowanie podając jedzenie i parząc herbatę.

Czas na kąpiel dzieci. Duszka wyje. Nie podoba jej się, że chcę wyrzucić do prania poplamiony flamastrami golf. Rozbieram ją z kamienną twarzą i pakuję do wanny. O tej porze chciałabym być na urlopie, na zwolnieniu lekarskim albo w sanatorium dla znerwicowanych matek. A

najbardziej... w środku jakiejś angielskiej powieści (jako jej bohaterka oczywiście). Siedzę sobie w głębokim fotelu, w kominku trzaska ogień, wokół dębowe regały z książkami sięgające aż pod sufit. Z eleganckiej filiżanki z różanym motywem piję kawę albo aromatyczną, dobrze przyprawioną herbatę i czytam jakąś porywającą powieść (albo pracuję nad niezwykle pracochłonną i wyrafinowaną robótką, z gatunku takich, na które w moim zwyczajnym życiu nie mam nigdy czasu).

Wyciągam Duszkę z wanny, zawijam w ręcznik i niosę do pokoju. To dziecko wygląda rozbijająco uroczo w każdym stroju i na golasa również. Wytarta do sucha i ubrana w piżamkę, tańczy na bosaka po pokoju. Franciszek szykuje w tym czasie kolację. Przy kuchennym stole toczy się równocześnie sześć dialogów. Rezygnuję z mówienia.

Franciszek odwozi gości do Warszawy, a ja zostaję z całym bałaganem na głowie. Dzieci, wybite z normalnego rytmu, biegają po całym domu. Wysyłam Tosię do wanny, a Duszkę do łóżka.

- Ale ja chcę kupę.

Sadzam ją na nocniku.

Telefon. Dzwoni Magda, moja bratowa, z kłopotliwym pytaniem, co kupić nam i naszym dzieciom pod choinkę. Mamma mia! Ci to są zorganizowani. Jadą właśnie na zakupy i chcą wiedzieć. Odzywa się we mnie żal do Franciszka. Dlaczego my zawsze kupujemy wszystko na ostatnią chwilę? I prawie nigdy nie mamy pomysłów na jakiś fajny prezent! I zawsze wymyślanie prezentów jest na mojej głowie. Szybko kończę rozmowę, bo Duszka woła mnie z łazienki. Zapomniałam zapytać Magdę, co moglibyśmy kupić dla ich chłopaków. Nie mając synów, nie mam zupełnie pojęcia, co może ucieszyć moich bratanków.

Po raz kolejny zaganiam dzieci do łóżek.

- Ale ja nie myłam jeszcze zębów.

- Ja też nie myłam jeszcze zębów.

Miałam nadzieję, że Duszka zapomni. W tej sytuacji nie mam wyboru. Szoruję jej ząbki, ale krócej niż zwykle.

Nareszcie! Opadam z ulgą na fotel. Ciepłe światło lampki ozlaca stronice książki...

- Mamo, ale ulóż mi ładnie kocyk, bo mi się pofflał.

Sobota, 26

Śniegu tyle, że dzieci wyszły lepić bałwana. Jak to dobrze, że nie muszę im towarzyszyć! Pukają w okno, żebym wyjrzała podziwiać ich dzieła. Na trawniku stoją trzy małe bałwanki oblepione liśćmi, których nie zdążyliśmy zgrabić. Na głowach mają plastikowe doniczki. Macham dzieciakom i wycofuję się do swojego pokoju.

Nie mijają zbyt wiele czasu i Duszka jest już w domu.

- Mam zimne łapki - głaszcz mnie po twarzy lodowatymi dłońmi.

Policzki ma blade od chłodu.

- Strasznie zimne - potwierdzam. - Widziałam wasze bałwanki. Są śliczne.

- Ja lubię swojego z Tośką i my o nim decydujemy. O długim decyduje Majka, a o tsecim Jona.

- Świetnie. To teraz idź i przytul rączki do ciepłego kaloryfera. Niech się ogrzeją.

Mniej więcej godzinę później.

- Majka nie chce mi umyć łąk! - w oczach Duszki jak na zawołanie pojawiają się piękne, przejrzyste łzy.

- A są brudne?

- Tak, są lepkie.

- Od czego?

- Od cuklu pudlu. Bo wylizywałyśmy z dużego taleza, i ze śled-niego, i z babki.

Niedziela, 27

Młodsze dziewczynki bawią się w swoim pokoju. Chyba wynikł jakiś konflikt, bo słyszę, jak Majka mówi:

- Jak będę dorosła, to nie będę do ciebie nigdy przychodziła. Brzmi to groźnie i nieodwołalnie.

Wieczór. Robię listę zakupów na następny dzień. Duszka, już w piżamie, niecierpliwie się, że jeszcze nie umyłam jej zębów.

- No kulce! Kiedy wleście pójdziemy myć te zęby!

- Skończę pisać i zaraz ci umyję.

- Wies co? - Duszka przybliżyła do mnie buzię, marszczy brwi i robi minę, która prawdopodobnie ma być groźna. - Jak będę dołosa, to wcale nie będę do ciebie przychodziła... ani ty do mnie - dodaje po namyśle.

- Ojej - przytulam ją - ale smutno... (w głębi ducha chce mi się śmiać, gdy widzę, jak Duszka wypróbowała na mnie tę samą broń, którą wcześniej użyła przeciwko niej Majka).

- Tak, bo ty na mnie ksycys.

- Ja? Ja mówię spokojnie, to ty cały czas krzyczysz.

- A ty ksycys tak: DuskaaaH! Jeden wyłaz.

Zapewne tak właśnie jest. Zapewne tak właśnie wrzeszczę: Duskaaa!!! Jeden wyraz.

Noc. Majka (leżąca na górnym łóżku) odpytuje Duskę:

- Wiesz, jak jest po angielsku noga? - Jak?

- Leg. A dwie nogi - legs. A wiesz, jak jest stopa? - Nie.

- Foot. A dwie stopy?

- Nie wiem.

- Feet.

- A jak jest lęka? - chce wiedzieć Duszka.

- Nie wiem - przyznaje ucziwie Majka.

- A długa lęka?

- Nie wiem.

- A dwie łęce?

- Nie wiem.

W naszym pokoju ja i Franciszek zataczamy się ze śmiechu.

Poniedziałek, 28

Duszka przy śniadaniu:

- Posiedź ze mną, kochanie.

Makotka wiosenna mnie pokonała. Zamierzona była jako dekoracja ścienna do kuchni i miała zdobić to pomieszczenie przez całą wiosnę. Haftowałam, upiększałam, przycinałam nierówności. Dziś finałowe zaprasowywanie i... krzywo. Po prostu krzywo i żadne naciąganie i podwijanie nic już nie da. Samoocena zjeżdża aż na sam dół. Nie mam odwagi zaczynać pracy nad kolejnymi dekoracjami z obawy, że znowu coś sknocę. Perswaduję sobie, że nie powinnam tak się przejmować, bo to moje pierwsze tego typu dzieło, ale perfekcjonistka we mnie wyje z rozdrażnienia. Jedynie Duszka patrząc na rozłożony materiał pełen haftowanych kwiatków, mówi:

- Bardzo ładne.

Od dwóch dni wisi już w kuchni kalendarz adwentowy. Ma dwadzieścia pięć kieszonek, a w każdej karteczka z informacją, co miłego jeden z rodziców ma robić z dziećmi. Wczoraj graliśmy razem w barykady (nie cierpię tej gry) oraz w kości, w które zazwyczaj przegrywam. Dziś Franciszek pokazuje dzieciom zabawki z dzieciństwa i opowiada związane z nimi historie.

Dla dzieci najważniejszy jest chyba sam rytuał porannego wyjmowania i odczytywania kartek.

W klasie Tosi zaczęło się wyśmiewanie strojów.

- Justyna powiedziała, że powinnam pójść do lekarza mody - skarży się moje najstarsze dziecko.

Jasne, owa Justyna parady w spadających z tyłka biodrów-kach,

które optycznie skracają jej i tak niezbyt długie nogi.

Wszystkie dziewczyny siedzące przy kolacji zgodnie wybrzydzą na modę i na te okropne spodnie. Nie wiem, czy siostrzana solidarność jest w stanie pokrzepić Tosię. (Ona też nie cierpi bio-drówek, ale wyśmiewanie boli).

Wtorek, 29

- Cemu niebo jest lózowo-biało-niebieskie?

Wyglądam przez okno. Rzeczywiście takie barwy ma dzisiaj niebo o poranku.

- Dobrze zauważasz i odróżniasz kolory - mówię z autentycznym podziwem.

- Az tsy - Duszka dumnie wypina pierś.

Dzisiejsze przedpołudnie:

*odprowadzam Duszkę na zajęcia dla przedszkolaków * robię szybko ćwiczenia językowe (tak szybko, że chyba nic mi nie zostaje w głowie)

*nastawiam pranie ^przyrowadzam Duszkę *wieszam pranie

*gotuje obiad

*wizyta cioci. Rozmawiamy o Osieckiej, o tym, że całe jej życie nastawione było na pisanie. No właśnie! WŁAŚNIE, mój mąż Franciszku, który wspierasz moje pisanie słownie i emocjonalnie, siedząc przy komputerze i oczekując, że będę się zajmowała dziećmi, obiadami, odkurzaniem, praniem i prasowaniem. Czyny się liczą, mój kochany!

Wracamy z Franciszkiem z warsztatów umiejętności wychowawczych. Po trzech godzinach prowadzenia zajęć jestem wykończona. Majka pyta od progu:

- Mamo, kiedy zdejmiesz mi miśka ze strychu?

- Dzisiaj, ale trochę później. Biegnę do toalety. Przez drzwi słyszę:

- Ale kiedy mi zdejmiesz miśka?

- Przecież dopiero wróciłam! - wrzeszczę, siedząc na sedesie. - Muszę

się chociaż napić herbaty!

Czy moje córki są rozpieszczone? Czy dzieci po prostu w ogóle takie są, że nie zauważają potrzeb rodziców? Że oczywista im się wydaje dyspozycyjność matki? Franciszek lepiej się ustawił. Do niego dziewczynki nie biegają tak często.

Środa, 30

Zakupy świąteczne! Najmniej męczące i najbardziej udane ze wszystkich dotychczasowych. Powód? Unieruchomienie Franciszka. Zawiózł mnie do Arkadii, a sam dokuśtykał o kulach do kawiarenki internetowej, gdzie, umilając sobie czas odrabianiem francuskiego, miał na mnie czekać.

Samotne buszowanie po empiku - to jest to! Najpierw oczywiście wcale nie wybieram prezentów, tylko idę do działu czasopism i przeglądam wściekle drogie „International Artist”. Potem przechadzam się między regałami, napawając oczy tysiącami książek. Bez Franciszka u boku mogę delectować się tą chwilą i podczytywać sobie kawałki rozdziałów albo oglądać albumy z malarstwem... I nikt mnie nie popędza. Franciszek powiedział, żebym wybrała też coś dla siebie. (Wie, że nie jest mi łatwo wydawać pieniądze na własne potrzeby - zwłaszcza przed świętami, gdy gotówka z pośpiechem opuszcza portfel). Hmm... Szkoda, że nie jestem osobą szaloną i rozrzutną. Nakupiłabym sobie wtedy książek pięknych albo tylko wyglądających interesująco, oczywiście nabyłabym też „International Artist”, żeby potem w domu oglądać je bez końca i podziwiać, jak inni malują. No i płyty. To też obiekt pożądania. Zwyciężają trzeźwość i rozsądek. Kupuję ćwiczenia gramatyczne (niemiecki, hiszpański i włoski) i dwa podręczniki do nauki idiomów (angielski i francuski), rzucając pożegnalne spojrzenia na półkę z najnowszą płytą Enyi. Muszę zabrać się za wyszukanie prezentów dla licznej rodziny. Gdyby nie to, rozsiadłabym się na wyścielanej ławeczce umiejscowionej w pobliżu półek z komiksami i

zagłębiłabym się w lekturze apetycznie wyglądających książek, na które mnie nie stać.

Patrzę na facetów czytających sobie beztrósco komiksy i przypomina mi się podobny obrazek sprzed kilkunastu lat. To była duża księgarnia w Paryżu. Na środku stoisko z komiksami obleżone przez mężczyzn i chłopaków. Czytali, śmiejąc się na głos, i nikt nie miał im tego za złe, nikt ich nie przepędzał, mówiąc, że to księgarnia, a nie biblioteka, i że tu się kupuje. Dla mnie, istoty przybyłej z peerelowskiej rzeczywistości, był to przedsiónek raj. Biorąc przykład z Francuzów, usiadłam sobie po turecku na wykładzinie, obok regału z albumami, i karmiłam się tętniącymi kolorem fotografiami. Byłam wtedy bardzo przytłoczona szarością polskiej egzystencji i co za tym idzie, spragniona piękna. W Paryżu nareszcie mogłam się nim nasycić.

Nie mam pokusy przepuszczania fortuny w butikach, domach mody, sklepach z butami czy z biżuterią. Tylko księgarnie sprawiają, że tracę głowę i chciałabym zagarnąć dla siebie te wszystkie błyszczące tytułami pozycje. A potem poustawiać sobie w domu na półkach (notabene wolnych półek na książki w naszym domu brak), napawać się ich widokiem i czytać, czytać, czytać...

Tak. Zakupy bez męża są znacznie bardziej relaksujące. Franciszek zazwyczaj podważa połowę moich decyzji i muszę wymyślać dziesiątki argumentów uzasadniających taki, a nie inny wybór. Teraz dyskutowałam jedynie sama ze sobą, co okazało się niezwykle twórcze i przyniosło rezultat w postaci wypchanej torby i pustego portfela.

Franciszek, wyluzowany, uwolniony od stresu, jakim jest dla niego chodzenie po sklepach, wita mnie radośnie i w pełnej harmonii wracamy do domu.

GRUDZIEŃ

Czwartek, 1

Idę z Duszką na zajęcia dla przedszkolaków. Świat jest brudnobłotnisty z domieszką zszarzałego śniegu. Próbuję ćwiczyć się w akceptowaniu takiej właśnie rzeczywistości. Wylapuję okruchy piękna: krzak tarniny obsypany granatowymi owocami, falisty lot sroki, lazurowy błysk na skrzydle sójki, mała dziewczynka idąca do szkoły z przeładowanym plecakiem, ubrana w puchatą czapkę Duszka, która nieustannie dzieli się ze mną swoimi wrażeniami i spostrzeżeniami.

- Co to za wielki samochód?

- To spychacz. Kiedy jest dużo śniegu, to spychacz oczyszcza ulice, żeby samochody mogły jeździć.

- Ja się boję tego spychaca.

- Jest duży i głośno warczy - kiwam głową ze zrozumieniem.

- Pewnie pani dzisiaj powie, że mam fajne lękawicki - Duszka swobodnie przeskakuje na inny temat.

- Może tak powie...

- I fajne buty!

Wczesne popołudnie.

- Jestem głodna - stały repertuar Duszki i to właśnie wtedy, gdy zabieram się do gotowania obiadu.

- Słodką bułkę czy kanapkę? - pytam rzeczowo.

- Zwykły chleb.

- A z czym? Z nutellą, dżemem czy miodem (o wędliny nawet nie pytam, z góry wiem, że zostałyby odrzucone).

- Wybiolę, jak będzieś smałowac masłem.

OK. Smaruję masłem, a Duszka nieświadoma narastającej we mnie złości bawi się w zagadki.

- Wies z cym chcę? Z m... m... no zgadnij.

- Z miodem? - cedzę przez zaciśnięte zęby.

Mała potakuje. Podaję jej kanapkę i nastawiam wodę na ryż.

Wyjmuję mięso na kotlety. Nikt nie umył patelni po wczorajszych naleśnikach, więc ja muszę to teraz zrobić.

- Ja chcę malować - stwierdza Duszka po przelknięciu ostatniego kęsa kanapki.

- Rozłożę ci farby po obiedzie, teraz jestem zajęta. Duszka uderza w płacz.

- Ale ja bardzo lubię malować!

- Wiem i dlatego na pewno rozłożę ci farby po obiedzie - ze wszystkich sił staram się zachować spokój.

- Ale ja nie lubię obiadów!

- Ja też nie lubię - mówię pod nosem. - A jeszcze bardziej nie lubię ich gotować.

- Nie będę jeść obiadu, tylko coś innego!

- Dobrze, ale musisz sobie sama przygotować.

- Ale ja nie umiem - Duszka patrzy na mnie zbita z tropu.

- No właśnie, jak będziesz duża, to sobie ugotujesz, co zechcesz, a teraz będziesz jeść to, co ja ci zrobię.

Ależ jestem zła. Wcale nie mam ochoty wysilać się na empatię i akceptować jej uczuć. Pralka kończy wirować. Muszę powiesić kolejne pranie.

Po obiedzie siadam do pisania. Wchodzą dziewczyny, które mają u nas angielski. Zbieram od nich pieniądze. Potem płacę nauczycielowi. Czekam, aż skończy się lekcja.

Teraz Tosia ćwiczy na pianinie. Muszę słuchać, czy na pewno gra to, co miała zadane. Ostatnio pani zwracała uwagę, że jest nieprzygotowana. Bo Tosia owszem, lubi grać, ale to, co już umie.

Następna siada do pianina Majka. Zaraz na wstępie obraża się na mnie, że koryguję jej palcowanie. Siedzi nadąsana i nie gra. Zmuszam ją, żeby w takim razie ustąpiła miejsca Jonie, która czeka na swoją kolejkę.

Potem zamykam się w pokoju i puszczam sobie A day without rain Enyi.

Piątek, 2

Ranek. Udało mi się wcześniej wstać. Pranie już zrobione, wisi w łazience. Ubieram Duskę.

- Nie chcę tych spodni! Chcę sukienkę!

- Może być ta? - wyciągam granatową, sztruksową z naszytą aplikacją.

- Tak.

- Dobrze, wobec tego tę niebieską bluzkę wyrzucę już do prania.

- Ale ja ją lubię! - od razu deszcz łez. - Chcę ją dzisiaj założyć.

- No to musisz ubrać się w spódniczkę, a nie w sukienkę.

Dyskutujemy jeszcze przez chwilę i w końcu dziecko jest ubrane. Jakie to jednak ciężkie - ten codzienny rytuał wybierania strojów. Te negocjacje. I ten skurcz w sercu, gdy wchodzę do pokoju dziecinnego ze świadomością, że wkraczam na pole bitwy.

Scałowuję łezki z okrągłych policzków Duszki.

- Lubię, jak się mnie całuje - córeczka patrzy mi prosto w oczy. - Nie lubię, jak na mnie ksycys.

Naprawdę rzadko krzyczę, więc prawdopodobnie mianem „krzyczenia” określa Duszka mój pozbawiony łagodności i przychylności poirytowany ton.

Siadam do hiszpańskiego. En llegado de la estación...

- Jestem Kasia Polly i mam męża, który się nazywa Baltek Polly.

- Dobrze - kiwam głową, nie podnosząc głowy znad podręcznika Spanish. A complete course for beginners.

Duszka podchodzi i całuje mnie w policzek. Ma na buzi ślady po kakaowych kulkach, które jadła z mlekiem na śniadanie.

- Z moim mężem Białkiem idziemy teraz do kościoła.

Niedziela, 4

Imieniny mamy. Majka chora, więc zostaje w domu z Franciszkiem. Ja z pozostałymi dziećmi jadę na imprezę do rodziców.

Zastawiony pysznym jedzeniem stół. Lubię jeść, kiedy nie muszę gotować. Zjawiają się moi bracia z rodzinami. Mama lata między pokojem a kuchnią i trudno ją namówić, żeby posiedziała i porozmawiała z nami. Tak jest zawsze. Taki model przyjęcia i taki wzór gościnności mam wdrukowany na wieki w podświadomość. Dlatego nie lubię urządzać przyjęć. Bo nie potrafię być taka jak mama i źle się czuję w roli obsługującej wszystkich pani domu. Nie cierpię nakłaniać do jedzenia, wypytywać: „A może jeszcze kawaleczek...”. Postawić na stole i chcą, to niech jedzą, a nie, to nie. No dobrze, mogę jeszcze od czasu do czasu urządzić coś z okazji imienin Franciszka albo którejś z dziewczynek (w maju komunia Jony!!!), ale swoje własne święto chciałabym obchodzić tak, że to ja jestem obsługiwana. Niech rodzina wymyśli potrawy na stół, niech upieką ciasta, niech zrobią tort... Tak, wtedy to byłyby prawdziwe urodziny.

Wracamy do domu. Majka wita mnie stęskniona i już do wieczora muszę siedzieć na łóżku i trzymać ją za rękę. Na noc Franciszek przechodzi do górnego pokoju, a ja biorę ją do naszego łóżka.

Poniedziałek, 5

Przeliczyłam się. Myślałam, że skoro chore dziecko śpi ze mną, to noc będzie spokojna. Tymczasem mniej więcej co godzinę Majka budziła mnie, że jest jej niedobrze, że boli ją gardło, że chce jej się pić. Głowę mam wielką jak dynia, obolałą ze zmęczenia i niewyspania. Żebrzącym głosem proszę Majkę, żeby coś zjadła, ale ona kręci przecząco głową i wypija tylko parę łyków herbaty.

- Kupa! Kupa! - Duszka biegnie w kierunku łazienki z naręczem książek w objęciach.

Nie zdążyła. Za długo wybierała lektury i teraz majtki i rajstopy są

do zmiany, a dziecko trzeba umyć. Rozsypane książeczki leżą na progu łazienki. Nie muszę chyba pisać o swoich uczuciach. Mała ryczy, że chce czyste majtki i granatowe rajstopy. Nie ma już czystych granatowych. Wyjmuję z szuflady niebieskie. Duszka, o dziwo, nie protestuje.

- To są takie jaśniejsze glanatowe - lazurkowe oczka patrzą na mnie pogodnie.

Duszka czuje chyba, że przeskrobała, i próbuje na nowo nawiązać ze mną dobrą relację. Oczywiście nie gniewam się na nią. Przytulamy się na zakończenie tej całej historii.

Majka prosi, żebym siedziała z nią cały czas w pokoju. Znowu rośnie jej gorączka. Pytam, czy chce, żebym poczytała jej Mikołajka. Chce. Najchętniej położyłabym się obok niej i odespała nocne zaległości. Ale czytam. Tylko jeden rozdział. Więcej nie daję rady. Majka powtarza szeptem imiona bohaterów.

- A jak się nazywał ten na M? - pyta.

- Maksencjusz.

- Aha. Ja będę Ananiaszem, bo on był pupilkiem pani, a mnie pani prawie najbardziej lubi z całej klasy. Tatuś i Tosia mogą być Alcestem, bo najdłużej jedzą. A ty mamó, kim chcesz być?

- Gotfrydem, bo mieszka w dużym domu i ma basen.

- A ja chcę być Mikołajkiem - oświadcza Duszka.

- Nie chcesz być Rufusem?

- Nie, tylko Mikołajkiem.

- Jona może być Joachimem, bo ma imię na J - snuje dalsze rozważania Majka.

Jestem już wyczerpana stałym dotrzymywaniem towarzystwa choremu sześciolatkowi. Chciałabym wyjść do innego pokoju. Rozpaczliwie potrzebuję chwili ciszy i spokoju. I żeby nikt do mnie nie mówił.

Wtorek 6

Poranek szary i deszczowy. Wstaję z trudem, ale muszę zacząć już ten dzień, bo Duszkę trzeba zaprowadzić na zajęcia. Majka w lepszej formie, ale bez apetytu.

Wychodzimy z Duszką w ponury, ociekający wilgocią świat.

- Jesteś najlepszą mamusią na świecie. - Tak?

- Tak, bo wcale nie ksycys. Cudowna niepamięć dzieci.

Wracam do domu. Przebiegam przez ćwiczenia językowe tylko po to, żeby mieć poczucie, że coś zrobiłam. Wstawiam mięso do piekarnika i biegnę po Duszkę. Wracam. Myję naczynia i usiłuję doprowadzić do porządku zapuszczoną kuchnię. Majka w czasie mojej nieobecności napisała kilka pięknych listów: „Smutno mi bes mamy” albo „Jestem smutna koham mamu tato”. Rozczuła mnie ta pełna uczuć treść i specyficzna ortografia uczącego się pisać sześciolatka.

Przychodzi mama Franciszka, która jest emerytowaną lekarką. Widok chorej wnuczki jest dla niej niczym gra rogów dla myśliwskiego psa. Ogląda Majkę ze wszystkich stron i szybko rzuca diagnozę.

- Strasznie czerwone gardło! I zobacz, ona ma malinowy język! To pewnie szkarlatyna.

- Malinowy język to raczej od malinowego soku - śpieszy mi na ratunek Franciszek.

- A na szkarlatynę była szczepiona - dodaję.

Teściowa jednak obstaje przy poglądzie, że może to być jakaś postać poronna. I że koniecznie trzeba to zdiagnozować, bo paciorkowiec odpowiedzialny za rozwój szkarlatyny może potem zająć stawy i nerki. Wiem, że troszczy się o zdrowie naszych dzieci, ale chwila na roztrząsanie stanu Majki jest nieodpowiednia. Za czterdzieści minut mamy z Franciszkiem wyjść z domu. W tym czasie muszę podać obiad, zjeść go, przebrać się, uczesać i umalować. Osłodę w całym tym zamęcie stanowi niespodziewany okrzyk mamy Franciszka:

- Kamilo! Jaki piękny patchwork!

Nareszcie ktoś docenił moją nieszczęsną wiosenną makatkę.

Wieczór. Zmieniam pościel u starszych dziewczynek przy ich niechętnym współudziale.

- Inne dzieci tak nie mają - narzeka Jona. - Nie muszą zmywać ani mieć swoich obowiązków.

Jak ja tego nienawidzę! Najchętniej bym na nie nawrzeszczała. Zamiast tego mówię sucho, że jestem zmęczona i oczekuję pomocy, a jak będą dalej jęczeć, to wyjdę i wtedy niech same radzą sobie z pościelą. Poskutkowało. Ale i tak jestem zła. Wiem, że dziewczyny nie lubią pomagać w domowych pracach. Ciekawe, czy są takie dzieci, które lubią. Jeśli tak, to zazdroszczę ich rodzicom. I chciałabym wiedzieć, w jaki sposób to osiągnęli. Podskórnie czuję się winna. Myślę sobie, że dzieci wyssały ode mnie wraz z mlekiem niechęć do sprzątanania.

Środa, 7

- Nie ma mojego lolkowego taaaty! Posukaj mi! - zalewa się łzami Duszka.

Nie. Nie. Nie. Nie mam ochoty szukać małego szydelkowego facecika (sama go jej zrobiłam na imieniny) w stercie zabawek.

Obiad przebiega w koszmarnej atmosferze. Tosia wyje, że jej zimno. Wydaje z siebie żalosne buczenie, choć dobrze wie, że mnie to strrrrasznie irytuje. Majka jęczy, że za dużo jej nałożyłam (łyżeczka ryżu) i że jej nie smakuje. Duszka płacze, bo nie może znaleźć szydelkowego „taty”. Zjadam swoją porcję tak szybko, że prawie się krztuszę. Byle dalej od kuchni i od dzieci. Wychodzę. Tośka z Majką od razu zaczynają się kłócić. Wrzask. Płacz. Nogo-i rękoczynny.

- Mamo! Majka mnie kopała!

- Bo ty mnie ciągnęłaś za włosy!

- Bo ty mówiłaś: „Nie wyj”. Wkraczam wściekła.

- Zjedzcie szybko i wyjdźcie. I nie wolno wam się do siebie teraz odzywać. - Na pewno wyglądam jak zła królowa albo szpetna czarownica, albo mam minę jak zmija. Jest mi wszystko jedno.

Chowam się do pokoju. Dzień jest szary i ponury jak jedna wielka depresja. Dochodzi druga po południu, a już trzeba zapalić światło. Z czereśni za oknem kapie woda. Na naszej wiecznie nieutwardzonej ulicy błoto i kałuże stojące w koleinach. Pewien znajomy Holender opuszcza na ten czas Europę i najbardziej mroczne miesiące roku spędza w Indiach. Też bym tak chciała. Może nie do Indii. Wystarczyłaby mi Korsyka albo Majorka.

Majka staje na progu pokoju, patrzy na mnie spode łba i burkliwym głosem mówi:

- Herbaty!

O nie! Nie w ten sposób.

- Jeśli chcesz, żebym ci zrobiła herbatę, oczekuję, że mnie o to poprosisz.

Poprosiła. Spełniłam prośbę. Cała ta sytuacja mocno ją jednak ruszyła, bo teraz, po wypiciu herbaty, produkuje liczne liściki, które wsuwa przez szparę pod drzwiami do mojego pokoju.

„JESTEM SMUTNA”.

„JEST MI PSZKRO” (list opatrzony szeregiem odwróconych do góry nogami serduszek).

- Dlaczego jest ci przykro? - pytam. Spod drzwi wysuwa się kolejna kartka:

„NOBO MI NIEZROBIŁAŚ HERBATY” (zrobiłam, ale widocznie to, że musiała prosić, nadal ją boli).

I jeszcze następna, na której widnieje rysunek dziewczynki w długiej, czarnej sukni i podpis: „SMUTNO MI JEST NA TYM RYSUNKU”.

Przytulam Majkę i z całego serca doceniam jej umiejętność

wyrażania uczuć.

Po francuskim znajduję na moim fotelu kartkę z dużym, czerwonym sercem. Podpis głosi: „TU JEST MI WESOŁO”.

Duszka znowu chodzi i płacze, że coś zgubiła. Tym razem spinki. Nic dziwnego, ciągle je zdejmuje i gdzieś odkłada. Ryk jest ogłuszający. Tosia ratuje sytuację i daje jej swoje.

Czwartek, 8

Dlaczego trzeba wychodzić z łóżka w taki dzień? Ciemno, mokro, a z nieba leci coś, co meteorolodzy określają mianem śniegu z deszczem. Czeka mnie odprowadzenie Duszki na zajęcia i zaopatrzenie domu w pieczywo, bo nie ma już nic do jedzenia. Majka, która nie wydobrzała jeszcze na tyle, żeby iść do szkoły, kładzie mi na biurku kolejny list: „JEST MI SMUTNOJAK MAMA WYHODZI AJA ZOST AJE”. (Na buzi nie widać jednak smutku. Majkę rozsadza duma z opanowania trudnej sztuki wyrażania uczuć za pomocą listów. Widzę, jak spuszcza głowę, żebym nie widziała jej uśmiechu).

- Pani! Co pani tyle bułek kupuje! Kto pani to zje? - wykrzykuje facet stojący za mną w sklepie.

- Mam czwórkę dzieci. Zjedzą te bułki w ciągu jednego dnia.

- Czwórka dzieci! Na takie czasy!

Wracam do domu. Na fotelu znowu list: „JAK MI JEST W ESOŁO ZMAMOŁ”, a pod spodem wielkie, czerwone serce.

Jak mi jest wesoło z córeczką, która co chwila coś do mnie pisze i kryjąc się za fotelem, czeka na moją reakcję. Czuję miłe ciepło w okolicy serca i jednocześnie lekkie zniecierpliwienie, bo ta korespondencja nie pomaga mi w przyswajaniu włoskich słówek.

Idę po Duszkę. Kiedy wracamy, Majka macha przez okno naszej sypialni i pokazuje białe zawiniątko przychepione do wiszącego witrażyka. Cała aż skacze z podniecenia. Z namaszczeniem rozwijam paczuszkę i

znajduję w środku galaretkę w czekoladzie. Moje kochane dziecko dzieli się ze mną swoimi zapasami słodczy. Takie gesty miłości od dzieci bardzo podnoszą mnie na duchu. Tym bardziej, że właśnie w tej chwili Jona zaczyna swoją starą śpiewkę: „bo inne dzieci to...”.

- Bo innym dzieciom to rodzice robią śniadania i kanapki do szkoły. I inne dzieci nie mają żadnych dyżurów. I mamy odrabiają z nimi lekcje i nawet czasem za nie rysują.

Niech odrabiają. Same pakują się w kłopoty i to na całe lata. W jaki sposób nauczą dziecko samodzielności i odpowiedzialności za własną naukę? W przypadku dyslektyków zrozumiałe jest, że dzieci potrzebują pomocy, ale reszta? Nie myślę tu o sytuacji, kiedy dziecko czegoś nie rozumie, ale o zwykłych zadaniach typu „przepisz i podkreśl”. A kanapki do szkoły? Może powinnam robić? Nie, już wolę się pogodzić z faktem, że inni rodzice są łagodniejsi, miłsi, fajniejsi i mniej wymagający.

Wieczorem robimy wspólnie sałatkę jarzynową. Duszka szybko się zmęczyła krojeniem marchewki, ale reszta pracuje z werwą. Tym razem w kuchni nie ma tak straszliwego pobjowiska, jak to zwykle bywa, gdy dzieci biorą się za działalność kulinarną. Widzę, jakie są zadowolone. Mogłabym częściej urządzać takie wspólne sesje. Nie jest to jednak takie proste przy mojej wciąż niezaspokojonej potrzebie odosobnienia.

Piątek, 9

Palce Majki to obraz nędzy i rozpaczy. Musiała znowu dotykać czegoś, co ją uczuła. Skóra złazi z opuszek palców, jakby była sparzona. Może to te nowe „spinery”, które Franciszek kupił dzieciom na Mikołajki. Smaruję chore miejsca maścią i każę Majce bawić się wyłącznie w rękawiczkach. Najpierw trzeba ją jednak nakłonić, żeby się ubrała. Przez czas choroby zasmakowała w paradowaniu przez cały dzień w piżamie. Ooo... lzy i rozzalenie. Nie mam ochoty zaczynać dnia od walki i obiecuję, że ją ubiorę. Niech na chwilę poczuje się małym dzieckiem.

Franciszek przywiózł ze szkoły listę z ćwiczeniami do nadrobienia. Dużo ich, więc Majka zaczyna pochlipywać. Już widzę, co mnie czeka tego poranka. Rysuję szereg małych kwadracików i mówię Majce, żeby po zrobieniu jednego zadania skreślała jeden kwadrat. Działa. (Tak, to działa prawie zawsze. Nie raz wypróbowałam na sobie tę metodę. System kwadracików albo lista zadań, które można wykreślać w miarę, jak się człowiek z nimi uporał, to jedyny sposób mobilizujący osoby takie jak ja do podjęcia wysiłku).

Zasiadam do włoskiego.

- Mamo, co tu trzeba zrobić?! - woła mnie Majka ze swojego pokoju.

- Narysować swoje ulubione zwierzątko.

- Nie umiem rysować zwierząt! Nie umiem narysować kota... - lży i obrażona mina.

Z coraz większym trudem udaje mi się panować nad własnymi emocjami. Czy naprawdę muszę od rana wysłuchiwać dziecięcych jęków? Poza tym, ja też nie potrafię rysować zwierząt, a zwłaszcza kota. Przyglądam się obrazkowi jakiegoś Mruczka i zaznaczam kropkowany zarys zwierzaka. Majka uspokojona łączy kropki ciągłą linią. Wracam na swój fotel. Udaje mi się przeczytać dwa zdania po włosku.

- Już skończyłam. Co mam teraz zrobić? - Majka podtyka mi pod nos książkę z ćwiczeniami.

Kot jest pomalowany na brązowo. Ma paski, które biegną wzdłuż, a nie w poprzek tułowia. Wygląda jak arbuz. Oczywiście nie mówię tego na głos. Przekręcam kartkę i objaśniam następne ćwiczenie. Szlag mnie już trafia od tego biegania do Majki. Zła jestem, że nie mogę w spokoju dokończyć języków, że zupełnie nie mam szans, żeby się nad nimi skupić. Hiszpański chyba w ogóle mogę sobie darować. Na dziś wypada mi akurat ćwiczenie z tłumaczenia. Plączą mi się formy czasownika „haber”, jakieś hubie, hubi-ste, hacia, hicimos. Trzeba niezwyklej koncentracji, żeby się w

tym wszystkim połapać!

Wchodzi Jona i zadowolona opowiada, że wracała ze szkoły z Bartkiem, że rozmawiali, że ma dziś lekki plecak, bo wzięła tylko karty pracy... Próbuję słuchać tego wszystkiego cierpliwie, próbuję być mamusią pogodnie witającą dziecko, które wróciło do domu. Całuję ją w czoło, głaszczę zimny policzek i chce mi się płakać.

Popołudnie. Zamykam się w pokoju i usiłuję pisać. Zaczynam od wykreślenia połowy strony, bo to, co ostatnio napisałam, przypomina scenę z tandetnego amerykańskiego romansu. Wchodzi Duszka.

- A Majka się nie zgadza, żebym się nazywała w zabawie Ewa Kulińska!

- To ty decydujesz, jak się nazywasz - mówię, patrząc jej prosto w oczy.

Duszka jednak traci ochotę powrotu do zabawy z siostrą. Wyciąga kłębki kordonków z dolnej szuflady mojego biurka i zaczyna się bawić w rodzinkę. Po chwili nadchodzi Majka. Żegnaj pracy literacka! Jestem wściekła.

- Chcę, żebyście stąd wyszły.

Nie widać, żeby się tym przejęły, więc w końcu ja uciekam z pokoju, choć to zupełnie niewychowawcze. Zamykam się w sypialni na dole.

Szarpanie za klamkę.

- Ale ja chcę być z tobą! - oczywiście Duszka.

- A ja chcę teraz w spokoju pracować - odpowiadam twardo.

- Ale ja nie mogę się tak nudzić i nudzić!

Poniedziałek, 12

Ranek. Wpół do dziewiątej. Powoli zbieram się, żeby wstać.

- Uuuu... - z góry dobiega niskie, rozpaczliwe wycie. Tosia! Biegnę, oczywiście na bosaka, po schodach.

- Dlaczego nikt mnie nie obudził?

- A nie idziesz dziś na trzecią lekcję?

- Nie... na ósmą pięćdziesiąt uuuu...

No tak, nie zdąży. Powstrzymuję się od wygłoszenia pouczająco złośliwego kazania, że gdyby nie gadała z Joną do jedenastej, to nie miałyby kłopotów ze wstaniem.

- Mamusiu, zrobisz mi śniadanie? - Tak.

- A napiszesz mi usprawiedliwienie?

Czy można pisać usprawiedliwienie, że dziecko zasnęło? Czy to nie jest niepoważne? W końcu biorę zeszyt korespondencji i piszę: „Tosia była nieobecna na pierwszej lekcji, bo zasnęła. Jeśli to możliwe, proszę o usprawiedliwienie tej nieobecności”.

Tosia pochlipując oskarża Jonę, że najpierw obudziła ją za wcześnie, a potem, wychodząc do szkoły, nie obudziła. Przyjmuję to do wiadomości bez komentarza, choć złości mnie bezpodstawne zwalanie winy na innych. Uciszam ją tylko, żeby nie obudziła Duszki... Za późno, niestety.

- Już się obudziłam. Ubierz mnie w inną sukienkę i daj mi mleko. Mogę się pożegnać ze spokojnym porankiem. Biorę na ręce małego rozczochrańca w żółtej pizamce i sadzam przy kuchennym stole.

Wieczór zaczyna się o dwunastej w południe. Za oknem ciemnogrnatowe chmury. Nie sposób funkcjonować bez zapalonego światła. Wszystkie znajome kobiety dzielą się uczuciem depresji związanym z brakiem słońca i z wszechogarniającym szarym półmrokiem. Od tego zaczyna się niemal każda rozmowa. Ciekawe, że na mężczyzn ponura pogoda wydaje się jakoś mniej oddziaływać. Resztki śniegu stopniały. Powietrze przesiąknięte jest wilgocią. Mogę się tylko pocieszać, że nie mieszkam w Finlandii.

17.00. Wrzaski na górze. Bez trudu rozpoznaję wściekły ryk Tosi. Może młodsze przeszkadzają jej w lekcjach? Skrzyp drzwi i charakterystyczne kroki Franciszka. Bardzo dobrze, niech on zaprowadzi

porządek. Mija kilka chwil i oto roześmiane Majka i Duszka zjawiają się w moim pokoju.

- Tata nam nie pozwolił być na górze, choć wcale nie przeszkadzałyśmy - oznajmia Majka.

- I nas poleje wodą - dodaje Duszka.

- Tak powiedział, że jak stamtąd nie pójdziemy, to nas poleje zimną wodą albo da nam klapsy - uzupełnia Majka.

Śmieją się obie.

Wpisy do kalendarza na ten tydzień:

*Przypomnieć Tosi, żeby wzięła materiały do robienia kartek świątecznych.

*Tosi dać 20 złotych na angielski.

*Tosia ma sprawdzian z przyrody. Przepytać ją!

*Sprawdzać Tosi ćwiczenia z pianina, żeby je robiła według wskazówek pani.

Wygląda na to, że jestem osobistą sekretarką mojej najstarszej córki.

Straszny płacz Majki. Przedtem były odgłosy sprzeczki. Chyba coś się stało. Pędzę do pokoju dziecinnego.

- Ona mnie kopnęła w oko! - płacze Majka, zakrywając dłońmi twarz.

- Bo ona nie chciała włożyć Dzidzi Lalki do kufla - Duszka także zalewa się łzami.

Przykazanie pierwsze: zająć się poszkodowanym. Biorę Majkę na ręce (jakaż ona lekka po tej chorobie) i zanoszę do mojego pokoju. Całuję mokre policzki. Na agresora (Duszkę) nie zwracam uwagi.

- Mnie też tseba psytulić! Bo ona nie chciała schować Dzidzi Lalki!

- Bo Dzidzia Lalka miała być naszym dzieckiem - odpowiada Majka.

- Ja chcę, żeby Gablysia była naszym dzieckiem!

- A ja nie chcę.

- Może mogłybyście mieć bliźniaki? - sugeruję ostrożnie.

- Nie możemy mieć bliźniaków, bo nie mamy dwóch takich samych lalek - oponuje Majka.

- Bliźniaki nie muszą być takie same - wyjaśniam. - Na przykład wasz dziadek ma siostrę bliźniaczkę, a przecież chłopak i dziewczyna nie są tacy sami, prawda?

Majka potakuje z uśmiechem.

- Możecie mieć też trojaczki - rozpędzam się - albo pięcio-raczk. Kiedyś jednej pani urodziły się pięcioraczki. (Przypomina mi się smutny artykuł o kanadyjskich pięcioraczkach, wychowywanych nie przez rodziców, tylko przez medyczny personel. I o ich życiu pozbawionym miłości).

- I tak wychodziły jedno po drugim? - dopytuje się Majka.

- Nie wiem, czasem dzieci rodzą się normalnie i wychodzą jedno po drugim, a czasem trzeba mamie rozciąć brzuch i je wyciągnąć.

- A tobie rozcinali?

- Nie, wszystkie rodziłyście się normalnie.

- A któledy? - Duszka chyba jeszcze nie słyszała o tym, jak się rodzi dziecko. Starszym opowiadałam to już nie raz.

- Przez taki specjalny otwór, który nazywa się pochwa.

- To znaczy, przez siusiaka? - pytanie zadaje Majka. Mam wrażenie, że zna odpowiedź, ale z jakiegoś powodu chce ją jeszcze raz usłyszeć.

- Nie - mówię - otworek, którym się sika, jest bardzo, bardzo malutki, a ten, którym się rodzi, może się rozszerzać tak, żeby zmieściła się duża głowa dziecka.

- A jak zialenko wchodzi do ślodka? - strzela nagle Duszka. Trafiony - zatopiony. W myślach biorę głęboki, bardzo głęboki oddech. Na zewnątrz pełna swoboda i nonszalancja. Przecież mówimy o procesach naturalnych, nieprawdaż? Na szczęście nie jest to mój debiut, chociaż po raz pierwszy pytanie takie pada z ust czterolatka.

- Rodzice bardzo się kochają i przytulają... - zaczynam.

- Na goło? - uściśla Majka.

- Mogą na goło.

- A kiedy to robią?

- W nocy, jak nikt nie widzi - odpowiadam ze śmiechem i od razu ciągnę dalej, żeby jak najprędzej mieć to za sobą. - Tak się blisko przytulają, że siusiak taty, czyli penis - to jest jego prawdziwa nazwa, wchodzi do pochwy mamy. Do tego otworu, przez który rodzi się potem dziecko. I wtedy ziarenka wystrzelają i pędzą, pędzą... i się ścigają, które będzie pierwsze. A jak to najszybsze połączy się z jajeczkiem mamy, to wtedy Pan Bóg mówi: „To będzie Duszka” albo „To będzie Majka” i zaczyna się rozwijać dziecko.

Uff... Duszka wysłuchała tego wszystkiego bez mrugnięcia powieką, absolutnie zafascynowana. Gratulacje, moja droga Kamilo. Dostajesz order nieustraszonej i kompetentnej matki.

Wtorek, 13

Wieczór. Kładę nogi na małym stołeczku i kontempluję swoje wyczerpanie. Poza mną już kolacja dla dzieci, rozbieranie Duszki

(Franciszek na szczęście ją wykąpał, ale zapomniał, który jest jej ręcznik i wytarł ją moim), wycinanie Majce łuszczących się skórek z dużych palców stóp, nakładanie specjalnych plastrów na brodawki na piętach Tosi (pamiątka po basenie), powtarzanie z Tosią przyrody, bo jutro ma sprawdzian.

Jak nauczyć dziecko metod wychwytywania i przyswajania najistotniejszych informacji? Tosia nie umie precyzyjnie odpowiadać na pytania. Pomaga sobie rękami i zwrotami „no takie tego...” i „bo jak na przykład”. Próbuję zachęcić ją do bardziej składowych odpowiedzi. Zostały nam jeszcze dwa rozdziały. Padam na nos i mam ochotę poczytać sobie Clive’a Cusslera. Nie ma to jak za-wikłane i niebezpieczne afery, z których

bohater zawsze wychodzi cało i to z piękną damą u boku na dodatek.

Środa, 14

- Mamo! Obiecałaś mi haftowaną serwetkę do mojego domku - to Majka.

Biegnę na górę i wynajduję odpowiedni rozmiarem bieżnik. Trzaśnięcie drzwi. Wraca Tosia. Oddaję serwetkę Majce i idę przywitać moje najstarsze dziecko.

- Ada mnie popchnęła i zbiłam sobie łokieć. Strasznie boli - Tosia ma zbolaną minę.

- Podwiń rękaw, muszę zobaczyć.

- Nic nie zobaczysz, bo jest zabandażowany. Byłam u pani pielęgniarki, powiedziała, że to tylko siniak, ale założyła opatrunek.

Zdaje się, że szkolna pielęgniarka, podobnie jak ja, świadoma jest niezwyklej ozdrowieńczej i przeciwbólowej mocy wszelkich plastrów i opatrunków. Rozwiązuję bandaż. Rzeczywiście jest tylko siniak, ale Tosia potrzebuje troski i tego, żeby się nad nią trochę poroztkliwiać. Poświęcam więc porządną chwilę na oględziny łokcia i rozmowę o przebytej kontuzji.

- Mamo, pomóż mi - teraz z kolei przychodzi z petycją Jona. - Pani kazała zrobić szopkę już na jutro, a ja nawet nie wiem, jak zacząć.

Idę na górę i czytam instrukcję. Aha, szopka ma być z pudełka po butach. Schodzę do schowka i ze stosu pudeł wybieram opakowanie po dziecięcych kozaczkach. Wracam do Jony i razem oklejamy przyszłą szopkę papierem samoprzylepnym.

- Mamo! - woła Majka z dołu - Potrzebuję twojej pomocy, bo chcę teraz odrobić pianino.

Schodzę. Mówię jej nutka po nutce, którymi palcami ma grać. Nagle się obraża. Nie wiem, o co chodzi. Czy o to, że za szybko pokazywałam klawisze, czy o to, że przelożyłam jej palec? Z Majką nigdy nie wiadomo. Nienawidzę takiego obrażania. Dziś jednak mam niewyobrażalne zasoby

cierpliwości, więc mówię spokojnie:

- Chcę, żebyś mi mówiła słowami, o co chodzi. Spuszczona głowa, twarz zasłonięta włosami. Zero kontaktu.

- Jeśli zdecydujesz, że chcesz mojej pomocy, to zawołaj. Wychodzę do swojego pokoju. Może uda mi się chwilę poczytać.

- Mamo! - zatrzymuje mnie w pół kroku wołanie z góry. - Co dalej z tą szopką?

Wędruję na górę i udzielam instrukcji. Wracając, mijam zgarbioną przy pianinie Majkę.

- Chcesz, żebym ci pomogła? - pytam.

W milczeniu kiwa głową. Siadam przy niej i już we względnej zgodzie i spokoju dojeżdżamy do końcowych taktów Przybieżeli do Betlejem pasterze.

Czwartek, 15

Dzień nr 1 w skali ponurości. Ciemno, mokro (deszcz), a do tego porywisty wiatr. Wstałam o siódmej rano, bo Franciszek wyjechał na konferencję i to ja musiałam wyprawić dzieci do szkoły. Na szczęście wydobyłam się z pościeli bez większych wewnętrznych oporów.

Budzę dziewczyny. (Chyba nie nastawiły sobie budzików). Idę grzać mleko. Mogę dziś poudawać troskliwą mamę, która w mroczny, grudniowy poranek przygotowuje dzieciom śniadanie.

Wpół do ósmej. Zaczynają mi puszczać nerwy. Za piętnaście minut ma podjechać dziadek Julki (koleżanka Jony) i zabrać nasze dzieci do szkoły, a tymczasem Tosia potwornie się grzebie. Czy to dziecko w ogóle nie ma poczucia czasu??? Prawie wypycham ją za drzwi.

Idziemy z Duszka na zajęcia dla przedszkolaków. Kapie deszcz. Kurtki lśnią od wilgoci.

- Jesteśmy dwie damy - mówi uroczyście Duszka.

Raczej nie przypominam damy w czapce nasuniętej na oczy i

nakrytej kapturem.

Piątek, 16

Jak to dobrze mieć przyjaciółkę psycholożkę. Myślę o Alicji, która poleciła mi przeczytać Sztukę mówienia „nie” Clouda i Townsenda. (Tytuł odpychający. Nie rozumiem, dlaczego tłumacz odszedł od tytułu oryginału: Boundaries - granice). Pod wpływem tejże książki postanowiłam w końcu zadbać o swoje granice.

Pierwsza sprawa - ograniczyć bieganie do dzieci na każde „Mamo!”. Ruszając więc na podbój domu z odkurzaczem w ręku, zapowiedziałam Majce, że jeśli będzie miała do mnie jakieś pytania w związku z odrabianymi lekcjami, to ma przyjść, a nie przywoływać mnie z najodleglejszego pokoju. No i proszę, odkurzam spokojnie na górze, odkurzam na dole, a Majka z książką zjawia się co parę minut, żebym odczytała jej tekst polecenia. Nie uginam się też pod jęklwym: „Nie umiem narysować smoka”. Szkicuję jej pobieżnie na jakimś karteluszk, jak taki smok mógłby wyglądać, i wracam do pracy. Majka nie protestuje. Chyba wyczuwa, że nie jestem taka miękka jak zazwyczaj. Sama zabiera się za rysowanie. Kiedy przynosi ukończoną pracę, widać, że jest z siebie zadowolona.

Wieczór. Dziewczyny rozmawiają w łózkach.

- Duszka, ty ćwicz mówienie - poucza Majka. - Staraj się mówić „r”, a nie „l”. A wiesz, dlaczego? Bo jak w zerówce będziesz mówiła „l” zamiast „r”, to będziesz musiała chodzić do logopedy. A wiesz, po co się chodzi do pani logopedy? Żeby nie seplenić.

- Ale ja nie chodzę do pani logopedy.

- Bo na zajęciach dla przedszkolaków nie ma logopedy.

- A w zelówce jest?

- Jest i nie tylko chodzi się do niej, jak się nie wymawia „r”, bo można też nie wymawiać innych liter.

Od pójścia do zerówki Majka zaczęła przyjmować wobec Duszki postawę dydaktyczno-moralizatorską. Czasami odnoszę wrażenie, że chce młodszej siostrze objaśnić reguły rządzące światem (światem na poziomie pierwszych lat szkoły podstawowej).

- Mamusiu, paznokcie! - Duszka wchodzi do naszej sypialni z wyciągniętym przed siebie palcem.

Dochodzi wpół do dziesiątej. Naprawdę nie mam ochoty o tej porze zajmować się dziećmi. Ciekawe, jak to się dzieje, że złamane paznokcie zauważa się dopiero w nocy? Nie skończyłam jeszcze z Duską, a tu zjawia się Jona.

- Mamo! Tośka wciąż pali swoją lampkę!

Wolałabym, żeby Franciszek zajął się interwencją w sypialni starszych dziewczyn, ale on właśnie rozmawia przez telefon. Idę na górę. Nie jestem miła. Tosia udaje, że nie zauważyła, iż już dawno minęła dziewiąta (pora, kiedy ma gasić światło). Czy mam jej odebrać lampkę? Wychowywanie dzieci jest ciężką pracą.

Sobota, 17

Sprzątam rzeczy z kredensu. To nasz najładniejszy mebel. Z ciemnego drewna, staroświecki, z rzeźbionymi drzwiczkami i kolumnkami, byłby prawdziwą ozdobą dużego pokoju, gdyby nie to, że Franciszek traktuje go jako podręczny blat do odkładania różnych papierów. Usuwam teraz, warstwa po warstwie, nagromadzone rzeczy: koperty ze zdjęciami, album, planszę do scrabble, zdjęcia rentgenowskie stłuczonej pięty Franciszka, rachunki telefoniczne z dołączonymi do nich ulotkami, za pomocą których TP SA chce przywabić klientów, nożyczki dziecinne, suwmiarka (skąd się tu wzięła?), album ze zdjęciami Tosi, długopis... Pod tym wszystkim leży sponiewierana haftowana serweta, która ma pełnić funkcję dekoracji.

Druga, równie zagracona powierzchnia, to pianino. Tutaj, oprócz

stosu nut o poszarpanych brzegach, można znaleźć zeszyty dzieci, notes z telefonami, trzy stępione ołówki oraz zabytkowego lwa przy-tulankę, którego Franciszek dostał na swoje pierwsze urodziny i w ramach adwentowego wieczoru wspomnień pokazywał dzieciom.

Poniedziałek, 19

Dziś na obiad pizza. Przynajmniej mogę być pewna, że dzieci nie będą narzekać.

- Wiecie, co jem? - pyta Duszka z buzią umazaną ketchupem. - Jem najpyszniejszą na świecie pizzę.

Błogość rozlewa się po moim wnętrzu, mimo iż jestem świadoma, że pizza dzisiejsza jest dość przeciętnym dziełem sztuki kulinarnej.

Godzinę później słyszę straszny płacz.

- Majka udeżyła mnie w głowę! - Duszka pakuje mi się na kolana i ociera zasmarkany nos o moją kamizelkę.

Przytulam ją i w tym samym momencie łowią uchem cichy szloch Majki, która stanęła tuż za mną tak, że nie widzę jej twarzy.

- Bo ona mnie uderzyła klapą od pianina w palec. O nie! Zrzucam Duszkę z kolan.

- Nie wolno tak robić! Jesteś za mała, żeby samodzielnie zamykać klapę! Możesz komuś zrobić krzywdę! Zobacz, Majka płacze, boli ją palec!

- A mnie boli głowa! - wrzeszczy Duszka oburzona nagłym zwrotem akcji. - I to było niechcący!

- Nawet jeśli niechcący, to trzeba przeprosić - tłumaczę już nieco spokojniejszym głosem.

Duszka bez oporów podchodzi do Majki:

- Pseplasam.

Przytulam je obie. Mała, znów na kolanach, wygłasza całą litanię zasad. W jej głosie słyszę echo moich pouczeń:

- Nie wolno kogoś bić! Bicie w głowę jest niepsyjemne. Nie bije się

innych.

Dzisiejsza karteczka w kalendarzu adwentowym oznajmia, że mamy robić łańcuchy na choinkę. Napisane jest: „... wspólnie z mamą”, więc siedzę z nimi przy stole i nawlekam igły zieloną nitką dla moich czterech kobiet. Na blacie stoją pudełka po lodach wypełnione błyszczącymi igielkami zrobionymi ze sreberek po czekoladzie i cukierkach. Duszka śmiało bierze igłę z nitką. Patrzę w napięciu na jej małe paluszki i cała aż sztywnieję w oczekiwaniu na okrzyk bólu, który nieuchronnie nastąpi po pierwszym ukłuciu. Nic takiego jednak się nie dzieje.

- Daję sobie ładę, plawda? - uśmiecha się do mnie Duszka znad migocących sreberek.

Starsze dziewczyny zaczynają wyśpiewywać melodię z Reksia, ze Smerfów, po czym płynnie przechodzą do wariacji na temat kolędy Oj, maluśki, maluśki, wkładając szczególnie dużo serca w jęklive zawodzące tony.

- Lepiej zaśpiewajmy coś wesołego - rzuca Tosia i intonuje - „Pałacyk Michła, Żytunia, Wola, bronią się chłopcy spod Parasola”...

Wpadam w osłupienie. Piosenki z Powstania Warszawskiego nie kojarzą mi się z niczym wesołym.

- Mamusiu, a zaśpiewaj to, co kiedyś nam śpiewałaś. Coś takiego, że tam było „rano” - prosi Majka.

- Rano?... - zastanawiam się. - Może „W ogródku cichutko, choć to jeszcze wcześniej...”.

- Nie, to było coś innego...

Jona z Tosią wyśpiewują niekończącą się piosenkę o czterech małych Murzynkach. Majka przerwała robienie łańcucha i ze skupioną miną usiłuje sobie przypomnieć, jakie były słowa piosenki, którą mam jej zaśpiewać.

- A to była smutna piosenka czy wesoła? - ja też drażę temat.

- Wesola... - odpowiada z lekkim wahaniem.

- Już wiem! - błyska zębami Jona. - „A rano budzę się ślicz-ny...

Majka z uśmiechem kiwa głową.

Odśpiewujemy wspólnie Upiornego twista z Kabaretu Starszych Panów, wkładając dużo energii w upiorny śmiech.

- Mamo, włącz tę kasetę - proszą dzieci.

Cztery razy odsłuchujemy Wiesława Gołasa. Dziewczyny wniebowzięte.

- Ha ha ha ha - śmieją się basowo na zakończenie piosenki. Czy można to nazwać świąteczną atmosferą?

Wtorek, 20

Od rana pada śnieg.

- Może byś zawiozła Duszkę na zajęcia sankami? - pyta półgłosem Franciszek.

Właściwie czemu nie? Nie należę co prawda do tych matek, które gdy tylko zrobi się białe, wybiegają z dziećmi na dwór, lepią bałwana, urządają bitwy na śnieżki albo wyścigi saneczkowe. Zimowe sporty nigdy mnie nie pociągały (jeśli mam być szczerą, to w ogóle żadne sporty mnie nie pociągały), ale wiezienie niespełna czteroletniego tłumoczka na sankach nie budzi we mnie większego sprzeciwu. Jest też szansa, że szybciej dotrzemy na miejsce.

Franciszek wyciąga sanki, a ja nareszcie mobilizuję się do tego, żeby znaleźć zimową kurtkę Duszki. Czapka, szalik, rękawiczki, kaptur na głowę i moje dziecko wyglądające jak kosmonauta sadowi się na sankach. Czuję się odświętnie z tym śniegiem i zimową atmosferą.

Błogosławione dwie godziny, kiedy Duszka jest na zajęciach, mogę przeznaczyć na języki. Wszystko znacznie łatwiej wchodzi do głowy, gdy żadne płowowłose stworzonko nie oczekuje ode mnie aktywnego udziału w świecie należącym do jego wyobraźni.

Idziemy z Joną odebrać Duszkę. Już z daleka widzimy, że na środku ulicy leży jakiś człowiek. Obok niego - przewrócony rower. Niezdarne ruchy mężczyzny sugerują, że może być pijany. Kiedy to sobie uświadamiam, czuję w środku znajome dźgnięcie niepokoju. „Pijacy” zawsze wzbudzali we mnie strach, a w miasteczku, w którym upłynęła większa część mojego dzieciństwa, ich zataczające się sylwetki były stałym elementem pejzażu. Bałam się zaczepek, bełkotliwej mowy, nieobliczalności, przekrwionych oczu i przeżartych alkoholem twarzy.

Patrzę na bezradnego, wychudzonego dziadzinę, który wciąż bezradnie gramoli się w śniegu i nagle dociera do mnie, że już nie jestem małą dziewczynką. Jestem dorosłą kobietą, silniejszą od leżącego przede mną człowieka. Zdecydowanym ruchem podnoszę rower i daję do przytrzymania Jonie. Później pomagam wstać „dziadkowi”, od którego rzeczywiście wionie alkoholem. W tej chwili nie ma to dla mnie znaczenia. Mężczyzna mamrocze jakieś podziękowania i odchodzi, opierając się mocno o rower.

Kosz na brudne ubrania. Wiem, że na jego dnie czają się na mnie całe zgraje skarpetek o czarnych lub mocno szarych podszwach. Wdeptany brud, którego nie usunie zwykle pranie w pralce, tylko pracowite zapieranie w rękach. Czas stawić czoła rzeczywistości. Z ciężkim westchnieniem wyrzucam zawartość kosza na podłogę łazienki. Wyciągam skarpety - jedne ładnie zwinięte w kulkę, inne bez pary. Robi się tego cały stos. Godzinę stoję nad zlewem i szarym mydłem szoruję zabrudzenia. Ręce mam jak papier ścierny. Czarna robota, o której nikt w rodzinie nie ma pojęcia. Wrzucam ostatnią parę do pralki i idę poczytać Państwo strachu Crichtona.

Środa, 21

Niech już miną te najkrótsze dni w roku i będzie można czekać na wiosnę. Franciszek poszedł dziś mrocznym świtem z całą czwórką i z lampionami na mszę roratnią. Nie zdobyłam się na taki heroizm.

Zagrzebana w koldrę, słuchałam płaczów Duszki. Poszło chyba o wybór stroju. Ciekawe, jak sobie Franciszek z tym poradził?

Przed ósmą udaje mi się wygrzebać z łóżka. Szybko się ubieram, słysząc nasz samochód podjeżdżający pod dom. Nie chcę wyjść na zupełnego śpiocha.

Robię sobie kanapkę, herbatę i zasiadam przy stole. Zarumieniona Duszka wchodzi do kuchni:

- Niosłam lampion, wiesz? - mówi rozpromieniona i dodaje zupełnie innym tonem - a teraz chcę inną suknię. Taką, żeby mi bal-dziej pasowała.

No jasne, tatuś nie dobrał stroju pod kolor.

- Ja teraz jem. Idź sobie coś wybierz. Sama.

Ciekawe, czy sięgnie do szafki? Sięgnęła. Wraca z granatowo-czerwoną princeską.

- Ta pasuje. Celwony pasuje do lajstop, a glanatowy do kapci.

- Świetnie. Przebiorę cię po śniadaniu.

- Ja chcę teraz! - tupanie i płacz.

- Jest senna - mówię do Franciszka. A na to mój mąż:

- Nie jest senna, tylko ty zawsze robisz to, co ona chce.

- Wcale nie.

„To sam się nią zajmuj od rana do wieczora, jak jesteś taki mądry. To znoś jej płacze i jęczenia. A w ogóle jak śmiesz mnie krytykować” - to wszystko wypowiadam w myślach zjadliwym tonem, nie odzywając się ani słowem.

Herbata wypita. Przebieram Duskę. Chcę jej wsadzić koszulkę w rajstopy i widzę, że pod spodem nie ma majtek. Tak, drogi Franciszku, nie założyłeś dziecku majtek, a na dworze lodowato. Mam nadzieję, że Duszka nie przeziębii się z twojego powodu.

Bigos. Zawsze na święta robię bigos, bo Franciszek lubi, a poza tym zapach gotującej się kapusty z suszonymi grzybami to drugi po

piernikowym aromacie element bożonarodzeniowej atmosfery. Kroję więc kapustę, a Duszka podjada. Z niepokojem myślę o wieczornych zajęciach z dziećmi - na ten dzień nasz kalendarz adwentowy głosi: „Wspólne robienie ozdób z masy solnej z mamą”. Od tej akurat działalności chętnie bym się wymigała. Po pierwsze, nie umiem robić odpowiednio plastycznej masy, po drugie - lepienie czegokolwiek nie jest zajęciem, za którym szczególnie przepadam. Brakuje mi wyobraźni przestrzennej. Dzieciaki jednak aż się do tego rwą.

Rozkładam tacki na kuchennym stole i daję każdej dziewczynie porcję kluchowatego ciasta. Majka odsypia roraty. To dobrze.

Skóra na jej palcach mogłaby się mocno pogorszyć w kontakcie z solą. Lepię dla niej kilka aniołków, żeby mogła je sobie przynajmniej pomalować. Jona rzeźbi w skupieniu, wyciskając wykałaczką fakturę na anielskich skrzydłach. Tosia robi gwiazdę. Duszka rozplaskała całe ciasto na desce i dziurkuje je wykałaczką.

- To jest domek - oświadcza.

Kiwam głową i daję jej garść czerwonych fasolek, żeby mogła ozdobić swoje dzieło.

Czwartek, 22

Ranek. Ciężka głowa. Zupełnie nie mam chęci brać się za sprzątanie. Nie wiem, od czego zacząć. Dom wydaje się okropnie zapuszczony. Za oknem pięknie - śniegowo i baśniowo. A we wnętrzu kurz i pajęczyny. Rzadko czyszczone zakamarki łazienki za pralką i sedesem straszą brudem narosłym miesiącami. Chyba zacznę od odkurzania kuchennych półeczek, łazienka jest zbyt przygnębiająca.

Zdejmuję ozdobne kubeczki i pojemniki na herbatę i próbuję odmyć warstwę kurzu zmieszanego z tłuszczem. Od dwóch lat planujemy kupić kuchenny wyciąg, ale jak na razie na planach się skończyło. I zawsze kiedy usiłuję usunąć pyłowo-tłuszczowy konglomerat, mam żal do Franciszka, że

wciąż są ważniejsze sprawy niż dom. W ogóle przedsięwzięte sprzątanie jest świetną pożywką do podkarmiania wszelkiego rodzaju narosłych od dawna pretensji (tak jak zepsute jedzenie jest pożywką dla bakterii). Wycinam paprotce podeschnięte liście. Wygląda bardzo smętnie. Chyba za mało ją podlewam.

Wyciągam z piekarnika zrobione wczoraj ozdoby z masy solnej. Niech sobie dzieciaki malują, byle z dala ode mnie. Najlepiej w swoim pokoju.

Idę na górę sprawdzić, jak starsze dziewczyny poradziły sobie ze sprzątaniem. U Jony jest nawet dość porządnie. Gorzej z Tosią, która leży na łóżku i czyta. W milczeniu pokazuję stosy papierów zgromadzone na parapecie, przesuвам stojący na biurku magnetofon, żeby odsłonić znajdujące się za nim kłęby śmieci. Podstawowa zasada - minimum słów. Tosia wzdycha ciężko, ale przyjmuje do wiadomości konieczność poprawek. Wychodzę zadowolona, że powstrzymałam się od komentarzy. Mój ton (gdybym się odezwała), ujawniłby nagromadzone we mnie napięcie i... mogłoby być zwanie.

Pół godziny później - znowu w pokoju starszych dziewczyn. Atakuję odkurzaczem nagromadzone pod sufitem pajęczyny, a potem kierowana nieomylnym instynktem wywiadowcy zaglądam w kąt za komódką. Wstrząs. Skarpety, majtki, rajstopy i T-shirty przemieszane ze sobą tkwią wciśnięte pod regał. Sądząc po ilości, są to ubrania z dwóch tygodni.

Emocje targają mną tak straszliwe, że wolę wyjść i przekazać całą sprawę w ręce Franciszka. Sama mogłabym zrobić taką awanturę, że więcej byłoby poległych niż żywych. Franciszek przeprowadza całą operację ze stoickim spokojem. Zapowiada, że jeśli to się powtórzy, Tosia będzie musiała wszystkie pozostawione na podłodze rzeczy prać ręcznie. Czuję, że moje pragnienie odwetu nie zostało zaspokojone. Tak naprawdę marzy mi się jakaś spektakularna kara. Ale idą przecież święta.

Ze względnym spokojem przystępuję do realizacji zadania adwentowego pod tytułem: „Pieczenie świątecznych ciast z mamą”. Nie mam dziś siły na więcej niż jedno ciasto. Robimy więc piernik. Duszka z zaangażowaniem miętoli rodzynki w kubku.

- Dzieci pomagają lodzicom - mówi w imieniu swoim i sióstr.

Potem wysypuje wszystkie rodzynki na stół, żeby sprawdzić, czy nie ma wśród nich twardego patyka.

Piątek, 23

Sprzątam u młodszych dzieci i próbuję wytargować od nich kilka zabawek. Chcę je zanieść na strych, żeby powstało trochę przestrzeni na nowe prezenty. Duszka pozwala mi spakować rozkładane książeczki.

- Mozes je zabrać - mówi łaskawie - będą dla moich dzieci.

I tak strych zapelnia się stosami przytulank, klocków, plastikowych mebelków itp. Nie mogę niczego oddać ani wyrzucić, bo „to dla naszych dzieci”.

Ubieranie choinki. Namawiam Franciszka, żeby wycofał się dyskretnie ze swoimi koncepcjami i pozwolił dzieciom decydować, co gdzie ma wisieć. To naprawdę nie ma aż tak wielkiego znaczenia, że nagle trzy czerwone bombki zwisają obok siebie, a gdzie indziej wcale ich nie ma. W zeszłym roku Franciszek tak się denerwował i tak narzucał swoją wolę, że dzieci, zamiast mu pomagać, rozeszły się zniechęcone do swoich pokojów. Teraz jest inaczej. Dziewczynki zostawione same sobie radzą sobie świetnie. Słyszę, jak Tosia dowodzi, jak naradza się z pozostałymi, gdzie co umieścić. Dbają też o Duskę, powierzając jej strojenie dolnych głęzi nietłukącymi się aniołkami i drewnianymi figurkami.

Franciszek rozwiesza w całym domu gałązki jodły. Duszka drepcze za nim krok w krok. I co chwila daje głośno wyraz swojemu zachwytowi.

- Ale mamy supel choinkę, co? Ale mamy piękny dom, plaw-da? Nas dom i ogłód są najpiękniejsze. (Doliczyła ogród, bo na zewnątrz, na świerku

serbskim, już palą się lampki).

To chyba pierwsze Boże Narodzenie przeżywane przez nią tak świadomie.

Wieczór. Padam z nóg, ale wszystkie ciasta i rybne sałatki, które miałam w planie, są już zrobione. Kuchnia umyta, na stole stroik ze świerkowych gałęzi. Niestety, piękna złota świeca jest trochę krzywa, bo leżała w szufladzie koło piekarnika i wygięła się pod wpływem ciepła. Spać, spać, spać!

Sobota, 24, Wigilia

Budzę się półprzytomna i wcale nie w świątecznym nastroju. W głowie wirują mi zadania, które należy jeszcze wykonać:

„odkurzyć duży pokój

„przetrzeć na mokro podłogę w sionce

„dokończyć pakowanie prezentów

„przebrać Duszkę w odświętną sukienkę

„spakować bezy, piernik i sałatkę z tuńczyka

„coś zrobić ze swoim wyglądem (przebrać się, umalować itp.)

„dopilnować, żeby dzieci wzięły ze sobą kapcie i

„sprawdzić, czy Tosia w ogóle się dzisiaj czesała (dość często zdarza jej się zapomnieć o tym elemencie porannej toalety).

Boli mnie głowa. Mam wrażenie, jakby mi ktoś wbijał gwóźdź tuż nad prawą brwią. Dlaczego?! Prawdopodobnie z przepracowania i usilnych starań, żeby wszystkim było miło. Czyściutki dom, świąteczna atmosfera, pyszne potrawy, ładnie ubrane dzieci - osiągnięcie tego nie może obejść się bez kosztów.

- Mamo, uczesz mnie w dwa warkocze - prosi Majka.

Czeszę ją, z rezygnacją akceptując fakt, że ma na sobie swoją ulubioną, ale stanowczo już za małą, zieloną welurową sukienkę. Mimo moich sugestii, że strój jest stanowczo za krótki, Majka twardo obstawała

przy dokonanym wyborze. Niech jej będzie. Nie chcę się klócić w Wigilię i stwarzać nerwowej atmosfery. Dbanie o samopoczucie rodziny jest ciężką pracą i łupanie w głowie może być jednym ze skutków ubocznych.

- Ja też chcę dwa walkoce - Duszka grzebie w pudełku z gumkami.

Nie da się zrobić warkoczy na tych krótkich włosiętach. Czeszę ją w dwa kucyki i aż cierpnie mi skóra na myśl, co będzie, gdy ta fryzura nie przypadnie jej do gustu. Mała przegląda się w lustrze. Zadowolony uśmiech na pyzatej twarzy. Uff...

Pakujemy się do samochodu. Ołowiane niebo i wiatr targający koronami drzew. Jest szaro i ponuro. Gwóźdź w mojej głowie odzywa się z coraz większą częstotliwością.

Zajeżdżamy do drewnianego domku pod lasem, w którym moi teściowie rezydują znacznie częściej niż w swoim warszawskim mieszkaniu. Tumult powitań. Dzieci piszczą i babcie piszczą, a ja mam mdłości z powodu nasilającej się migreny. Nie znoszę powitalnych okrzyków, pocałunków i uścisków. Od dziecka właściwie. Teraz więc wsuwam się chyłkiem, układam prezenty pod choinką, rozdaję kaptcie dzieciom, ciasta i sałatki wstawiam do kuchni i zapisuję sobie w pamięci, że mama Franciszka wynosi kurtki i czapki na górę. (To bardzo ważne, bo w pożegnalnym zamęcie, który nastąpi za kilka godzin, nikt nie będzie wiedział, gdzie są jego rzeczy).

Dzielenie się opłatkiem wpływa na mnie kojąco.

- Ja nie chcę się dzielić - oświadcza Majka.

- Nie musisz nic mówić - uspokajam ją.

- Ale ja nie chcę!

Rozpaczliwie szukam wzrokiem Franciszka. Na szczęście jedna z babć podchodzi do Majki z opłatkiem i zaczyna składać jej życzenia. Nadąsana buzia z wolna się rozjaśnia.

Duszka odłamuje od wszystkich duże kawały opłatka i napy-cha sobie

buzię. Tosia życzy mi, żebym miała dużo czasu i żeby nie męczyło mnie gotowanie.

Potem jemy. Pilnuję, żeby nie namieszać sobie w żołądku. Tyle dobrych rzeczy - to niebezpieczne.

Kolędy. Jak szczerść, to szczerść. Nie lubię śpiewania kolęd. Wiem: „przepiękna polska tradycja” i „to są melodie, które kojarzą się ze świętami w rodzinnym gronie” i „nie może być Wigilii bez kolęd”... A ja nie lubię. A kolędy trzeba odśpiewać, żeby zasłużyć na prezenty. Dzieci wiercą się na krzeselkach, zerkają pod choinkę, a mama Franciszka:

- To jeszcze Lulajże Jezuniu.

Dziewczynki posłusznie śpiewają. Ja też. Muszę przecież dawać ten nieszczęsny dobry przykład. Przy słowach „rąbek z głowy zdjęła”, wyobraźnia automatycznie podsuwa mi przed oczy obraz pieńka do rąbania drzewa z wbitą weń siekierą. Kiedy jako dziecko po raz pierwszy usłyszałam tę kolędę, takie właśnie było moje pierwsze skojarzenie ze słowem „rąbek”, i ono pozostało.

- Bóg się rodzi - zarządza teściowa.

Może będąc w jej wieku, też zacznę się upierać przy śpiewaniu kolęd dla podtrzymania tradycji. Nie, raczej będzie to robił Franciszek, a ja, skręcając się w duchu ze zniecierpliwienia i nudy, będę starała się go wspierać, nie chcąc podważać męzowskiego autorytetu. A może nie? Może będę odważną, ekscentryczną staruszką, która nie przejmuje się autorytetami i konwenansami i robi to, co chce. Na przykład podczas kolędowania wychodzi sobie do innego pokoju poczytać książkę.

Noc. Wracamy do domu.

- Mamo, a w domu będą dla nas jakieś prezenty? - pyta Majka.

- No... nie wiem... Może będą worki kartofli...

- Ale mamo!

- Na pewno będą - twierdzi Jona z roziskrzonymi oczami.

- Ja śpię - stwierdza Duszka. - Majka, nie śpiewaj, bo ja śpię.

- Wcale nie śpisz, bo ciągle mówisz.

- A właśnie ze śpię! Mamo, Majka mi psekadza, jak ja śpię.

Przymykam oczy. Najlepiej nie reagować. Niech to zrobi Franciszek, ma donośniejszy głos i może łatwiej przekrzywić silnik samochodu.

Niedziela, 25, Boże Narodzenie

Tym razem wśród członków mojej rodziny. We wszystkich pokojach kłębią się dzieci - nasze i moich braci. Próbuje rozmawiać i nie zwracać uwagi na nurkujące pod stołem małe istoty obojga płci.

_ Potwór, potwór! - krzyczy Duszka i ucieka przed małymi kuzynkami.

Tosia i Jona zaszyły się w mojej dawnej sypialni i czytają komiksy, które dostały na gwiazdkę. Próbuje je zachęcić do integrowania się z resztą ciotecznego rodzeństwa, ale bez większej nadziei na to, że mnie posłuchają. Sama zachowywałam się podobnie. Najmilszym prezentem gwiazdkowym były dla mnie książki. Kładłam się pod choinką i czytałam. Na przykład kolejne odcinki Pana Samochodzika. Tak wyglądają moje najpiękniejsze świąteczne wspomnienia.

Poniedziałek, 26

- Mamo! Duszka zrzuciła obrus w dużym pokoju! I cały stroik! - oznajmia Majka i zerka na mnie z obawą.

Podrywam się z fotela. Rzeczywiście. Cała dekoracja stołu zniweczona, na dywanie srebrzyste okruchy rozbitej bombki. Jestem zła. Franciszek też. Wyciąga odkurzacz. Mówimy prawie jednocześnie, ostrym tonem:

- Nie wolno biegać wkoło stołu!

- To nie jest miejsce do zabawy!

- Tyle razy mówiłam, żeby się tu nie ganiać! Duszka wykrzywia usta w podkówkę. Łzy już kapią.

- Niech chociaż jeden łodziec będzie dla mnie dobry.

Od razu przechodzi mi cała złość. Szybko schylam głowę, żeby ukryć uśmiech. W milczeniu układam na stole jodłowe gałązki ze stroika i wychodzę z pokoju. Duszka za mną.

- Mamo, psytul mnie, bo jestem baldzo, baldzo smutna...

No, jak tu nie przytulić. Kucam przed nią. Małe rączki oplatają mi szyję, a w bluzkę wsiąkają cichutkie łzy. Moje serce roztapia się z czułości.

Wtorek, 27

Wieczór. Właściwie noc. Dzieci spały dzisiaj do późna, więc teraz szaleją. Przybiega Duszka.

- Mamo, paznokieć!

Obcinam. Za chwilę Majka wystawia przed siebie blade stopy.

- Tobie też mam obciąć? Który?

- Zapomniałam.

- No to uciekaj spać!

Ponieważ jestem akurat w trakcie ścielenia łóżka, rzucam w nią poduszką. Majka wywraca się na stos pościeli, a na jej grzbiet ładuje się Duszka. Wyganiem je, ale nie potrafię się złościć. W wolne, leniwe dni, jak ten dzisiejszy, mam dla dzieci dużo więcej pobłażliwości i cierpliwości.

- Mamo, koldla mi się pokitłosiła - znowu Duszka.

- Opieprz ją - radzi mi życzliwie Franciszek.

- Dusz... - zaczynam przemowę, usiłując przybrać surową minę. Rozczochrany malec patrzy na mnie z figlarnym błyskiem w oczach i tak łobuzerską minką, że dostaję napadu śmiechu. Łzy kapią mi z oczu i nie jestem w stanie wydusić z siebie żadnej reprimendy. Zaczyna się śmiać Franciszek, a potem Duszka, po części niewątpliwie świadoma swego uroku osobistego. To straszna broń na rodziców ten urok. Padają jak muchy.

Środa, 28

- Bzuch mnie boli - mówi Duszka, patrząc z niechęcią na porcję

obiadu. Pewnie za bardzo napchała się świątecznymi słodyczami.

- Mhm... - czytam książkę i nie mam zamiaru nakłaniać jej do jedzenia.

Duszka jest jednak nieustępliwa.

- Tseba mnie nakalnić, a nie czytać - patrzy mi surowo w oczy. - Jak kogoś boli bzuch, to jakaś długa osoba powinna go nakalnić.

Kapituluję wobec takiego argumentu. Odkładam książkę. Jak ja nie lubię karmić dzieci! Nabieram porcję ziemniaków. Duszka zadowolona posłusznie otwiera buzię.

Za oknem pada śnieg. Pomarańczowe światło ulicznej latarni odbija się od lecących płatków i wszystko spowite jest różowawą poświatą. Maluję kwiaty fuksji na podstawce do lampki, a z komputera płynie przestrzenna muzyka Enyi. Ogarnia mnie błogość. Dawno nie malowałam i stęskniłam się bardzo za farbami, za mieszaniem kolorów i dobieraniem najwłaściwszych odcieni.

W sąsiednim pokoju Franciszek instaluje dzieciom na swoim komputerze grę interakcyjną o rodzinie Simów. Zajrzałam na chwilę. Nic pasjonującego - sztywne ludziki poruszające się na ekranie. Trzeba im zorganizować życie. Nie jestem wielbicieleką gier komputerowych.

Franciszek staje w drzwiach do mojego pokoju.

- Mam dość. Bolać mnie oczy. Tych Simów trzeba było nakarmić, a nie wiedziałem jak, i w końcu wszyscy pousypiali z głodu.

Rzucam mu współczujące spojrzenie, ale chce mi się śmiać.

Franciszek schodzi na dół, odciąć się od wirtualnego świata, a myszką zawładnęła Tosia. Majka, z łokciami na biurku, pilnie śledzi postępy w budowaniu domu dla Simów.

- Mamusiu - informuje mnie - ta dzidzia została całą noc na dworze, bo nie wiedzieliśmy, jak ją zabrać.

- A ten tato się zsikał - dodaje Jona. - Szedł, szedł, a potem kucnął pod

schodami i się zsikał. Ale kazałyśmy mu zetrzeć podłogę.

Na szczęście dzieci nie wydają się jakoś szczególnie zafascynowane grą. Nie ma więc na razie ryzyka, że popadną w uzależnienie od komputera.

Na dworze jest tak pięknie, że wychodzę na małą przechadzkę po ogrodzie. Samotną przechadzkę!... Nie, jednak nie samotną. Majka chce się ze mną wybrać. Niech będzie. Przynajmniej nie muszę jej ubierać.

Wychodzimy w baśniowy krajobraz. Kolorowe lampki oplatające świerk, rzucają na śnieg kolorowe błyski. Wędrujemy po ogrodzie, ale Majce nie bardzo to odpowiada.

- Ale przedtem, jak Duszka była z tatą, to tata ją woził na sankach - mówi, marszcząc czoło.

To miał być mój samotny spacer - kontemplacja uroków zimowej nocy itp. Zamiast tego ciągam po ulicy obciążone dzieckiem sanki, a wiatr rzuca mi w twarz płatki śniegu.

Czwartek, 29

Duszka chodzi po domu i płacze, bo zginęła jej korona księżniczki z zestawu lego. Korona ma wymiary dwa na pięć milimetrów i jest półprzezroczysta. Na bosaka przemierzamy dywan wzdłuż i wszerz, licząc na to, że ktoś nastąpi na zgubę i w ten sposób korona się znajdzie. Niestety, nic z tego.

Jestem zmęczona tym dniem. Mam wrażenie, że ledwie się zaczął, a już zbliża się ku końcowi. I nic sensownego w tym czasie nie zrobiłam.

Piątek, 30

Dochodzi dwunasta w południe. Jak to się stało, że ten poranek tak mi się rozlazi? Nawet języków jeszcze nie zdołałam zacząć.

Wstawanie o dziewiętej (obudził nas telefon). Nastawiam pranie. Zaparzam w czajniczku świeżą herbatę („Zimowa kołysanka”) i robię kanapkę. Przychodzi Franciszek. Siedzimy naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Po chwili zjawia się uśmiechnięty stworek w pizamce i na

bosaka, więc trzeba stworka wziąć na ręce, żeby się nie przeziębził. Stworek się uśmiecha, przytula i mówi, że chce mleczko. Grzeję mleko, wysypuję do talerza kakaowe kulki i idę ścielić dziecinne łóżeczko.

- Juz mozes mnie ublać.

Biorę do ręki wczorajszą sukienkę.

- Dziś chcę inne ublanie. Takie, jakie pasuje do zielonych laj-stop.

Wyciągam jej ukochaną zieloną princeskę, kupioną jeszcze dla Tosi jakieś osiem lat temu w sklepie indyjskim.

- Jestem zielona jak choinka. Mam zielone lajstopy, zieloną sukienkę i zielony swetel. Tylko kapcie są niebieskie, a majtki białe, ale majtki się nie licą, bo ich nie widać.

Idę na górę. Majka i Jona leżą w łóżku i chichoczą.

- Majka, zejdz na dól i się ubierz. Nie mozesz chodzic po domu w samej pizamie, skoro jesteś zakatarzona.

- Ale ja jestem pod koldrą.

- Musimy skończyć zabawę - dodaje Jona.

Schodząc po schodach, przypominam sobie, że Majka wciąż jeszcze nie nauczyła się wierszyka, który jest zadany na poniedziałek. Położyłam go wczoraj na widocznym miejscu, żeby pamiętała. Teraz kartka leży pod stołem. Mówię Franciszkowi, żeby za pomocą ojcowskiego autorytetu wpłynął na córkę.

Chcę zasiąść do języków, ale właśnie skończyło się pranie. Trzeba się tym zająć. Rozwieszam tuziny majtek na rurkach kaloryfera. Starsze dzieci jedzą w kuchni śniadanie. Sięgam w końcu po swoje podręczniki. Na początek hiszpański.

Słyszę, że Jona uczy Majkę wiersza, więc zadowolona zagłębiam się w zawiloci trybu subjunctivo.

- Mamo, Majka nie chce powtarzać!

- To ją zostaw. Uczenie się wiersza to jej obowiązek. Jak nie chce

korzystać z twojej pomocy, to nie - nie chcę obciążać Jony humorami młodszej siostry.

Słyszę szloch. Idę do pokoju dzieci. Majka siedzi skulona na podłodze. Długie włosy zasłaniają większość twarzy tak, że widać tylko zasmarkany nos. Moje pytania i próby nawiązania kontaktu nie przynoszą rezultatu. Daję więc za wygraną i wracam do hiszpańskiego. Udaje mi się przeczytać jedną linijkę.

- Zobacz, mam, Duszka ma korale do kolan - Jona pokazuje mi wystrojoną siostrę.

Wydaję z siebie kilka okrzyków podziwu i dziewczynki wychodzą.

- Mam, naucz Majkę wielsyka - Duszka wręcza mi nieszczęsny tekst zaczynający się od słów: „Dlaczego drzewa są takie duże”.

- Dobrze, zawołaj ją.

Odkładam z rezygnacją Spanish i biorę się za wierszyk. Majka mamrocze pod nosem kolejne wersy. Ciężko mi. Czy Franciszek nie mógłby czasem mnie w tym zastąpić? Ma znacznie większy dystans do nauki dzieci, stopni i prac domowych i dobrze na tym wychodzi. A ja ciągle się przejmuję i biorę na siebie ich szkolne frustracje.

- Mamusiu, uces mnie w kucyk - Duszka wręcza mi szczotkę i grzebie w pudełku z gumkami do włosów.

Słyszę, jak Franciszek włącza odkurzacz. Obiecał, że posprząta dziś dom, i jest to dla mnie taka ulga, jakby mi ktoś zdjął z pleców ciężki worek. Piątek bez odkurzania! Gdyby nie liczne petycje dzieci, czułabym się jak na urlopie.

Kiedy Majka decyduje, że ma już dość wierszyka, i opuszcza pokój, biorę pod pachę swoje notesy, kilka płyt i uciekam do pokoju na górze. Na dziś rezygnuję z prób zrozumienia niemieckich okoliczników miejsca.

Za oknem pada śnieg. Sting śpiewa „How fragile we are”. Jestem sama, otulona kokonem muzyki... Tego właśnie mi dzisiaj brakowało...

- Mamusiu, pobawię się twoimi kłębenkami - Duszka wyciąga kolorowe kłębki kordonka z dolnej szuflady biurka i układa je na fotelu.

To tyle, jeśli chodzi o moją potrzebę samotności.

Sobota, 31

Jestem niewyspana, mam dreszcze i wszystko mnie boli. Na myśl o sylwestrze robi mi się słabo. Wczoraj odwiedziła nas Baśka i do drugiej w nocy prowadziliśmy arcyinteresującą rozmowę. Niestety, dawno minęły te czasy, kiedy mogłam balować do rana bez większych konsekwencji. Dzisiejsze samopoczucie to pokuta za zarwaną noc. Myślałam, że odrobnię francuski (aż dziewięć zadań), ale chyba leży to poza zasięgiem możliwości. Żebyż to jeszcze były suche ćwiczenia gramatyczne, to może jakoś dałabym radę. Tu jednak trzeba się wykazać wyobraźnią i wymyślić, co zrobiłby włamywacz, gdyby udało mu się dostać do banku (mamy się wprawiać w tworzeniu zdań warunkowych). Moja wyobraźnia oscyluje w jednym kierunku - łóżko! Kładę się na tapczanie, żeby trochę się przespać.

Szósta. Franciszek wywozi dziewczynki do moich rodziców. Uwielbiają sylwestra u dziadków, którzy na tę okazję przystrajają swoje mieszkanie balonami i serpentynami (czy będę kiedyś tak ofiarną i chętną do pomocy babcią jak moja mama?). Każda zapakowała sobie strój sylwestrowy. Upewniam się, czy zabrały pizamy. Zabrały.

Siódma. Wypadaloby wstać. Idę do łazienki. W lustrze niechętnym wzrokiem mierzy mnie osoba o czerwonej twarzy i jeszcze czerwieńszych odgnieceniach na policzkach. Zabójczy image na imprezę. Myję się chłodną wodą, a potem próbuję podratować się makijażem. Sceptycznie przyglądam się swoim strojom. Wygląda na to, że w niczym dziś nie będę wyglądać dobrze.

Na dworze przepiękny zimowy krajobraz. Wszystko przykryte białym puchem. Zupełnie jak w baśni o Królowej Śniegu. Jedziemy małymi uliczkami. W ogrodach świecą ozdobione lampkami choinki. Pod wpływem

tego piękna ucisk na głowie powoli mija.

U Danusi i Grzegorza wystrój sylwestrowy: balony, migające światełka i nawet maszynka do robienia dymu. To ostatnie urządzenie nie wzbudza mojego zachwytu, ale Grzegorz jest pełen entuzjazmu. Na przemian jemy, rozmawiamy i tańczymy. Lepiej się czuję na takiej kameralnej imprezie niż na wielkim balu. Na balach zamiast płyt, które można dowolnie włączać i zmieniać, grają zespoły, których, niezależnie od jakości produkowanej muzyki, ani wyłączyć, ani zmienić się nie da. W dodatku bywają jeszcze, o zgrozo, wodzireje. Bardzo nie lubię, kiedy mi ktoś organizuje czas. Teraz pławię się więc w swobodnej atmosferze, tańcząc z Franciszkiem i wypijając morze coli.

Północ. Petardy Grzegorz najpierw uległ namowom syna i odpalił kilka. Teraz siedzi z poparzonymi kciukami i przysięga, że na następne dziesięć lat rodzina może się pożegnać z fajerwerkami.

W telewizji transmisja z sylwestrowej zabawy, która odbywa się na wrocławskim rynku. Żal mi tych kobiet miotających się po scenie i udających, że świetnie się bawią, że jest fantastycznie. Sztucznie podnieconymi głosami wykrzykują: „to już ostatnie chwile starego roku!” i „witamy pana prezydenta miasta Wrocławia!” Żaloszne próby wykrzesania jakiegoś entuzjazmu z kłębiącego się na rynku tłumu. No właśnie, tyle ludzi przyszło, więc może im tam dobrze? Może im to odpowiada? Może jest dla nich ważne, że całą imprezę filmuje telewizja? Odwracam się do okna, przez które widać ostatnie fajerwerki rozblyskujące na granatowym niebie.

STYCZEŃ

Niedziela, 1

Wieczór. Próbuujemy zmusić dzieci do wcześniejszego położenia się spać. Podczas długiej świątecznej przerwy zupełnie przestawił im się zegar biologiczny. Duszka biega w piżamie. Najpierw siku, potem pić.

- Chcę się jesse laz psytulić do mamy - informuje Franciszka.

- Masz być natychmiast w łóżku - mówi surowo Franciszek. Siedzę tyłem do drzwi, nie patrzę na małą. Franciszek ścieli łóżko.

- No i co? - słyszę za plecami zaczepny głosik. (Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Stoję sobie tutaj i co mi zrobisz?”).

Zaczynam się bezgłośnie śmiać. Duszka łapie mnie za szyję i przyciąga moją głowę do swojej twarzy. Całuję ją, płacząc ze śmiechu. Mała wraca do łóżka.

- Mama się śmiała - relacjonuje rzeczowo Majce.

Poniedziałek, 2

Poranne wstawanie odbywa się o dziwo bez specjalnych bólów. Nawet dla mnie nie stanowi problemu fakt, że Majka chce, bym uczesała ją w warkocz (a jest siódma dwadzieścia rano). Nie słychać żadnych płaczów i zawodzeń. Dzieci wychodzą. Wstaję jak najciszej, żeby nie obudzić Duszki. Jest na tyle wcześnie, że może zdążę uporać się z językami, zanim będę jej musiała podać śniadanie.

Udało się! Zaspana istotka zjawia się dopiero wtedy, gdy jestem w połowie pracy domowej z francuskiego.

- Chcę jeść, ale w pizamie.

Zakładam jej sweter i zaczynam grzać mleko. Stawiam na stole talerz ze zbożowymi poduszkami, a potem idę do łazienki włączyć pralkę. Zdejmuję z kaloryfera girlandy dziewczęcych majtek i rajstop. Wynoszę puste słoiki do worka na szkło. Później szukam w książce Pizza i spaghetti jakiegoś przepisu, który umożliwiłby zużycie nieco podeschniętej szynki, pozostałości ze świąt.

- Mamo! A Majka mi nie pozwala odłożyć gly tam, gdzie chcę!

- Czyja jest ta gra?

- Moja!

- Więc ty decydujesz o tym, gdzie ją położysz. Duszka wraca pędem do dzieciennego pokoju.

- Właściciel decyduje o swoich zecach! - wrzeszczy na cały dom.

Czwartek, 5

Chorujemy. Ja, Tosia i Majka - czyli połowa rodziny. Wczoraj przepalałam cały dzień. Dziś już chodzę. Kaszlę i smarkam, ale rodzinę obsługuję. Tosia dostała od Franciszka dzwonek i jak czegoś potrzebuje, to dzwoni. Przypomina to trochę wzywianie służącej, ale na szczęście nie jest zbyt częste. Za to Majka mniej więcej raz na pół godziny powtarza, że źle się czuje, na co ja nic a nic nie mogę poradzić. Nie chcę wlewać w nią pochopnie środków prze-ciwgorączkowych. Tę ewentualność wolę zostawić na noc.

- Boli mnie palec!

Znowu. Muszę do niej iść, choć sama fatalnie się czuję. Prawie nie mogę mówić. Po pierwszych dwóch słowach mój głos przechodzi w ochryply szept.

Piątek, 6

Bycie chorym ma swoje dobre strony. Choćby to, że Franciszek zobowiązał się odkurzyć dzisiaj dom. Mogę więc w spokoju kaszleć i kichać bez nadwyrężania sił w zmaganiach z kurzami i pajęczynami.

Duszka także chciałaby dołączyć do klanu chorujących, bo powtarza co chwila:

- Ja też jestem chola, bo kaslę i chłypię.

Oszukuje. Ma tylko lekki katar. To wszystko. Bardzo niewystarczające objawy w porównaniu z siostrami. Wyobraźnia hipochondryczna pracuje więc dalej:

- Bolę się cała oplóc włosów, galdła i stóp.

„Bolę się cała” - co za piękne sformułowanie. Niespętane narzucaną w toku edukacji poprawnością stylistyczną i gramatyczną dziecko samo tworzy niezwykle trafne określenia, opisujące dokładnie sedno rzeczy.

Kakofonia dźwięków. Majka po raz trzeci przesłuchuje kasetę o

Śpiącej Królownie, a Duszka, znużona ponurymi przepowiedniami złej wróżki, wyszła z pokoju i gra teraz na pianinie. Jej kompozycje nie są bynajmniej bezładną brzdąkaniną. Odznaczają się pewną harmonią. Czasami próbuje śpiewać do własnych melodii i słyszę, jak dostraja głos do wysokości dźwięku uderzanego właśnie klawisza. Może wyrośnie mi pod bokiem jakaś genialna kompozytorka? Wolałabym jednak nie słyszeć jednocześnie i pianina, i magnetofonu. Można od tego dostać pomieszania zmysłów.

W karmniku widocznym z kuchennego okna siedzi grubo-dziób i wygania pozostałe ptaki. Rozsiadł się jak kura i międli w dziobie pestki słonecznika, co i raz wypluwając łupiny.

Tosia wydaje odgłosy obrzydzenia, nabierając w usta roztwór dentoseptu. Zauważyłam u niej objawy zapalenia dziąseł i kazałam płukać.

- To tak śmierdzi, że chce mi się wymiotować.

- Rzeczywiście, jest obrzydliwe - przyznaję, co nie znaczy, że pozwalałam jej przerwać kurację.

Nawiasem mówiąc, doskonale rozumiem jej odrazę. Nienawidzę tych wszystkich odkazających płukanek i tylko wielkie cierpienie jest w stanie skłonić mnie do ich używania. Zupełnie inaczej Franciszek. On uwielbia się leczyć, płukać gardło, pić różne obrzydliwe mikstury, łykać pigułki, parzyć ziółka itp.

- Mamo, źle się czuję - Majka po raz pięćdziesiąty.

- Wiem - głaszczę ją po ręce.

Nawet nie mogę jej poczytać, bo mój głos nadal utrzymuje się na granicy szeptu.

Sobota, 7

Po raz pierwszy od wielu dni słońce.

- Wiesz, mamusiu, ja już tęsknię za latem - wzdycha Jona przy śniadaniu, patrząc na błękitne niebo za oknem.

- Ja też.

- A ja nie - wtrąca Franciszek, amator sportów zimowych, budowania igloo, zjeżdżania na sankach i lepienia bałwanów.

Dla mnie właściwie już od początku stycznia zaczyna się bolesne oczekiwanie na wiosnę. Wiem, że potrwa ono jeszcze co najmniej trzy miesiące i trudno mi to zaakceptować. Taki Peter Mayle ma dom w Prowansji... Nie ukrywam, że mu zazdroszczę.

Dzieci też czekają na wiosnę. W zeszłym roku, prawie codziennie po powrocie ze szkoły, Jona przynosiła mi wieści o krokusach wychylających pączki w naszym ogrodzie: „Mamo, już są dwa żół-ciutkie pod czereśnią i jeden po drugiej stronie chodnika! Mamo, widziałam dwie małe stokrotki koło tawuły!”.

Jakie to szczęście, że mamy ogród! Nie było żadnych kwiatów na gierkowskim osiedlu, gdzie upływało moje dzieciństwo. Kawaly betonu, błotko i brudny żwirek w piaskownicy. Gdzieś po rowach, idąc do piekarni, wypatrywałam wczesną wiosną żółtych oczek podbiałów. A kiedy nadchodził maj, spacerowałam wzdłuż ulicy, przy której rozsiadły się domki jednorodzinne, i zazdrośnie zerkałam przez siatki i sztachety do ukwieconych ogródków. Po drodze do kościoła mijalam kamienicę z czerwonej cegły i z napięciem patrzyłam, czy już pojawiają się tam, pod starym krzakiem bzu, ostre, jasnozielone włócznie wychodzących spod ziemi konwalii. Co roku widok wstającego spod ziemi szmaragdowego wojska był dla mnie z dawna wyczekiwany cudem. Może więc dlatego nie mam teraz serca, żeby rozprawić się definitywnie z konwaliami, które wrastają w ścieżki i dokonują inwazji na klombie przed winogronami. Tulipanom, które odziedziczyłam po poprzednich właścicielach, także pozwalałam rosnać tam, gdzie popadnie. W maju kępy ich jaskrawoczerwonych kwiatów rozświetlają prawie każdy kąt ogródka. Taka spontaniczna vegetacja uniemożliwia uzyskanie starannie

zakomponowanej całości i sprawia, że mój kawałek ziemi w żadnej mierze nie przypomina eleganckich klombów prezentowanych w czasopismach ogrodniczych. Ma za to wiele romantycznego uroku.

Poniedziałek, 9

Biały ser. Nieodłączny składnik posiłków Franciszka. (Poza panem domu, nikt go właściwie nie jada, a jeśli już, to rzadko). Biały ser, z powodu którego zostałam kiedyś zalana pretensjami i wyrzutami (plus małe kazanie), bo wstawiłam go do lodówki bez przykrycia i szybciej stracił świeżość. Biały ser, który dziś po śniadaniu troskliwie przykryłam i schowałam do lodówki. Biały ser leży znowu na stole, bo Franciszek, po spożyciu małej przekąski, odszedł beztrąsko do komputera, nie racząc po sobie posprzątać. W takich chwilach czuję się jak służąca. Nie jestem mściwa, tylko wściekła. Niech sobie poleży (serek oczywiście) do obiadu i niech mój szanowny mąż sam sobie palnie kazanko na temat psującej się żywności.

Wizyta Jadźki. To Franciszek-o-dobrym-sercu ją zaprosił. Bo jest samotna, bo nie ma przyjaciół, bo jest... Jadźką po prostu. Z trudem znoszę jej nachalno-rubaszny sposób bycia. Franciszek jest „ten lepszy”, ja „ta gorsza”. Pewnie Jadźka nic nie może poradzić na to, jaka jest. Ja z kolei nic nie mogę poradzić na to, że czuję ciarki na plecach, gdy wiem, że ma się u nas pojawić.

Nie muszę rozmawiać z Jadźką. Chore gardło jest dostateczną wymówką. Zaszywam się w sypialni i haftuję, a Franciszek zabawia gościa rozmową. Oglądają albumy ze zdjęciami, bo to Jadźka lubi najbardziej. Dziwne, ale nie mam poczucia winy. To chyba zbawienny skutek książki o granicach. Dziewczynki kryją się w swoich pokojach, żeby uniknąć namolnego wypytywania albo, nie daj Boże, całusów. Pamiętają być może jej bezceremonialne żądania „Daj pyska ciotce” (jaka z niej ciotka?). Musieliśmy wtedy występować w obronie naszych dzieci i stanowczo dawać

do zrozumienia, że nie zgadzamy się na wymuszanie tak daleko idących oznak zażyłości. Nasze córki nie chcą się z nią całować na przywitanie i powinna to zaakceptować.

Zawsze czułam się mocno nie w porządku, że wobec osób typu Jadźki odczuwam niechęć, a nawet odrazę. Że cierpię w ich obecności. Że nie żywię do nich chrześcijańskiej miłości bliźniego. Dziś jest inaczej. Przestałam się tak potępiać. Ktoś we mnie w środku powiedział: „Nic na siłę”.

Wieczór. Duszka jęczy, że gdzieś w łóżku zgubiła jej się skarpetka. (Każemy jej spać w skarpetach, bo w nocy się odkrywa albo biega na bosaka do naszego pokoju).

- To zapal sobie lampkę i jej poszukaj - mówię, nie wstając z fotela.

Coś tam jeszcze mamrocze o skołtunionej kołdrze, ale jęki ustały. Miejmy nadzieję, że sobie poradziła. Hm... chyba jednak nie.

- Ja naplawdę nie umiem ułożyć sobie kołdly - stworek w pi-żamce wchodzi do naszego pokoju, siada na krawędzi tapczanu i opuszcza ramionka w geście bezradności.

- Najpierw spróbuj.

- Plóbowalam.

- Możesz poprosić starszą siostrę, która mieszka z tobą w pokoju. Jeśli ją ładnie poprosisz, myślę, że ci pomoże.

- Może być nawet bez proszenia, Duszko! - woła Majka. Bosonoga istotka wybiega. Odgłosy dobiegające z dziecięcej sypialni świadczą o zgodnej współpracy w zakresie odnajdywania rogów kołdry i układania jej na łóżku.

Środa, 11

Zimno. Przemóżna tęsknota za latem i niechęć do opuszczania domu. Niskie ciśnienie. Ból głowy. Ostatnia rzecz, na jaką mam chęć, to pójście do szkoły na zebranie. Ale trzeba. Franciszek doładowuje akumulator i jedziemy oboje. On do Tosi, ja do Jony Siadam na niskim krzeselku, przede

mną mama Elizy. Młodziutka.

Ubrana jak modelka i porusza się jak modelka. Buzia jak z reklam kosmetyków. Lekko uniesione kąciuki ust sprawiają wrażenie, że ich właścicielka cały czas słucha swego rozmówcy z miłą aprobatą. Czuję się przy niej bezbarwna, ciężka i stara.

Jona została zaliczona do grupy dzieci, które uczą się najlepiej. Mimo to, na myśl o niej czuję lekki niepokój. Może dlatego, że odrabia lekcje po najmniejszej linii oporu i nie podejmuje dodatkowych prac. Nie prowadzi zeszytu do lektur, bo jej się nie chce. Trochę mnie przeraża to zblazowanie. Z drugiej strony, Jona ma naprawdę dobre wyniki, więc być może nie powinnam się czepiać. Bo o co mi tak właściwie chodzi? Żeby zrobić wrażenie na wychowawczyni, która padłaby z zachwytu, widząc, ile książek czyta Jona? (Bez zeszytu do lektur pani się tego nie dowie). A przyrzekałam sobie kiedyś, że nie będę się popisywać dziećmi.

Angielski z Tosią. Miałam ją przepyttać z czytania, ale okazuje się, że dzieciak nie rozumie połowy tekstu. Nie podoba mi się ten jej nauczyciel. Zdanie po zdaniu, wyjaśniam znaczenie poszczególnych zwrotów. Mówię, że: she make us look selfish znaczy mniej więcej: „ona sprawia, że wyglądamy na samolubne”, i że: there was no more food oznacza, że nie było więcej jedzenia. Tosia zmęczona, ja wykończona, ale jakoś przebrnęliśmy przez pierwszy rozdział. Przekładamy resztę na jutro.

A jutro:

***9.45 - odprowadzić Duszkę na zajęcia *11.45 - odebrać Duszkę z zajęć**

*** 12.30 - znowu ubrać Duszkę i iść z nią półtora kilometra do szkoły po Majkę.**

Zanim wrócimy do domu, będzie wpół do drugiej, a o wpół do trzeciej jest angielski, czyli mamy z Tosią tylko godzinę na przerobienie tej nieszczęsnej czytanki.

Gdyby była już wiosna, może nie przygnębiałoby mnie tak to bieganie tam i z powrotem, ale jest mróz, a jutro może być jeszcze obrzydliwy zimny wiatr wiejący prosto w twarz.

Chyba po tym wszystkim położę się na tapczanie i do końca dnia będę czytać książki. Na nieszczęście przyniosłam ostatnio z biblioteki same niestrawne powieści. Okładki krzyczą: „Bestseller 2003!” albo „Kultowy pisarz irlandzki!”. Czytam pierwszy rozdział. Co za beznadzieja! Już nigdy nie odważę się wypożyczyć czegoś kultowego.

Czwartek, 12

Śniło mi się dzisiaj, że mimo wciąż trwającej kalendarzowej zimy, nagle zrobiło się ciepło. Zdjęłam kurtkę i przeszłam do przedniej części ogrodu, a tam tulipany! Na skalniaku jakieś bliżej niezidentyfikowane różowe kwiatki. I lubiny pod czereśnią.

Tak jest co roku. W styczniu, pod wpływem tęsknoty za wiosną, zaczyna mi się śnić ogród. A tymczasem za oknem gałązki drzew białe od szronu.

Odprowadziłam Duszkę na zajęcia i teraz kaszlę i kaszlę. Na szczęście Franciszek ma po nią potem pójść, więc zostaje mi tylko kurs po Majkę.

Duszka rozczarowana, że odebrał ją Franciszek, a nie ja. Stoi w sionce, wciąż jeszcze ubrana w kurtkę i płacze.

- Ja chciałam, żebyś ty do mnie psysła! Bo ja chcę być zawse z mamą. Chcę być tylko z mamą, a nie z tatą. Tata jest zły!

Biedny Franciszek, zbiera cięgi za to, że nie jest mamą.

- Czulaś się rozczarowana, że po ciebie nie przyszłam, tak? - mówię, zdejmując jej kurtkę.

- TAAAK! - wielki krzyk, lzy jak groch kapią na sweterek. Biorę ją na kolana.

- Ja musę zawse się do ciebie psytulać, zawse!

Franciszek patrzy na nas i wzdycha.

- Jak pojedziemy na ferie - obiecuję Duszce - to tatuś ulepi z tobą bałwana, albo pociąga cię na sankach, albo... pogra z tobą w warcaby.

Łzy momentalnie obsychają.

- To może zagłamy telaz w warcaby - Duszka z nadzieją spogląda na Franciszka.

Tego nie przewidziałam.

- Teraz nie, teraz tatuś musi iść do pracy.

- Uaaaa! - nowy potok łez i od nowa przytulanie, kołysanie i cały arsenał macierzyńskich pieścizot.

Usiłuję pisać. W pokoju obok co chwila wybuchają sprzeczki. Jona, która odrabia lekcje, wygania młodsze dziewczyny (słusznie).

- Idziemy od tej ohydnej Jony - mówi mściwie Duszka i wychodzi razem z Majką z sypialni starszych sióstr.

Niestety nie poszły do siebie, tylko bawią się pod drzwiami mojego pokoju. W ogóle nie mogę się skoncentrować, bo ich zabawa polega głównie na piskach i przewalankach po podłodze. Na pewno zaraz coś się stanie. No właśnie:

- Majka mnie dlapnęła w polik!

- Powiedz jej, jak ci to może naprawić! - odkrzykuję przez drzwi.

- Oblazę się na nią - wpada na pomysł i odbiega. Za chwilę znowu tupot stopek.

- Majka mnie udeza!

- Powiedz jej o swoich uczuciach!

- Złobię do niej złą minę.

Duszka wyraźnie preferuje bardziej drastyczne metody informowania o swoich emocjach.

Piątek, 13

Od rana porządki. Najpierw rozbieranie choinki, pracochłonne układanie łańcuchów w pudełkach i ściąganie gałęzi jodłowych,

porozwieszanych po całym domu. - Pół dnia zajęło to wszystko.

Powrót dzieci ze szkoły. Smażenie naleśników. Smażenie i smażenie. Ta rodzina je coraz więcej i ciasta już nie wystarczyło dla mnie. (Mała strata. Po godzinie stania nad gorącą patelnią nie mogę patrzeć na naleśniki).

Odkurzanie i nakłanianie Majki, żeby sprzątnęła liczne drobiazgi walające się na podłodze. Franciszek wyjeżdża na pocztę i miłosiernie zabiera ze sobą młodsze dzieci. Sprzątam dalej. Coś dużego zostało wciągnięte do rury. Wylączę odkurzacz i wyciągam szydelkiem majtki Majki. Dobrze, że jej nie ma, bo nawrzeszczałabym na nią strasznie.

Po całym dniu zamykam się w pokoju. Jestem wykończona.

- Mamo, a Majka mi zabrała pipka (czyli mały sztyfcik z zestawu do układania mozaikowych obrazków)!

- Mama jest zmęczona i zdenerwowana, nie wolno do niej chodzić - ostrzega Franciszek.

Próbuję grać na pianinie. Może harmonia dźwięków i skupienie na odliczaniu ósemek i szesnastek ukoi moje emocje. Zwalniam dzieci z kąpeli i mówię, żeby same zrobiły sobie kolację.

- Mamusiu, a nie gniewasz się już? - obejmuje mnie za szyję Jona.

Och ta Jona! Najtrudniej ze wszystkich dzieci znosi rodzinne konflikty, a mój zły humor albo złość zupełnie wytrącają ją z równowagi. Pozostałe dziewczyny są bardziej odporne.

- Nie, nie gniewam się. Zmęczyło mnie sprzątanie i byłam zła, że musiałam jeszcze was dopilnować, żebyście zrobiły porządek u siebie - wyjaśniam.

Przytulam Jonę. Mam nadzieję, że moje dzisiejsze krzyki nie przysporzą jej zranień na całe życie. A jutro pakowanie.

Sobota, 14 Torby:

* duża czarna z fioletowym paskiem - na ręczniki, pościel i piżamy

^granatowa z kieszeniami - na moje ubrania ^granatowa z dużą komorą - na ubrania Franciszka *zielona z klapą na rzep (ciągle czepia się dywanu) - na rzeczy Tosi

***dwie małe, czarne - na rzeczy Jony i Majki**

A gdzie upchnąć ubrania Duszki? Chyba w tej dużej z fioletowym... Popadam w zamyślenie na środku pokoju zawalonego ciuchami i częściowo wypełnionymi torbami podróżnymi. Z każdym rokiem pakowanie staje się coraz cięższe. Dzieci rosną i ich ubrania zajmują coraz więcej miejsca. Samochód zostanie wyładowany do granic możliwości.

Chodzę po domu, zbierając rzeczy i notując w pamięci, co jeszcze należy koniecznie wziąć. Za mną, krok w krok, jak dwa małe cienie - Majka i Duszka.

- Mamo, a po co są te baterijki?

- Jakie baterijki?

- Te, co tu leżą.

- A... chyba do latarek - omiatam nieprzytomnym spojrzeniem opakowanie paluszków.

- A po co mamy brać latarki?

- Spytajcie taty - nie mam już siły na wymyślanie odpowiedzi.

O czym myślałam?... Aha! Leki! Koniecznie pamiętać o zabraniu lekarstw: zyrtec dla Majki, maść do rąk, na wszelki wypadek ibufen... i plastry.

- Mamo, a kiedy tato będzie pakował rzeczy do samochodu?

- Nie wiem, chyba wieczorem.

- A po co teraz pojechał?...

Za chwilę oszaleję! Dlaczego nie mogą się spokojnie bawić, tylko cały czas bombardują mnie pytaniami?! Szłam po coś na górę i zapomniałam, po co.

- Do myjni i po benzynę - w moim głosie brzmi rezygnacja.

Rozumiem, że dziewczynki podniecone są zbliżającym się wyjazdem, więc staram się od nich nie opędzać. Majka tak to przeżywa, że wstała dziś o świcie i jeszcze w piżamie odrobiła wszystkie ćwiczenia, które pani zadała im na ferie. (Prace domowe w zerówce to naprawdę przesada. Na szczęście Majka jest pilna i nie narzeka).

- Mamusiu, już bym chciała, żeby było jutro!

Ja też bym chciała. A najlepiej pojutrze. Wtedy będziemy już rozłokowani, rozpakowani i zasiądę sobie przy kominku, czytając *The Empty House* Rosamundy Pilcher.

Ubrania spakowane. Teraz najgorsze - zbieranie do kupy wszystkich drobiazgów, o których łatwo zapomnieć: lekarstwa, kapcie, kawa i herbata, płyn do mycia naczyń, zapalki, aparat fotograficzny, szampon, kosmetyki. Rośnie stos wypchanych reklamówek.

Zmywam podłogę w kuchni i próbuję zeskrobać żywicę, która przywarła do kafelków po tym, jak Franciszek ciągnął po nich rozebraną choinkę.

Smaruję Tosi brodawki na stopach.

- Wiesz, mamusiu, Aneta ma to samo, tylko dłużej, bo od obozu.

- I jeszcze jej się nie wyleczyły? - jestem przerażona. Moja niechęć do basenów ma coraz większe uzasadnienie.

- Ale wiesz, mamusiu, dzięki temu, że obie nie mogłyśmy dzisiaj ćwiczyć, to sobie gadałyśmy. I okazało się, że ona też ma Simów i wie, jak ich nakarmić.

Suszę jej włosy i słucham beztraskiej paplaniny. Tosia - moja najstarsza. Czasami tak nieopanowana (dziś rano wrzeszczała na cały głos, nie wiedziałam, dlaczego - a to był jej sposób wyrażenia złości na to, że musi się uczyć słówek z angielskiego), a kiedy indziej czuła, wyrozumiała i pomocna. Z przerażeniem myślę, co się będzie działo, gdy hormony ruszą do boju. Jak zniosę huśtawkę emocjonalną dorastającej nastolatki?

Idę do kuchni. Tosia wsadza głowę przez drzwi.

- Chociaż mi się oczy kleją, to wcale nie chce mi się spać.

- Tak, kochanie, ale jednak spróbuj zasnąć. Jutro wyruszamy bardzo rano.

- To jeszcze przytulmy się na dobranoc.

Przedłuża, jak tylko może. Przytulam ją. Trudno być najstarszą. Mieć świadomość, że już nigdy nie będzie się maluchem, którego rodzice noszą na rękach i który bez problemu mieści się na kolanach. Obejmuję moje duże dziecko. Sama będąc pierworodną z trójki rodzeństwa, solidaryzuję się z najstarszą siostrą moich córek.

Jest dwudziesta trzecia. Franciszek biedzi się nad ustawieniem automatycznego włącznika światła. Wścieka się, bo mu nie wychodzi. Jestem już bardzo senna, ale muszę jeszcze spakować swój podręczny plecaczek. Chyba urządzenie Franciszka zadziałało, bo zgasła mi lampka. Dziękuję bardzo.

Mój plecak podręczny zawiera:

„pamiętnik

„stare kredki

„zapalki

„aparat fotograficzny”portfel i dowód osobisty”zwitek papieru toaletowego”lusterko, cienie do powiek i szminkę”spinki do włosów

„czarne wkłady do długopisów żelowych”mikroskopijny notes”paczkę chusteczek higienicznych”szczotkę do włosów

„zapasowe kluczyki do samochodu (na wypadek, gdyby Franciszek zgubił swoje)”kartę telefoniczną”gumki do włosów

„płaskie kamyki znad morza (niewyjęte od wakacji)”kilka tabletek codiparu (wyglądają na przeterminowane, lepiej będzie, jeśli je wyrzucę).

Niedziela, 15

Nareszcie jedziemy. Na drzewach igły szronu. Cały świat wygląda

bajkowo. Za oknami samochodu przesuwiają się krajobrazy jak wyjęte z prospektów reklamujących ośrodki sportów zimowych. Może dlatego podróż tak bardzo się nie dłuży i dzieci oszczędzają nam pytań: „Czy to jeszcze daleko?”, albo „Kiedy dojedziemy?” albo „Czy już jesteśmy za połową drogi?”

Włączamy radio. Jakaś potworna klótnia polityków. Redaktorze prowadzącej program z trudem udaje się dojść do głosu. Żyjąc na co dzień w zupełnym oderwaniu od mediów, słucham ze zdumieniem walczących na słowa, zaperzonych facetów. To już moje dziewczyny klócą się w sposób bardziej cywilizowany.

Na poboczach bażanty wydziobują coś zapamiętale spod śniegu. Wyglądają jak rajskie ptaki z innej rzeczywistości.

Bory Tucholskie - jesteśmy na miejscu. Najpierw wstępujemy na chwilę do Ewy, która z mężem i czterema synami mieszka w liczącej sobie sto sześćdziesiąt lat kociewskiej chacie. Chalupa drewniana, kryta trzcina. Małe, sześcioszybkowe okienka i zielone okiennice. A nad tym wszystkim rozpościera gałęzie wielki, stary kasztan. Wchodzimy do niskiej, cieplej i przytulnej kuchni. Rozsiadamy się wokół stołu. Ewa częstuje nas herbatą. Rozglądam się ciekawie. Wnętrze, jak na dom artystów przystało, urządzone niebanalnie i wypełnione przyciągającymi oko obiektami. W kącie, na drewnianym kufrze stoi wielka stara trąba, na ścianach wiszą gęsto obrazki. Są tu zarówno dzieła Ewy, jak i przyjaciół, a oprócz tego stare oleodruki o tematyce religijnej i naiwne wiejskie widoczki. Na oknie drewniana rybka ze szklanym oczkiem - wygląda jak prehistoryczny relikw - to rzeźba Ignacego, najstarszego syna Ewy. Chociaż nie przepadam za rzeźbą, to ta rybka i inne jeszcze prace, które oglądamy (na przykład ptaszek w trawie, a trawa to po prostu zdarta szczotka ryżowa, albo stworzonko na kółkach z przyczepionymi do pleców złotymi skrzydełkami z metalu), budzą mój zachwyt. Emanują beztroską i pogodą.

Herbata wypita. Bierzemy klucze, siekierę do rąbania drzewa i ładujemy się z powrotem do samochodu.

Dom, w którym mamy mieszkać, jest zasypany śniegiem. Osiemnastoletni Staś z dredami do połowy pleców odkopuje bramę, żebyśmy mogli wjechać. Błyski słońca w oknach, ciepła, miodowa barwa drewnianych okiennic, zgaszona czerwień porastających mchem dachówek. Na drzewkowatych tujach rosnących przed wejściem leżą grube czapy śniegu. Znamy tylko zimowe oblicze tego domu. Na lato przyjeżdżają tu jego prawowici właściciele. Teraz są zapewne w Indiach - to ich sposób na przetrwanie krótkich, szarych zimowych dni. (Gdybym była bogata...)

Staś, uprzedzony o naszym przybyciu, rozpałił kilka godzin wcześniej ogień w kominku. Nie tak łatwo jest jednak ogrzać całe to domostwo. We wnętrzu jest pioruńsko zimno. Załedwie pięć stopni. Chodzę w kurtce. Wyciągam z szafki kubeczki, żeby rozlać resztkę kawy z termosy. Naczynia, których dotykam, są lodowato zimne. Dzieciaki biegają w kółko po jasnoburej futrza-kowej wykładzinie, która dawno temu była zapewne kremowa. Znajome, wytarte, skórzane kanapy, ciemne belki pod sufitem, kolekcja butelek, stare rzeźbione meble i rustykalne bibeloty nadają wnętrzu niepowtarzalny klimat. Gdybyż jeszcze nie było tak potwornie zimno. Na piętrze mieszczą się sypialnie. Wnoszę na górę nasze torby, a tam ziąb jeszcze większy. Jak w ogóle zdołamy zasnąć? W przelocie rzucam okiem na rzędy smakowitych książek stojących na regale w górnym korytarzyku. Niech tylko zrobi się cieplej, zaraz wyszperam sobie coś ciekawego do czytania. Atrakcyjność książek polega między innymi na tym, że są po angielsku. Minusem jest to, że większość z nich to opowieści szpiegowskie albo krwiste kryminały. A jednak właśnie tutaj po raz pierwszy przeczytałam powieść Rosamunde Pilcher *The Shell Seekers* i zakochałam się w pisarstwie tej autorki.

- Mamo, włącz jakąś muzykę, bo chcemy tańczyć.

Grzebię w kasetach i włączam jakieś latynoskie rytmy. Tańczymy wszyscy, żeby się rozgrzać.

Padam na fotel przed kominkiem. Obok pieca stos starych czasopism przeznaczonych do spalania. Przeglądanie tych kolorowych magazynów to dla mnie zupełna egzotyka. (Na co dzień w ogóle ich nie czytuję). Nie szkodzi, że niektóre są sprzed dwóch albo i więcej lat. O, na przykład „Zwierciadło” sprzed trzech lat zamieściło wywiad z Juliette Binoche. Biorę i czytam. Rozczarowanie nadchodzi szybko. Nieciekawe pytania, nie można się dowiedzieć o aktorce niczego naprawdę interesującego. Ale Binoche ładna.

Dwunasta w nocy. Udało nam się dogrzezać do piętnastu stopni. Dzieciom urządziliśmy z dwóch łóżek barłóg do spania. Leżą każda w swoim śpiworze, przykryte na wierzchu jeszcze dwiema kołdrami i kocem.

Poniedziałek, 16

Moje trzydzieste dziewiąte urodziny. Świętuję - czyli pławię się w ciepłe bijącym od kominka i nie muszę nic robić. Od Franciszka dostałam książkę Rosamunde Pilcher *Sleeping Tiger* - już sama okładka, przedstawiająca fragment śródziemnomorskiego wybrzeża, sprawia, że ogarnia mnie błogość. Majka i Jona aż z domu dowiozły paczuszki z czekoladkami, które zaoszczędziły dla mnie z jakichś swoich świątecznych zapasów. Jona wręcza mi też kamień z przepięknie przez siebie namalowanym motylem (rusalka pawik - jak żywy). Dziecięca potrzeba obdarowywania nieodmiennie zdumiewa mnie i wzrusza.

Franciszek zabiera dzieci na sanki, a ja zostaję w ciepłym wnętrzu. Co jakiś czas wrzucam do kominka brzożowe polano i czytam kolejne czasopisma. Nurzam się w życiu gwiazd Hollywoodu tyleż egzotycznym, co odrażającym. Jakaś aktorka, dzięki badaniom DNA, nareszcie będzie wiedziała, który z kochanków jest ojcem jej dziecka. Cudowne, nieprawdaż? O innej z pań piszą, że jest kobietą sukcesu. Zrobiła świetną

karierę zawodową i ma udane życie rodzinne. Mieszka w pięknym domu z trzecim mężem. No cóż, dla mnie częsta zmiana mężów świadczy raczej o niezbyt udanym życiu rodzinnym. Widocznie różnię się w pewnych poglądach od tej pani.

I jeszcze wywiad z profesor Świdą-Ziębą. Ten akurat ciekawy. Pani profesor opowiada, że należała do kobiet o nikłych zainteresowaniach pracami domowymi i niewielkich umiejętnościach w tym zakresie. Były jednak osoby, które chciały ją wtłoczyć w rolę sprzątającej i gotującej żony. Bynajmniej nie mężczyźni, nie jej mąż, ale inne kobiety. To one osądzały i próbowały wzbudzić poczucie winy okrzykami: „Nie gotujesz obiadów, choć masz męża i dziecko?” „Jak to, ty nie pierzesz mężowi koszul i on się z tym godzi? Dlaczego nie urządzasz przyjęć?” Mężczyźni nie przeszkadzali jej w karierze. To kobiety chciały ją wychować na kobietę.

Otwierają mi się oczy. Przebiegam myślą po różnych znajomych, bogobojnych żonach i matkach... Czy one aby nie windują w górę jakiejś poprzeczki? I czy dobrze się czuję w ich towarzystwie? Niezbyt dobrze. Właściwie ich unikam. Ale równocześnie podświadomie z nimi konkuruję. Bardzo to wszystko ciekawe.

Moje rozmyślenia nad prześladowaniem kobiet przez kobiety przerywają wracające z saneczkowej wyprawy dzieci.

- Mamo, ale wywaliliśmy się na śnieg! - to Duszka.**
- A ja spadłam i tak się okropnie śmiałam! - to Majka.**
- Gdzie położyć czapkę? - to Tosia.**
- Mam mokre rękawiczki - to Jona.**

Po spokojnej długiej i samotnej lekturze przy kominku, mam wystarczająco dużo cierpliwości, żeby wysłuchać wszystkich opowieści, rozłożyć mokre czapki i rękawiczki wokół kominka, rozebrać Duszkę z ocieplanych spodni i zrobić wszystkim herbatę. Potem siadamy przy ogniu i czytam na głos Dynastię Miziołków, która ma być rzekomo świetną książką,

a mnie irytuje. Krzywię się przy określeniach typu: „moi starzy spierniczeli”.

Wieczór. Trochę mnie już męczy ciągle przebywanie z dziećmi w jednym pomieszczeniu. Biegają, piszczą i tupią, aż trzęsie się drewniana podłoga. Nie słyszę własnych myśli. Na górze jest zbyt zimno, żeby można je było tam odesłać albo schronić się samemu. Jestem bardzo nieodporna na hałas. Próbuję powstrzymać ogarniające mnie rozdrażnienie, ale czy można zatrzymać morską falę?

Duszka bawi się w samotną dziewczynkę, która „nie ma blatów ani siostr, ani lodziców”. Chodzi z rozmarzoną miną i wymyśla przygody, które opowiada samej sobie (i średnio co pół minuty mnie).

Wtorek, 17

W nocy Duszka płacze, że zgubiła skarpetkę. Szukam po omacku w głębi śpiwora. Jest! Nakładam wełnianą skarpetę na bosą stopkę i próbuję zasnąć.

- Mamo, gdzieś mi się zgubiła długa skarpetka.

Mój głos wcale nie brzmi miło, kiedy każę jej przestać płakać. Tym razem grzebanie w śpiworze nie daje rezultatów.

- Rano na pewno ją znajdziemy.

- Ja chcę telaaaaz!

Zaraz obudzi pozostałe. Szybko podaję jej kubek z pićm, który na chwilę odwraca uwagę od nieszczęsnej skarpetki. Duszka pojękuje jeszcze, ale w miarę cicho. Ode mnie sen niestety odszedł. Dzieci kręcą się na monstualnym posłaniu, nieprzyzwyczajone do wspólnego spania.

- Majka, posuń się! - krzyczy Tosia i spycha siostrę ze swojego terytorium.

Jona pochlipuje, że dziewczyny zajęły jej miejsce. Przepychanki trwają jeszcze jakiś czas, aż w końcu ustają.

Za oknem płaszczyzna jasnego śniegu i las. Cisza. Nie słychać nawet

szczekania psów.

Wstaję późno. Ta noc dała mi w kość. A chciałabym zaczynać dzień wcześniej. Zasiąść sobie samotnie przed kominkiem i kontemplować ciszę uśpionego domu.

Gorąca, słodka kawa w wysokim kubeczku w kwiatowe wzory. Kominek. Furkoczący odgłos pomarańczowych płomieni i trzaskanie pękających polan. A do tego powieść Rosamunde Pilcher napisana tak, że można smakować każde zdanie, jak rozplywające się na języku lody śmietankowe.

Środa, 18

Podejmuję decyzję, że wyjdę dziś ze wszystkimi na dwór. Zimno i wilgotno. Oddycham świeżym powietrzem, żeby odegnąć kominkowe opary z na pół uwędzonej głowy. Stąpamy po zamarznętym śniegu, który chrupiąc, załamuje się pod naszymi stopami. Pod sosnami zwierzęce bobki i odsłonięte łaty gołej ziemi, jakby leżało tu jakieś spore stworzenie. Snuję przypuszczenia, że mogły to być sarny.

Po bezładnym łażeniu i próbie zabawy w chowanego, wracamy do domu. Zima ma znacznie więcej powabu, gdy oddziela mnie od niej okienna szyba. Mogę kontemplować białe, śnieżne przestrzenie, grzejąc się jednocześnie w ciepłym wnętrzu.

Franciszek zły, bo przegrał w scrabble. Losował fatalne zestawy liter. Majka co chwila przynosi nam małe rysunekczki, na których widnieją czarnowłose dziewczynki, różniące się od siebie głównie ubiorem. Próbujemy doceniać jej artystyczne eksperymenty, ale przy trzydziestej panience jestem już mocno zmęczona. Jona i Tosia bawią się lalkami. Błyskotliwe i burzliwe dialogi toczą się za moimi plecami jak niekończące się słuchowisko radiowe.

Czwartek, 19

Poranek. Trzy dziewczyny jeszcze śpią, tylko Jona rzuca kostkami do

gry po stole. Pada śnieg. Kominek pochłania niezliczone ilości drewnianych okrągłaków. Czytam A Morbid Taste for Bones Ellis Peters. Znalazłam to w tutejszym księgozbiórce. Bardzo sympatyczny, osadzony w średniowiecznych realiach kryminał.

Popołudnie. W szafce, w której mieści się prawdziwy, staroświecki adapter, odkryłam płyty Dublinersów. Włączyłam je i teraz czuję się jak w irlandzkim domostwie. Ogień na kominku, Franciszek naprawia siekiere, dzieci przy stole łuskają orzeszki pistacjowe, a ja czytam. Na półce zwieńczającej ściankę, która oddziela część kuchenną, stoi kolekcja starych butelek. Nad lustrem dwa gipsowe aniołki klęczą twarzami do siebie.

Tosia wrzuca do kominka łupinki po orzeszkach. Pałają się jasnym płomieniem.

Na ścianie wisi duży wełniany gobelin w kwiaty. Tkany, nie haftowany. Dopiero teraz widzę, że jest trochę krzywy. Ucieszyło mnie to. Już nie muszę mieć kompleksów z powodu nierówno zszytej makatki.

Majka przypatruje się robocie Franciszka i zadaje fachowe pytania. Tosia podsuwa mi talerzyk z wyluskanymi pistacjami:

- Mamuś, jak chcesz, możesz się częstować.

Piątek, 20

Na zewnątrz minus osiemnaście stopni, wewnątrz plus czternaście. Kominek pracuje pełną parą, ale wcale nie czuję, żeby wewnątrz w sposób znaczący się ogrzewało. Siedzimy jak najbliżej ognia. Franciszek wstawił pod maskę samochodu grzejnik elektryczny, a wczoraj przez cały dzień ładował akumulator.

Za oknem słychać brzęk dzwoneczków. Zajechał umówiony wczoraj pan z saniami. Planowaliśmy kulig, ale jest zdecydowanie za zimno. Zamarzlibyśmy na kość, mimo warstwy stęchłych koców, które ma do zaoferowania nasz woźnica. Franciszek wychodzi na zewnątrz i mówi, że przejedziemy się saniami, jak będzie trochę cieplej.

Czytam dzieciom Tumbo z Przylądka Dobrej Nadziei Centkiewiczów. I w książce, i w rzeczywistości warunki polarne.

Franciszek nie może uruchomić samochodu. Jesteśmy odcięci od świata. (W tej chwili głównie od sklepu spożywczego). Mój mężczyzna wyrusza z plecakiem na polowanie, czyli idzie do najbliższych sąsiadów pożyczyć volkswagena.

Na obiad żurek. Dzieci krzyczą, że chcą dużo jajek.

Majka kolejny dzień produkuje dziesiątki rysunczków, na których widnieją czarnowłose dziewczynki w długich sukniach albo czarnowłose niemowlaki w kolorowych śpiochach. Starsze dziewczyny czytają książki, które wygrzebałam im w tutejszej biblioteczce: Panna z mokrą głową Makuszyńskiego i Baśnie i legendy litewskie zebrane przez Oskara Miłosza (chyba trochę przerażające). Duszka rysuje. Franciszek kupił jej kredki świecowe i zeszyt, więc mała jest w swoim żywiole.

Wieczorne mycie głowy. Ciepła woda leci bardzo słabo. Żeby splukać Tosi włosy, latam do kuchni, bo tam z kranu leje się niemal wrzątek.

Dziś za oknem widzieliśmy lisa. Przebiegał całkiem blisko domu. Może szedł na wieś złapać jakąś kurę albo skraść kilka jajek.

Sobota, 21

Sypie, sypie, sypie śnieg. Ubielone drzewa, zasypany samochód. Całe nasze życie toczy się przed kominkiem. Tosia i Jona bawią się na małym stoliku, który dosunęły jak najbliżej źródła ciepła. Franciszek odważnie wyruszył z młodszymi dziećmi na sanki. Jestem senna i nie mam siły na pisanie.

Wieczór. Dzieci dzwonią do babć i dziadków z życzeniami (Dzień Babci) i dzielą się wrażeniami. Nie opowiadają ani o śniegu, ani o krótkich wypadach na sanki. Głównym tematem telefonicznych dialogów z rodziną są wrażenia ze spania we wspólnym łóżku: że Duszka przeturlała się we śnie na miejsce Jony, że przepychały Tosię, która zajęła za duże terytorium, że

Majka mówiła przez sen „Ja się szczypię”. To ostatnie szczególnie je rozbawiło, więc każda musiała to opowiedzieć. Szczerze mówiąc, mam dosyć. Dotkliwie odczuwam brak miejsca odosobnienia.

Niedziela, 22

Rano. Termometr za oknem pokazuje dwadzieścia osiem stopni mrozu. Franciszek rezygnuje z prób uruchomienia samochodu. Nie ma mowy, żebyśmy mogli pojechać na niedzielną mszę. Kościół w Osieku jest zresztą nieogrzewany. Nie wiem, jak tam dzisiaj wytrzymają wierni, nie mówiąc już o księdzu i ministrantach.

Czuję klucie za uchem, może dotarł do mnie w nocy jakiś zimny powiew od okna. Jona ubiera się w łazience, gdzie jest najcieplej dzięki grzaniu podłogowemu. Można stanąć bosymi stopami na ciepłych płytach. Niestety, zapach panujący w tym pomieszczeniu przypomina stojące pomyje albo wyziewy z szamba, co czyni dłuższe przebywanie dość przykrym.

Tosia siedzi na fotelu i płacze, że nie będzie się przebierać, bo jej zimno. Słyszę wołanie Duszki. Sprowadzam ją z góry, sadzam przy kominku i przebieram etapami, ogrzewając każdą część ubrania nad ogniem.

Co chwila wybuchają jakieś klótnie. Teraz Majka z Tosią - o gumki do włosów.

- Srebrne gumki są wspólne - to Majka.

- Nie! Są moje! Dostałam je na mikołajki! - wydziera się Tosia.

- Nieprawda! Są wspólne!

- Chyba pamiętam, co dostałam!

- Daj mi tylko na dzisiaj! Przecież nie używasz! - Majka inteligentnie zaczyna pertraktować. Brawo!

Zapada dłuższe milczenie.

- No dobrze, możesz sobie je wziąć z plecaka, ale jeśli chociaż jeszcze

jedna rzecz będzie wyjęta, to... - w tym momencie Tosia robi tak komiczną minę (która miała być zapewne groźnym grymasem), że wybucham śmiechem. Rzuca mi spojrzenie spode łba.

Franciszek ma rudą plamę na czapce - pamiątka po suszeniu jej na piecu. Widocznie przylegała do jakiegoś rozżarzonego miejsca. Dobrze, że to nie buty.

- Tato, puść nam coś do tańca - prosi Tosia.

Franciszek grzebie w szafce z dużymi winylowymi płytami i wynajduje Rosiewicza. Charlestonowe rytmy skłaniają nasze córki do dzikich wygibasów. Dziewczyny tak się rozgrzały, że po raz pierwszy dzisiejszego dnia pozrzucały swetry. Naelektryzowane włosy fruują im wokół głów jak złociste aureole. Stare piosenki, zawoalowane aluzje polityczne (jest to nagranie koncertowe) i dowcipy przenoszą nas w czasy głębokiego PRL-u.

Przy kolacji włączamy płytę Cohena.

- To mi się najbardziej podoba - mówi Duszka, słysząc utwór Alleluja.

Kołysze się do rytmu i nuci razem z płytą. Wygląda jak młodociana śpiewaczka gospel.

- Widać, że Duszka czuje muzykę - mówi Franciszek.

- Tak. Cuję ją w bzuchu.

Poniedziałek, 23

Wpół do dziesiątej rano. Termometr za oknem pokazuje minus trzydzieści dwa stopnie. We wnętrzu dziesięć na plusie. Powinniśmy się cieszyć, że nie pękły rury i nie wysiadły urządzenia elektryczne. Możemy sobie zrobić gorącą herbatę na przywitanie dnia. Trzeba ją pić szybko, bo w tych warunkach błyskawicznie stygnie. Czuję się, jakbyśmy mieszkali na stacji polarnej.

Dzieci w nałożonych na piżamy swetrach schodzą na dół i sadowią się przed kominkiem. Grzeją im nad ogniem podkoszulki i majtki. Materiał

pachnie jak po prasowaniu gorącym żelazkiem. Rączki Duszki lodowate. Szybko nakładam jej golf i gruby wełniany sweter. Franciszek, który jest jedyną osobą zmuszoną do wychodzenia na zewnątrz (rąbanie i przynoszenia drzewa), ma na sobie pięć warstw ubrań.

- Mamo! Sarny! - krzyczy Majka.

Tłoczmy się przy oknie. Piękne płowe zwierzęta ogryzają gałązki sosen (przynajmniej z tej odległości wydaje się, że ogryzają). Po chwili zaczynają się niespiesznie oddalać, przeskakując z wdziękiem przez zasy.

Tosia nauczyła się nastawiać adapter i w kółko puszcza płytę Cohena.

Z drzeniem myślę o moich azaliach i różanecznikach. Mogą nie przetrzymać tej zimy. Żałuję, że porządnie ich nie zabezpieczyłam.

Powoli zbliża się data naszego wyjazdu. Jak na razie możliwość uruchomienia samochodu jest dość nikła. Zapalił tylko raz. Następne próby nie przyniosły rezultatu. Droga przez las zupełnie zasypana śniegiem, więc być może trzeba będzie wzywać ciągnik, żeby nas wyholował na główną drogę.

Na wewnętrznych powierzchniach okien - lód.

Wtorek, 24

Ostatni dzień tutaj. Kończę kryminał Agaty Christie Sparkling Cyanide. Franciszek pojechał samochodem sąsiadów do Skórcza po akumulator, filtry i jakiś specyfik zapobiegający rozwarstwianiu się paliwa. Ma też umówić się z mechnikiem na odholowanie naszego pojazdu do zakładu naprawczego. Szkoda mi Franciszka. Zamiast relaksować się błogo w ten ostatni dzień, musi załatwiać takie stresujące sprawy.

Parszywi fachowcy! Tak wyciągali nasz samochód, że naderwali dwa uchwyty holownicze. Pospieszne, chaotyczne ruchy i żadnej dbałości o cudzą własność. Mam duże obawy, jeśli chodzi o jakość naprawy. Dzieci obserwują przez okno całą akcję odholowywania pojazdu. Widzą, jak Franciszek zdenerwowany macha rękami i kłóci się z facetami w borych,

sfatygowanych kurtkach. Duszka przybiega do mnie ze łzami w oczach.

- Dlaczego zabielają nas samochód? Co będzie z naszym samochodem?

- Będą go naprawiać, żebyśmy mogli wrócić do domu. Przytulam ją, ale mała zeskakuje mi z kolan, żeby obserwować rozgrywające się za oknem dramatyczne sceny. Jeszcze kilka minut i nasz srebrzysty pojazd znika pomiędzy sosnami.

Tosia nastawia płytę z bajką o królownie Apolejce. Trochę za głośno. Nie mogę się skupić na Agacie Christie, a przecież już za chwilę okaże się, kto zabił.

Wraca Franciszek. Zły, bo chociaż akumulator wymieniony i filtr założony, to strat też jest dużo: zniszczone uchwyty, urwana klamka otwierająca drzwi od wewnątrz, a w dodatku przebita opona. Jutro trzeba jechać do wulkanizacji. Nie wiadomo, o której uda się nam stąd ruszyć.

Zamknięty kominek świeci przez kratki pomarańczowymi płomykami. Jestem senna i w jakimś dziwnym stanie zawieszenia. Trudno mi powiedzieć, czy odpoczęłam przez te kilka dni, czy nie. Mróz był dobijający, ale z drugiej strony stanowił element zimowej przygody.

Środa, 25

Franciszek pojechał do wulkanizacji, ja pakuję i sprzątam. Góry zmywania też na mojej głowie. Ręce mam szorstkie, zatarta skóra nieprzyjemnie czepia się swetra. Wychodzę do przedsionka po drewno. Wilgotne ręce momentalnie przymarzają do klamki. Zbieram resztki żywności. Połówka chleba, pół opakowania herbaty ekspresowej, ząbki czosnku porozkładane we wszystkich możliwych miejscach kuchni (dlaczego Franciszek nie może sobie przygotowywać kanapek w jednym miejscu?), jedna marchew, kapusta pekińska, masło roślinne, resztką makaronu, pół opakowania płatków kukurydzianych, pół butelki syropu malinowego, jakieś cukierki, daktyle i suszone morele. Robię herbatę do termosu. Dziewczyny siedzą przed kominkiem i przeglądają czasopisma.

Nie mają nic innego do roboty, bo wszystkie zabawki już spakowane.

Jest Franciszek. Wynosi bagaże do samochodu, a ja biorę się za odkurzanie. Mają tu odkurzacz o kilka klas lepszy od naszego - bardzo cichy, ale Duszka i tak jęczy:

- Ja nie chcę tego hałasu!

Nareszcie ruszamy. Droga przez ośnieżony las wygląda bajkowo. Jak scenografia do Królowej Śniegu. Dziewczyny, zaopatrzone w mentosy i tik-taki, moszczą się wesoło wśród stert bagażu. W miarę upływających godzin jazdy ta wesołość opada. Ogrzewanie w samochodzie nie działa zbyt dobrze (najlepiej się sprawuje podczas upalnych letnich dni). Nogi aż bolą z zimna. Po wielu próbach Franciszkowi udaje się w końcu puścić dołem strumień cieplejszego powietrza.

Na obiad zatrzymujemy się w karczmie „Siwy Dym”. Z daleka wygląda bardzo zachęcająco - przysadzisty, stylizowany na wiejską chatę budynek z bali kryty trzciniową strzechą. Kusi nie tylko perspektywa gorącego jedzenia, ale i rozgrzania się w ciepłym wnętrzu. Od środka karczma przypomina wielką stodołę. Dekoracje wciąż jeszcze bożonarodzeniowe. Na belkach pod dachem wiszą girlandy ze słomy i drewniane ptaszki. W oknach szydełkowe firaneczki. Na pierwszy rzut oka bardzo przytulnie. Niestety, ani ciekawy wystrój, ani miodowy kolor drewnianych ścian nie mają wpływu na poziom temperatury panującej w rozległym pomieszczeniu. Krótko mówiąc - jest zimno. Zasunięty szybą kominek i porozmieszczane tu i ówdzie niewielkie kaloryfery nie są w stanie ogrzać tak dużej przestrzeni. Całe ciepło ucieka aż pod wysoko sklepiony dach. Majka nie chce się rozebrać z kurtki i czapki, Tosia przywiera plecami do grzejnika. Zamówione pierogi znikają błyskawicznie w naszych żołądkach i musimy zamawiać następne porcje.

W samochodzie znowu lodowato, ale cieszymy się, że ruszył. Zapadł zmrok. Droga się dłuży. Pocieszam się myślą, że w domu nareszcie będę

mogła się wygrzać. Dzwoniłam wczoraj do mamy i prosiłam, żeby ustawiła kaloryfery na wyższą temperaturę.

Zajeżdżamy o ósmej wieczorem. Jak miło wygląda nasz żółty domek i mały zasypany śniegiem ogród. Dziewczyny (oczywiście wszystkie naraz) krzyczą, że chce im się siku. Otwieram drzwi. Jakoś nie bucha ciepłem. Patrę na termometr - dwanaście stopni. Zmarzły wszystkie fiołki na parapetach.

Czwartek, 26

Przez noc temperatura podniosła się do stopni trzynastu. Spałam w chustce na głowie, bo od wyziębienia mam nerwobóle. Franciszek pojechał do Warszawy.

Dziś urodziny Duszki, więc powoli, zgrabiałymi z zimna rękami, robię tort. Dzieci jak anioły. Tosia troskliwie pyta, jak się czuję. Nie za dobrze, szczerze mówiąc.

- To ty sobie mamusiu poleż, a my pójdziemy na górę.

- Nie mogę leżeć, muszę zrobić dla Duszki tort, ale to naprawdę wielka pomoc dla mnie, jeśli wszystkie będziecie się tam bawić. Poza tym u was jest cieplej.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego te kaloryfery tak wolno się nagzewają. Mama włączyła je tak, jak prosiłam, ale coś się chyba musiało zepsuć.

Tort gotowy. Kładę się na łóżko i nakrywam kocem po uszy. Chce mi się spać. Może z powodu wychłodzenia. Jest tak zimno, że tylko się skulić i zapaść w niebyt.

Zjawia się Franciszek. Najpierw niedowierzającym i pełnym wyrzutu spojrzeniem obdarza termometr, po czym bierze się do odgrzewania pierogów. (Kochana mama zostawiła nam pełną michę - powinno starczyć na dwa obiady).

Po obiedzie dmuchanie świeczek. Franciszek i Tosia podrzucają

Duszkę cztery razy w górę. Mała jest w tym cudownym wieku, że bardziej cieszy ją sama celebracja, niż prezenty.

Wieczór. Piętnaście stopni. Długo moczę się w wannie. W BARDZO gorącej wodzie. Potem wkładam flanelową piżamę, wełniane skarpety i chustę na głowę. I pod kołdrę.

Piątek, 27

Franciszek przynosi mi do łóżka gorącą herbatę. Kochany.

- Jest piętnaście stopni - mówi - ale na zewnątrz minus dziewiętnaście. Piec po prostu nie nadąża.

Nie chce mi się wstawać. W łóżku jest tak ciepło. Mały pocisk w zielonym sweterku wskakuje na mnie i zakopuje się pod kołdrą. Trzeba zacząć dzień. Ubieranie nie należy do przyjemności. Brakuje kominka, przy którym można by nagrzać ciuchy. Zziębnięte ręce poruszają się niezgrabnie. Ogarnia mnie uczucie przytłoczenia. Z powodu bólów głowy nadal chodzę w chustce.

Franciszek ma robocze spotkanie z ludźmi z Fundacji. Siedzą u niego w pokoju. Dzieci zachowują się w miarę spokojnie. Chyba się położę.

Sobota, 28

Lekki ból głowy. Pojawił się w momencie, gdy weszłam do kuchni i zobaczyłam niesprzątnięte resztki śniadania na stole. Mój drogi mąż najadł się i zostawił wszystko (ze swoim ukochanym białym serem na czele) służącej, czyli mnie. A miałam właśnie zasiąść do pisania. Porządkuję kuchnię, tocząc z nim w myślach zajadle kłótnie.

Wchodzi Franciszek.

- Jak się czujesz? - pyta.

A ja w płacz. Łzy, łzy i łzy. Chyba mam depresję.

Niedziela, 29

Ranek. Kłótnia z Franciszkiem. Rzucił gdzieś torbę z czapkami i nigdzie nie można jej znaleźć. On oczywiście jest ostatnią osobą, która

umiałaby sobie przypomnieć, gdzie coś położyła. Atmosfera zwarzona. Chowam się w swoim pokoju. Zimno. No nie! Franciszek przykręcił mój kaloryfer!

Strasznie już tęsknię za wiosną. Jona też.

- Wiesz, mamusiu, ja tak strasznie chcę, żeby już było lato. Jak myślę o lecie, to chce mi się płakać.

Stajemy przy oknie, a tam wszystko uśpione, przykryte warstwą śniegu.

Przygnębia mnie fakt, że od jutra zaczyna się szkoła, a na przerwę wielkanocną trzeba czekać aż dwa i pół miesiąca. Ciężar dźwigania codzienności wydaje się nie do zniesienia. Jak to zrobić, żeby dom był czysty, obiady smaczne i niemonotonne, ciasta często i dobre, obce języki wyuczone, gra na pianinie coraz płynniejsza, a do tego żebym miała czas na pisanie. Najlepiej codziennie. A jeszcze dzieci. Trzeba dopilnowywać, żeby odrabiały lekcje, sprawdzać, czy mają czyste i obcięte paznokcie, czy Tosia nauczyła się angielskiego. Ponadto jest jeszcze wychowanie szeroko pojęte, czyli między innymi nauka wyrażania uczuć (całym zdaniem) i kulturalnego rozwiązywania konfliktów. I troska o to, żeby były szczęśliwe. Skąd wziąć siły na to wszystko?

Poniedziałek, 30

Lista zadań na dzień dzisiejszy:

* wyrzucić zmarznięte fiołki *zrobić ciasto bananowe *wstawić pranie i później je rozwiesić *odrobić francuski

*przepytań Tosię z angielskiego

* zapłacić za lekcje pianina *zrobić sałatkę z fasoli na kolację *przerobić ćwiczenia z języków

* przypomnieć Franciszkowi, żeby zrealizował kupony rabatowe. W nocy śniły mi się kwitnące jabłonie. Usycham z tęsknoty za wiosną.

- Gdzieś mi zginęła książka od historii - płacze Tosia.

Tak naprawdę, bardziej się smuci dlatego, że nie może znaleźć bluzeczki jednej z lalek. Historią mniej się przejmuje, ale płacząc głośno, liczy na wzbudzenie współczucia w twardych, rodzicielskich sercach. Powstrzymuję naturalny odruch pchający mnie w kierunku nakrzyczenia, że ma bałagan w rzeczach. Wchodzę do jej pokoju i wiedzona instynktem oraz długoletnim doświadczeniem, sięgam pod blat biurka.

- Ale ja tam nie kładłam - twierdzi Tosia.

Bez słowa odgarniam stos komiksów przemieszanych z papierkami po cukierkach i odsłaniam leżący pod nimi podręcznik do historii.

- O! - wyraża zaskoczenie moja najstarsza córka.

Właśnie - O! Jak skłonić dzieci, żeby utrzymywały porządek w swoich szufladach i szafkach? Próbuję szanować granice terytorialne dziewczyn, stosując zasadę: „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. W praktyce oznacza to, że czepiam się tylko bałaganu w widocznych miejscach. Ale kiedy dzieciakom coś „ginie” i muszę pomóc w poszukiwaniach, wszystko mi się w środku przewraca na widok zawartości ich szuflad.

Wtorek, 31

Nie mamy telewizora, nie widziałam więc relacji z Chorzowa, gdzie pod ciężarem śniegu zwałił się na ludzi dach hali wystawowej. Nie widziałam wynoszonych zwłok ani płaczących rodzin. Moimi źródłami informacji są strzępki radiowych wiadomości i to, co opowiadają ludzie. Przychodzi mama i mówi, że liczba ofiar doszła do sześćdziesięciu sześciu. Majka wraca ze szkoły i dzieli się z nami zasyłaną historią o dziewczynce, która uratowała się jako jedyna z całej rodziny. Franciszek wraca z zakupów z informacją, że z dachu sklepu Globi robotnicy zrzucają śnieg. Tak zresztą dzieje się prawie wszędzie tam, gdzie sklepy mają płaskie dachy. Wszyscy się boją, żeby nie przydarzyło się im to samo, co ludziom z Chorzowa.

Odprowadzam Duszkę na zajęcia. Wilgotny, lodowaty wiatr i

kaszowata breja pod nogami. Nienawidzę zimy. Duszka obejmuje mnie za szyję:

- Ta mama nadaje się do psytulania.

LUTY

Środa, 1 Duszka:

- Mozes mnie całować, głaskać i psytulać.

Oczywiście, że mogę, ale w tej chwili wolalabym zająć się czymś innym. Na przykład pisanie. Moi bohaterowie właśnie patrzą z pokładu statku na odległą wyspę. Dialogi niezbyt się kleją. Potrzebuję chwili skupienia i tego, by słodka córeczka nie włąziła mi teraz na kolana. Już nie włązi, ale bawi się kłębkami kordon-ków w rodzinę. Cichutko się bawi. Troszkę tylko sobie podśpiewuje. A teraz rozkłada szeroko ręce i kręci się na środku pokoju. Chyba nic już nie będzie z dzisiejszego pisania.

Tosia. Nie wiem, co jest z tym dzieckiem. Każda czynność zajmuje jej tak dużo czasu. A to się zamyśli, a to się zabawi... Obiad - wolę wyjść z kuchni, żeby nie widzieć, jak ona je. Napoczęty kotlet, kupka ryżu stygnąca na talerzu, a Tosia grzeje się przy kaloryferze. Zmywanie naczyń: chlapanie ręką w garnku z wodą, wywoływanie fal, a po chwili klepanie mokrym palcem leżącego na blacie zamrożonego kawałka mięsa. Mam ochotę nią potrząsnąć. Kąpiel - moczy się i moczy. Chyba już pół godziny.

- Tosiu! Wyjdź już z tej łazienki!

- Właśnie się wycieram.

Mija kolejnych piętnaście minut i nic.

Zastanawiam się, o co chodzi. Czy to przytłoczenie nauką, czy chęć zwrócenia na siebie uwagi, czy przemęczenie, a może tajemnicze problemy. Nie chcę się poddać i uznać, że Tosia „taka jest”. Denerwuje mnie u innych postrzeganie dzieci w ten sposób.

Rodzice nie mogą dać sobie rady i wszystko zwalają na dziecko. Wzdychają ciężko i mówią: „Ono już takie jest”. I koniec. Złożenie broni,

rezygnacja. Więc co z Tosią?

Franciszek zobowiązał się, że będzie sprawdzał jej lekcje. Odpada mi duży stres. Może więc stanę się bardziej mamusiową istotą, która przytula, wysłuchuje różnych historii i zupełnie się nie przejmuje, że minęły już trzy godziny od powrotu ze szkoły, a panna Tosia zamiast odrabiać pracę domową, przegląda sobie czasopisma.

Czwartek, 2

Duszka jest na zajęciach, a ja siedzę z Ewą w jej małej kuchence i popijam kawę z amaretto. Jaś pelza po podłodze i odkrywa świat. Już zapomniałam, jak to jest, gdy się ma roczne dziecko, które otwiera szafki, grzebie w odpadkach i wkłada do buzi wszystko, co mu wpadnie w rękę. Jaś chwiejnym krokiem przemierza kuchnię, dociera do niskiego stolika, chwieje się niepewnie, traci równowagę i wywala się z płaczem na podłogę, tuż obok miski z chrupkami. Zapomniałam już, jak bardzo można być niewyspanym, gdy kilka razy trzeba wstawać w nocy na karmienia. I że zamknięcie się na chwilę w toalecie jest luksusem, przeciw któremu pozostawione za drzwiami potomstwo protestuje z głośnym wrzaskiem.

- To nie jest normalny stan - kręci głową Ewa, przytrzymując wiercącego się synka.

W drugim pokoju czteroletnia Zuzia robi ciasto z ciastoliny i nie ma potrzeby zwracania na siebie uwagi.

Próbujemy kontynuować rozmowę, mimo przerywającego nam co chwila Jasia.

- Musisz przychodzić częściej - mówi Ewa. - Jesteś dla mnie żywym dowodem, że kiedyś nadejdzie taki czas, że będę się mogła wyspać i wyjść z domu sama, bez dzieci.

Piszę w swoim pokoju.

- Mamusiu, jesteś baldzo kochana! - woła Duszka przez zamknięte drzwi.

- Ty też jesteś bardzo kochana! - odkrzykuję, nie przerywając pisania.

- Obie się lubimy! - Tak!

- A widzisz mnie?

- Nie! - odkrzykuję zgodnie z prawdą, bo przez ten cały czas nawet nie odwróciłam głowy w kierunku oszklonych drzwi.

Skrzypnięcie naciskanej klamki.

- Wesłam, żeby cię uściskać - jasnowłosa, rozczochrana główka przytula się do mnie, a łapki obejmują mnie w pasie.

Duszka jest słodka i to stanowi jej broń masowego rażenia. Wychodzi. Wraca.

- Jeszcze przytulenie - znowu mnie obejmuje.

- Jeszcze raz? - pytam zdziwiona.

- Wtedy to było uściskanie, a teraz jest przytulenie. Mówiąc to, sadowi się na krzesło przy małym stoliku.

- Teraz chcę lysować - oznajmia.

No ładnie! Ten pokój miał być moją oazą odosobnienia.

Idę wieszać pranie. Ciągle jeszcze nie uporałam się z brudnymi ubraniami, które przywieźliśmy z Borów Tucholskich. Cała ich torba leży w pokoju. A rodzina stale produkuje nowe brudy. W łazience rośnie wielobarwna, niezbyt mile woniejąca góra skarpet, rajstop, bluzek i spodni.

Piątek, 3

Za oknem sypie śnieg. Duszka jeszcze śpi. Robię sobie kanapkę z camembertem gęsto udekorowaną oliwkami i siadam z książką w kuchni. Głupawa powieść Klub idiotek - w sam raz na rozpoczęcie dnia. Przeciagam śniadanie, jak długo mogę. Jeszcze przez chwilę chcę się podelektować bez troską i nie pamiętać, że dzisiaj dzień sprzątnięcia.

Duszka gramoli się z pościeli i przybiega do mnie z płaczem.

- Miałam zły sen, że jacyś źli ludzie mnie gonili i salpali. Biorę ją na

kolana i scałowuję lezki.

- A dobzy ludzie sukali dla mnie sanek z opalciem. Zaczynam ją ubierać.

- Jak miałam taki zły sen, to chyba tseba mnie psytulić. Przytulam raz jeszcze.

Idziemy do kuchni. Podgrzewam mleko i daję kopiastrą miseczkę miodowych płatków. W przelocie rzucam okiem na karmnik, gdzie rozsiadł się grubodziób i wyżera ziarna słonecznika, nie dopuszczając innych ptaków. Biorę się za liczebniki hiszpańskie.

- Mamo! Chce mi się kupę!

- No to biegnij na sedes.

-... un tercio, un quarto, medio...

- Mam całe nogi ubludzone!

Biegnę do łazienki. Brązowe smugi na desce sedesowej i na nogach Duszki. Czeka mnie dłuższa zabawa. Skrobię, myję, szoruję, wycieram... Cała procedura trwa około piętnastu minut. Na podreperowanie humoru muszę sobie zrobić kawę. Wlewam dużo skondensowanego mleka i z kubkiem kusząco pachnącego napoju zasiadam przy biurku.

- Chces helbatę? - Duszka dostała na urodziny zestaw talerzyków i filiżanek. Częstowanie napojami jest teraz jej ulubioną zabawą.

- Nie, dziękuję, właśnie zrobiłam sobie kawę. Otwieram gramatykę niemiecką.

- A ja mam helbatę w fioletowym kubku - Duszka zadowolona sadowi się naprzeciwko mnie.

- Duszko, teraz się uczę - mówię z naciskiem. - Chcę, żebyś bawiła się w swoim pokoju. Nie chcę w tej chwili z tobą rozmawiać.

- Nie wiesz, że ja lubię gadać? - zmarszczone brewki i te oczy okrągłe, szafirowoniebieskie, roztapiające rodzicielską stanowczość.

W końcu udaje mi się namówić małą do rysowania. Kiedy wpada w

twórczy trans, potrafi za jednym posiedzeniem zapelnąć cały zeszyt.

- Nie mogę lysować, bo cały stół jest zawalony!

W myślach zgrzytam zębami. Idę do dzieciennego pokoju i jednym ruchem ręki odsuwam czarnowłosą laleczkę, kartkę Majki z kolejnym wierszykiem do nauczenia na pamięć (Pafnucy, pirat ponury), gumki do włosów, kolorowe karteczki i drobne, trudne do zidentyfikowania kawałki zabawek z jajka niespodzianki (nie cierpię tych plastikowych śmieci). Duszka zasiada do rysowania. Na kilkanaście minut mam spokój.

Poniedziałek, 6

Tosia dostała piątkę z matematyki. Wczoraj siedziałam z nią do dziesiątej w nocy i tłumaczyłam zasady obliczania długości odcinków w zależności od skali, w jakiej zostały narysowane. Ja też miałam z tym kłopoty w podstawówce. Cieszę się, że nagroda w postaci piątki przyszła tak szybko. Czuję się podniesiona na duchu. Nocne ślęczenie miało sens.

Przypominają mi się czasy, gdy jako studentka dorabiałam korepetycjami. Przychodził do mnie wtedy ósmoklasista o imieniu Jarek, który po szkole chciał się dostać do technikum, gdzie obowiązywał egzamin wstępny z matematyki. I teź matematyki miałam go nauczyć. Poziom wiedzy mojego ucznia kończył się gdzieś na klasie piątej. Na pewno nie potrafił wykonywać działań na ułamkach. Na pytanie: Ile jest jeden odjąć jedna dziesiąta? Otwierał szeroko oczy i z beztroskim uśmiechem strzelał na oślep liczbami: jeden, zero, dziesięć... Ogarniała mnie czarna rozpacz, bo zdawałam sobie sprawę, że trzeba dokonać cudu, żeby go do tego egzaminu przygotować. Rysowałam pokawałkowane tabliczki czekolady, żeby mu unaocnić, czym są ułamki. Przez trzy lekcje wałkowaliśmy w kółko obliczanie pola trójkąta. Za każdym razem, gdy zaczynaliśmy pracę, miałam wrażenie, że ktoś wytarł mu do czysta pamięć tak, że nie został tam ani jeden okrucz wiadomości, które wtłaczałam mu do głowy poprzednim razem. Okropne było również to, że Jareczek mniej więcej po piętnastu

minutach pracy tracił resztki koncentracji. Wzrok mu mętniał, a usta rozwierały się co dwie minuty w rozpaczliwym ziewaniu. Ta senność oczywiście się udzielała. Byłam wtedy wiecznie niewyspana z powodu porannych dojazdów na zajęcia i uczenia się do późna. Najchętniej wysłałabym ucznia do domu, a sama skuliłabym się pod kocem, żeby odbyć choćby krótką drzemkę. Ale cóż, po pierwsze potrzebowałam pieniędzy, a po drugie, był to dzieciak znajomych, więc czułam się zobowiązana męczyć się z nim do końca. Na egzaminie, ku mojemu niebotycznemu zdumieniu, dostał czwórkę. Zjawił się z podziękowaniami w postaci kawy i perfum Masumi.

A wracając do Tosi - ciekawe, do jakiego momentu będę jej w stanie pomóc. Czy dam sobie radę z przebiegiem zmienności funkcji? Albo z fizyką? To był dopiero przedmiot. W naszej klasie nikt go nie rozumiał. Dawałam zadania do rozwiązania mojemu tacie, który wyciągał swoje poźółkle podręczniki z politechniki, zgłębiał cały dział, przeglądał wzory, rozwiązywał zadanie, a na końcu tłumaczył je mnie. Następnego dnia szłam rano do szkoły i cała reszta klasy mogła ode mnie przepisać rozwiązanie. Gdyby nie mój tato, pracy domowej nie miałby nikt i nasz fizyk o mefistofelicznym uśmiechu musiałby się zmierzyć z faktem, że nie rozumiemy nic z jego lekcji. (Podejrzewam, że wcale by go to nie obeszło). czastych rękawiczek najbardziej przeze mnie znienawidzona część dziecięcej garderoby.

Duszka biega z gołymi nogami i ryczy. Cieknie jej z oczu i z nosa. Cała jest uosobieniem dziecięcego rozzalenia. Podchodzi do mnie z błękitnymi rajstopkami w rękę. Pokazuję jej, gdzie jest przód i jak naciąga się nogawki. Jakoś idzie. Łzy obsychają. W oczach pojawia się błysk satysfakcji i radość z samodzielnego dokonania.

Wraca Franciszek. Potwornie zmęczony. Mówi, że chciałby się z godzinkę przespać. O, mój biedny mężu! Życzę ci, żeby ci się udało zapaść

w sen choćby na pięć minut, ale nie rób sobie zbyt dużych nadziei. Dzieci, które jakiś czas temu bawiły się całkiem cicho, teraz, na skutek tajemnego impulsu, zaczynają zachowywać się coraz bardziej hałaśliwie. Turkoczący wózek dla lalek przejeżdża kilkanaście razy pod drzwiami śpiącego ojca. Z góry dobiegają odgłosy odbijania gumowej piłeczki. Rozdzierający pisk Duszki. Próbuję szeptem uciszać dzieci, ale moje interwencje nie odnoszą większego skutku. Gdyby nie śpiący Franciszek, zaczęłabym się strasznie wydzierać. W ogóle nie mogę się skupić na pisaniu. Zamykam się w pokoju i czytam Confessions d'un enfant de coeur (w wolnym tłumaczeniu - Wyznania ministranta).

Piątek, 10

Dzisiejsze sprzątanie przeszło bez większego bólu. Dobrze. Na obiad ryba. Dzieci brały dokładki. Bardzo dobrze. Od razu życie wydaje się piękniejsze. Tylko Tosia posępna.

- Pani nam kazala opowiedziec jakas baśń, ja chciałam Narnię, a ona powiedziała, że to nie baśń i że za długie.

Mam poczucie winy, bo to ja kilka dni temu na pytanie Tosi, czy Opowieści z Narni to baśń, odpowiedziałam twierdząco. Miałam wtedy na myśli baśń szeroko pojętą. I teraz moje dziecko nie wie, co przygotować na poniedziałek.

- Wszystkie baśnie są znane i oklepane - mówi żalonym głosem, który ma zmobilizować litościwych rodziców do szukania rozwiązań.

- Może Wróżki? - podrzucam.

- Niecee... Wróżki są w podręczniku i wszyscy je czytali.

- A może którąś z bajek mamy? - podsuwa Franciszek. Tosia od razu się ożywia.

Idę do pokoju i spod sterty czasopism wyciągam wydruki moich starych bajek. Są i Łzy ze złota i Pieśń Królowej i Najpiękniejsza konwalia na świecie. Przy okazji znajduję też plik opowiadań fantastycznych, które

wysłałam kiedyś do jednego z wydawnictw. Odpowiedzieli: „Opowiadania dobre, ale nie rewelacyjne” i nie wydali. Szkoda. A baśnie są niezłe. Przeglądam je z uczuciem... Bo ja wiem z jakim? Po części z dumą, po części ze smutkiem, że zalegają w szufladzie. Niosę cały plik Tosi. Dobrze, że chociaż jej się przydadzą.

Sobota, 11

Jadę do Alicji. Zimno, kłujące promienie słońca odbijają się od śniegu. Delektuję się tym niezwykłym przeżyciem, jakim jest dla mnie samotny wyjazd do Warszawy na cały dzień. Bez dzieci, bez Franciszka. Przyglądam się ludziom. Nasłuchuję, o czym rozmawiają w autobusie, jakie filmy sobie opowiadają. Patrzę, jak są ubrani. Jakie fryzury mają kobiety. To, co kilkanaście lat temu było nużącą codziennością, czyli dojazdy na uczelnię, teraz stało się czymś w rodzaju mojego prywatnego święta wolności. Oto dzień, kiedy nie jestem sklejona z rodziną. Mogę być tylko sobą, Kamilą Wrzos. Nie mamą i nie żoną.

Zmarznięta dochodzę do bloku, w którym mieszka Alicja. Justyna już jest. Przyszła tuż przede mną. Z boku wyglądamy może jak panie pod czterdziestkę (Justyna już po tej magicznej dacie), ale gdy tak siedzimy skulone na kanapie obitej jasnym materiałem (Alicja lubi słoneczne kolory) i rozmawiamy, to wciąż jesteśmy tymi samymi dziewczynami co piętnaście lat temu. Tylko wyglądamy nieco inaczej.

Alicja świeżo wróciła ze Stanów. Próbujemy przywiezionego przez nią dzemu z opuncji i oglądamy zdjęcia Kanionu Kolorado oraz nieprawdopodobnych arizońskich kaktusów. Rozmawiamy o naszych pragnieniach, tych spełnionych i tych, co na spełnienie czekają. Dochodzimy powoli do tematów trudnych, czasem bolesnych, do kłopotów z mężami i dziećmi. Zadziwia mnie poczucie bezpieczeństwa, jakie odczuwamy w swoim towarzystwie. Poznaję smak prawdziwej kobiecej przyjaźni.

Wracam już po zmroku. Czuję się mniej odświeżenie, bo autobus

zaciąga do środka spaliny i robi mi się niedobrze.

W domu Franciszek informuje mnie, że Tosia, zamiast uczyć się angielskiego, czytała ukradkiem moje bajki. Na biurku miała rozłożone podręczniki i zeszyty, a na kolanach lekturę bardziej interesującą.

Niedziela, 12

Dostałam dziś od Franciszka powieść Małgorzaty Musierowicz zatytułowaną *Żaba*. Wsiąklam. Czytam i czytam przez cały dzień. Obieram ziemniaki do obiadu, ale myślami cały czas jestem przy książce. Żałuję, że nigdy nie zebrałam się na odwagę i nie napisałam do autorki listu dziękczynnego. Bo jest za co dziękować. Opowieści o rodzinie Borejków pomogły mi przetrwać najgorsze chwile każdej z czterech ciąży, kiedy leżałam męczona mdłościami albo biegałam co chwila do łazienki, żeby zwymiotować to, co przed dwiema minutami udało mi się zjeść. Jedynie książki pani Musierowicz były w stanie sprawić, że zapominałam na chwilę o podjeżdżającym do góry żołądku. I wcale nie przeszkadza mi, że przeznaczone są dla młodzieży.

- Mamo, z czego się śmiejesz? - pyta Tosia, która siedzi na tapczanie i pod moim kierunkiem wykańcza szydełkową laleczkę.

- Z tej książki - odpowiadam półprzytomnie.

- Tato, mama ciągle się śmieje.

Franciszek kiwa głową ze zrozumieniem. On też jest wielbicielem powieści pani Małgorzaty.

Poniedziałek, 13

Tosia dostała piątkę za opowiedzenie mojej baśni *Łzy ze złota*. Nauczycielka pochwaliła oryginalny wybór.

- I wiesz mammo, jaki się podniósł harmider w klasie, jak powiedziałam, że to ty napisałaś!?! - Tosia promienieje dumą. Ja też.

Siedzę w pokoju na górze i piszę. Nawet nieźle mi idzie. Ale dlaczego, dlaczego, dlaczego... Duszka i Majka zamiast zostać na dole, w swoim

pokoju, bawią się pod moimi drzwiami?

Wtorek, 14

Walentynki. Franciszek nie uznaje i się odcina (a nawet oburza i pogardza). Ja też kiedyś, w ramach małżeńskiej solidarności, próbowałam nie uznawać i się odcinać, ale teraz nie widzę powodu. Przecież to mile - otrzymywać drobne symbole miłości i przywiązania. Odczuwam to na własnej skórze. Najpierw Duszka przynosi mi rysunek, na którym widnieją cztery wielkogłowe postaci:

- To dla ciebie.

Potem Majka wręcza mi karteczkę ozdobioną serduszkami i opatrzoną napisem: „Od Majki dla Kamili i Franciszka. Jesteście kochani kochani kochani”. Wróciła ze szkoły w skowronkach, bo pani rozdawała lizaki w kształcie serduszek i broszki z Myszka Miki.

Zbuntowana przeciw zimie i przeciw temu, że z nieba ciągle pada śnieg, ścięłam dziś sekatorem kilka gałązek forsycji i wsadziłam do wazonu. Wiosno, przyjdź!

Zadania na najbliższy tydzień:

„zamówić stroiciela do pianina

„hydraulik ma montować w górnej łazience kabinę prysznicową (obca osoba w domu to dla mnie męka, przestaję się czuć jak u siebie)

„turniej tańca Majki i Jony - trzeba przygotować stroje”urodziny Jony (koleżanki)”urodziny Tosi (koleżanki i koledzy).

Jak zdołam znieść dwie imprezy dziecięce w odstępie kilku dni? Umieram na samą myśl o tym.

Duszka każe mi w kółko śpiewać piosenkę Skaldów, w której są słowa „... ktoś mnie pokochał na dobre i na złe”. Pamiętam tylko ten okruch tekstu, a resztę dośpiewuję na „la la la”, ale Duszcze te okrawki się podobają. Kiedy tylko skończę się produkować, słyszę znowu:

- Zaśpiewaj, ze ktoś mnie pokochał.

Śpiewam więc, a mała włazi mi na kolana i dośpiewuję na swoją melodię:

- To ja cię kocham, ja Duska Wzos.

Przytulamy się. Niebieskie oczka śmieją się do mnie zalotnie.

- Zaśpiewaj jeszcze raz, że ktoś mnie pokochał.

I tak w kółko, mniej więcej ze dwadzieścia razy.

Środa, 15

Jona przyznała dziś, że źle widzi z tablicy. Franciszek, tknięty przeczuciem, każe jej odczytywać cyfry z kalendarza. Porzucam cerowanie wełnianej szarfki (doprawdy, Franciszek mógł mi ją dać wcześniej, a nie teraz, kiedy dziura na pięcie jest wielka jak pięść) i biegnę do kuchni. Wszystko jasne, Jona jest krótkowidzem tak jak ja, Franciszek i cała jego rodzina.

- Ale ja nie chcę okularów - płacze Jona. - Wtedy mniej osób będzie mnie lubiło, bo będę brzydsza!

Zdaje się, że zaniedbałam wychowanie tego dziecka, skoro trwa w przeświadczeniu, że pięknych kocha się bardziej (z drugiej strony, jeśli chodzi o dzieci, prawdą jest, że na początku te ładniejsze mają przewagę w uzyskiwaniu sympatii „od pierwszego wejrzenia”).

- Lubi się kogoś nie dlatego, że jest ładny - mówię, choć nie jestem pewna, czy Jona wierzy w te słowa. - A po drugie, w okularach będziesz wyglądać inaczej, ale nie brzydziej.

Daję jej moje okulary do przymierzenia. Jona uśmiecha się z niedowierzaniem.

- Jak ostro wszystko widać!

Idzie do lustra. Łzy wciąż jeszcze tańczą na końcówkach rzęs.

- I wcale nie wyglądam brzydko.

Dzwonię do przychodni i zapisuję ją do okulisty. A Jona znowu płacze. Trudno nawet zorientować się, dlaczego. Chyba po prostu korzysta

z okazji, żeby posiedzieć u mnie na kolanach i przez chwilę mieć mnie tylko dla siebie. Niech tak będzie. Kołyszę ją w objęciach i opowiadam, jak to było, kiedy ja po raz pierwszy założyłam okulary i zupełnie się sobie nie podobałam i też płakałam.

Żeby do końca przekonać Jonę, że okulary nie odejmują urody, a czasem wręcz ją poprawiają, zdejmuję swoje i pytam:

- Bardziej ci się podobam w okularach czy bez. Przygląda mi się uważnie i stwierdza:

- W okularach.

- Bez okularów wyglądasz starzej - dorzucą siedząca na tapczanie Tosia.

- I jakoś siwo, mniej wyraziście - dodaje Jona po namyśle.

A propos „siwo”. Naprawdę powinnam pójść do fryzjera i ufarbować sobie włosy. Żebyż te siwe pasemka umiejscowiły się gdzieś z tyłu głowy, to pal licho, ale niestety, widzę je w lustrze podczas każdego czesania, okalają twarz i lśnią w świetle lampki, odcinając się zdecydowanie od reszty włosów. Za każdym razem jednak, kiedy mówię o farbowaniu, słyszę jęki dzieci:

- Mamusu, nie maluj sobie włosów! Taka jak teraz jesteś bardzo ładna.

Kochane dzieci. Jak mówią komplement, to z głębi serca. Rozumiem ich niechęć do zmian w moim wyglądzie. Mama powinna być ta sama, stała i niezmienna.

Czwartek, 16

Obrzydliwy, przenikający do szpiku kości ziąb. Rozpoczynamy dziś z Franciszkiem nowy cykl warsztatów umiejętności wychowawczych. O, jak mi się nie chce wychodzić z domu! Nie mam sił na poznawanie nowej grupy. Poza tym pierwsze zajęcia są trudne do prowadzenia. Przynajmniej dla mnie. Zawsze się denerwuję i mam wrażenie, że głos mi niknie gdzieś

między krtanią a podniebieniem. Najchętniej siedziałabym pod kocem, podparta poduszkami, z gorącą herbatą w zasięgu ręki, i czytałabym książkę.

Siódma wieczór. Franciszek odwozi babcię, która siedziała z dziećmi podczas naszej nieobecności. Zostaję sama, mając na głowie wszystkie kończące dzień procedury, które w efekcie mają doprowadzić do tego, że dziewczynki znajdą się w łózkach. Wkraczam do kuchni. Zlew pełen. Naczynia z obiadu piętrzą się malowniczo. Dziś dyżur Jony. Biegnę na górę. Jona robi swoją żalospną minkę nr 1, lzy w oczach itp.

- Miałam zrobić, ale zapomniałam.

- To idź, zmyj je prędko, bo zaraz kolacja.

- Nie musisz mówić takim tonem - głos Jony nabrzmiewa pretensją.

- Jestem zła, kiedy cztery godziny po obiedzie zastaję zlew pełen naczyń!

Mało tego, jestem wściekła. Piętnaście minut później jeszcze bardziej, bo kiedy sięgam po stojące na suszarce talerze, okazuje się, że każdy z tych, które myła Jona, lepi się od tłuszczu. Franciszek wrócił, więc zwracam się do niego z prośbą o interwencję. Inaczej sytuacja grozi eksplozją. Franciszek woła Jonę do kuchni. Szloch i ryk na cały regulator. Każemy jej wyjść. Mój mąż decyduje się umyć talerze, żebyśmy mogli w spokoju zjeść kolację. Jone przydzielamy nieobsadzony przez żadne z dzieci dyżur zmywania po jutrzejszym obiedzie.

Kolacja. Duszka sadowi się na krześle. Smaruję jej kanapkę. Wchodzi Jona, już spokojniejsza. Bierze krzesło, żeby zdjąć dla siebie talerz z suszarki. Po drodze uderza niechcący Majkę w palec od stopy. Musiało to bardzo zabołec, bo Majka, która zazwyczaj dzielnie znosi ból, wybucha płaczem. Jona nawet nie mówi przepraszam, tylko sięga po talerz. Franciszek wściekły ściąga ją z krzesła i każe najpierw załatwić sprawę z Majką. Jona wybucha przeraźliwie głośnym płaczem. Każemy jej wyjść i

przytulamy Majkę. Marzę o samotnej klasztornej celi, a tymczasem trzeba kontynuować kolację.

- Jestem jeszcze głodna, kulde - odzywa się zniecierpliwiona Duszka.

- Co ty mówisz? - mam wrażenie, że się przesłyszałam.

- No jestem głodna, kulllde - widzę, jak bardzo zależy jej na dobitnym wymówieniu ostatniego wyrazu. Bardzo tu przeszkadza nieumiejętność wyartykułowania głoski „r”.

Skąd u niej to „kurde”? Przecież nikt z nas tak nie mówi. W tym momencie błysk olśnienia. Oczywiście! Pan hydraulik, który instalował nam dzisiaj kabinę prysznicową. Na szczęście nie używa mocniejszych słów.

- No złób mi kanapkę, kulllde - Duszka kontynuuje utrwalanie nowego słowa.

- Nie rozumiem, co to znaczy kurde - mówię obojętnym, lekko znudzonym tonem. - Jak chcesz kanapkę, to zwyczajnie poproś.

- Poproszę o kanapkę z miodem. I już.

Idę na górę zamknąć się w pokoju i odizolować od rodziny. Duszka produkuje serię okrzyków wyrażających gorący protest. Chce, żebym siedziała na dole. Nic z tego.

Majka daje Jonie piękny list: „Bolało mnie bardzo, ale ci wybaczam”. W takich chwilach wychowywanie dzieci wydaje się czymś pięknym i wartym wysiłku.

Piątek, 17

Franciszek kupił mi czepek, kostium jednoczęściowy i uparcie namawia na basen. Dobrze, niech już będzie. Jedziemy całą rodziną.

Trzy starsze dziewczyny ćwiczą pod okiem instruktora, a Duszka w nadmuchiwanym kole i rękawkach chlapie się przy brzegu pod naszym okiem. Pływamy na zmianę - raz ja dwa baseny, raz Franciszek. Mała jest przeszczęśliwa i najchętniej nie wychodziłaby z wody. A ja... najchętniej zrezygnowałabym z tej formy dbania o zdrowie i kondycję. Oto powody:

„Jeszcze w domu trzeba przebrać siebie i Duszkę w kostiumy kąpielowe, co przy wielu warstwach zimowych ubrań zajmuje trochę czasu (razem z pakowaniem ręczników, szukaniem czepków i plastikowych kłapek około pół godziny, minimum 20 min.).

„Przejazd samochodem, oddawanie ubrań do szatni, rozbieranie siebie i Duszki, zamykanie ubrań w szafkach, zakładanie dzieciom czepków (przy długich włosach to wcale niełatwe) - czas trwania ok. pół godziny.

„Obrzydliwe uczucie, gdy gumowy czepki oblepia głowę i ciągnie włosy. Wyglądam w nim jak stara czarownica.

^Pływanie w oparach chloru od brzegu do brzegu (czas trwania pół godziny). Lubię pływać, ale w zbiornikach otwartych, z pięknym krajobrazem wokół, najlepiej w morzu.

„splukiwanie chlorowanej wody, przebieranie w ciasnej szatni, naciąganie rajstopek na wilgotnawe nogi Duszki, wysłuchiwanie pretensji starszych dziewczyn - która którą popchnęła, odepchnęła albo omal nie utopiła. Pakowanie mokrych ręczników, kostiumów i czepków do rozlicznych reklamówek, sprawdzanie, czy wszystko zostało wzięte (czas trwania ok. pół godziny).

Bilans widać jak na dłoni - na pół godziny pływania przypada półtorej godziny czynności towarzyszących. A po powrocie wcale nie jestem rześka i gotowa do podjęcia oczekujących mnie zadań. Wręcz przeciwnie. Mimo zapewnień Franciszka, że ruch (czyli w tym wypadku pływanie) sprawi, że ustaną moje bóle głowy, czuję właśnie w tej chwili szpilę w prawym oku i marzę o położeniu się do łóżka w ciemnym pokoju. Zamiast tego, ładuję do pralki mokre ręczniki i kostiumy i nastawiam pranie. A Franciszek wychodzi na jakieś swoje spotkanie robocze. Znowu zostaję sama z wieczornymi procedurami.

Jutro turniej tańca. Muszę wyprasować dziewczynom stroje i ustalić z nimi, w jakich butach będą tańczyć. Otwieram szafkę i wyciągam kilka par

sandałów i adidasów, które na oko wydają się dobre. Zaczyna się przymierzanie. Majce tak urosła noga, że żadne buty, w których chodziła jesienią, na nią nie pasują. Desperacko sięgam po komunijne lakierki Tosi - te z kolei za duże. Miotam się pośród stosu obuwia z tętniącym bólem głowy. W końcu jakieś sandały wydają się dobre. Gorzej z adidasami do tańca disco solo. Jest tylko jedna para, która pasuje na obie. Majka i Jona będą się więc musiały wymieniać. Zupełnie jak w tych historiach z zamierzchłej przeszłości, kiedy tylko jedno dziecko z rodziny mogło chodzić do szkoły, bo była jedna para butów na całe rodzeństwo.

- Mamusiu, ale gumki w bluzeczce mnie ściskają - oznajmia Majka.

Niech to szlag! Dwa dni temu paradowała przez pół dnia w tej bluzce i ani się zająknęła o tym, że coś ją ciśnie.

Z minuty na minutę jestem coraz bardziej zdenerwowana, a obiecywałam sobie nie tworzyć przed turniejem napiętej atmosfery. Na ile moje emocje udzielą się dzieciom?

Jeszcze mycie głów i zaplatanie Majce warkoczyków (chce mieć na jutro „fale”).

Czy mogę już złożyć tętniącą bólem głowę na poduszce? Oczywiście, że nie. Jakies pół godziny temu pralka zakończyła ostatnie wirowanie i teraz trzeba rozwiesić mokre rzeczy.

Sobota, 18

Turniej tańca. Wchodzimy do sali gimnastycznej. Dzieci na razie niewiele. Siadam na trybunach, otoczona wianuszkami toreb z ubiorami i butami, a Franciszek idzie z dziewczynkami po kartki z numerami. Obok mnie siedzi Ewelina - partnerka Majki (tańczących chłopców jest niewiele). Rozbieram Duskę i przywołuję Majkę z Joną, żeby zaczęły się wreszcie przebierać w taneczne stroje. Parkiet zapelnia się szalejącymi z podniecenia dziećmiakami z przypiętymi na plecach numerkami. Dziewczęta w eleganckich sukniach ganiają po całej sali, nie zważając na stroje i misterne

fryzury.

Zdenerwowanie narasta we mnie z każdą minutą. Nie potrafię spokojnie przeżywać takich imprez. Nie wtedy, kiedy biorą w nich udział moje dzieci. Próbuję, jak mogę, kryć się z emocjami. Usiłuję wpoić córkom postawę, że nie jest ważne, czy się wygra, tylko to, żeby sobie potańczyć, ale wiem, że chcą zdobyć medal, i ja też tego dla nich chcę. Wolalabym być półtora kilometra stąd - we własnym domu.

Jak zwykle jest spóźnienie, bo nie dojechał jakiś ważny sponsor. Dzieci przemieszczają się po całej sali. Majka siedzi obok mnie. Ślicznie jej w tej przyciasnej bluzeczce.

No, zaczynają. Najpierw parada wszystkich uczestników przy wtórze ogłuszającej muzyki. Ogłuszającej i niezbyt pięknej. (Nie jestem wielbicieleką utworu Wyginam śmiało ciało). Coś mi się zdaje, że ciężko będzie dziś wytrzymać.

Trzy godziny później. Jona stoi na podium. Odbiera srebrny medal. Chyba jest lekko rozczarowana. Liczyła, że zajmie pierwsze miejsce, tak jak w zeszłym roku. Majka z tańca nowoczesnego odpadła od razu. W towarzyskim zajęły z Ewelina piąte miejsce. To bardzo dobrze jak na pierwszy w życiu turniej, ale widzę, że nie może pogodzić się z tym, że to nie medal. Z kamiennym wyrazem twarzy odbiera dyplom i nagrodę. Kiedy dochodzi do miejsca, gdzie siedzimy, widzę, że ma łzy w oczach. Biorę ją na kolana. Wtula się we mnie i płacze, płacze, płacze... To dlatego nie znoszę wszelkiego rodzaju konkursów - bo kończą się zazwyczaj rozczarowaniem. Ludzie powoli opuszczają salę. Niektóre dzieci podzwaniają medalami, inne płaczą.

W domu Majka kładzie się do łóżka i przykrywa koldrą. Franciszek zły. Boli go głowa od nieustannego huku muzyki. Z niechęcią biorę się za robienie obiadu. Wstawiam wodę na makaron, podgrzewam klopsy, rozpakowuję torby ze strojami turniejowymi i nastawiam pranie. Mnie też

boli głowa. Nieznośne łupanie w lewej skroni. Spróbuję się przespać.

- Kładę się spać! - krzyczy Franciszek z naszej sypialni.

Ubiegł mnie. To może spróbuję popisać, bo dzieci i tak co chwila będą do mnie przychodzić ze swoimi sprawami. Nie, nie daję rady.

Oczy same mi się zamykają. Kładę się w komputerowym pokoju Franciszka. Słyszę, jak śnieg zsuwa się z dachu. Zapadam w letarg, z którego budzą mnie co jakiś czas odgłosy zabawy Tosi i Jony.

- Nikt nie chce mojej Łózy założyć kamizelki! - donośny ryk Duszki przegania ostatnie mgławice snu.

Nakładam kamizelkę plastikowej laleczce i idę na dół zrobić sobie kawę.

Poniedziałek, 20

Poranek. Za oknem słońce. Duszka wsuwa się do mnie pod kołdrę.

- Chcę już jeść! (Wymówiła „ż”, coraz częściej udaje jej się też powiedzieć poprawnie „sz” i „cz”. Często słyszę, jak sama sobie koryguje wymowę).

- Śniadanie dam ci za chwilę, ale jeszcze troszkę sobie poleż. Przytul się do mnie, to się ogrzejesz - kuszę, jak tylko mogę, żeby wywalczyć jeszcze choć z pięć minut wylegiwania się pod ciepłą kołdrą.

Ubieranie.

- Sukienka czy spodnie? - pytam.

- Sukienka, ale ja chcę taką z górnej półki - przysuwa sobie krzesło, żeby sięgnąć do górnej szafki.

- Duszko, tam są tylko letnie rzeczy, a teraz jest jeszcze zima. (Doskonale ją rozumiem, ja też chciałabym już móc paradować w lekkich sukienkach i przewiewnych, cienkich spodniach).

- Ale ja chcę telaz. Przecies możesz mi dać bluzkę z długim łę-kawem.

Po chwili namysłu wygrzebuję starożytną spódniczkę w tulipany, którą moja mama szyla jeszcze dla Jony. Duszka akceptuje.

Robię sobie dwie kanapki i sięgam po niemiecki. Tworzenie imiesłowów czasu przyszłego. Znowu nic nie rozumiem. Czy zdołam się kiedykolwiek nauczyć tego języka?

- Mamo, ja nie chcę, żeby dziewczyny były w szkole!

- Chciałabyś się z nimi pobawić?

- Tak - odpowiada krótko Duszka, a potem ładuje mi się na kolana. Gramatyka języka niemieckiego z ćwiczeniami spada z hukiem na podłogę.

Dzieci skaczą z radości - pani odwołała zajęcia z pianina. W taki dzień jak dzisiaj, kiedy świeci słońce i mimo zalegającego śniegu czuje się wiosnę, wszelkie lekcje wydają się stratą czasu. Zbliża się czas robienia sadzonek pelargonii i wypraw do sklepu ogrodniczego.

Majka i Duszka znowu bawią się pod drzwiami mojego pokoju.

- Czalownica, czalownica tu jest - piszczy Duszka. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie mogą z tą zabawą pójść do siebie. W tych warunkach niemożliwe jest jakiegokolwiek skupienie. Głosiki, w które dzieci wyposażają swoje lalki, odznaczają się szczególną przenikliwością. Usiłuję nie słyszeć, nie słuchać. Ale nie chcę ich przepędzać. I tak za często je odganiem.

Noc. Robię na szydelku maleńką wróżkę dla Jony na urodziny. Piekielnie precyzyjna praca. Oczy mi łzawią z wysiłku.

Wtorek, 21

Kolejne wydawnictwo odrzuciło moje opowiadania dla dzieci. Zniechęcenie. Nikt nie chce ryzykować drukowania debiutów. Może brakuje mi szczęścia, może znajomości, a może to, co piszę, nie jest tak dobre, jak mi się wydaje.

Duszka płacze, że Majka idzie do koleżanki.

- Smutno ci jest, tak? - dopytuje się z troską Majka. - To przytul mnie tak, jak bardzo ci jest smutno.

Słyszę, jak Duszka stęka z wysiłku. Wkłada w uścisk całą siłę. Jestem

pełna podziwu dla Majki, która szybko i z łatwością przyswaja i potrafi w praktyce zastosować metody wychowawcze, które na co dzień stosujemy wobec niej i pozostałych sióstr.

Zamykam się w ubikacji. Szarpanie za kławkę. To Duszka.

- Nie musisz chodzić za mną do toalety! - krzyczę zirytowana przez drzwi.

- Ale ja cię lubię aż tak.

Majka wróciła. Umawiają się z Duszką na wspólną zabawę.

- Mamo, pójdziesz na strych po małą żółtą wanienkę?

- Teraz wam to potrzebne?

- Tak, telaz. Bo my się bawimy - dołącza się Duszka.

- Dobrze, ale muszę mieć coś w zamian, jakiś duży pakunek (tylko pilnowanie, żeby objętość rzeczy znoszonych ze strychu była mniej więcej równa objętości rzeczy na ten strych wnoszonych, zapobiega kumulacji zabawek w dzieciennym pokoju).

Majka najpierw się krzywi, ale po chwili błyska zębami w uśmiechu.

- Chodź Duszka, spakujemy torbę.

Nie mija nawet pięć minut, a zjawiają się u mnie z reklamówką zawierającą trzy misie i lalkę Sylwię. Uczciwość nakazuje udać się po wanienkę. Nasz strych jest magazynem niezliczonej ilości zabawek, z którymi dzieci nie chcą się rozstać. Szanując ich prawo własności, toleruję góry maskotek zalegające w torbach na górze. Wolę to niż gromady misiów, króliczków, kotków i piesków walające się w dzieciennych pokojach.

Hm... Nie spodziewałam się tak dosłownej wersji zabawy w kąpiel lalek. Dwa plastikowe golaski moczą się w waniencie wypełnionej po brzegi wodą. Mokra jest podłoga w pokoju i kilka pomniejszych zabawek. Majka pochyla się nad tym wszystkim ubrana w samą koszulkę i majtki.

- Daję mojej Malysi dżemik - informuje mnie Duszka, siedząca na podłodze przed rzędem plastikowych talerzyków, dzbanuszków i cukiernic.

Środa, 22

Nowa warstwa śniegu. Drzewa przykryte białym puchem wyglądają bardzo pięknie, ale ten rodzaj piękna mocno mi się już przejadł. Pod koniec lutego zdecydowanie stracił na atrakcyjności. Teraz wolalabym raczej roztopy do gołej trawy i wystające z ziemi pączki krokusów.

Dziś urodziny Jony. Zrezygnowała z zapraszania koleżanek, więc mamy spokojną rodzinną uroczystość. Jubilatka płacze, że ma dziś dużo zadane, a potem jeszcze lekcja pianina. Przytulam ją. Szkoda, że nie ma takiego zwyczaju, iż urodziny zwalniają z odrabiania lekcji.

- Joanna, no graj! - słyszę zirytowany głos pani od muzyki. Nauczycielka zagląda do mojego pokoju.

- Chyba nic dziś z tego nie będzie - mówi.

Jona zalewa się łzami. Nie rozumiem, co się dzieje. Wiem, że jest dobrze przygotowana, bo ćwiczyła cały tydzień. Nic nie można z niej wydusić. Na moje pytanie, o co chodzi, Jona zarzuca mi ręce na szyję i płacze, płacze, płacze.

Nie kończymy lekcji. Pani Rita wychodzi. Decyduję się nie drażnić tematu, ostatecznie to urodziny. Wyciągam tort z lodówki. Rozpinam tortownicę. Cholera! Chyba dałam za mało żelatyny. Tort się trzęsie, kawałki galaretki spadają na obrus. Szybko wbijamy osiem świeczek, Jona dmucha i biorę się za krojenie. Masa śmietanowa jest pyszna, bardzo delikatna, ale za mało spoista. Dodatkowa łyżka żelatyny i byłoby OK. Na szczęście nauczyłam się już brać takie rzeczy z humorem i nie histeryzować z powodu niedoskonałego wyglądu własnoręcznie wykonanych wyrobów cukierniczych.

Zbytnei perfekcjonizm kuchenny źle wpływa na dzieci. I powoduje coś w rodzaju paraliżu. Ponieważ moja mama świetnie piekła i gotowała, a w dodatku robiła to szybko i sprawnie, ja nigdy nie czułam się w kuchni osobą kompetentną. Dlatego też, jeśli nasze panienki biorą się za jakieś działania

kulinarne, usuwam się dyskretnie albo odwracam wzrok. Lepsze to niż wykrzykiwanie: „Uważaj, bo rozlejesz!”... co oczywiście może stać się przyczyną rozlania.

Ale dobrze, że Jona nie zaprosiła gości. Mogłoby się to skończyć bólem głowy z powodu wystawienia na widok publiczny rozjeżdżającego się na wszystkie strony tortu.

Byłam dziś dobrą mamą i zrobiłam Duszcze dawno obiecaną szydełkową syrenkę. Ustaliliśmy, że ogon i stanik mają być czerwone, włosy brązowe, a oczy niebieskie. Nagrodą była rozpromieniona w zachwycie buzia.

- Dlaczego jej zrobiłaś syrenkę bez okazji? - Majka robi nadą-saną minę.

Nie cierpię takiego naładowanego pretensjami tonu. Od razu zaczynam się wściekać. Jakoś nie mogę się pogodzić z tym, że zazdrość jest tak głęboko zakorzeniona w ludzkiej naturze.

- Bo nie dostała jej na urodziny. Nie miałam wtedy czasu na szydełkowanie - mówię lodowato.

- No tak... - wycofuje się Majka. Poczucie sprawiedliwości nie pozwala już jej rościć pretensji.

Ja jednak ciągle jestem zła. Dlaczego muszę się usprawiedliwiać z tego, że dam coś jednemu dziecku? Dlaczego nie mogę tak po prostu obdarzać kogo mi się podoba i kiedy mi się podoba.

Duszka wnosi do mojego pokoju klocki-układankę.

- Ja nie umiem układać oblazków.

- To zanieś klocki do dziewczynek, Jona chętnie ci pomoże.

- Ale ja chcę lobić z tobą, bo ty jesteś najfajniejsza z całej lodziny.

Noc. Jęki Duszki sprawiają, że nie mogę zasnąć. Biegnę do niej w końcu.

- Bzuch mnie boli.

Biorę ją na ręce, niosę do łazienki i sadzam na sedesie. Robi siku. Może teraz będzie lepiej. Kładę ją do łóżka i przykrywam koldrą po samą brodę. Kontrolnie przykładam dłoń do główki. Jest chłodna, na szczęście. Wskakuję pod koldrę obok Franciszka. Z dziecinnego pokoju znowu dobiega pojękiwanie. Ciekawe, czy mój mąż śpi, czy udaje. W każdym razie nie reaguje. Znowu idę do dziecięcej sypialni. (Dopisek późniejszy. Franciszek czytał ten kawałek i powiedział, że on też wstaje, tylko ja wtedy śpię. Może rzeczywiście wstaje, ale na pewno nie tak często jak ja).

- Pić...

Wędruję do kuchni i nalewam wodę do kubeczka. Całe szczęście, że mam na sobie wełniane skarpety, które chronią mnie przed bezpośrednim kontaktem z lodowatą podłogą.

- Jak się napiłam, to się już lepiej czuję.

Dzięki Bogu. Wracam do łóżka i próbuję zasnąć. Nadaremnie. Płacz rozlega się ponownie. Duszka trzyma się za uszy.

- Bolał cię uszy?

- Cała się boję.

- Chcesz spać w naszym łóżku?

Kiwa głową, że tak. Kładziemy się obok Franciszka. Przytulam ją i powoli zaczynam podsypiać. Nie na długo.

- Bolał mnie usy.

A jednak. Idę do kuchni po środek przeciwbólowy. Jeszcze jakieś dwadzieścia minut mała wierci się, popłakuje i sprawdza rączką, czy jestem obok. Potem zasypiamy.

Czwartek, 23

Wstaję o dziewiątej. Dobrze, że Franciszek powstrzymał starsze dziewczyny przed budzeniem mnie na czesanie. Patrzą na słodko śpiącą obok mnie Duszkę. Dzisiaj ma bal przebierańców. Tak bardzo na niego czekała. Wczoraj szykowałyśmy strój. Ale po tej nocy mam wątpliwości, czy

powinnam ją prowadzić na zajęcia.

- Duszko - całuję ją w czołko (chłodne!) - chcesz iść na bal?

- Tak.

Otwiera oczka i gramoli się niezdarnie z pościeli. Za chwilę czuję uścisk małych rączek na szyi i ciepły policzek przy twarzy. Śniadanie, ubieranie i idziemy. Zostawiam ją w sali pełnej balonów i kolorowo ubranych dzieci. Mała nie wygląda dobrze, ale płakałaby, gdyby ten bal ją ominął.

Przychodzę po dwóch godzinach. Duszka stoi pod ścianą ze złotym balonem w rękach. Nie chce bawić się z innymi. To nie jest zdrowe dziecko.

W domu kładę ją na naszym tapczanie i przykrywam kocem. Momentalnie zasypia. Zaraz przyjdzie babcia do dzieci, a my pojedziemy prowadzić warsztat. Biorę się za robienie obiadu. Makaron z sosem bolońskim. Szybko smażę też pulpety, bo rozmrożone dwa dni temu mielone mięso mogłoby nie wytrzymać już dłużej. Padam z nóg. Marzę o tym, żeby się położyć i przespać. Zamiast tego daję rodzinie obiad, a potem, popijając herbatę, robię pospieszny makijaż. Nie mam pojęcia, jak dam radę pracować z ludźmi, będąc w stanie takiego otępienia.

Wieczór. Przyjechali Wiesiek i Bogusia z dwuletnią Marysią. Będą u nas nocować, a jutro od samego rana mają pracować z Franciszkiem. Siadamy do kolacji. Dzieci zjadły wcześniej, ale krążą po kuchni. Uwielbiają gości. Nie odpędzam ich... tak od razu. Przez dziesięć minut udaje mi się okazywać empatię. Potem wyganim je do kąpieli i do spania.

Piątek, 24

Jak zwykle, gdy ktoś u nas nocuje, dzień zupełnie mi się rozłazi i nie potrafię sobie znaleźć miejsca we własnym domu.

Duszka ma dobre chęci i próbuje bawić się z Marysią, ale dwulatek na etapie „to moje”, nie potrafi dostosować się do reguł gry i moje dziecko, bezradne, co chwila przybiega z płaczem.

- Bo Malysia mówi, że nie mogę jeść tych sałatek, bo mnie będzie bolało gardło. A ja przecież jem tylko na niby.

- Marysia nie umie się bawić tak jak Majka albo Jona. Jeśli jest ci za trudno, to baw się sama.

Nie mam zamiaru przymuszać córeczki do zabawy z innym dzieckiem. Nawet jeśli to inne jest gościem.

Z dzisiejszego zestawu języków nici. Biorę się za odkurzacz. Reszta dorosłych pracuje w pokoju Franciszka za zamkniętymi drzwiami, nie powinno więc im to przeszkadzać. Wycieram na mokro podłogę w kuchni. Chciałabym, żeby choć raz na tydzień robił to mój mąż. Zdaje się, że ogarnia mnie nastrój zgorzkniałego przygnębienia. Jak zwykle w obliczu domowych prac fizycznych. W dodatku dziś rozpaczliwie potrzebuję samotności.

Telefon ze szkoły, że Majkę boli brzuch i że mamy po nią przyjechać. Franciszek jedzie. Och ta moja elegantka. Wybrała się dziś w białych cienkich rajstopkach i bordowej spódnicy mini. Każę jej się położyć do łóżka, a ona w płacz, że chce iść na górę bawić się z Marysią. Tłumaczę, że mogłaby Marysię zarazić i drobiazgowo opowiadam o tym, jak wirus dostaje się do organizmu, jak namnaża się we krwi i jak organizm się broni, produkując interferon. Potem proszę Duskę, żeby się bawiła, że Majka jest jej chorym dzieckiem. Wydaje się, że małej to odpowiada. Usiłuje Majce włożyć do ust łyżeczkę z „lekarstwem”.

- A tu obok leży mój syn. On też jest choly - Duszka pokazuje pustą stronę tapczanu. - Syn jest na niby i mój mąż jest na niby, a ty będziesz panem doktorem. Panie doktoze, ja mogę dawać mojemu dziecku tylko takie lekarstwo, jak mam, a mam tylko jedno.

- Dobrze, niech pani daje swojemu dziecku tylko to jedno lekarstwo - odpowiadam i ukradkiem otwieram Repetytorium z gramatyki języka francuskiego.

Tymczasem na górze buszuje Marysia - pod okiem Wieśka, co prawda, ale obecność wyrozumiałego ojca nie stanowi przeszkody dla wyciągania coraz to nowych zabawek należących do starszych dziewcząt. Wstawiam te cenniejsze i bardzo-łatwo-się-gubiące na górną półkę, żeby znalazły się poza zasięgiem małych łapek. Pozwalam jedynie na nieograniczony dostęp do pluszaków.

Schodzę na dół robić obiad. Obecność gości odbiera mi pewność siebie. Nie wiem, jakie ilości ugotować, żeby wszyscy się najedli, ale żeby nie zostały góry resztek, które potem trzeba będzie zjadać przez kolejne trzy dni. Problem z gośćmi to sprawa rodzinna, jakoś wchłonięta przez obserwację tego, co działo się w naszym domu, gdy któreś z rodziców obchodziło imieniny. Dziesiątki potraw - na ciepło, na zimno... Super specjały nawet wtedy, gdy niewiele było w sklepach. Mama zaaferowana, przejęta i okupująca to wszystko potworną migreną. Buntowałam się wtedy. Mówiłam sobie - „Ja nie będę tak wariować”. I rzeczywiście, daleko mi do przesady w podejmowaniu gości. Ale za to czuję się bardzo niepewnie jako pani domu.

Majka śpi na tapczanie. Nareszcie chwila spokoju. Opadam na mój sfatygowany wiklinowy fotel. Przez chwilę sama, jakie to cudowne! Tak, to rzeczywiście była tylko chwila, bo oto Duszka przynosi mi swoje rysunki. Są to głównie wielookienne domy, zamieszkałe przez członków naszej rodziny.

Na biurku wiosenny numer „Marie Claire - ideas”. Fantastyczne pomysły na upiększenie domu zachęcają do uruchomienia wyobraźni. Przerzucam kuszące kolorami strony. Ja też mogłabym zrobić to i to... o, a to wydaje się całkiem proste, tylko... czasochłonne niestety. Ze smutkiem zdaję sobie sprawę, jak bardzo powolna jestem w realizacji moich dekoracyjnych projektów. Dwa dni temu udało mi się wreszcie skończyć haftowanie... taśmy bożonarodzeniowej. Gratulacje.

Sobota, 25

Robię tort na jedenaste urodziny Tosi. W mojej dotychczasowej karierze żony i matki nie udało mi się jeszcze nigdy tortu upiec. Zazwyczaj korzystam z przepisów opatrzonych informacją „bez pieczenia” i powstają całkiem smaczne twory na bazie śmietany z żelatyną. Dwa lata temu spróbowałam upiec biszkopt według przepisu z jakiegoś czasopisma. Był tak twardy, że rzucając nim, można było kogoś zabić. Wylądował na kompoście, a Franciszek musiał w trybie natychmiastowym jechać do sklepu po gotowe blaty do tortu. Dziś znów postanowiłam zmierzyć się z tym wyzwaniem i od rana czuję tremę. Trema jest tym większa, że biszkopt będę piec w nowej, dużej tortownicy. Wygląda imponująco, ale czy przy tych proporcjach ciasto nie wyjdzie zbyt płaskie? Mają się zjawić wszystkie babcie i dziadkowie. To dodatkowy stres, bo będą świadkami... sukcesu lub porażki.

Wygoniłam wszystkich z kuchni, nawet jubilatkę. Na stole stosy czasopism kulinarnych. Niedobrze mi ze zdenerwowania.

Ciasto stoi już w piekarniku. Uff. Mam chwilę przerwy. Idę do swojego pokoju i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiają się Majka i Duszka.

- Niedobrze mi i źle się czuję - mówi Majka jęklwym głosem i mości sobie legowisko na naszym tapczanie.

- A mnie boli głowa, brzuch i ząb - oczywiście Duszka nie może być gorsza. Biegnie ze swoją patchworkową poduszczką, żeby położyć się obok siostry.

- Duszka! Nie kręć się!

- Mamooo! Majka mnie bije!

- Nie! To Duszka mnie bije!

- Ale ona zaczęła!

Nie reaguję. Pachnie ciastem. Zaraz trzeba je wyciągać. Jakie piękne! Udaje mi się je przekroić. Czekam, aż wystygnie, a potem rozsmarowuję

masę. Wierzch ozdabiam wyciskanymi ze szprycy różyczkami bitej śmietany. Promienieję jak żarówka stuwatowa. Franciszek też poweselał. On także się obawiał, że coś może mi nie wyjść, i że zamiast odświętnego nastroju, przytłoczy wszystkich żalobna atmosfera emanująca z pechowej pani domu. Tort wygląda profesjonalnie. Jestem z siebie dumna.

Poniedziałek, 27

Pranie powieszzone. Na obiad pierogi od mamy. (Te dostawy obiadowe są prawdziwym błogosławieństwem). Za chwilę przyjdzie pani od angielskiego. Dziewczyny szaleją. Wszystkie z wyjątkiem Tosi, która leży w łóżku z gorączką. Niech sobie pochoruje. Taka była ostatnio przytłoczona szkołą, że aż było mi jej żal.

Wraca Majka z zerówki:

- Mamo! Dziś pierwsza policzyłam, ile osób było nieobecnych! - Ile?

- Dwanaścioro!

To prawie pół klasy. Majka ma gardło jak truskawka, ale na razie trzyma się nieźle.

Obiad. My w kuchni jemy pierogi, a w ogrodzie, na grubym, prawie poziomym konarze jabłoni usadowił się jakiś mały drapieźnik (krogulec? pustułka?) i metodycznie posila się jakimś małym ptaszkiem. Ohyda, ale nie możemy oderwać oczu od tego widoku. Nawet ja, mimo że robi mi się słabo na widok martwych zwierząt, zerkam co chwila za okno. Bezwzględna dzikość przyrody w małym ogródku. Chyba skończył. Jeszcze wydziobuje sobie resztki spomiędzy szponów. Fuj, obrzydlistwo. Nie podejść pod jabłonkę, dopóki Franciszek nie usunie pozostałości po krwawej uczcie (dziobek, piórka itp.).

Kłęska wychowawcza. Przylałam Duszcze klapsa w tyłek, bo z uporem, mimo moich zakazów, wchodziła do łazienki, gdzie Majka okupowała sedes.

- Bo ja tak kocham Majkę, że muszę z nią być cały czas! - drze się mała.

Wstyd mi, że tak się dałam wytrącić z równowagi. Na moje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że jest wpół do dziewiątej wieczorem, a Majka od piętnastu minut siedzi na sedesie, prowadząc towarzyskie pogawędki z młodszą siostrą.

Plączemy: Duszka, Majka i ja. I jeszcze Jona, której oberwało się za przesiadywanie w wannie w czasie, kiedy powinna być już w łóżku. Jestem też zmęczona ciągłym bieganiem do chorej Tosi i spełnianiem jej życzeń. (Herbata, kanapki... a wiesz mamusiu, może zjadłabym jabłko). Przynosiłam wszystko, co chciała, przykladałam rękę do gorącego czoła i starałam się opanować narastające rozdrażnienie tym, że co chwila muszę przerywać pisanie.

Franciszek oczywiście bardzo zajęty, bo ma „na już” - to znaczy do jutra rana, wprowadzić poprawki do swojej książki. Źle znoszę ten jego tryb pracy, kiedy ciągle jest coś pilnego, sprawy rodziny odstawiane są na boczny tor, a nerwowa atmosfera narasta. Pilny doktorat, pilna książka, pilna konferencja, pilne telefony... Uuuu... niedobrze, chyba daję się ponosić rozżaleniu. Po prostu jestem zmęczona nadzorem nad dziećmi i chciałabym, żeby ktoś (Franciszek) mnie odciążył.

Wtorek, 28

Ranek. Nie wstawać. Leżę z zamkniętymi oczami. Nie wstawać, zachorować, zaniemóc. Spędzić cały dzień w łóżku. Zapomnieć o domowych obowiązkach. Nie odprowadzać Duszki na zajęcia, nie ubierać jej i siebie w zimowe kurtki. W ogóle nie wychodzić z domu. Nie robić nic. Nie myśleć. Leżeć i leżeć. A potem zrobić sobie herbatę i kanapkę i jeść w łóżku na końcu świata, gdzie nie docierają głosy dzieci. Jestem brzydka, ociężała i nic mi się nie udaje. Mam prawo przeleżeć w łóżku cały dzień i nie podejmować czynności życiowych. Niektórzy tak robią. Ci naprawdę chorzy na depresję. Nie wstają, nie zerkają na zegar, nie włączają się w koleiny dnia. Ale ja nie jestem NAPRAWDĘ chora na depresję. Otwieram jedno oko i kontroluję

godzinę na budziku. Piętnaście po ósmej. Wstaję. Piżama przepocona, więc wyrzucam ją do kosza na pranie. Dopijam letnią herbatę, którą Franciszek przyniósł mi około ósmej. (Kocham go za te poranne herbaty). Robię sobie następną. Do tego kanapka z pastą serową, która została z wczorajszej kolacji.

Budzę Duskę i daję jej mleko z płatkami. Idę sprawdzić, jak się czuje Tosia. Całkiem nieźle. Cała kołdra obłożona lalkami i ich ubrankami.

Ubieram Duskę. Małe paluszki nie chcą wejść do odpowiednich „mieszkanek” w szarych rękawiczkach. Na drodze ślisko. Słońce, odbite od lodowej powierzchni, oślepia. Kiedy nareszcie skończy się ta zima!

10.15 - siadam do języków. Głowa ciężka. Nie jestem dzisiaj w stanie niczego przyswoić. Na widok niemieckich czasów przeszłych ogarnia mnie rozpacz. Czuję się jak tępy uczeń, któremu po przeczytaniu strony podręcznika nic nie zostaje w pamięci. Nawet włoski stał się niespodziewanie skomplikowany. Będę musiała przerobić jeszcze raz cały podręcznik. Ćwiczenie po ćwiczeniu. I nauczyć się słówek.

Za piętnaście dwunasta, powłócząc nogami, wychodzę po Duskę.

Biblioteka. Chyba tym razem udało mi się wybrać nieźle książki. Może one wleją we mnie trochę życia i optymizmu. Na przykład kolejna część opowieści o Mma Ramotswe i jej Kobiecej Agencji Detektywistycznej Nr 1.

Kiedy to piszę, Duszka leży na podłodze. Nogi trzyma pod moim fotelem i wierzga. Nie mogę jej nakłonić do wyjścia z pokoju.

MARZEC

Środa, 1

Majka ma trzydzieści osiem stopni gorączki. Gardło w kolorze dojrzałego pomidora. Kto będzie następny?

Ucięte sadzonki pelargonii leżą na kuchennym blacie. Dziś muszę je wsadzić do ziemi z piaskiem. To pierwszy, zdecydowany krok ku wiosnie.

Przeglądam Pielęgnowanie roślin pokojowych i nachodzi mnie apetyt na jakieś nowe okazy. Na kwitnące kalanchoe albo na piękną kolumnę o mięsistych liściach. Wyrzuciłabym wtedy tę wiecznie podsychającą paprotkę, która wygląda jak wyrzut sumienia. Wisi w kuchni i jest notorycznie zaniedbywana.

21.30. Ślaniem się ze zmęczenia. Srebrzysty głos dzwoneczka po raz kolejny wzywa mnie na górę. Idę. Tosia skarży się, że ma zatłakany nos.

- Już nawet sobie psikałam, ale to nic nie pomaga - mówi żałośnie.

- No to spróbujemy inhalacji - mówię ze znużeniem.

Schodzę na dół. Gotuję wodę. Cały dzień biegałam do chorych dzieci i teraz chce mi się płakać ze zmęczenia. I nie chodzi tu tylko o wyczerpanie fizyczne. To, co mnie wykańcza, to bycie cały czas do dyspozycji - dyżur przez całą dobę. Brak czasu dla siebie. Brak ciszy, odosobnienia i izolacji od reszty rodziny. Zawód służącej musi być okropny. Przez cały dzień, a czasem i w nocy przybiegać na dźwięk dzwonka, by spełnić życzenie lub zachciankę państwa.

Koniec tego pisania. Idę do wanny. Po domu niesie się kaszel Tosi.

Czwartek, 2

Troje chorych dzieci. Jona 38,3 °C. Tosia kaszle. Majka najgorzej - 39 °C. Zużywa nieprawdopodobne ilości chusteczek higienicznych i cały nos ma poobcierany od ciągłego smarkania.

Franciszek wywozi Duskę na zajęcia. To jedyne zdrowe dziecko w tym domu.

Dzwonek wzywa mnie na górę.

- Mamo, poproszę o herbatę - to Tosia.

- Mamusiu, boli mnie głowa i źle się czuję - to Jona. Schodzę na dół i zapalam gaz pod czajnikiem.

- Mamo, źle się czuję - to Majka. - Poczytasz mi?

- Dobrze, kochanie, poczytam. Muszę tylko pozmywać naczynia i

zrobić dziewczynkom herbatę.

- Mnie też zrób. Dzwonienie z góry.

- Mamusiu, nudzi mi się - Jona.

- Nie mam co robić - Tosia.

- Może przyniosę wam mały magnetofon i posłuchacie bajek?

Zgadniają się. Wyciągam pokaźny zestaw kaset. Powinno starczyć na kilka godzin. Schodzę do kuchni.

- Mamusiu, miałaś mi poczytać.

- Jeszcze nie zaniiosłam dziewczynkom herbaty.

W końcu siadam przy łóżku Majki i czytam Lato Muminków. Chyba najbardziej lubię tę część. Niektóre fragmenty znam na pamięć.

Obiad. Tosia chce samego klopsa, Jona ryż z klopsem, Majka ziemniaki z dżemem borówkowym (!), Duszka ziemniaki z klopsem, ale bez dżemu. Jakoś udaje mi się wszystkim zadowolić.

Dzisiaj warsztat. Przychodzi mama Franciszka. Przenosimy Majkę do pokoju starszych dziewczyn, żeby mama nie była zmuszona biegać z góry na dół i z powrotem.

Wsiadam do samochodu i przymykam oczy. Gdy dojeżdżamy na miejsce, prawie śpię. Nie mam siły aktywnie pracować z ludźmi. Jednak pracuję. Mobilizacja kończy się wraz z zakończeniem zajęć.

W domu wszystko wywrócone do góry nogami. Wszystkie pościele „dolnych” dzieci zostały zaniezione na górę (Duszka też chciała mieć swoje legowisko). Koldra Majki wywleczona z poszwy, „bo dziecku było za gorąco”. Jona pod czterema warstwami nakryć, bo jej z kolei zimno. Obie półprzytomne z gorączki (prawie czterdzieści stopni). W kuchni walają się obierki i skórki od szynki - mama Franciszka szykowała dzieciom jedzenie. Ogarnia mnie rozpacz. Chore dzieci i bajzel. Kto to wszystko sprzątnie? Jak zwykle wypada na mnie, bo Franciszek właśnie się ubiera, żeby odwiedzić mamę. Chce mi się płakać ze złości i zmęczenia.

Przeprowadziłam Majkę do jej łóżka. Zwymiotowała ibufen. Próbuję zbić jej gorączkę chłodnymi kompresami. Biegnę na górę sprawdzić, co z Joną. Cała rozpalona pojękuje nieprzytomnie.

- Mamusiu... pić.

- Mamo, zrób mi herbaty - woła ze swojego łóżka Tosia.

Schodzę na dół. Głaszczę Majkę po gorącej buzi i zmieniam jej kompres. Mierzę temperaturę. Trochę niższa.

Wraca Franciszek. Mówię mu, żeby posiedział przy Jonie. Woda zagotowana. Robię dziewczynkom herbatę i zanoszę ją na górę. Po drodze mijam pokój Franciszka. Mój mąż rozmawia z kimś przez telefon. Komputer włączony. Już nawet nie mam siły, żeby się złościć. Jest mi zwyczajnie przykro. Stawiam herbatę przy łóżku Tosi. Podchodzę do Jony.

- Mamusiu, nie idź.

- Muszę zejść do Majki. Tatuś będzie tu na górze.

- Ale ty jesteś bardziej opiekuńcza - mówi moje dziecko i oplata mi szyję gorącymi rączkami.

Schodzę na dół. Poję Majkę herbatą - łyżeczka po łyżeczce. Przebieram Duszkę w piżamę i pakuję do łóżka. Bez kąpieli i bez mycia zębów. Czuję pieczenie w oczach i mam wrażenie, że za chwilę się przewrócę.

Idę z termometrem do Majki. Troszeńkę lepiej. Temperatura spadła o jeden stopień. Daję świeży kompres. Idę do Jony. Też jakby lepiej. Nawet głos ma raźniejszy. Za to Tosia kaszle i kaszle.

Kiedy schodzę na dół, mam wrażenie, że podłoga kołysze mi się pod stopami.

Piątek, 3

Domowy szpital. Pobudka o szóstej rano - Majka chce pić. Podaję jej wodę z sokiem i wracam do łóżka.

- Mamo, niedobrze mi. (Jest 6.15).

- Chcesz położyć się w naszym łóżku?

Takiej propozycji nie odmówi żadne z dzieci. Pomagam Majce zwlec się z górnego łóżka. Jest gorąca. Trzydzieści dziewięć stopni. Boję się dać jej coś doustnie, żeby nie z wymiotowała. Kładę jej zimny kompres na głowie i próbuję zasnąć. W tym momencie słyszę, że Franciszek schodzi z góry (gdzie spał, żeby mieć święty spokój) i włącza gaz pod czajnikiem. Zagląda do naszego pokoju. Otwieram oczy.

- Ja jeszcze śpię - informuje mnie.

- Ale skoro gotujesz wodę, to zrób też herbatę dla Majki - proszę.

Za parę minut zjawia się Franciszek z herbatą w zielonym kubku w białe klematisy. Odstawiam ją do ostygnięcia i zamykam oczy. Mimo zmęczenia nie mogę zasnąć, bo martwię się rozpaloną od gorączki Majką, która kręci się niespokojnie i mówi, że ma gorzko w buzi.

Tak zaczyna się dzień i ciągnie się aż do wieczora w podobnej tonacji. Próby zachęcania dzieci do jedzenia, noszenie im picia, odnoszenie do kuchni nadgryzionych kanapek, których Majka nie może skończyć, bo ciągle jej „gorzko”.

Przez dwie godziny czytam dzieciom Lato Muminków. Trzy starsze leżą na tapczanie, a Duszka siedzi u mnie na kolanach. Dzieci znacznie rańniejsze po dawce środków przeciwgorączkowo-wych. Zaczynają się wygłupiać, więc wyganiem je na górę i idę odgrzewać pierogi. W tym czasie Majka zasypia. Korzystając z wolnej chwili, przelatuję przez podręczniki językowe. Nawet dość przytomnie jak na taki dzień.

Po południu Franciszek czyta na głos Pollyannę. Wszystkie dziewczyny leżą obok niego na tapczanie. Ja haftuję serwetkę.

Pięć razy czynię podejścia do zmywania naczyń i za każdym razem ktoś mnie odwołuje. Zbieram kubki z niepodopijanymi herbatami i sokami i zastawiam nimi cały blat kuchenny. Chyba uda mi się to wszystko pozmywać, kiedy już dzieci pozasypiają.

Nie rezygnujemy z cotygodniowych zajęć z francuskiego, ale trudno jest się skupić na poprawnym formułowaniu zdań. Moje myśli co chwila się rwą albo ulatują gdzieś z głowy i zaplątują w belkach pod sufitem.

Majka i Duszka zasnęły w pokoju Franciszka, gdzie umieściliśmy je tymczasowo, żeby podczas lekcji były bliżej nas. Teraz znoszę Duszkę na dół, a potem razem z Franciszkiem taszczymy po schodach dużo cięższą Majkę. Boli mnie kręgosłup.

Całuję Jonę i Tosię na dobranoc. Tosia w swawolnym nastroju chce mi opowiedzieć swój sen o wyścigach konnych, a ja po prostu nie mogę ustać na nogach ze zmęczenia.

Sobota, 4

Okolo czwartej nad ranem wyrywa mnie ze snu jękliwy głos Majki.

- Mamo, niedobrze mi. Chcę być u ciebie.

- No to weź swoją poduszeczkę i chodź.

Majka jest gorąca jak piecyk. Idę do łazienki, moczę ręcznik w chłodnej wodzie i kładę na czoło Majki. Wsuwam się pod kołdrę obok niej. Udaje mi się pospać tylko chwilę.

- Mamo, ten ręcznik jest już za suchy, trzeba go zmoczyć. Idę do łazienki. Moczę ręcznik. Kładę na czole. Zasypiam.

- Mamo, pić mi się chce.

Idę do kuchni, nalewam wody do kubeczka i zanoszę Majce. Pije. Odstawiam kubek na stojącą przy łóżku komodę. Zasypiam. Wpół do siódmej rano.

- Mamo, niedobrze mi.

- Chcesz się napić? - Tak.

Majka upija ze dwa łyki, po czym zaczyna kaszleć. Kaszle, kaszle, oczy wylażą jej na wierzch i nagle... chlust. Zanim zdążyłam podsunąć jej miskę, ona już zwymiotowała na pościel. Przytrzymuję jej włosy, potem myję buzię, ściągam poszwę z naszej kołdry i wrzucam do pralki. Samą

koldrę przepłukuję w miejscu, gdzie widnieje mokra plama, i rozkładam obok kaloryfera do wyschnięcia. Do naszego łóżka przynoszę koldrę Majki, bo jest czysta. Przykrywam się nią i zamykam oczy.

7.30. Przydreptuje Duszka i bez słowa mości się u mojego boku. Majka chce pić i nowy kompres, Duszka chce, żebym ją ubrała. A ja chcę spać, spać, spać!

Wieczór. Duszka ma gorączkę i boli ją ucho. No to jest już komplet. Tosia snuje się po domu - blada rekonwalescentka. Reszta leży. Franciszek czyta na głos Pollyannę.

Poniedziałek, 6

Tosia poszła do szkoły. Pozostałe dziewczyny leżą. I to na tapczanie w naszej sypialni. Osłabione, półprzytomne, niejedzące prawie nic i potwornie rozdrażnione.

- Mamo, Duszka mnie kopie.

- Majka zabielał tę lękę!

- Mamo! Jona macha stopami i mnie to denerwuje!

Na przemian to przysypiają, to się kłóca, albo narzekają na ból brzucha i że im niedobrze.

- Majka, nie chciałabyś pójść na swoje łóżko? Wtedy miałabyś spokój.

- Chcę być sama, ale z mamą.

- A ty Jona, nie chcesz poleżeć w swoim łóżku?

- Chcę być sama z mamą - powtarza jak echo Jona.

I tak to trwa. Na przemian czytam W Dolinie Muminków albo usiłuję cerować wełniane skarpety Franciszka (nie cierpię cerowania).

Próbuję wmusić w dzieci coś do jedzenia. Duszce podaję ibu-fen, żeby ją wyrwać z letargicznego półmajaczenia. Rzeczywiście, po dwudziestu minutach przejawia chęć zjedzenia kanapki.

- Mniam, moja kanapka - mówi. - Mniam, pyszna kanapka.

Trzeba pilnować, żeby na przemian jedząc i kaszląc, nie wymiotowała wszystkiego.

Franciszek zachwyca się wspólnym dziecięcym barłogiem. Ja znacznie mniej. Niechby tak posiedział od dziesiątej do siedemnastej w atmosferze nieustannych przepychanek, skarg i pojękiwań. I tych ciągłych: „Zabierz nogę!”, „Ona mnie szczypie”, „Nie szczypię”, „Chyba wiem, co czuję!” „Chyba wiem, co robię”.

Jutro schowam pościel do tapczanu, żeby nie stanowiła pokusy i każe dzieciom chorować we własnych pokojach. A Franciszek, jeśli chce je gromadzić w jednym pomieszczeniu, to proszę bardzo, ale niech tam z nimi sam siedzi.

Za oknem cały czas zima. A przecież już marzec! Powinny wychodzić krokusy. Czuję się oszukana. A synoptycy przewidują późną, zimną wiosnę i chłodne lato. Nie podoba mi się to i mam nadzieję, że meteorolodzy się mylą.

Wtorek, 7

Kolejna niedospana noc. Majka czuje się lepiej, ale Duszka krzyczy w gorączce i woła mnie, żebym wytarła jej nos i dała pić. Aplikuję jej porcję środka przeciwgorączkowego. Temperatura spada. Mała przybiega do mojego łóżka i do rana śpimy już razem.

Blady świt. Właściwie szarówka. Przy łóżku stoi Majka.

- Jakie picie mam wziąć do szkoły?

Zaraz, zaraz... jakiej szkoły? O czym ona mówi? Otworzenie zaklejonych snem oczu wymaga trochę wysiłku. Nieprzytomna trę powieki i przyglądam się stojącemu nade mną dziecku. Majka ma na sobie dzinsy i ciemnoszarą bluzeczkę z wyhaftowanym na przedzie serduszkim. Jest malowniczo potargana. Rzucam okiem na budzik. Jest 6.30.

- Majeczko, ty jesteś chora. Wracaj do łóżka, nie idziesz do żadnej szkoły.

- Ale tata mnie budził i kazał iść.
- Kochanie, pewnie ci się śniło. Tata jeszcze śpi.

- Nie śniło mi się - mówi z uporem dzielne czupiradelko. Wylażę z łóżka, przytulam Majkę i czuję, jak topnieje mi serce. W duchu podziwiam jej zaradność i zdyscyplinowanie. Wstawanie w szarym świetle poranka, wyjęcie z szafki i włożenie na siebie czystych ubrań - wszystkie te czynności wykonuje dziecko, które już szósty dzień zмага się z chorobą, nic nie jedząc i niewiele pijąc, bo każdy płyn wydaje się gorzki. Moja kochana! Odprowadzam ją do sypialni. Majka nie ma nawet siły, żeby wdrapać się na górne łóżko. Kładzie się w ubraniu na posłanie opuszczone przez Duszkę.

Idziemy na tańce. Marcin, nasz nauczyciel, pokazuje nową figurę w salsie. Kiedy tańczy ze mną, czuję, że ma bardzo gorące dłonie. Po tych wszystkich chorobach przetaczających się przez nasz dom i po dziesięcioletnim stażu macierzyńskim mam termometr w dłoniach. Jestem przekonana, że instruktor ma gorączkę. Jakieś trzydzieści osiem stopni. Rzeczywiście, po zakończonych zajęciach przyznaje, że jest chory, ale nie może pozwolić sobie na położenie się do łóżka, bo w sobotę ma dwa pokazy. Martwimy się o niego. Prowadzi tak wyczerpujący tryb życia, że kiedyś go to wykończy. A może właśnie nie. Może to tylko my jesteśmy tak wydelikaceni. Może występy, oklaski i bycie docenianym jest lepszą pożywką dla sił witalnych niż leżenie w łóżku.

W nocnej ciszy domu rozlegają się odgłosy kaszlu. Raz dobiegają z góry, z łóżka Jony, a raz z miejsca, gdzie śpi Majka. Tak pewnie będzie przez całą noc (z małymi przerwami).

Franciszek zmęczony. Mówi, że nie ma siły wieźć jutro Tosi do szkoły. A jest tak zimno. Szkoda mi dziecka, szkoda mi Franciszka, szkoda mi nas wszystkich, bo ciągle trwa ta wstrętna zima.

Środa, 8

Franciszek o poranku stawia na biurku bukietek frezji.

- Kwiaty dla „Urzekającej” - mówi, nawiązując do tytułu książki leżącej obok łóżka.

(Jak się później dowiedziałam, postanowił zrezygnować z wieloletniego bojkotu komunistycznego Dnia Kobiet).

Frezje pachną. Ich woń kojarzy mi się z przyjęciami imieninowymi moich rodziców. W latach 80. były to najczęściej ofiarowywane kwiaty - subtelniejsze od gerber i pozbawione politycznego kontekstu goździków (komuna strasznie je sponiewierała). Wieczorem, gdy goście rozeszli się do domów, a papierosowy dym został wywietrzony, szłam wąchać frezje. Czasem stawiałam je na swoim biurku (a dokładniej na blacie stolika, będącego elementem składowym wielofunkcyjnego mebla zwanego tapczanem-półką) i kontemplowałam ich mieniące się perłowo płatki.

- Mamusiu, chcę, żebyś psy mnie siedziała - mamrocze Duszka, przyglądając mi się spod wpółprzymkniętych powiek.

Majka i Jona bawią się na górze. Słysząc suchy odgłos toczącej się po podłodze kostki do gry.

Przysiadam na brzegu tapczanu. Jedną ręką głaszczę brzuszek Duszki, w drugiej trzymam Urzekającą Johna i Stasi Eldredge i próbuję czytać.

W tej książce dużo mówią o pięknie - jak bardzo potrzebne jest do życia. Cieszę się, że ktoś tak jasno i kategorycznie stwierdził, iż piękno jest esencją istnienia, a nie luksusowym dodatkiem. Nazwał to, co zawsze czułam, a co obawiałam się głośno wyrazić. Że nie jestem w stanie żyć bez piękna. Że umieram, kiedy otacza mnie brzydota. W ogólnym domowo-religijno-społecznym wychowaniu użyteczność i służba innym zajmowały pierwsze miejsce i w rankingu wartości stały daleko wyżej niż piękno. Na gierkowskim osiedlu, gdzie pomiędzy blokami wały się żelbetonowe pozostałości po działaniach brygad budowlanych, a na wydeptanych trawnikach więcej było psich odchodów niż roślin, było ono rzeczywiście

luksusem. Dlatego bezskuteczne były próby moich rodziców, którzy nakłaniali mnie do wyjścia na „świeże powietrze”. „Pobiegaj trochę, pobaw się z koleżankami” - mówili. - „Nie siedź tak ciągle nad książką”. Pobiegaj trochę? - nigdy nie byłam typem sportowym, wbrew oczekiwaniom rodziców. Bieganie dla przyjemności? - Masochizm. Pobaw się z koleżankami? - A w co? W sklep? (Brudna piaskownica i klótnie, kto będzie sprzedawcą. Poza tym, byłam już na to za stara). W zbieranie szklanych bryłek - odpadów z miejscowej huty szkła? W nieustanne klótnie o kolejkę do jedynej skrzypiącej i odrapanej huśtawki? „Nie siedź tak ciągle nad książką!” - słyszałam. Tymczasem świat wyobraźni był jedynym źródłem, z którego mogłam czerpać bogactwa, jakich skąpiła mi rzeczywistość. Jak mogłabym z niego zrezygnować?

Piękno jest esencją życia. To twierdzenie daje mi prawo do ponawiania wciąż i wciąż niezdarnych jeszcze prób malarskich, do spędzania godzin na ćwiczeniach rysunku i wprawianiu ręki. Nie muszę sobie wyrzucać, że tracę czas, bo przecież nigdy nie będę wielką artystką. Zresztą, co to znaczy? Są artyści uznani za wielkich, a dla mnie ich prace to po prostu bohomazy. Wolę już swoje obrazki.

Wieczór. Franciszek jeszcze w Warszawie. Na górze dzwoni dzwonek. Wzywa mnie Jona. Idę na górę. Córeczka rześka i zupełnie bez gorączki prosi, żebym jej przyniosła pić. Jak łatwo się przyzwyczaić do tego, że matka gra rolę służącej. Jestem zmęczona i groźna. Mówię, że jeśli czegoś chce, ma schodzić na dół. Dzwonek jest tylko dla tych, którzy mają wysoką temperaturę i bardzo źle się czują.

Czwartek, 9

Śpiącą Duszkę męczy potworny kaszel. Biegam co chwila do dzieciennego pokoju i nakłaniam ją do picia. W głowie mi huczy ze zmartwienia i ze zmęczenia. Kolejny atak kaszlu i cichutki jęk na zakończenie serii. Klękam przy łóżeczku.

- Wołałaś mnie, Duszko?

- Jesteś bardzo kochana - mówi moje dziecko, nie otwierając oczu.

Wygląda tak pięknie. Jak dzieci na pastelowych portretach. Tych najlepszych. Głaszczę ją po rączce i na palcach odchodzę do siebie. Może przerwa w kaszlu potrwa trochę krócej.

Dziwne, że my, dorośli, wciąż się jakoś trzymamy.

Piątek, 10

Chyba jednak się rozchoruję. Boli mnie gardło i łamie w kościach. Dom brudny. Właściwie można powiedzieć, że zapuszczony. Z powodu chorób nie sprzątałam w zeszłym tygodniu i teraz koty z kurzu straszą we wszystkich kątach. Duszka blada i niemrawa leży na łóżeczku. Majka na „górnym pokładzie” rysuje swoje uczucia.

JESTEŚMY SMUTNE JA I DUSZKA - widnieje napis nad rysunkiem, przedstawiającym dwoje dzieci leżących na piętrowym łóżku. Dramatyzm postaci podkreślają bezwładnie zwisające ręce. Włączam bajkę o Smoku Wawelskim i zamykam drzwi dziecięcego pokoju, żeby wygłuszyć nieco szum odkurzacza. Ściągam pajęczyny i po raz kolejny wpadam w przygnębienie na widok potwornie brudnych ścian. Szare smugi nad kaloryferami i w kątach pod sufitem. Nie chodzę codziennie po domu z zadartą głową, więc brudna prawda nie rzuca się tak w oczy. Ale dziś... Przed ostatecznym załamaniem ratuje mnie świadomość, że zaraz po skończeniu odkurzania i zrobieniu naleśników dla rodziny, zasiądę na resztę dnia do komputera i będę w spokoju przepisywać moją powieść.

Ach, ten komputer! Miałam rację, okazując mu daleko posuniętą nieufność. Kiedy tylko brałam się za pisanie jakiegoś dialogu, on samowolnie rozpoczynał każdą kolejną linię od akapitu. Okropnie wkurzające. Potem w ogóle się zawiesił, a ja, dorosła bądź co bądź kobieta, popłakałam się ze złości. Franciszek udzielił mi miejsca przy swojej maszynie, ale siedząc w jego pokoju, nie czuję się dobrze. To po prostu

męski gabinet pracy, pełen segregatorów, papierów i teczek, pozbawiony artystycznego ducha. Trudno mi się w nim skupić. W dodatku przyszły za mną dzieci („Nie chcemy być same na dole”). Majka leży na łóżku, a Duszka na materacu rozłożonym na podłodze. Przez okno dachowe oglądamy razem księżyc.

- Mamo, jestem głodna - to Majka.

- A ja chcę pić - dołącza się Duszka.

Schodzę do kuchni i robię jedzenie. Wracam na górę. Zaglądam do Tosi, która śpi od obiadu. Wróciła ze szkoły z bolącym gardłem i głową. Pewnie złapała nową infekcję. Naprawdę można się załamać. Ale i tak najgorszy jest komputer. Dlaczego inni bez problemu piszą całe książki, a ja nie mogę wystukać nawet dwóch akapitów, żeby coś się nie działo. Albo może inaczej... Dlaczego muszę zawsze pracować na kiepskim sprzęcie. Najpierw był laptop, który się zawieszał, a teraz ten składak, który rzekomo ma w środku wszystko nowe i...

Dobrze, jutro sobota. Może Franciszek znowu użyczy mi swojego supersprzętu, a w poniedziałek przyjdzie spec i sprawdzi, co dolega mojej maszynie. Bardzo żałuję, że nie jestem samowystarczalnym geniuszem informatycznym.

Sobota, 11

- Mamusiu, jestem twoim kocinkiem - mówi Duszka o poranku.

Wygląda o wiele lepiej niż wczoraj. Gorączka przeszła. Mała zjada cały talerz kakaowych kulek z mlekiem. Jedzenie - to jest coś, co trzyma na muszce matczyne serce. Kiedy dziecko nie je, matka wpada w popłoch. A Duszka je ochoczo i z entuzjazmem. Pełna szczęścia noszę ją po domu.

Stukam w komputer Franciszka. Umowa, że sobota jest moim czasem pracy, pozostaje w mocy. Ciarki mi jednak chodzą po plecach, bo przeczuwam, że Franciszek chętnie by zasiadł na moim miejscu. A swoją drogą, siedzenie ma okropne - klęcznik, przeznaczony dla osób z bólami

kręgosłupa. Kręgosłup może mnie nie boli, ale wszystko inne - tak. Drętwieją nogi i nie mam się o co oprzeć.

Majka i Duszka klócą się pod drzwiami pokoju, w którym uparcie usiłuję pracować. Słyszę zirytowany głos męża, krzyczącego, że jedna z nich ma natychmiast zejść na dół.

- Ale ja nie chcę być sama na dole - płacze Duszka.

- To Duszka ciągle jęczy, nie ja - broni się Majka. Wkraczają do mnie. Wiedziałam, że tak będzie.

- A Majka mnie salpnęła za lękę i teraz mnie boli.

- Gdzie? (W przepychankach połączonych z rękoczynami przykazanie pierwsze mówi: Zajmij się poszkodowanym, a konkretnie szkodą, którą poniósł).

- Wcale jej nie szarpnęłam - Majka opiera się o futrynę drzwi.

- Pokaż, gdzie cię boli. (Przykazanie numer dwa - ignoruj agresora, nie nagradzaj go swoją uwagą).

- Tutaj.

Podwijam rękaw błękitnego golfu i całuję bolące miejsce. Potem daję im do zabawy całą torbę kordonkowych kłębuszków i wracam do komputera.

Franciszek woła mnie na dół, bo Duszka cały czas kaszle. Naprawdę okropnie. I w ogóle nie może przestać. A jeśli to krztusiec? Wizja duszącego się dziecka, któremu natychmiast należy udrożnić drogi oddechowe, pojawia się nieproszona w mojej katastroficznej wyobraźni. Ale przecież była szczepiona. Noszę ją, nakłaniam do napicia wody, w końcu biorę na kolana i czytam książeczki. Uff... kaszel powoli ustępuje, ale trwało to stanowczo za długo.

Książeczki okropne. Dlaczego dzieci każą mi w kółko czytać bajkę o Tomciu Paluchu, gdzie na pierwszej stronie jest mowa o tym, że rodzice porzucają swoich synków w lesie, bo nie mają ich za co wyżywić. Wargi mi

drętwieją, gdy mam to czytać na głos. Nie wygląda jednak na to, żeby Duszka była szczególnie przejęta. Wpatruje się z zainteresowaniem w obrazek, na którym zły wilkołak wgryza się w upieczonego wieprzka.

Wieczór. Nacieram dzieci amolem i otulam koldrami. Duszka zasnęła w ubraniu na naszym tapczanie. Przenosimy ją do łóżka. Zaczyna kaszleć. Drętwieję ze strachu. Na szczęście była to tylko krótka seria i mała śpi dalej.

Niedziela, 12

Dreszcze. Chyba będę chora.

Franciszek próbuje uruchomić płytę DVD z filmem Podróż za jeden uśmiech, którą pożyczaliśmy od mojego brata. Coś nie idzie.

Hurra!!! To mnie się udało włączyć film. Oto pierwszy krok na drodze do zostania domowym geniuszem komputerowym.

Jak ja się stęskniłam za tym serialem! Historia Dudusia i Poldka bije na głowę wszelkie inne filmy dla dzieci. Patrzą na moje córki: błyszczące oczy, przejęcie na twarzach... Nawet Duszka, która podczas oglądania zazwyczaj się nudzi i wychodzi w połowie, teraz siedzi na kolanach Franciszka i ani drgnie. Dzwoni telefon.

Franciszek musi wyjść z pokoju, ale każe nam zatrzymać film. Nie chce opuścić żadnej sceny, mimo że zna całą treść.

Obiad. Majka domaga się włączenia kolejnych odcinków. Duszka nuci melodię czołówki. Zupełnie nie przeszkadza im, że film jest czarno-biały, a kopia fatalna. Rozmawiają o bohaterach.

- Ja lubię najbardziej Poldka, a ty?

- Ja też.

- Mamusiu, a ty kogo wolisz, Poldka czy Dudusia?

Dzieci zawsze urządzą ranking bohaterów i zawsze chcą usłyszeć moją opinię. A kiedy bohaterowie są nijacy i w związku z tym moje odpowiedzi mętne, dziewczyny drażą uparcie: „Ale powiedz, kogo lubisz

BARDZIEJ”. Teraz odpowiadam bez cienia wahania:

- Poldka, oczywiście.

Biedny Filip Łobodziński. Niezależnie od tego, czy pojawiał się później jako członek Zespołu Reprezentacyjnego, czy jako telewizyjny prezenter, dla mnie na wieki wieków został Dudusiem.

Wieczór. Mam gorączkę. Trzęsę się pod puchową koldrą. Dzieci podchodzą do łóżka i głaszczą mnie po twarzy i po rękach. - Mamusiu, jaka ty jesteś ciepłutka - dziwią się.

Poniedziałek, 13

Leżę w łóżku. Na przemian czytam książki i podsypiam. Gdyby nie potworny ból głowy (zatoki), byłoby idealnie. Franciszek przynosi mi jedzenie i herbatę. W swojej troskliwości posunął się jednak za daleko, bo zrobił mi kanapkę z czosnkiem (samo zdrowie) i teraz jest mi niedobrze. Moja wątroba ma dzisiaj bardzo złe zdanie na temat czosnku. Dzieci zlatują się do matczynego łóża boleści, jak dobre wróżki. Przytulają się na chwilę, przytykają chłodne łapki do mojego czoła i odbiegają do przerwanej zabawy.

Czytam W tańcu Joanne Harris. Obiad.

Czytam Podróż do Trulali Władimira Kaminera. Kolacja.

Czytam Kwiaty dla Algernona Daniela Keyesa.

Wtorek, 14

Nadal w łóżku. Od rana ból głowy. Za oknem szaro. Łykam proszki przeciwbólowe. Podgrzewam mleko Majce i Duszce i wracam na posłanie. Franciszek ubiera Duszkę.

- Ale ja nie chcę tego stloju! Już dwa dni w nim chodziłam.

Ha! Zaraz zacznie się kolejna poranna potyczka z gatunku tych, które mają wpływ na moją niechęć do rozpoczynania kolejnego dnia. Tym razem to Franciszek jest wystawiony na strzał. Z ciekawością czekam na rozwój akcji. Mój mąż unika błędu popełnianego zazwyczaj przeze mnie i

polegającego na pytaniu Duszki, co w takim razie ma ochotę włożyć. Zamiast tego zwraca się do mnie z pytaniem:

- Czy to jest czyste ubranie? - macha przez drzwi wczorajszym strojem naszego najmłodszego dziecka.

- Tak! - odkrzykuję z łóżka.

- Ubranie jest czyste, można je jeszcze nosić - mówi spokojnie i szast-prast zakłada Duszcze golf i sukienkę. Nawet nie jęknęła. Chyba jest zbyt zdumiona, by protestować.

Odkładam książkę i zaczynam haftować poduszkę wielkopostną.

Na pomysł zrobienia poduszki wielkopostnej wpadłam w zeszłym roku. Głowiłam się wtedy, w jaki sposób zachęcić dzieci do pozytywnego przeżywania Wielkiego Postu. Nie chciałam, żeby był to czas ponury, polegający na odmawianiu sobie słodczy lub na podobnego typu wyrzeczeniach. (Pewnego roku zafundowałam sobie taki post i w rezultacie nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o ciasteczkach, cukierkach i czekoladkach. Jadąc tramwajem, wpatrywałam się pożądliwie w wystawy sklepów spożywczych, gdzie leżały nieapetycznie polepione landrynki. Monika, moja koleżanka, która podjęła się tego samego wyrzeczenia, potrafiła dzwonić do mnie późnym wieczorem i znękanym głosem pytać, czy kisiel też zalicza się do słodczy). Pomyślałam więc, że lepiej jest, zamiast sobie czegoś odmawiać, zrobić coś dobrego dla innych. Wizualną pamiątką dobrego czynu miał być wyhaftowany kwiatek. Na czym? Na poduszce! Wyzwolilo to istną lawinę dobroci, dziewczyny prześcigały się we wzajemnym usługiwaniu, a ja nie nadążałam haftować. Rodzice (czyli my) zarabiają listki. W ostatnich dniach dużo ich otrzymał Franciszek, ofiarnie pielęgnujący mnie w chorobie.

Wieczór. Czytam biografię Astrid Lindgren.

Czwartek, 16

Snuję się po domu z lekkimi zawrotami głowy. Właściwie powinnam

jeszcze ten dzień spędzić w łóżku, ale wieczorem mamy warsztaty, więc muszę się trochę rozruszać.

Kuchnia. Zjadam pospiesznie śniadanie i wychodzę, bo widok, jaki przedstawia sobą to pomieszczenie, doprowadza mnie do rozpacz. Ja wiem. Wszyscy się starają. Franciszek zmywa. Tosia opróżniła wczoraj wieczorem zlew do najmniejszego sztućca. To wspaniale, tylko że... kuchnia nie kończy się na zlewie. Mam wrażenie, że cała rodzina nastawiona jest na funkcję zoom, a ja jedyna posiadam obiektyw szerokokątny i widzę:

***trzy puste butelki po syropach do rozcieńczania stojące na polepionym tymże syropem blacie**

***stosy torebek foliowych z resztkami pieczywa”tacki z kikutami po wyjedzonych poletkach rzeżuchy**

„okruchy na stole i blatach

„brudne deski do krojenia z leżącymi na nich nożami zapaćka-nymi masłem i miodem

„brudne kubki stojące obok zlewu (trzy z nich z przyschniętymi resztkami kawy - trzeba je będzie odmoczyć)

„wazonik ze zwiędłymi frezjami

„pozostałe ze śniadania talerzyki, stojące na stole

„łuski pozostałe po obieraniu czosnku (to sprawka Franciszka, właściwie notoryczny nałóg, który mnie doprowadza do szału).

Aby obraz był pełny, należy do niego jeszcze dodać lepiącą się w wielu miejscach podłogę. A ja zupełnie nie mam siły sprzątać. Nie mam też odwagi zaganiać innych. Franciszek pracuje przy komputerze, a dzieci w szkole. Może jutro będę w lepszej formie?

Pogoda paskudna. Na trawniku zalega gruba warstwa starego śniegu. Mowy nie ma o żadnych krokusach. Wszystko przyklepane i zmrożone. Można wpaść w depresję od samego patrzenia przez okno.

Piątek, 17

Jest jeden krokus. Właściwie tylko mały, zielony pióropusik jego listków, ale powiało nadzieją. Pewnie nawet nie zakwitnie, bo jak pamiętam, w tym miejscu zakopywałam wybrakowane cebulki.

Nie potrafię wymusić na dzieciach utrzymywania porządku. Pod stołem i łóżkiem w pokoju młodszych dziewczynek wala się tyle zabawek, że ogarniają mnie jednocześnie złość i bezsilność. Biorę reklamówkę i bez słowa pakuję do niej piankowe klocki, węża z materiału i pluszowego osiołka.

- Nie wolno zabielać czyichś zeczy - próbuje protestować Duszka. - Właściciel decyduje o swoich zecach.

- Właściciel nie sprzątał swoich rzeczy - odpowiadam twardo - więc pójdą na strych.

Po odkurzeniu całego domu ogarnia mnie bunt. Nie będę gotować obiadu. Niech rodzina je resztki z poprzednich dni. Wystarczy polać ryż śmietaną i posypać cukrem, a większość dzieci będzie szczęśliwa. Franciszek, któremu przypadło jeść makaron z roztopionym żółtym serem, nie jest chyba zbyt zadowolony, ale głośno nie protestuje. Tosia uradowana jest faktem, że może mieć obiad kanapkowy, czyli to, co lubi najbardziej. Mój wizerunek wzorowej żony i matki coraz bardziej chyli się ku upadkowi. Trudno, jutro zrobię kurczaka.

Sobota, 18

Cały dzień przy komputerze. Nie swoim, niestety. Mój całkowicie odmówił współpracy, zawieszając się przy pierwszej próbie uruchomienia.

Podczas przerwy w pisaniu robiłam obiad. Kiedy wchodzę do kuchni, natychmiast pojawiają się tam dwie pary zaciekawionych oczu - Majka i Duszka. A wraz z nimi niepowstrzymany ciąg pytań.

- Co to za mięso?

- Indyk.

- A będziesz go ciapała? - Tak.

- A po co to jajko?
- Żeby w nim maczać indyka.
- A ta cytryna to też do mięsa? - Tak.

O mało nie wsadzą nosów w patelnię. Wystawiam na stół kapustę kiszoną.

- Mniam, mniam, kapustka - uśmiecha się z lubością Majka i pakuje sobie całą garść kapusty do ust.

- O, mniam - naśladuje Duszka, ale po spróbowaniu stwierdza - nie lubię tej kapusty.

Obiad. Tym razem dzieciom smakuje.

- Pysna ta lyba - stwierdza Duszka. (Kotlety z indyka wyglądają podobnie jak panierowane filety z mintaja).

- To nie ryba, to mięso - wyjaśniam.

- Indyk - uściśla Majka.

- Pysna ta lyba z indyka i pysny lyz.

Wieczór.

- Mamo, z tego prysznic leci zimna woda, w ogóle nie mogę się splukać - goła Tosia stoi bezradna w kabinie prysznicowej.

Schodzę na dół, gdzie właśnie wycierają się po kąpieli Majka i Jona. Zerkam na wskaźnik temperatury w zbiorniku. Tylko trzydzieści stopni. Oto uroki jednoczesnego korzystania z dwóch łazienek. Krzyczę do Tosi, żeby poczekała, aż woda się dogrzeje.

Dzieci śpią. Nachodzi mnie nastrój na przeglądanie starych pamiętników. Wyciągam te sprzed dwunastu lat. Ależ byłam entuzjastyczną młodą mężatką! Robiłam napój z kwiatów czarnego bzu i wymyślałam egzotyczne potrawy. I pisałam bajkę o syrence. Nikt jej nie wydał. Leży zapomniana w szufladzie. Smutno.

Niedziela, 19

Jona po obejrzeniu ostatniego odcinka Podróży za jeden uśmiech:

- To najfajniejszy film, jaki w życiu widziałam.

Jestem skłonna się z nią zgodzić. Sama mogłabym obejrzeć wszystkie siedem części raz jeszcze.

Poniedziałek, 20

Ranek. Odsłaniam zasłonkę i wyglądam na świat. Na ulicy topiąca się śnieżna breja tworząca szerokie rozlewiska. Dobrze, że nie muszę wychodzić z domu. Robię sobie herbatę i kanapkę. Nie ścielę łóżka, bo skrzypienie tapczana mogłoby obudzić Duszkę. Biorę się za włoski. Powinnam mu teraz poświęcić więcej czasu, skoro planujemy wycieczkę do Rzymu (we dwoje, bez dzieci, tylko ja i Franciszek, hurra!). Słyszę lekkie stuknięcie drzwi dzieciennego pokoju.

- Zgadnij, kto do ciebie psysedł? Wies, kim jestem?

Wiem, wiem, różowy stworku. Wiem, kim jesteś i co mnie teraz czeka: ubieranie dziecka, grzanie mleka, czesanie i przypinanie spinką wiecznie wpadających w oczy kudełków. Nieuniknione elementy poranka. Ogarnia mnie znużenie, a przecież dzień dopiero się zaczyna.

Mogę pracować na swoim komputerze! Poranne przygnębienie mija, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Mamo, jestem głodna - to Duszka.

- A co byś zjadła? - pytam z rezygnacją, bo taki minidialog powtarza się dzisiaj mniej więcej co godzinę. Duszka zjadła już dzisiaj: serek kremowy, ryż ze śmietaną i z cukrem, jabłko, dwa plastry szynki konserwowej, obiad również.

- Coś pysnego.

- Jabłko?

- Dobrze.

Schodzę do kuchni, kroję na cząstki jabłko i wracam przed komputer. Na dole Majka ćwiczy na pianinie. Próbuję się skoncentrować. Muzyka nagle cichnie i Majka zjawia się w moim pokoju.

- Mamo, jestem głodna na jabłko i gruszkę.

Przecież przed chwilą byłam w kuchni! Nie mogła wtedy poprosić?!

- Przynieś tu talerz, owoce i nóż - rozkazuję. Nie mam zamiaru ciągle latać z góry na dół.

Wtorek, 21

Ta maszyna nie działa jednak dobrze. Pisanie na co chwila zawieszającym się komputerze jest strasznym mazurem. Na szczęście jestem ostrożna i straty są niewielkie. Dodatkowe rozproszenie stanowi Majka, która zjawia się u mnie co pięć minut w coraz to innym przebraniu. Za nią jak cień drepcze Duszka z koralami na szyi.

- Jestem głodna na coś pysnego.

- Jabłko?

- Nie, coś pysniejszego.

- Ser żółty?

- Tak. Dwa kawalki.

W kuchni okazuje się, że Majka i Jona również mają ochotę na ser.

Jestem przygnębiona z powodu opóźniającej się wiosny, szarej monotonii dnia, ręcznego prania swetrów i zmęczenia widocznego na twarzy Franciszka.

Przyszła moja mama. Siedzimy przy kuchennym stole i opowiadamy sobie różne historyjki. Majka pod byle pretekstem wybucha zaraźliwym śmiechem. Jona ma zarumienione policzki. Tosia siedzi u mnie na kolanach. Coraz trudniej się tam mieści, ale bardzo tego potrzebuje. Nie ma z nami Franciszka, który pracuje dziś do późna. Odgrzewamy w piekarniku minipizze kupione przez mamę. Nie muszę więc robić kolacji.

Franciszek wpada parę minut po ósmej. Robię mu herbatę, coś tam zjada w pośpiechu i jedziemy na tańce. Dziś zajęcia poświęcone są nauce walca angielskiego. Cieszę się, bo wychodzi nam całkiem niezłe.

W sali tanecznej na dwóch ścianach są lustra. W każdym z nich,

mimo nowych spodni, wyglądam grubiej niż pozostałe uczestniczki kursu. Patrzę na siebie z dezaprobatą - przysadzista pani, niczym Mama Muminka. Na szczęście moje dzieci uważają, że jestem piękna, ale kiedyś i to się zmieni. (Dopisek późniejszy. Franciszek to przeczytał i powiedział, że wcale nie wyglądam jak Mama Muminka i że podobnie jak nasze córki uważa, iż jestem piękna).

Środa, 22

Robię francuski. Na dzisiejszą lekcję muszę przeczytać artykuł o ptasiej grypie.

- Mamusiu! Twój kocinek się obudził!

Pochyliam się nad łóżeczkiem i natychmiast małe rączki łapią mnie za szyję.

- W co chcesz się dzisiaj ubrać?

- W niebieską spódniczkę i zieloną bluzkę.

- Nie masz ochoty na coś innego?

- Nie, to jest mój ulubiony stłój.

Po okresie ubierania się codziennie w coś innego, Duszka wpadła w drugą skrajność. Nosi ciągle ten sam zestaw. Nie mogę już na to patrzeć, ale przynajmniej mam mniej prania.

- Nudno mi samej w pokoju - mała ładuje mi się na kolana, strącając przy tym na podłogę Gramatykę języka hiszpańskiego. Przytulamy się przez chwilę. Boże, jakie to dziecko jest piękne! Szkoda, że nie umiem malować portretów.

Czas sadzenia pelargonii do większych doniczek. Jak zwykle, część sadzonek zgniła, zamiast wypuścić korzenie. Moje zabiegi ogrodnicze opatrywane są wnikliwymi komentarzami Duszki.

- Ta ziemia jest czalna czy błazowa?

- Chyba ciemnobrazowa.

- Nie, lacej czalna. A dlaczego dajesz kwiatkom pić?

- Bo wszystkie żywe stworzenia potrzebują wody.

- Ale to psecież nie są żywe stworzenia, bo nie mówią.

- Rosną i kwitną, więc są żywymi stworzeniami. Rozstawiam donice na parapetach. Duszka drepcze mi po piętach. Razem wchodzimy na górę. Mała zagląda do pokoju, w którym pracuje Franciszek.

- Psysłam cię odwiedzić, tatusiu.

Franciszek mruczy coś, nie odrywając oczu od monitora. Duszka wraca do mnie i przygląda się, jak ścinam na sadzonki górne pędy fuksji. Chyba jest już znudzona, a ja mam wyrzuty sumienia, że nie wymyślam dla niej jakichś rozwijających zabaw.

- Narysuj mi, jak jesteśmy w baseniku - to ona wynajduje mi twórcze zajęcia.

Rysuję całą rodzinę w kostiumach kąpielowych. Nie radzę sobie z postaciami ludzi. Wyglądają jak pokraki. Mimo to, Duszka jest zadowolona.

- Ja telaz pokololuję - krzyczy ze swojego pokoju - i żłobię inne kololy kostiumów!

- Dobrze! - odkrzykuję.

- I tlawę!

- Dobrze!

-1 niebieskie niebo.

Kolorowanie pochłonęło ją bez reszty. Słyszę szeleszczący odgłos, jaki wydaje flamaster sunący po papierze.

Czwartek, 23

Śniło mi się dziś, że mam zdawać maturę z włoskiego. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób tworzy się czas conjunctive. Było to dość męczące przeżycie, jak większość snów o szkole. Zazwyczaj okazuje się w nich, że albo czegoś nie umiem, albo spóźniam się na jakąś lekcję, albo zapominam stroju na gimnastykę.

Słońce świeci i powoli wytapia zwały śniegu. Odsłaniają się śmieci i psie odchody. Prowadzę Duszkę na zajęcia i co chwila wzdrygam się z obrzydzenia albo krzyczę:

- Uwważaj! Nie wdepnij w tę kupę!

Przy bramie domu, który już od sześciu lat jest w stanie niekończącej się budowy, stoi samochód wyładowany kartonowymi pudłami. Przez szybę widzę napis na jednej z paczek: „Rzeczy dzieci z szafki po lewej stronie”. Bez wątplenia damskie pismo. Odczuwam nagłą solidarność z tą nieznaną kobietą, wypełniającą kartony do przeprowadzki. Cieszę się, że ma dzieci, które zamieszkają w domu pod lasem. Mam nadzieję, że będzie im tu dobrze.

Wracamy po błocie. Nasza ulica, pozbawiona asfaltu, ma latem specyficzny wiejski urok, ale teraz wygląda obrzydliwie. Na całej szerokości zalega czarnobrazowa lepka breja. Próbujemy iść skrajem drogi po burych resztkach śniegu. Obszczekują nas psy sąsiadów.

- Nie lubię, jak ktoś na mnie scka.

Na chodniku przed domem wesołe rysunekczki namalowane kolorową kredą. To dzieła Jony, która w ten sposób zainaugurowała sezon wiosenny.

Warsztaty umiejętności wychowawczych. W ubiorach uczestniczek dominującym kolorem jest czekoladowy brąz. Zajęcia idą opornie. Wszyscy są senni i przybici pogodą. Mam wrażenie, że większość w ogóle nie łapie, o co chodzi.

Wieczór. Wracamy do domu. W kuchni lepi się podłoga. Widnieją na niej okrągłe plamy z soku albo syropu, pokryte warstewką kurzu. Kolacja, kąpanie Duszki. Krzyczę na starsze, które w ferworze zabawy zapomniały o tym, że trzeba się rozbierać i szykować do spania. W końcu udaje mi się wysłać młodsze dziewczynki do łóżek, a sama biorę się za mycie podłogi. Franciszek przy komputerze.

- Mamo, nie lubię, kiedy jesteś zła i krzyczysz - to Jona.

- Jestem zła, że nie rozebrałyście się na czas - odpowiadam. Nie jestem jeszcze gotowa do pojednań. Tymczasem Tosia kąpie się i kąpie.

- Mamo, zabrałaś mi ręcznik? - pyta przez drzwi łazienki.

- Jest na kaloryferze w korytarzu i nie podam ci go - mówię ze złością, płucząc szmatę do podłogi.

Chyba przesadziłam. Przecież nie będzie wychodzić goła i mokra z łazienki. Podaję jej ręcznik. Czuję się jak straszna jędza.

- Mamo! Paznokiec! - woła mnie Duszka.

- Nie przyjdę, bo myję podłogę - odkrzykuję.

Jestem taka wściekła, że aż chce mi się płakać... ze zmęczenia. Tak, to zmęczenie jest uczuciem dominującym, nie złość. Duszka ryczy:

- Telaz to naplawdę jestem smutna!

Jasne, doskonale ją rozumiem. Ja też jestem smutna. Nie odzywam się. Na kolanach kończę mycie podłogi, a potem idę obciąć ten nieszczęsny paznokiec.

Chowam się do swojego pokoju, zamykam drzwi i włączam sobie płytę Stinga. Daję się ponieść muzyce. Przystaję być umęczoną matką, która nie ma siły na wykrzesanie odrobiny serdeczności dla własnych dzieci. Jestem kimś innym... może młodą kobietą przemierzającą samotnie ulice nieznanego miasta... Wiatr rozwiewa poły wiosennego płaszcza, a szyby wystawowe ukazują odbicie mojej twarzy o tajemniczym, nieco tragicznym wyrazie.

Piątek, 24

Ranek. Języki z przerwami na oglądanie kolejnych dzieł Duszki. Są to głównie postacie ludzkie o wielkich oczach i grubych ustach. Na głowach masy bujnych loków. Kolorowanie odbywa się z rozmachem. Flamastry aż skrzypią. Mała promieniuje dumą, prezentując mi piąty z rzędu rysunek.

- To jestem ja, to Maja Saniewska, a tam Łucja Glińska - z upodobaniem wymienia imiona i nazwiska koleżanek z zajęć dla

przedszkolaków.

Ociągam się z przystąpieniem do odkurzania. Tak pięknie świeci słońce za oknem. Zerkam na termometr - zero stopni. Zimno. Nie ma szans na szybkie wytopienie śniegu. Kontroluję czas na budziku i pozwalam sobie na piętnaście minut czytania (Godziny Michaela Cunninghama).

Sobota, 25

Robimy ognisko w ogrodzie. Dzieci uparły się, żeby było z kielbaskami, więc wysłałam je do sklepu. Wybrały najbardziej błotnistą drogę. Ciekawe, kto im będzie czyścił buty.

Taca z talerzykami, chlebem, musztardą i keczupem zajmuje cały stolik, który Franciszek wyciągnął z komórki. Nie mamy porządnego stołu ogrodowego i już kolejny rok męczymy się przy małym rozkładanym mebelku, który ciocia kupiła kiedyś naszym dzieciom. Dlaczego tak jest? Bo podobają nam się piękne, drewniane i drogie stoły, na które nas nie stać, a te tanie, plastikowe... no cóż, są... tanie i plastikowe. Zaczynam jednak myśleć, że lepszy taki niż żaden.

Tosia ofiarnie piecze wszystkim dzieciom kielbaski.

- Ale moja jest brudna... - popłakuje Jona.

Wszystkie są brudne. Spalamy właśnie bożonarodzeniową choinkę i strzelające w górę igły przylepiają się do kielbas.

- Oskrob sobie widelcem - radzę.

- Ale nie umiem - wielka łza splywa po policzku Jony. To dziecko wyraźnie nie czerpie przyjemności z posiłku w warunkach polowych. Idę do domu po serwetki do obcierania kielbasek z igliwia. Chce mi się pić. Mamy butelkę wody mineralnej, ale ja marzę o herbacie. Już mam dość siedzenia na zimnie. - Kochani, idę pracować - oznajmiam.

Sobota to przecież mój dzień na pisanie (znów na komputerze Franciszka). Przyrządzam sobie gorącą herbatę, wrzucam do niej łyżeczkę galaretki z pigwy i idę na górę. Jak miło być znów w ciepłym domu.

Wieczór. Oglądamy z Franciszkiem Leona zawodowca. Przez pierwszą połowę filmu miałam jeszcze nadzieję na jakiś lżejszy i bardziej pozytywny rozwój akcji, ale im dalej, tym gorzej. Nie mogę znieść napięcia. Wychodzę z pokoju. Dziwię się, że Franciszek został. Rozbijają mnie takie filmy. Za dużo w nich zła. A recenzje oczywiście bardzo pozytywne: „Niezwykłe dokonanie, artystyczne dzieło itp.”.

Idę ścierać kurze w dużym pokoju. Potrzebuję jakiejś fizycznej aktywności, żeby odreagować film.

Niedziela, 26

Pochmurno. Zmiana czasu. Kawa z ajerkoniakiem. Chyba wlałam za dużo, bo czuję miękkość w kolanach. Franciszek leży na tapczanie i czyta. Dzieci oglądają w moim komputerze film o Tabaludze. Na parapecie pięknie kwitnie fiołek afrykański.

W kościele byliśmy na jedenastą. W pierwszym rzędzie, obok figurki św. Antoniego, widzę znów tę długowłosą kobietę z dwoma synami. Wygląda na starszą ode mnie. Zawsze ma tę samą fryzurę: podpięte tylko po bokach, a dalej puszczone luźno włosy, sięgające do pasa. Młodszy z chłopców, może w wieku Majki, zachowuje się jak zwykle niesforne. Cały czas się kręci, wygina, wyczynia różne figury na środku kościoła z niezmiennym uśmieszkiem na twarzy. Matka próbuje go po cichu strofować albo przytrzymywać za rękę, ale chłopak się wyrывa i nadal wariuje. ADHD? Być może.

Franciszek, jak go znam, na pewno uważa, że to rodzice robią jakiś błąd i nosi w sobie sekretną pewność, że on by sobie poradził. A ja współczuję tej kobiecie. Ciągłe musi się mierzyć z uczuciem upokorzenia, które dopada ją w sytuacjach publiczno-kościelnych.

Popołudnie. Franciszek robi obiad. To jego cotygodniowy prezent dla mnie. Zaprasza Majkę, żeby mu pomogła obierać ziemniaki, a raczej, żeby nauczyła się je obierać. Bardzo nierozsądnie. To się nie może dobrze

skończyć. Obieranie ziemniaków jest sztuką trudną i ja sama uczyłam się jej długo, z mozolem i wylewaniem łez. Majce też nie idzie. Poza tym jest dzieckiem, któremu trudno jest się uporać z rozczarowaniami. Kiedy Franciszek woła mnie do kuchni, żebym jej pomogła, Majka nie chce już dalej próbować. Siedzi z opuszczoną głową, a po policzkach, jedna za drugą spływają słone krople. Wybiega z kuchni. Znajduję ją na łóżku, zwiniętą w kłębek i rozszlochaną. Więc przytulanie, przytulanie, przytulanie...

Jakaś kłótnia między Tosią a Franciszkiem. Gniew ojca ścina powietrze i dosięga nas wszystkich. Od razu opanowuje mnie bezsensowne poczucie winy, że to ja powinnam ten obiad robić i wtedy miła atmosfera niedzielnego posiłku byłaby uratowana. Wchodzę do klatki lwa.

- Czy zrobić sos czosnkowy do ryby? - pytam obojętnym tonem (byle go nie rozdrażnić).

- Rób co chcesz!

- Nie krzycz na mnie. Pytam, czy chcesz sos czosnkowy.

- Tak. On jest dobry - Franciszek stara się opanować, ale nie jest w tym najlepszy.

Rozstawiam talerze na stole.

- Albo ja będę jadł oddzielnie, albo Tosia - oświadcza mój mąż z napięciem w głosie.

Na mnie, która wołam dzieci na obiad, spada obowiązek poinformowania Tosi, że nie może z nami jeść.

- Dlaczego?! - krzyczy.

- Nie wiem, to jakieś sprawy między tobą a tatą - próbuję zdystansować się do całej sprawy.

Z góry dobiega szloch. Tak naprawdę, to ja chętnie jadłabym dziś osobno. Nie chcę siedzieć w kuchni, w środku całej tej awantury, której centrum stanowi obrażony mężczyzna. To, że nie ma z nami Tosi, wcale nie poprawia atmosfery. Obiad jest bardzo pyszny i jednocześnie trudny do

zniesienia. Nie wychodzę z talerzem do swojego pokoju tylko dlatego, że to mogłoby jeszcze bardziej pogorszyć sprawę.

Po obiedzie biorę się za zmywanie głównie po to, żeby okazać dobrą wolę i zagłuszyć poczucie winy, że to nie ja robiłam obiad. (Ciągłe mam wrażenie, że jeśli mój mąż wścieka się przy gotowaniu, to moja wina).

W końcu godzą się - Franciszek i Tosia. Domowy ład zostaje do pewnego stopnia przywrócony.

Poniedziałek, 27

Otwieram oczy. Pierwsza myśl: nie mam pojęcia, co zrobić na obiad. Od razu dzień wydaje się niewyobrażalnie ciężki do przeżycia. Mogę ugotować bukiet z jarzyn. To na pewno ucieszy Franciszka, ale reszta będzie grymasić. Duszka spokojnie oddycha na sąsiedniej poduszce. (Znowu przydreptała o świcie). Ciemne półksiężycy rżęs, rzucające lekki cień na półki sprawiają, że serce ściska mi się z zachwytem. Powstrzymuję chęć pocałowania mojej ślicznej córeczki. Niech śpi jak najdłużej.

Fantastyczne znalezisko w najniższej szufladzie zamrażarki! Pudełko po lodach waniliowych mieści zamrożony gulasz. Jestem uratowana!

Wieczór. Franciszek pojechał na spotkanie robocze. Dzieci w łózkach. Komputer wolny. Idę pisać.

- Mamo! Mamo! - głos Duszki niesie się aż tutaj.

Najpierw próbuję nie zwracać na to uwagi i dzielnie stukam w klawiaturę, ale krzyki z chwili na chwilę stają się coraz bardziej rozpaczliwe. Schodzę.

- Ja nie chcę być tu sama z Majką! Ja się boję być tu sama! Powinnam im była zostawić światło w przedpokoju. Przytulam zapłakanego dzieciaczka, który korzysta z okazji i natychmiast wyciera oczy i zasmarkany nos w mój golf.

- Zapalę wam światło na korytarzu i włączę muzyczkę, dobrze?

- Ale nie odchodź - ręce Duszki z całej siły zaciskają się na mojej szyi.

- Nie idź, bo ja się boję.

- Czego się boisz?

- Wilków.

Na górnym łóżku Majka wybucha rubasznym śmiechem.

- I potwola - dodaje Duszka.

- A jaki on jest?

- Czalny.

- A jakie ma oczy?

- Cزالne.

- A zęby.

- Też czalne.

- A jest gładki czy owłosiony?

- Owłosiony.

- A gdzie mieszka?

- W zoo.

Ta odpowiedź mnie zaskakuje.

- No, na szczęście zoo jest daleko, a on jest zamknięty w klatce, więc tu nie przyjdzie. Włączyć wam muzykę?

- Tak - odpowiada Majka. - A wiesz, jaki jest mój potwór? - Jaki?

- Zielony, z czarnymi oczami i mieszka za szafką.

- Hm, to jest twoim sąsiadem - odpowiadam i idę nastawić płytę.

Chciałabym już skończyć te pogawędki i trochę popracować.

- Mamo, ale gdzie ty będziesz?

- Na górze, nad waszym pokojem. Jak dojdę na górę, tupnę trzy razy, żebyście wiedziały, gdzie jestem.

Idę do swojego pokoju i tupię. Słyszę, jak się śmieją. Siadam do komputera i piszę, piszę, piszę...

Wtorek, 28

Nareszcie! Słońce, ciepło, krokusy! Odprowadzam Duszkę na zajęcia.

Po raz pierwszy od dawna nie mam na sobie czapki. Droga sucha. Błoto, które jeszcze wczoraj zalegało na ulicy, znikło. Ludzie uśmiechają się do siebie.

- W taką pogodę to człowiekowi od razu bardziej się chce - mówi starsza pani przyprowadzająca wnuczkę.

Nie precyzuje, czego się chce, ale i tak ją rozumiem. Ma się ochotę chodzić, tworzyć, porządkować, rozmawiać, uśmiechać. Życie nabiera nowego smaku, a radość istnienia jest ogromna.

Po powrocie ze szkoły dzieci zostają w ogrodzie i zbierają biedronki. Rozgrabiam przyzmy kompostu, które zostały mi z jesieni. Przycinam powojniki i wygrabiam suche liście spod krzaków mahonii. Nie mogę się napatrzyć na wychodzące ku słońcu rurkowato zwinięte liście tulipanów i pokarbowane listeczki pry-mulek. Żółte krokusy rozkwitły w ciągu jednego dnia. Zbieram z ziemi kawałki kości i skorupy orzechów włoskich - to kawki tak naśmiecily przez zimę. Czasami słycać już o świcie, jak rozłupują jakiś przysmak, siedząc na naszym kominie. Co jakiś czas smakolyk ów wysmykuje im się spomiędzy pazurów i ze stukotem spada z dachu, lądując na grządce albo na chodniku przed domem.

Pszczoly latają jak szalone. Krokusiki aż przyginają się pod ich ciężarem. Nad drogą przelatuje wróbel, ciągnąc za sobą kilkakrotnie dłuższe od niego samego źdźbło trawy.

- Mamusiu, jak jest wiosna, to ja dziękuję Panu Bogu za wszystko, co jest takie piękne - mówi Jona, a mnie aż w gardle ściska ze wzruszenia.

Siedziałabym w ogrodzie cały dzień, gdyby nie konieczność gotowania obiadu. Spaghetti po bolońsku robi się na szczęście szybko, a Franciszek nie narzeka na brak sałatki, której po prostu nie miałam czasu zrobić.

Środa, 29

Sukces. Wstałam piętnaście po siódmej. Według starego czasu to piętnaście po szóstej. Poczucie wszechmocy. Tyle mogę zrobić, zanim

obudzi się Duszka! I rzeczywiście, o dziesiątej jestem już po językach. Każde ćwiczenie mogłam przerobić w skupieniu i z należytą uwagą. Zaglądam do pokoju dzieci. Potargana Duszka otwiera oczy, patrzy na mnie nieprzytomnie i znowu zasypia.

Franciszek pracuje dziś poza domem, mogę więc zająć komputer. Duszka już wstała. Robię jej śniadanie, a potem wracam na górę.

- Ja nie chcę być sama na dole - oświadcza dziecko.

Daję jej dwa duże tomy o Martynce - dużo obrazków, powinno to wystarczyć na jakiś czas.

- Mamusiu, na tym obłazku jest taki malutki kotek.

- Tak, on się nazywa Wąsik - odpowiadam, nie przerywając stukania w klawisze.

- Mamusiu, a dlaczego ta dziewczynka tak leży?

- Bo jest chora.

- Taka chola, jak ja byłam?

- Tak, zobacz, jaka jest smutna...

- A tu już wyzdłowiła. - Tak.

Robię coraz więcej błędów. Mnożą się literówki. Zamiast „sz” wystukuję „zs”. Pomyłkowo naciskam klawisz „delete”. Czuję lekki ból w oczach. Niewyspanie czy irytacja?

Wieczór. Zmęczenie. Bolą mnie plecy od siedzenia przy komputerze i od mycia wanny. Włączam płytę z niemieckim.

- Będiesz prasować? - pyta Majka. - Tak.

- Wiedziałam. Zawsze włączasz języki, jak prasujesz.

Na szczęście rzeczy jest niewiele i szybko kończę. Składam deskę do prasowania i włączam Prokofiewa.

- Mamusiu, ładna jest ta muzyczka! - woła Duszka z pokoju.

- To Romeo i Julia - wyjaśniam. - Taki balet. Jak będziecie starsze, to pojedziemy go zobaczyć do teatru.

Długo nie puszczałam tej płyty. Kiedyś, słysząc ją, Tosia spytała, o czym to jest. Opowiedziałam jej w skrócie treść szekspirowskiej tragedii i moja córka była absolutnie wstrząśnięta:

- Mamo, proszę cię, nie włączaj tego więcej.

Podwójne samobójstwo kochanków, wynikające z nieporozumienia, jest okropnym zakończeniem. Nic dziwnego, że Tosia nie chciała więcej o tym słyszeć. Ale muzyka piękna...

Czwartek, 30

Warsztat umiejętności wychowawczych. Mam straszliwą migrenę. Trzeba jakoś przetrwać trzy godziny i przeprowadzić grupę przez kolejne ćwiczenia. Siedząca naprzeciwko mnie Maria co chwila trze czoło albo przyklada kciuk do nasady nosa. Rozpoznaję te gesty, tak charakterystyczne dla nas, migrenowców. Pomyśleć, że istnieją ludzie, którzy nie wiedzą, co to ból głowy. Nawet nie zdają sobie sprawy, jakimi są szczęśliwcami.

Po powrocie do domu kładę się do łóżka. W ciemnym pokoju, oczywiście.

- Biedna mamusia - przychodzą dzieci i głaszczą mnie po głowie.

Znowu tonę w falach bólu. Gdybyż to był tylko ból... Niestety, dołączają się mdłości. Nie mogę ich powstrzymać i biegnę do łazienki. Franciszek przynosi mi herbatę. Ścieli łóżko. Nie mam siły się umyć. Trwam nieruchomo z twarzą przyciśniętą do poduszki. Byleby tylko nie poruszyć głową.

Piątek, 31

Pozwolili mi dziś długo spać. Franciszek wyprowadził Duskę na górę, żeby nie zakłócała mi spokoju. Są jeszcze ślady wczorajszego bólu. Jakby skroń i prawe oko były obrzęknięte gdzieś od wewnątrz. Cała jestem obolała i bardzo powoli dochodzę do siebie. Piję herbatę, jem kanapkę. Nie za szybko, ostrożnie wkręcam się w tryby dnia. Wolno i spokojnie

rozwiązuję ćwiczenia niemieckie, hiszpańskie i francuskie. Wyglądam przez okno. Dwa krokusy jak dwa osamotnione płomyki świec. Nie rozchylają się, bo nie ma słońca.

KWIECIEŃ

Sobota, 1

Zupełnie zapomnieliśmy, że dziś prima aprilis i nikt nikogo nie oszukuje. Całe szczęście. Nie wiem, jak bym zniosła powtarzające się co pięć minut: „Mamo, ale masz plamę” albo „Ale masz dziurę”.

Piękna pogoda. Mam dylemat - czy iść do ogrodu, czy siąść przy komputerze. Serce ciągnie mnie na zewnątrz, ale postanowiłam, że napiszę przynajmniej dwie strony. Komputer nareszcie naprawiony, a klawiatura jakaś „łżejsza”. Palce same biegają.

Straszliwe piski na dole. Duszka klóci się zajadle z Majką. Na skutek tych odgłosów robię pięć literówek. Słyszę tupanie po schodach. Czuję, że nie obędzie się bez rodzicielskiej interwencji.

- Mamo! Majka mi wylywa mój plecak! - szlochająca i zasmarkana Duszka rzuca mi się w objęcia.

Za nią ukradkiem wsuwa się Majka i siada naburmuszona w fotelu. Nie zwracam na nią uwagi zgodnie z zasadą: najpierw zajmij się poszkodowanym.

- Widzę, że bardzo cię to rozgniewało - mówię do Duszki.

- Taaak!!! - ściany pokoju zatrzęsły się od tego wrzasku.

- Bo to przecież twój plecak i ty o nim decydujesz - kontynuuję.

- Taaak! A ona mi go wylywa.

- A ty jesteś jego właścicielem.

- Tak! Nie będę się z nią już bawić!

W tym momencie, ku mojemu zaskoczeniu, podchodzi Majka i obejmuje małą. (Gest pojednania bez żadnej zachęty z mojej strony. Jeszcze raz się przekonuję o sensowności zasady: „zajmij się poszkodowanym, nie

zwracaj uwagi na agresora”).

- Nie będziemy się już bawić w te bzdury - uśmiecha się Duszka. - Żłobimy coś innego.

Majka wybucha śmiechem. Objęte wychodzą z pokoju. Patrzą za nimi z osłupieniem.

Trzy strony napisane. Zasłużyłam sobie na ogród. Wygrabiam liście z różnych kątów i rzucam na ognisko. Robi się coraz piękniej i coraz czystiej. Niestety uwidaczniają się też soczyściezielone pędy perzu i pierwsze gniazda mokrzyca. Skalniak poprzerastany trawą. Później się za niego wezmę. Najpierw prace porządkowe.

Pod dachem, w tym samym miejscu co w zeszłym roku, mazurki wiją sobie gniazdo. Ciekawe, ile pokoleń tam się wylęgnie tego lata.

Niedziela, 2

Rocznica śmierci Papieża. Franciszek wywiesza flagę. Puszczamy dzieciom na komputerze film o wizycie Jana Pawła II w Wadowicach - ten ze wspomnianiem kremówek. Łzy, całkiem nieproszone, cisną mi się do oczu. Nie potrafię zaakceptować nasilającej się z wiekiem skłonności do nieopanowanych wzruszeń. Wystarczy jakiś obraz, zasłyszane zdanie albo strzęp wspomnienia, żeby zaczęło mi się robić mokro pod powiekami. Nie przeszkadza mi to, kiedy jestem sama, ale przy ludziach... przy dzieciach... wolałabym zachowywać się w sposób bardziej wstrzemięźliwy.

Wieczorem, o 21.00 nabożeństwo w kościele, a potem zapalenie zniczy przy krzyżu. Franciszek robi zdjęcia. Dziewczynki kulą się z zimna.

1

Poniedziałek, 3

Ranek. 7.00. Franciszek wyjechał do Warszawy, więc dzieci muszą iść do szkoły na piechotę. Sprawdzam, czy Majka wstała. Wstała. Ubiera się cichutko. Górne dziewczyny też już się obudziły. Słyszę dobiegające z ich pokoju wrzaski - Tosia i posępne wycie - Jona. Wracam do ciepłej pościeli.

- Mamo, czy mogę iść sama z Joną do szkoły? - przy moim łóżku stoi Majka.

W brązowych sztruksach przytrzymywanych paskiem w kolorze surowego lnu i z jasnymi, rozpuszczonymi włosami opadającymi aż na plecy, wygląda jak dziewczynka z amerykańskich filmów przygodowych.

- Możesz.

- Bo Tośka na nas wrzeszczy - dodaje w ramach wyjaśnienia. Schodzi pochlipująca Jona. Przytulam ją i przemywam jej zakurzone okulary. Już nie ma sensu wracać do łóżka. Żegnaj młodszą dziewczynkę. Przez okno patrzę, jak wychodzą na ulicę.

Na dół schodzi Tosia. Ma na sobie wąską spódnicę z suwakami. Co za radość. Chociaż raz inny strój niż spodnie.

- Bardzo pięknie wyglądasz - postanawiam nie nawiązywać do awantury z siostrami. Wiesz co, z tyłu masz trochę krzywo zrobiony przedziałek (uczesła się w kucyki), mogę poprawić?

- Tak - pochlipuje. - Nie umiem się dobrze uczesać i mam dzisiaj zły dzień!

Czeszę ją, wkładając w tę czynność duży ładunek matczynego ciepła. Rozumiem doskonale, że ciężko jest iść w poniedziałek do szkoły.

Tosia kończy jedzenie i idzie spakować kanapkę do plecaka. Nagle wybucha strasznym płaczem. Podbiegam do niej.

- Co się stało? Uderzyłaś się?

- Bo mi się dzisiaj nic nie podoba! Te kucyki są za wysoko! Pamiętam. Ze swojego dzieciństwa pamiętam takie poranki, kiedy wszystko było złe, kiedy mama mnie czesała, a ja czułam, że wyglądam koszmarnie, kiedy wszystko drażniło i wywoływało łzy. Dzięki Ci, Boże, za tę pamięć! Bo mogę bez złości i zniecierpliwienia przytulić moją najstarszą córeczkę i spokojnie poprawić kucyki na takie, jak chce.

Lista prac przedświątecznych:

„mycie okien

***mycie luster**

***pranie firanek i zasłon**

„zmiana pościeli

„mycie podłóg

**„odkurzanie książek (umrę) i górnych powierzchni szaf i szafek *
wrzucenie butów zimowych na strych”pranie zimowych kurtek i
czapek”zrobienie porządku w sionce.**

Sklep ogrodniczy. Kupuję nasiona. Kuszą mnie kolory na opakowaniach, ale wiem, że na niezbyt urodzajnej glebie naszego ogrodu większość kwiatów nie będzie kwitła tak pięknie, jak to sugerują fotografie. Biorę więc to, co już jest sprawdzone: aksamitki, cynie, portulaki, astry, godecje, klarkie i jeszcze jakieś pomarańczowe kwiaty, dla eksperymentu. Może w tym roku uda mi się zapanować nad bujnie zarastającymi grządki samosiejkami kosmosów i ostróżek. Kiedy nadchodzi maj, jakoś nie mam serca wrywać tych wszystkich pnących się do słońca roślinek. Potem jest już za późno. Z drugiej strony - cóż może się równać z łanem ciemnoszafirowych ostróżek? Taki błękit można oglądać tylko przez kilka tygodni w roku.

Wtorek, 4

Wczoraj umyłam trzy okna. Dzisiaj dwa. Niebo się chmurzy i nie ma śladu po wczorajszym słońcu. Robi się zimno i zaraz pewnie lunie deszcz. Z dużego pokoju dobiegają odgłosy toczącej się właśnie lekcji angielskiego. Ogarnia mnie znużenie na myśl, że znów trzeba będzie sprawdzać, czy dzieci odrobiły lekcje. Marzę o wakacjach i o oceanie wolnego czasu.

Podczas obiadu dialogi eschatologiczne:

- Ja bym chciała już umrzeć i zobaczyć, jak tam jest - stwierdza Duszka.

- A ja bym chciała spytać Pana Boga, jak to jest, że On się nigdy nie

zaczął - Majka po raz kolejny nawiązuje do najbardziej nurtującego ją aspektu Stwórcy.

- No bo jak to może być, że ktoś się nie zaczął? - podejmuje temat Duszka.

Roztrząsają przez chwilę różne możliwości, między innymi istnienie Pana Boga, który stworzył Pana Boga, a tego wcześniejszego Pana Boga stworzył jeszcze wcześniej istniejący Pan Bóg... aż się w głowie kręci od takich myślowych spekulacji.

Środa, 5

Balansuję na wewnętrznym parapecie łazienkowego okna. Żeby tam się dostać, musiałam wstawić do wanny malutki stołeczek i po nim wdrapać się na pokrytą glazurą podokienną powierzchnię. Zimno. Myję szyby z szyną owiniętą grubym szalem. Na obiad daję rodzinie rosół. Wszyscy są szczęśliwi. Siadam do komputera i przed przyjściem mamy Franciszka udaje mi się przepisać dwie strony. Teściowa zmarznięta, z wdzięcznością przyjmuje talerz gorącej zupy.

Lekcja francuskiego jest godziną relaksu. Kiedy się kończy, gonię dzieci do kąpieli i biorę się za pieczenie tortu dla Majki, która ma jutro urodziny. Nie tak od razu. Najpierw muszę pozmywać górę garów nagromadzonych w zlewie.

Staram się nad sobą nie rozczulać. Nie poczuć, jak bardzo jestem zmęczona dzisiejszym dniem i jak chętnie poleżałabym sobie na tapczanie z dobrą książką i z poduszką pod nogami (spuchły mi w kostkach).

Biskopt trochę się zapadł na środku, ale nie wygląda źle. Jutro rano zrobię masę z bitej śmietany.

Wyglądam przez okno. Biedne krokusy marzną. Żółty worek z krowieńcem leży pod płotem i czeka, aż rozsypię jego zawartość wokół róż. Nie nadążam z tymi wszystkimi zadaniami.

Czwartek, 6

Urodziny Majki. Tort udekorowany, bita śmietana ukryła niedoskonałości nierówno przekrojonych biszkoptowych blatów. Franciszek, który nie jest amatorem tortów, wziął sobie dokładkę. Tylko Duszka nie może dokończyć swojej porcji.

- A mnie już boli brzuch - mówi.

- Tak, Duszka chyba nie za bardzo lubi słodczyce - generalizuje obecna na urodzinach babcia.

Uśmiecham się sceptycznie. Jak się zjadło paczkę żelkowych miśków i batona w czekoladzie, to trudno mieć jeszcze ochotę na tort.

Wieczór. Na biurku znajduję czekoladowy baton, a obok niego kartkę w kształcie serduszka: „Batonik jest dla ciebie. Jest tak dobry, a jednak ty jesteś bardziej kochana. Tosia”.

Idę ją przytulić. Siedzi w kuchni z turbanem z ręcznika na głowie, zadowolona, że sprawiła mi radość.

Piątek, 7

Maniackie mycie okien. Dziś ten nieszczęsny basen, muszę się więc spieszyć. Zdejmuję firanki i zasłony. Ależ to wszystko zakurzone! Przecieram karnisze. Szybciej, szybciej! Cała jestem spocona. Rzucam dzieciom krótkie komunikaty: „odejdz”, „teraz nie”, „idź do taty”.

Mało prawdopodobne, żeby posłuchały. Wydobyć z siebie wrzasku „Mamo!” stało się tak wdrukowanym odruchem, że trzeba by specjalnej terapii odwykowej, aby zechciały krzyknąć „Tato!”. Poza tym córeczki wiedzą, że Franciszek na taki krzyk nie zareaguje. Mało tego, on go nawet nie usłyszy. Musiałyby pofatygować się na górę do jego pokoju i kilka razy powtórzyć petycję. Zaistnieje wtedy szansa, że zapracowany rodzic oderwie błędny wzrok od komputera i spyta: - Mówiłaś coś do mnie?

Na dworze słońce. Tęsknię za pracami ogrodowymi, ale misterium przedświątecznego mycia okien musi się wypełnić do końca.

W basenie woda zbyt ciepła. Czuję się jak w wannie. Dziewczynkom

wykwitły na policzkach buraczkowe rumieńce. Opary chloru drażnią gardło. Pływam wolną żabką i z niecierpliwością zerkam na zegar. W domu czeka wieszanie upranych firanek.

Wieczór. Zmęczenie. Bolą mnie ramiona. Albo od pływania, albo od prac domowych.

Sobota, 8

Urodzinowa impreza Majki. Na szczęście tylko cztery dziewczynki. W kuchni jedzenie, w pokoju zabawa. Majka podniecona do ostatnich granic. Biega, piszczy, mówi jakimś nienaturalnym głosem, co chwila wymyśla nową zabawę. Z trudem to znoszę. Nie cierpię kinderballi. Sama nazwa napawa mnie odrazą. Oczywiście nie urządza żadnych konkursów. Niech dziewczynki same ustalają, w co chcą się bawić. Kiedy byłam dzieckiem, nie lubiłam zorganizowanych imprez. Moje córki często wracają rozczarowane ze szkolnych balów, na których wynajęta ekipa animatorów-wodzirejów proponuje konkursy albo narzuca styl tańczenia. „I w ogóle nie można tańczyć jak się chce! Beznadzieja!”

Franciszek pozostał na placu boju, a ja wymykam się do ogrodu i tam z wielką radością rozrzucam obornik pod krzakami róż. Ze smutkiem patrzę na przemarznięte pędy. Niektóre popękały w czasie tych strasznych styczniowych mrozów. Przycinam moją ulubioną różę westerland. Na razie w połowie, w nadziei, że może wypuści świeże gałęzie nawet z tych lodyg, które wydają się na pierwszy rzut oka martwe.

Wracam do domu. Jest wpół do szóstej. Zostało jeszcze półtorej godziny do końca imprezy. Majka jak nakręcona. Wrzeszczy na cały głos. Cały dom wypełniają piski siedmioletnich dziewczynek. Słyszę, że zajęła się nimi Tosia. Włączyła muzykę i teraz tańczą pod jej kierunkiem do melodii z Greka Zorby. Dzięki

Ci, Boże, za przywódczo-nauczycielski talent naszej najstarszej córki.

Kochany Franciszek. Jestem mu nieskończenie wdzięczna, że wziął na

siebie nadzór nad całym zamętem. Dzięki niemu mogę się zamknąć w pokoju i pisać. Mimo odosobnienia, nie mogę się doczekać momentu, kiedy mali goście sobie pójdą.

Niedziela, 9

Siedzimy z Franciszkiem na maleńkim tarasie przed domem i gramy w scrabble. Po raz pierwszy w tym roku na dworze. Słońce, kawa, ciasto cynamonowe. Mamy stąd przepiękny widok na krokusy.

Piękna pogoda trwała krótko. Jest wczesne popołudnie, za oknem ciemne chmury i leje. Włączam płytę Stinga i haftuję kwiatki na poduszce wielkopostnej. Pozwalam dzieciom obejrzeć na DVD Epokę lodowcową. Byliśmy na tym w kine, ale dawno temu. Chyba tylko Tosia pamięta treść filmu.

Wchodzę na chwilę do pokoju, gdzie dziewczynki siedzą skupione przed ekranem komputera. Trafiam akurat na wzruszającą scenę kończącą film i widzę, jak po policzku Majki spływa duża łza.

Poniedziałek, 10

Pochmurno i zimno. Wzdrygam się na myśl o myciu kuchennego okna. Piękny samiec synogarlicy siada na grubym konarze czereśni.

Duszka bawi się laleczką (w moim pokoju oczywiście) i mówi sama do siebie. Widzi, że jej się przyglądam, więc wyjaśnia:

- Tu jest dziewczyn dwóch i chłopaków dwóch, tylko oni są na niby.

Kontynuuje dialogi między laleczkami:

- Pamiętam was, pamiętam. To ja was ulodziłam, wiecie? Mamusia! Mamusia! I to jest nasz domek. Na na na... (śpiewa). Smutno mi bez nikogo... To jest ta sama polana, tylko inna stłona. Och! Mama umie latać! Ja lecę tam, gdzie... Latunku! Jestem nad niebem! Jestem baldzo wysoko!

Duszka trzyma w jednej ręce lalkę, w drugiej pałacyk z klocków lego i kręci się wokół własnej osi.

Popołudnie.

- Przeplaszam! Przeplaszam! - Duszka czerwona i szlochająca wpada do mojego pokoju. - Majka jest na mnie zła, bo jej zepsułam lysunek, co jej Tosia żłobiła, ale ja go tylko chciałam przesunąć i teraz mam zielone łęc. Przeplaszam! Przeplaszam!

Do pokoju wsuwa się Majka. Ma posępną minę i zmarszczone brwi. Rzucam kilka krótkich pytań i już rozumiem, o co chodzi. Duszka przesunęła folię z mokrym jeszcze malunkiem zrobionym farbkami witrażowymi. Ubrudziła siebie, niechcący zniszczyła pracę Tosi i teraz płacze przestraszona i pełna skruchy. Jej rozpaczliwe „przeplaszam” roztapia mi serce. Idę do pokoju dzieci. Cały stół zavalony jest różnymi rzeczami należącymi w większości do Majki. Duszka chciała na nim sobie zrobić trochę miejsca. Nic dziwnego, że są szkody. Ogarnia mnie złość. Głównie na Majkę. Zaganiam obie dziewczyny do sprzątania. Porządki z wściekłą matką to żadna przyjemność. Przynajmniej dzieci nie mają odwagi protestować i marudzić. W pięć minut stół jest czysty. Ostrożnie układam na nim arkusze folii z ocalałymi obrazkami. Wracam do komputera. - Ja nie lubię, jak ty tak długo placujesz. Aż do nocy!

Jest prawie północ. Właśnie skończyłam odrabianie pracy domowej z francuskiego. I can call it a day (Ostatnio przerabiałam angielskie idiomy i ten pasuje mi do końcówki dzisiejszego dnia).

Wszystkie zadania, które miałam wpisane do kalendarza pod dzisiejszą datą, zostały wykonane. Zmobilizowałam się nawet, żeby posadzić sadzonki fuksji i posiać cynie do doniczek. Po kolacji zajęłam się olbrzymią indyczą piersią i usmażyłam tyle kotletów, że wystarczy na cztery obiady. Nie pojmuję, jak Amerykanie mogą zjeść całego indyka na Święto Dziękczynienia. Chyba że zostaje im potem jedzenia na dwa tygodnie.

Wtorek, 11

Właśnie przed chwilą zobaczyłam, jak kawka porwała kość sprzed

psiej budy u sąsiadów naprzeciwko i usadowiła się z nią wygodnie na platformie słupa telefonicznego. Może tam w spokoju delektować się swoją zdobyczą. Dla mnie zostaną rozłupane resztki do wybierania.

Jak mogę, odwlekam przedświąteczne sprzątanie. Wynajduję sobie różne, bardziej atrakcyjne zajęcia. A to wyrywam trawę z grządki pod parkanem, a to przez pół godziny sumiennie przepisuję swoją powieść, gram na pianinie, pomagam Majce odlepić z folii witrażowe obrazki, wysiewam do doniczek kolejną partię nasion cynii... A w kalendarzu wpisane mam na dzisiaj czarno na białym: „Zetrzeć kurze z górnych powierzchni szaf i szafek i odkurzyć książki”. Ciekawe, jak oni sobie radzą z kurzem w bibliotekach? Może mają jakieś specjalne zasysacze kurzu? Obiecuję sobie solennie, że zrobię to jutro, jutro, jutro! Prawdopodobnie w Wielką Sobotę okaże się, że zabrakło mi jednego dnia... Że jeszcze jeden dzień sprzątania, a wszystko lśniłoby czystością.

Franciszek wychodzi z kąpieli. Zaraz po wejściu do pokoju zaciąga mocniej zasłonki, żeby nie było najmniejszej szczeliny. To nieszkodliwa obsesja, do której już przywykłam. Mój mąż wydaje się trwać w przekonaniu, że po ulicy krążą podglądacze, gotowi dojrzeć skrawek mojego ciała przez szczelinę szerokości milimetra. A jak nie uliczni podglądacze, to sąsiedzi z przeciwka. Już widzę tę staruszkę z ceglanego domu, jak czyha z lornetką przy oknie.

Środa, 12

Trzaśnięcie drzwi wejściowych.

- Ktoś wszedł? - pytam dzieci, które pierwsze dobiegły do sionki.

- Tak, jakaś pani.

Idę do przedpokoju z kubkiem parującej herbaty i witam się z Anią, która zajrzała, żeby oddać Franciszkowi materiały wykładowe.

- Cześć! - rzuca. - Jak przychodzę do ciebie, to zaraz się dołączę, bo te twoje dzieci takie grzeczne.

Nie wiem, jak można ocenić zachowanie czyichś dzieci w pięć sekund po wejściu do domu, ale Ania ma krewki temperament - szybka w słowach i wyrokach.

- A twoje niegrzeczne? - pytam.

- Grzeczne inaczej - uśmiecha się cierpko. - Zaglądam do ciebie przez okno, a tu dziewczynki siedzą spokojnie i rysują. Rozpuszczone włoski, czyste buzie... Te moje tylko latają, wiecznie umorusane.

Macha ręką z rezygnacją i dodaje:

- A ty sobie chodzisz po domu z herbatką. Jestem zupełnie zdolowana. Muszę już lecieć! - i znika.

- Mamy być gorsze, żeby ta pani się nie dołowała? - pyta Tosia. Grozę jej palcem.

To jednak ciekawe doświadczenie - przejrzeć się w czyichś oczach. Ania nie wie oczywiście, że przed chwilą skończyłam szorowanie framug kuchennego okna i robienie obiadu rodzinie.

Widzi jakiś wycinek rzeczywistości. Jasne główki dziewczynek pochylone nad rysunkami i mnie, spacerującą po domu z kubkiem herbaty. W tej sytuacji może sobie wyobrażać, że nasze życie to harmonijna sielanka, pośród której poruszam się z gracją i spokojem, wykazując się na każdym kroku rodzicielskimi kompetencjami (A może naprawdę jestem niezwykłą kobietą???).

Czwartek, 13

Szoruję kafelki w łazience i znów marzę o jakiejś „pani”. Teraz nie mówi się ani sprzątaczką, ani służącą, ani po staroświecku „dochodząca”, tylko „pani do pomocy”. „Czy masz jakąś panią do pomocy?” - tak można spytać koleżankę. A w odpowiedzi usłyszy się na przykład: „Tak, przychodzi do nas pani Luba (Olga, Natasza), trochę sprząta i robi świetne pierogi”. Więc tak sobie myślę, wydłubując rdzawy osad spomiędzy kafelków, że tę robotę można by zlecać Przychodzącej Pani. I niechby to

robiła nawet raz na dwa tygodnie, to wtedy brud nie gromadziłby się w takich ilościach. Mogłaby też zmagać się z lepкими plamami po kleju, który dawno temu przywarł do paneli w przedpokoju, i z tłuszczem na szafkach kuchennych.

Jest tylko jeden problem (poza finansowym, rzecz jasna). Że ta pani ma najprawdopodobniej jakieś koleżanki, z którymi lubi pogadać o swoich mocodawcach. I tak sobie siadają przy kawce i po-opowiadają. O doktorowej, która rozkłada staniki po całym domu, o Herbodzińskiej, która tak rozpuściła dzieci, że zupełnie sobie z nimi nie daje rady, o Pytłasińskiej, która leży na kanapie i seriale ogląda, a dom zarasta brudem i mąż chodzi zaniedbany. Co powiedziałyby o Wrzosowej? - Że całe dni siedzi z nosem w książce, że ma zapuszczoną kuchnię i kamień z rdzą na wannie. A jeszcze, że nietowarzyska, bo zamiast usiąść chwilkę i porozmawiać z człowiekiem, to zamyka się w swoim pokoju i słowem się nie odezwie. Ale trzeba jej przyznać, że o ogród dba, aż miło popatrzeć.

Nie wiem, jak moje znajome odnoszą się do możliwości zostania opłotkowaną „na mieście”. Może są ponad to. Ja nie jestem.

Na pocieszenie wychodzę do ogrodu. Miodunka plamista na skalniaku Jony ma już pąki. Wycinam przemarznięte pędy bluszczu. Podziwiam nabrzmiałe pąki powojnika alpejskiego. Wyciągam kilka pędów perzu, wrzucam garść chwastów do wiadra i wracam do domu. Tak naprawdę, to z chęcią zostałabym w ogrodzie do zmroku.

Wieczór. Franciszek myje podłogę w dużym pokoju, a ja szoruję kuchenne szafki. Zjawia się Jona.

- Ja chcę umyć zęby, a w łazience jest pajak - mówi płaczącym głosem.

- Duży? - chce wiedzieć Franciszek.

- Średni, z cienkimi nogami.

- O, to miły, pozdrów go ode mnie.

- I ucałuj! - odkrzykuję z kuchni.

- Ale rodzice, ja naprawdę nie lubię pajaków - jęczy Jona. Okropnie mnie drażni ten jej płaczliwy ton, ale idę na górę.

Pająk jest zwyczajny. Niewłochaty i zupełnie bezbronny. Biorę go za nogę i wyrzucam przez okno.

- Mamo, dlaczego wy nie zwracacie uwagi na to, że my się naprawdę boimy pajaków? - pyta z wyrzutem Jona.

- Było ci przykro, gdy się śmialiśmy - stwierdzam. Jona potakuje. Czuję się winna. Ja sama potwornie brzydzę się zabitych zwierząt, a na widok rozjechanego kota miękną mi kolana i gotowa jestem mdleć. Powinnam więc rozumieć fobie swoich dzieci.

- Przepraszam - mówię. - Nie powinniśmy byli się śmiać. Przytulam ją na dobranoc i schodzę do moich zmywaków, ściereczek i płynu Ludwik.

Piątek, 14

Pomagam dzieciom robić porządki. Przypomina to uprzążanie stajni Augiasza. Najchętniej wyrzuciłabym połowę do kosza, a resztę wyniosłabym na strych. Właściwie powinnam obciążyć tym sprzążaniem babcie, które w nieumiarkowany sposób zapelniają dziecinne pokoje masą miłych co prawda, ale na dłuższą metę zawadzających gadżetów. Klękam na podłodze i próbuję posortować razem z Duzką jej majątek: książeczki do czytania, zeszyty edukacyjne, książeczki do malowania, kawałki plasteliny, fragmenty plastikowych zabawek z jajka niespodzianki, kredki, flamastry i długopisy żelowe (część już wypisana), pędzelki i zbiór muszelek. I jeszcze plastyczne prace przynoszone do domu po zajęciach. Przydałby się tutaj jakiś duży mebel, żeby to wszystko pomieścić. Tymczasem muszę się głowić, w jaki sposób upchnąć to wszystko w istniejących szafkach i szufladach.

Duzka z przejęciem opowiada mi treść Alicji w Krainie Czarów (słuchała wczoraj na kasecie):

- Wiesz mamusiu, tam była buteleczka i na niej było napisane „wypij mnie”. A jak Alicja wypila, to nie mogła wyjść przez drzwi. I była też klólowa, która ciągle mówiła: „Ściąć ją” i chciała też ściąć ogrodników, bo posadzili białe łóże zamiast czelwonych.

Po raz pierwszy jakaś bajka tak bardzo zafascynowała Duskę. U Tosi jeszcze gorzej niż u małych. Moja najstarsza córka nie ma nawyku wyrzucania śmieci do kosza, więc w jej pokoju piętrzą się niezliczone ilości papierków po cukierkach, oderwanych od ubrań metek, opakowań po rajstopach, pustych rolek po papierze toaletowym („To się jeszcze może przydać. Panie w szkole czasami każą przynosić takie rolki!”). Na biurku, pod biurkiem i wokół biurka leżą liściki, małe karteluski z rysunkami, nitki, ścinki materiałów, a także brudne majtki i skarpety. Załamuję nad tym wszystkim ręce.

- Ja po prostu nie mam miejsca na półkach - mówi Tosia płaczącym tonem, który okropnie mnie irytuje.

Oczywiście, nie ma miejsca na półkach, bo tam panuje podobny chaos jak w całym pokoju. Nie chcę, żeby to wspólne sprzątnięcie skończyło się awanturą, więc gromadzę w sobie ostatnie zasoby cierpliwości i ze spokojem (albo z pozorami spokoju) pertraktuję z Tosią w sprawie zabawek i innych przedmiotów, które dobrze by było wynieść na strych.

Wieczór. Czytam dzieciom na głos Szóstą klepkę Małgorzaty Musierowicz. Książka, która wydawała mi się tak łatwa i przystępna, jeży się teraz słowami, które muszę wyjaśniać moim dziewczynkom. Tłumaczę, co znaczy zwrot „w objęciach Morfeusza” i określenia „elokwentna” i „rozflirtowana”.

Po kolacji malowanie pisanek. Udostępniam dzieciom wszelkie niezbędne akcesoria (łącznie z tubkami moich farb akrylowych) i opuszczam kuchnię. Jeszcze miałabym pokusę, żeby się wtrącać do ich dzieł. Więc niech już sobie Duszka zamalowuje to jajko na wszystkie

możliwe kolory, które, zmieszane ze sobą, przypominają barwą wilgotne błoto. Wygląda zresztą na zadowoloną ze swojego dzieła. Dziewczyny próbują rzucać jakieś komentarze, ale ucinam je, mówiąc, że każdy decyduje o swojej pisance.

Sobota, 15

Robię kakaowe kulki. To jeden z wielkanocnych przysmaków. Obtaczam je w wiórkach kokosowych. Próbuję jedną i dziwi mnie mdlawy, mało wyrazisty smak. O nie! Zapomniałam dodać esencji rumowej! Wszystkie kulki idą z powrotem do garnka. Wlewam olejek rumowy i jeszcze raz miksuję całą masę. Dobrze, że zorientowałam się na czas.

Idę do ogrodu uciąć gałązki bukszpanu do dekoracji koszyka ze święconką. Nasz bukszpan jest zmasakrowany przez rurę od szambiaraki, która złamała trzy piękne środkowe gałęzie. Wycinam kilka pędów i nagle... cóż tam się niebieszczu w głębi krzaka? Karmelit - zaginiony królewicz Jony. Zgubiła go przed trzema laty i oplakała. Byliśmy przekonani, że został gdzieś zacementowany podczas rozbudowy domu. Triumfalnie wnoszę do pokoju dzieci plastikową zabawkę.

- Mój Karmelit! - nie dowierza Jona.

Dekoruję dom pisankami i gałązkami wierzby mandzurskiej. Próbuję jakoś wyczarować świąteczną atmosferę, ale za mało mam pomysłów na ozdoby. Jednak w Boże Narodzenie dom wygląda ładniej. Może z czasem przybędzie jakichś wiosennych haftów.

Niedziela, 16

Wielkanocny poranek. Majka wymiotuje. Mam nadzieję, że to tylko skutek namieszania w żołądku, a nie poważne zatrucie. Jest okropnie blada, prawie zielona. Decydujemy się jednak na wyjazd do moich rodziców, jak było wcześniej zaplanowane. Tam Majka wymiotuje raz jeszcze.

- Przynieśliście nam wirusa. Dzięki - uśmiecha się ironicznie Magda.

Tymczasem Majka podchodzi do mnie i szepcze:

- Mamo, jestem głodna.

Dostaje suchą bułkę, a ja oddycham z ulgą. Mija kilka minut i widzę ją, jak razem z innymi dziećmi czołga się pod łózkami w sypialni rodziców.

- Mówilem, że nie trzeba wycierać podłogi pod łózkami - mój tata patrzy znacząco na mamę. - Przecież wnuczki ją wyczyszczą ubraniami.

Przyglądam się z zachwytem nowej bluzce Doroty - mojej młodszej bratowej.

- Ach - macha ręką. - Kupiłam ją za złoty pięćdziesiąt w ciuchach używanych, a potem tylko trochę przerobiłam. Ucięłam rękawy i wszyłam kawałki na ramionach, bo dekolt był za szeroki.

Mój Boże! Żebym to ja tak umiała! Nigdy nie mogę wypatrzyć niczego ciekawego w naszych „ciucholandach”. Wchodzę, widzę masę starych, wypłowiałych ubrań i wycofuję się przekonana, że nie znajdę tam nic ciekawego. A Dorota - proszę, już nie pierwszy raz coś ładnego kupiła.

Rozbawione dzieciaki porozbierały się do samych podkoszulków i szaleją. Odświętne sukienki leżą rzucone niedbale na fotelu. Majka łakomym wzrokiem zerka na słodycze, ale stanowczo zabraniam.

Poniedziałek, 17

- Masz, broń się! - Franciszek wciska mi do ręki czerwonego, plastikowego słonika wypełnionego wodą.

Otwieram zaspane oczy, a tymczasem do pokoju wpadają dzieci i oblewają mnie z trzech stron cienkimi strumyczkami wody. Naciskam kilka razy słonika, żeby stworzyć pozory wodnej bitwy. Głośne piski - wszyscy są zadowoleni.

Jedziemy do rodziców Franciszka. Przez okna samochodu widzę grupki młodzieży i dzieciaków (głównie płci męskiej) uzbrojonych w plastikowe butelki po napojach gazowanych. Prawie wszyscy mają już doszczętnie przemoczone ubrania. Nie lubię dyngusa.

Mama Franciszka wychodzi do ogrodu, żeby nas powitać,

zaopatrzona przezornie w wielki parasol. Teść w ramach samoobrony uruchamia zraszcz ogrodowy. Dzieci atakują dziadków swoimi sikawkami.

Odchodzę na bok i podziwiam rozkwitłe koło skalniaka niskie, jaskrawoczerwone tulipany botaniczne. To chyba jedna z najwcześniejszych odmian. Napawam się tym widokiem, ale wkrótce jestem tak zmarznięta, że chowam się do domu. Tam z kolei za ciepło. Rozbieram się ze swetra i pozostaję w cienkiej bluzce. Na stole króluje miska z kolorowymi pisankami. Dzieci mają zakaz wodnych zabaw we wnętrzu, więc po burzliwych powitaniach z dziadkami trochę spokojnieją. Nie całkiem jednak, bo oto mama Franciszka oznajmia, że w ogrodzie zajacek porozkładał koszycki dla każdej z dziewczynek i że trzeba je wyszukać. Wszystkie cztery wybiegają na dwór, a za nimi dziadkowie z aparatem fotograficznym. Cały ten zajacz-kowy szum budzi moje zniecierpliwienie. Może dlatego, że u mnie w rodzinie nie było zwyczaju dawania prezentów na Wielkanoc. A może po prostu zmęczona jestem przedświątecznym sprzątaniami i świątecznym kontaktem z dużą liczbą osób. Niezrealizowana potrzeba samotności na gwałt domaga się spełnienia.

Rodzice Franciszka wymyślili, że miłą wspólną rozrywką będzie oglądanie na wideo disneyowskich filmów z Myszka Miki. Wolalabym coś sobie poczytać. Zawsze mają tu aktualną prasę, ale tym razem, choć przeszukałam wzrokiem wszystkie możliwe miejsca, nie znalazłam niczego. Oglądam więc film. Bardzo się dłuży. W dodatku dubbing jest fatalny. Z nudów przeglądam książki ogrodnicze. Za oknem niebo ciemnieje jak na burzę.

Zbliża się czas wyjazdu. Pakuję czekoladowe jajeczka i inne słodycze „od zajaczka”. Jeszcze tylko skoczę do ubikacji i możemy ruszać. Siadam na sedesie i wzrok mój pada na leżącą na podłodze przyjemnie opasłą „Gazetę Świąteczną”. Gdybym wiedziała wcześniej!

Wtorek, 18

Lekka depresja. Dzień wolny, a ja snuję się po domu niezdecydowana, co mam robić. Czytać książkę? - szkoda czasu, lepiej chyba zająć się czymś bardziej twórczym. Może ćwiczeniami z rysunku, o których marzę już od dawna? Oj nie! Zaraz się zestresuję, że mi nie wychodzi. Ogród! To jest myśl!

Wychodzę na mały spacer wokół domu i od razu mi lepiej. Wkładam rękawice ogrodnicze, biorę łopatkę, grabki, koszyczek, w którym trzymam torebki z nasionami i ruszam do roboty. Pracuję sama, w spokoju, nikt mnie nie woła, nikt do mnie nie mówi. Wysiewam hojnie godecje, klarkie i jednoroczne goździki. W oszklonych drzwiach, prowadzących z kuchni do ogrodu, ukazuje się Franciszek.

- Planujesz na dziś jakiś obiad? - pytanie pozornie niewinne kryje w sobie czytelny podtekst.

- A która godzina? - pytam z niechęcią.

- Po czwartej.

- No to idę... - z ciężkim westchnieniem odkładam narzędzia. Właściwie sam mógłby zająć się tym obiadem. Gotowe kotlety są w zamrażarce. Wystarczy wrzucić je na patelnię. Do tego ugotować ryż - i gotowe. Ale Franciszek szykuje się do konferencji, więc muszę być wyrozumiała. (Prawdę mówiąc, przed konferencją musiał szybko napisać i wydać książkę, a przed książką pisał doktorat, a przed doktoratem były inne konferencje).

Po obiedzie czytam na głos Szóstą klepkę. Majka przynosi dużego pasiastego lizaka z jakichś swoich zapasów. Babcie, mimo naszych próśb, nie potrafią się jakoś powstrzymać od kupowania lizaków. Potem dziecko chodzi z tym świństwem w buzi przez pół dnia, a próchnica kwitnie.

- Ja też chcę lizaka! - Duszka głośnym krzykiem przerywa mi czytanie.

- Masz przecież te kolorowe kuleczki i jajka czekoladowe -

przypominam.

- Nie chcę tych kuleczek, chcę lizaka!

Duszka z płaczem pakuje mi się na kolana i oczywiście wyciera zalaną łzami twarz w moją bluzkę. Jestem wściekła na Majkę, że nie wykazała się większą dozą wyobraźni. Po milej atmosferze nie zostało ani śladu. Duszka tak histeryzuje, że Franciszek każe jej wyjść do innego pokoju. Czy on myśli, że przy straszliwych rykach dochodzących do kuchni mimo zamkniętych drzwi, będę mogła kontynuować czytanie? Wstaję i idę do sypialni dziewczynek. W szafce Duszki znajduję blad różowego lizaczka sprzed dwóch miesięcy. Zapada błogosławiona cisza.

Kontynuuję lekturę o przygodach Cesi Żak i słyszę, jak Duszka pogodnym głosem zapytuje Majkę:

- Chcesz splóbować, jaki mój ma smak? - i podsuwa siostrze swojego lizaka.

Środa, 19

Maluję butelkę na prezent dla Anki, która wkrótce obchodzić będzie swoje czterdzieste urodziny. Wybieram motyw gałązek drzewa oliwnego z owocami. Anka lubi Grecję, więc powinno się jej spodobać. Bardzo mi już brakowało malowania. Muzyka Enyi, zapach farb i rozpuszczalnika wprowadzają mnie w błogi nastrój. Idę za ciosem i maluję jeszcze jedną butelkę, a potem kubeczek dla chrześnicy. Kubeczek jest w kwiaty jabłoni. Opada mnie zwątpienie, czy to aby nie zbyt banalny motyw. Pokazuję moje dzieła Franciszkowi. Kubeczek, owszem, ocenił mianem „bardzo miły”, ale na butelkę patrzy z powątpiewaniem.

- Aha... zrobiłaś takie proste gałązki, tak? - Tak.

- Mhm...

Nie podoba mu się. Moja wiara we własne możliwości twórcze spada na podłogę i roztrzaskuje się z brzękiem.

- Bo wiesz, ja wolę, jak jest jakoś bardziej dopracowane, jak używasz

różnych odcieni...

Nie przyjrzał się! Użyłam różnych odcieni! Butelka, która przedtem wydawała mi się elegancka w swej prostocie, teraz wygląda na za mało wyrefinowaną. A jeśli nie spodoba się Ance? Niech to szlag trafi!

Czwartek, 20

Słońce. Trochę później niż zwykle zjawiam się, żeby odebrać Duszkę z zajęć. Słyszę jakieś dziecko mówiące głośno, że nie ma jeszcze mamy Duszki i Wiktorii. O nie! Zaraz będzie ryk! Podbiegam do otwartych drzwi.

- Ależ jestem! - wołam głośno.

Duszka najpierw się uśmiecha, ale zaraz potem robi minę, która zapewne zacznie ewoluować w kierunku smutnej podkówki.

- A dlaczego... - zaczyna z pretensją.

Nie daję jej skończyć. Wyciągam zza pleców różowy szydełkowy kapelusik.

- Możesz w nim wracać do domu. Czapka „puchatka” jest za ciepła.

Całkowita zmiana nastroju. Duszka, promiennie uśmiechnięta, wkłada kapelusz i oznajmia stojącej obok mamie Martynki:

- Będę szła w tym kapelusiku, bo w czapce jest za gołąco. To jest wiosenny kapelusik.

Idziemy ulicą, a buzia Duszki jest bardziej słoneczna niż słońce. Po drodze przyglądamy się skaczącej z drzewa na drzewo wiewiórcie. Nie spieszymy się. Miło jest tak iść, kiedy nareszcie nie trzeba się kulić z zimna i kiedy można sprawdzać, co tam już komuś zakwitło w ogrodzie.

Jak wygląda wieczór ofiarnej żony i matki? W godzinach 21.30-22.30 stoi nad zlewem pełnym garów i zmywa naczynia z całego dnia. Jest pogodna, pełna ciepłych uczuć dla spracowanego męża i tkliwej czułości do śpiącego smacznie potomstwa. Jest dumna z tego, że rodzina może na niej polegać i nie straszne jej żadne zadanie. A właśnie, że straszne. Strrraszne, strrraszne jest to zmywanie i gotuję się w środku z wściekłości. Franciszek

szykuje konferencję i nie chcę go obciążać, ale w środku wojująca feministka krzyczy we mnie: **TO NIESPRAWIEDLIWE!** Franciszek przeżywa trudne chwile przy komputerze, wysyła maile, stresuje się, a potem przychodzi do mnie i o wszystkim opowiada. O finansach, o angażowaniu tłumaczy, o przyjmowaniu zagranicznych gości i umawianiu studentów, którzy mogliby oprowadzić Amerykanów po Warszawie... A ja? Co mu mogę opowiedzieć o swoich ciężkich chwilach nad zlewem? „Wiesz, mężu, myłam garnek po makaronie, niektóre nitki przyschły i ciężko je było od-skrobać. Musiałam użyć drucianego zmywaka. Kiedy już uporałam się z kilkunastoma talerzami, na dnie zlewozmywaka została, wyobraź sobie, cała masa sztucców, słoik po majonezie i trzy pokrywki. A na kuchni stał brudny rondel, jeszcze z wczorajszego obiadu. Błat był zasypany okruchami i musiałam go porządnie wytrzeć. Myślałam, że na dzisiaj koniec, ale okazało się, że umywalka w łazience jest tak brudna, że trzeba ją koniecznie przemyć”. - Fascynująca opowieść, nieprawdaż?

Zerkam przez ramię na górę rzeczy do prasowania. Tym zajmę się jutro. Włączę sobie kasetę z hiszpańskim i przy wtórce egzotycznych zdań będę machać żelazkiem. A potem, w nagrodę, wyjdę do ogrodu.

Piątek, 21

Jona chora. Pani Renata dzwoniła ze szkoły, żeby Franciszek przyjechał po dziecko. Mam nadzieję, że to tylko zwykłe przeziębienie, spowodowane zbyt pospiesznym pozbywaniem się czapek i szalików na skutek pierwszych wyraźnych oznak wiosny.

Zgodnie z wczorajszym postanowieniem, idę do ogrodu. Widok pękających, szyszkowatych wierzchołków lilii wychylających się z ziemi działa bardzo krzepiąco. Idę na ziołową grządkę i wyrrywam trawę pomiędzy lawendy i młodych pędów melisy. Raz po raz wyszarpuję też zupełnie niechcący fioletowe rozłogi mięty. Okropnie się rozmnożyła, a my prawie wcale z niej nie korzystamy. Być może, gdybym była bardziej pracowitą

gospodynią, wynalazłabym jakieś wyrafinowane przepisy, w których jednym z głównych składników są zioła. Ale latem jeszcze bardziej nie chce mi się gotować.

Sobota, 22

Anka zarządziła, że jej czterdzieste urodziny mają się odbywać w strojach z lat naszej młodości. Franciszek, który czytał tego maila, zrozumiał, że ubiory należy dostosować do stylu lat sześćdziesiątych. Skomponowałam więc dla nas zestawy pseudohippisowskie. Ja - długa spódnica w kwiaty, nieco przyżółkła biała bluzka w stylu retro, duża chusta zarzucona na ramię i zawiązana na przeciwległym biodrze, a do tego trzy rzędy drewnianych koralików. Franciszek - przepasująca czoło chustka i koraliki (Tatusiu, przecież panowie nie chodzą w koralach), do tego koszula w ciapki.

Docieramy na imprezę. Okazuje się, że reszta gości potraktowała przebrania dość symbolicznie. Czuję się jak idiotka wbrew zapewnieniom wszystkich, że wyglądam świetnie. Anka puszcza stare płyty na adapterze. Muzyka oczywiście „z epoki”, więc na pierwszy ogień idzie Paul Anka i Diana, a zaraz potem Afric Simon i jego mozambicko-popowe rytmy. Robi się wesoło. Gorzej jest, gdy włączają płytę z Karelem Göttem. Nie byłam nigdy wielbicieleką czeskich piosenkarzy i nawet teraz nie jestem w stanie tego słuchać.

Spaceruję po domu Anki jak po muzeum. Oglądam drzewo genealogiczne całej rodziny, zdjęcia przodków, fotografie z rodzinnych uroczystości i świąt. Do korkowej tablicy w kuchni przypięty jest plan obchodów dwudziestej rocznicy poznania się Anki i Bogdana. Na innej kartce widnieje szczegółowo rozpisany grafik dyżurów dzieci i punktacja za wykonanie poszczególnych zadań. Czytam, że za zbieranie psich kup można dostać trzydzieści punktów, ale na przykład napad złości grozi aż setką punktów ujemnych.

Jakiej żelaznej konsekwencji trzeba, żeby to wszystko skrupulatnie sprawdzać, wyliczać i egzekwować. Ale dla Anki nie ma rzeczy niemożliwych. Pracuje, organizuje gigantyczne imprezy, zajmuje się rodziną. O, proszę - prowadzi mnie do spiżarki obok kuchni i pokazuje maszynę do pieczenia chleba.

- Teraz już wcale nie kupuję chleba - mówi. - Codziennie mamy własny, świeży.

Kiwam głową, świadoma, że wolę kupować chleb, niż piec go samodzielnie. Oczywiście, jak to u mnie, zaraz budzi się poczucie winy, że zaniedbuję jakiś ważny rytuał i że być może pieczenie chleba jest właśnie tym składnikiem, który ma kluczowe znaczenie dla atmosfery domu.

Jubilatka rozkłada swoje stare albumy. Wylania się z nich obraz kobiety oddającej się z pasją różnorodnej działalności. Jej życiem można by obdarzyć co najmniej trzy osoby o nieco mniej żywym temperamencie. Przy Ance wydają się sobie nijaka. Bierna i nijaka, nieciekawa. Dlaczego nie mam choć połowy tej siły przebiccia, w jaką wyposażyla ją natura? Dlaczego nigdy nie sfinalizowaliśmy z Franciszkiem pomysłu, żeby obwiesić klatkę schodową najładniejszymi zdjęciami naszej rodziny? Dlaczego jestem zmęczona po każdym prawie spotkaniu z większą grupą ludzi? Jesteśmy z Anką jak ogień i woda i być może dlatego, na zasadzie przyciągania przeciwieństw, zaprzyjaźniłyśmy się ze sobą w czasie studiów.

Piszę to wszystko i czuję, jak ogarnia mnie coraz większa chandra spowodowana przekonaniem, że inni (Anka) wiodą znacznie bardziej fascynujące życie niż ja.

Niedziela, 23

Majka i Duszka poruszają się po domu krokiem poloneza, mrużąc pod nosem finałową melodię z Pana Tadeusza. (Majka tańczy to teraz w zerówce). Bawią się w małżeństwo i Duszka została zmuszona do odgrywania roli męskiej (jest Jankiem). Co jakiś czas pytają, kiedy

przyjadą ci Amerykanie, co mają u nas nocować, i ćwiczą powitalne good afternoon.

Franciszek przewrócił dom do góry nogami, żeby zrobić dobre wrażenie na gościach. Przymocował nawet uchwyty na papier toaletowy w obu łazienkach. Ten jego amok przed wizytą Amerykanów fatalnie na mnie wpływa. Mam mdłości ze zdenerwowania.

Przyjechali. Są młodszy niż się spodziewałam. W dodatku Carmen jest Brazylijką i mówi po angielsku gorzej niż ja. Majkę ogarnia fala nieśmiałości i nie potrafi wydusić z siebie ani słowa na powitanie. Duszka za to mówi głośno: I am Duszka.

Kolacja. Dziewczynki co chwila chichoczą. Dostały od Carmen paczkę czekoladek. Duszka zaraz to komentuje:

- Ona jest fajna, bo dała nam słodycze.

Carmen wygląda na młodszą ode mnie. Artur ma około pięćdziesiątki. Na szczęście nie robią wrażenia nadętych. Oddycham z ulgą i moja trema nieco opada.

Tosia szczęśliwa z możliwości porozumienia po angielsku.

- Dogadałam się z tą panią! Ona chciała wiedzieć, kim będę, jak dorosnę. I ja powiedziałam teacher. A potem pokazałam jej moje lalki i ona powiedziała, że są nice.

Jona z błyszczącymi oczami przysłuchuje się tej relacji:

- Ja też bym chciała tak znać angielski jak Tośka. Nareszcie dzieci mają motywację, żeby uczyć się języków.

Poniedziałek, 24

Konferencja odbywa się w budynku senatu. Przy wejściu okazuje się, że trzeba okazać dowód tożsamości. Jest mi okropnie głupio, bo nie mam nic. Mój dowód osobisty został w domu, bo do głowy mi nie przyszło, że będzie potrzebny. Nie mam nawyku zabierania go ze sobą. W końcu jednak, na prośbę Franciszka i zapewnienia, że jestem jego żoną, zostaję

wpuszczona.

Wchodzimy na dużą salę z ciasno ustawionymi długimi stołami. Siadam na miękko wyścielanym krześle, a naprzeciwko mnie Franciszek. Jest potwornie spięty. Ból sprawia samo patrzenie na niego. Przyjechało wielu dawno niewidzianych znajomych z różnych stron Polski. Wymieniamy uśmiechy. Jakaś starsza pani, siedząca obok mnie, szepcze do swojego męża:

- Zobacz, ten młody człowiek ma czworo dzieci. (Wyczytała to z przedmowy do książki, która została dołączona do materiałów konferencyjnych).

Ten młody człowiek to oczywiście Franciszek. Nie potrafię do końca rozszyfrować, czy w głosie tej kobiety brzmi zgroza, czy zachwyty. Na pewno zdumienie. Ciekawe, czy bardziej z powodu liczby dzieci, czy domniemanego wieku ich ojca (Franciszek wygląda na młodszego niż jest).

Rozpoczynają się wystąpienia. Franciszkowi idzie dobrze, mimo że czas ma bardzo ograniczony. Nagrodzony oklaskami wraca na swoje miejsce, a ja oddycham z ulgą. Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego pakuje się w imprezy, które wiążą się z tak dużym kosztem emocjonalnym. Czasem mam wrażenie, że Franciszek ma wewnętrzny przymus angażowania się w działania przerastające jego siły.

Już na luzie wsłuchuję się w prezentacje Amerykanów. Artur mówi na tyle klarownie i wyraźnie, że rozumiem wszystko bez trudu. Gorzej dr Gray - starszawy już mężczyzna o bardzo jasnej cerze i żółtawosiwych włosach przerzedzonych na czubku głowy. Ten ma fatalną wymowę. Słowa zlewają się w jeden ciąg. Zakładam słuchawki, żeby posłuchać tłumaczenia symultanicznego. Nie, to w ogóle nie ma sensu. Przy tak szybkiej prezentacji tłumacz ma szansę wychwycić zaledwie pojedyncze zagadnienia. Przekonuję się po raz kolejny, że znajomość języków jest niezbędna.

Po konferencji zaproszeni jesteśmy na obiad do sejmowej restauracji.

Przychodzą obie żony naszych Amerykanów. Nareszcie mogę poznać panią Susan Gray, która wygląda jak podstarzały elf. Jest chuda, niska, ma długie, lekko falujące włosy o nieokreślonym kolorze i wielkie, nieco wytrzeszczone oczy, które nadają jej twarzy wyraz dziecięcego zadziwienia. Ma też niesamowity uśmiech - trochę jak nie z tego świata. Ubrana jest w jakąś zamaszystą spódnicę i kozaczki. Carmen za to wygląda jak z igielki. Cały strój dopasowany, makijaż dopracowany do ostatniego muśnięcia.

Obiad fantastyczny, ale tak obfity, że wystarczyłyby mi same przystawki i zupa (grzybowa w chlebie - straszne marnotrawstwo, bo chleb zostaje i pewnie jest potem wyrzucany). A tu jeszcze jakieś roladki z wieprzowiny z gruszką i borówkami, opiekane na grillu, a na deser szarlotka z bitą śmietaną i kawa. Rezygnuję z deseru i biorę samą kawę. Czuję się tak senna, że ledwie utrzymuję równowagę na krześle. Nie pomaga mi nawet to, że siedząca naprzeciwko pani profesor bardzo ciekawie opowiada o swojej podróży do Ziemi Świętej.

Wtorek, 25

Dziś cały dzień jestem w domu z dziećmi i z Carmen. Nie mogę sobie znaleźć miejsca, jak zwykle, gdy nocuje u nas ktoś obcy. Snuję się po pokojach, wykonując codzienne czynności - języki, pranie, wieszanie mokrych ubrań, gotowanie, dogłądanie chorej Tosi. I cały czas czuję nieokreślone napięcie.

Na chwilę wybiegam do ogrodu. Pachnie wiosną. Hiacynty podrosły o dobre kilka centymetrów i roztaczają słodką woń. Tulipany też coraz wyższe. Tylko forsycja, biedna, nie kwitnie prawie wcale. To skutek ostrych mrozów. Jedyne dwie dolne gałązki, które przetrwały zimę pod śniegiem, wypuściły kilka anemicznych kwiatków. U sąsiadki za płotem to samo. Natomiast prymulki, które porozsadzałam w zeszłym roku, prezentują się przepięknie.

Podczas obiadu zabawiam rozmową naszego gościa. Carmen mówi,

że u nas czuje się tak, jakby cofnęła się w czasie, jakby trafiła do przeszłości, do tradycyjnego domu, gdzie mama zajmuje się dziećmi, gdzie nie ma telewizji i jest bardzo spokojnie. Pyta mnie, dlaczego tak żyję. Opowiadam więc, że marzyłam o stworzeniu dla swojej rodziny azylu, w którym panowałyby pokój i harmonia, i w którym miałabym czas dla dzieci (a teraz kryję się przed nimi w pokoju, jak często mogę - tego oczywiście nie mówię). I że łatwo mi było porzucić nielubiany zawód. I że lepiej się czuję, żyjąc w odłączeniu od mediów. Mam więcej czasu na różnego rodzaju twórczość i nie jestem co chwila bombardowana przygnębiającymi informacjami o wojnach i napadach. Widzę, że to wszystko jest dla Carmen dość egzotyczne i do pewnego stopnia pociągające. W jej oczach dostrzegam jednak niewypowiedziane zdanie: „Ale ja nie mogłabym tak żyć”. Trochę mnie bawi robienie za żywy skansen.

Środa, 26

Dziś pożegnalny obiad u nas. Jak zwykle przy takich okazjach, okropnie się denerwuję. Przyjeżdżają dr Gray z żoną. Susan jest oczarowana naszym domem. Chodzi po wszystkich pokojach i robi zdjęcia. To mnie trochę podnosi na duchu. Już nie jestem tylko domową gospośią, która pierze, gotuje i dogląda dzieci, podczas gdy jej mąż wygłasza mądre prelekcje i uczenie konwersuje po angielsku. Mogę być postrzegana jako artystka, która różnorodną twórczością zaznacza swoją obecność w całym domu. Susan, wielbicielka Williama Morrisa, stwierdza, że mój dom jest odzwierciedleniem jego idei. To jest komplement z najwyższej półki. Ja też jestem wielką zwolenniczką twórczości Morrisa, więc doskonale wiem, o co jej chodzi. O piękno w życiu codziennym.

Zachwyty zachwyty, ale muszę wracać do kuchni i zająć się obiadem. Duszka płacze, bo Artur usiadł na jej krześle. Szanujemy prawo własności, w związku z tym Franciszek daje gościowi inne krzesło i dalej obiad toczy się już w miarę gładko. Połykam swoją porcję i biegnę gotować

wodę na herbatę. Goście chwalały potrawy i sałatki. Nie czuję się z tym dobrze. Mam ochotę stąd uciec. Zupełnie nie nadaję się na panią domu.

Pojechali. Franciszek zawiózł ich do Warszawy. Zostałam sama ze zlewem pełnym brudnych naczyń i z nieposprzątanym stołem. Robi mi się niedobrze, gdy na to wszystko patrzę. Wychodzę do ogrodu i siadam pod jabłonią. Dzieci też wybiegły na dwór. To bardzo dobrze, to zdrowo... ale tak bardzo potrzebuję teraz samotności!

Dziewczynki instalują się w piaskownicy. Duszka ładuje się do piachu w cienkich, różowych rajstopkach, założonych dzisiaj po raz pierwszy. Nie miałam siły walczyć z nią o strój bardziej odpowiedni do ogrodowych igraszek. Tych rajstopek już więcej nie założę. Wydarła sobie dziurę na siedzeniu - niemal na szerokość uda.

Za siatką stoi nasz trzyletni sąsiad, Kubaś. Trzyma się drutów i woła do Majki:

- Chodź się ze mną pobawić! Chodź się ze mną pobawić.

Jest cierpliwy i namolny. Chyba powinnam go zaprosić. Wcale mi nie w smak pilnowanie obcego dziecka, zwłaszcza gdy potrzebuję w ciszy i spokoju popisać. Ale te jego monotonne prośby także działają mi na nerwy. W dodatku moje dziewczyny wyraźnie mają ochotę na zabawę z małym sąsiadem. Widząc więc babcie chłopca, mówię słodziutko (i tak naprawdę wbrew sobie):

- Niech Kubaś przyjdzie na trochę do dziewczynek.

- Ale on jest niegrzeczny - mówi babcia.

Taaak... To, że Kubaś jest niegrzeczny, słyszymy od rana do wieczora z ust wszystkich dorosłych zamieszkujących sąsiedni dom. Programują chłopca na nieposłuszeństwo. Nie mają pojęcia, że im częściej mu powtarzają, że jest niegrzeczny, tym mocniej on sam wierzy, że taki jest. A jego postępowanie jest zgodne z tym, jak go widzą rodzice i dziadkowie. Nie mogę jednak prawić morałów najbliższym sąsiadom. Obawiam się, że

mogliby się obrazić, albo uznać, że wtrącam się w nie swoje sprawy.

Koniec końców, Kubaś przychodzi z wizytą do naszej piaskownicy. Co chwila muszę interweniować, bo sypie piaskiem na głowy moich córek. Może następnym razem nie będą takie chętne do wspólnej zabawy.

Wdycham zapach hiacyntów i próbuję choć trochę się rozluźnić.

Czwartek, 27

Nie mogę dojść do siebie po zamieszaniu z konferencją i goszczeniem Amerykanów. Mam taką depresję, że najchętniej nie wstawałabym dzisiaj z łóżka. Na myśl o tym, że oto stoi przede mną kolejny dzień, w którym jednym z punktów programu jest gotowanie obiadu, łzy tryskają mi z oczu. Gdybym miała gdzie uciec... Nie na zawsze, na trochę... do kogoś, kto niewiele by do mnie mówił, pozwolił mi płakać i nic nie robić przez cały dzień. Kto podawałby mi jedzenie... Albo nawet nie... mogłabym sama sobie brać cokolwiek i chować się z powrotem do swojej samotni. Chciałabym nawalić na całej linii i nie czuć się odpowiedzialna za dom, za dzieci, za to, że trzeba kupić buty, uprać kolejną porcję brudów i podlać kwiatki. Zmywam naczynia i leję łzy. Muszę się jakoś opanować, bo już czas odprowadzić Duszkę na zajęcia. Rzut oka w lustro. Jak ja wyglądam! Spuchnięte powieki, czerwony nos... wstyd wychodzić do ludzi.

Na dworze słonecznie i zimno. Otulam się mocniej polarem. Nie podoba mi się ten lodowaty wiatr.

Wracam do domu. Nastawiam pranie. Nikt mnie nie kocha. Nikt się o mnie nie troszczy, nikomu na mnie nie zależy. Nikt nie chce, żebym była wolna i szczęśliwa. Wszyscy oczekują, żebym z uśmiechem spełniała swoje obowiązki i żebym była zawsze dyspozycyjna. Jestem samiuteńka na tym świecie.

Franciszek omija mnie szerokim łukiem. Stan depresji, w jakim dziś się znajduję, wprawia go w zakłopotanie. Woli więc zniknąć z horyzontu.

- Mamusiu, płakałaś? - pyta z troską Tosia, która będąc świeżo po

chorobie, nie poszła dziś jeszcze do szkoły.

- To ze zmęczenia - mówię.

Tak, jestem zmęczona i mam wstręt do pomieszczenia zwanego kuchnią. Muszę jednak zrobić obiad. Zaraz przyjdzie mama, a my pojedziemy na ostatni już warsztat. Gdyby nie to, powiedziałabym rodzinie: „Na obiad zróbcie sobie kanapki, dziś nie gotuję”. Dlaczego wciąż usiłuję zachować pozory ładu i porządku? Dlaczego próbuję podtrzymywać iluzję, że daję sobie radę? Chyba dla dobra dzieci. Żeby nie utraciły poczucia bezpieczeństwa.

Wieczór. Tworzę namiastkę ciepła rodzinnego, czytając na głos podczas kolacji Kłamczuchę Musierowicz (czyli „Oszukiniere”, jak mówi Duszka). Franciszek też chce słuchać. Majka jest tak zmęczona, że kładzie głowę na stole. Kończę. I tak już dawno minęła regulaminowa pora kładzenia się spać.

Zaraz się wykąpię i wejdę do łóżka, i będę sobie czytać. Nie mam ochoty na żadne rozmowy z Franciszkiem. Nie, nie gniewam się. Czuję tylko, że on zupełnie nie rozumie, jak bardzo ciężka bywa czasem dla mnie codzienność i wykonywanie powtarzających się w kółko czynności.

Piątek, 28

Nad ogrodem powoli zapada zmierzch. Zasadziłam dziewięć dalii. Praca ogrodowa ukoiliła moje emocje. Dziś już nie płaczę. Franciszek kupił pierogi na obiad. Powiedział, że je ugotuje. Zmusiłam się do odkurzania, ale nie przesadzałam z dokładnością. Byle tylko w widocznych miejscach było w miarę czysto.

Majka i Jona biegają po trawie, nucąc melodię z Reksia. Utrudnia mi to znacznie robienie zaległych ćwiczeń z włoskiego (rano nie dokończyłam zestawu językowego). Pachną hiacyny. Najmocniej chyba te niebieskie.

Tosia założyła rolki i jeździ po chodniku wokół domu. Straszny warkot. Nie mogę jej wygonić na ulicę, bo tam piach i rolki błyskawicznie

uległyby zniszczeniu.

Cały czas jest we mnie niepokój. Być może dlatego, że wiele spraw czeka na załatwienie. Muszę sporządzić listę i zmierzyć się z nią twarzą w twarz. Powinam:

„uprać komunijną suknię dla Jony

„kupić jej białe buty

„zrobić prasowanie

„uprać swoją zimową kurtkę (a pranie stanowi problem, bo szambo zapelnia się w błyskawicznym tempie)

„zrobić jakieś ciasto, żeby było miło w majowe święta”podlać wszystkie kwiaty”uzupełnić ziemię w doniczkach z oleandrami”wysiać resztę nasion

„wypielić ogród - praca na kilka dni, jeśli chcę to zrobić naprawdę porządnie.

Sobota, 29

Białe buty dla Jony kupione. Ziemia w donicach z oleandrami uzupełniona. A do tego zrobiony gulasz na dwa albo trzy obiady.

Dzień pochmurny, co jakiś czas kropi przelotny deszczyk. Mimo takiej pogody, Franciszek jest w ogrodzie i dzielnie stawia wiklinowy płot, który ma zamaskować ohydny betonowy mur odgradzający nas od sąsiadów. Ten beton, nie dość że brzydki, to i nietykalny. Sąsiedzi nie życzą sobie, żeby jakiegokolwiek pnącza kałały jego świątobliwą betonowatość. Zupelnie tego nie rozumiem. Ja tam bym się cieszyła, gdyby czyjeś powojniki przechodziły na moją stronę. A oni nie. Wcale się nie cieszą. Obcinają każdy pęd przekraczający granicę posesji. No cóż, ich strata.

Wiklinowy płot wygląda przytulnie i wiejsko.

Duszka leży w łóżku, choć jest biały dzień.

- Kochanie, źle się czujesz? - kładę jej rękę na czole. Jest ciepławe - na oko jakieś trzydzieści siedem stopni.

- Jestem tlochę chola. Bolać mnie ręce i nogi, i galdło od lękania śliny i kaszlę i gilam - jednym tchem wyrzuca z siebie całą listę objawów chorobowych.

Majka kraży po domu wystrojona w całą swoją bizuterię - diadem, cztery bransoletki, klipsy, trzy pierścionki i trzy albo cztery naszyjniki..

- Jestem księżniczką, ale bez domu - oświadcza z wyniosłą miną.

Siadam do komputera. Samotność nie jest mi jednak pisana. Zjawia się Duszka i głaszcze mnie po ręce.

- Ja sobie tloszkę u ciebie posiedzę - mówi.

Siedzi tak cichutko, że zupełnie o niej zapominam. Piszę jak szalona. Trochę mnie tylko drażni jakiś monotony, szurający dźwięk. To pewnie Tosia suwa kapciami pod biurkiem podczas czytania albo odrabiania lekcji. Chyba pójdę jej powiedzieć, żeby przestała. Wstaję i wzrok mój pada na fotel. Duszka z głową opuszczoną na piersi śpi, pochrapując rytmicznie. Tutaj jest źródło tajemniczego szurania!

Niedziela, 30

Oto domowa kobieta sukcesu! W ciągu niedzielnego przedpołudnia robi dwa ciasta. Jedno z nich to biszkoptowy tort z bitą śmietaną, żeby świętować długi majowy weekend. Będę siedzieć na ganku i rozkoszować się wolnością. Dziś niestety w ogródku przebywać się nie da. Na niebie ołowiane chmury, a w okna bije deszcz. Wyjmuję przepiękną papeterię, którą dostałam na gwiazdkę i biorę się za pisanie listów. Bardzo dobry pomysł na taką gotycką pogodę.

Wieczór. Coś niedobrze. Nasila się głęboki ból gardła i dreszcze. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jestem pewna, że to angina. Cholera. Wskakuję pod koldrę i mierzę temperaturę. Trzydzieści siedem i sześć. Zaczyna się! Każde przełknięcie śliny jest jak przepuszczanie przez gardło papieru ściernego.

- Ja też źle się czuję - oznajmia Franciszek, kładąc się obok mnie.

A niedoczekanie! Co on sobie wyobraża!? Czyżby nie mógł znieść myśli, że musi przejąć pieczę nad całym domem? To niesprawiedliwe! Jak on jest chory, to ja mobilizuję wszystkie siły, żeby rodzinna maszyna kręciła się jak należy, a on mi tu pada na łóżko i mówi, że ma dreszcze i na pewno ma tę samą infekcję co ja. Jestem przekonana, że nie ma anginy, tylko zwykły ból gardła.

MAJ

Poniedziałek, 1

Chora, chora, chora. Ból gardła budził mnie nawet w nocy. Dlaczego zaniemogłam właśnie teraz, kiedy jest wolne i mogłabym sobie spędzać całe dnie na malowaniu?

Wtorek, 2

Oboje byliśmy dziś u lekarza. Racja po mojej stronie. Mam anginę i muszę brać antybiotyki, a Franciszek ma poprzestać na lekach objawowych. Nie mogę się utrzymać na nogach. Zaraz po powrocie z przychodni kładę się z powrotem do łóżka. Mowy nie ma o podziwianiu wiosennego ogrodu. Podsypiam w skłębionej pościeli, a w chwilach względnej przytomności czytam powieść

Jonathana Carrola.

Jedyny plus tej całej sytuacji, to niewątpliwa utrata wagi. Branie antybiotyków zmniejsza apetyt, nie kuszą mnie więc różne smakołyki (na przykład ten fantastyczny tort, który zrobiłam przedwczoraj).

Przyjechali ciocia z wujkiem. Franciszek zajmuje się gośćmi i nie zwraca uwagi na dzieci. Nie widzi, że Duszcze cieknie z nosa, i że na jej buzi pojawiły się jakieś drobniutkie krostki. Dziewczyny wybiegły do ogrodu. Jestem przekonana, że są za lekko ubrane. Ojcowska lekkomyślność może zakończyć się nową falą chorób. Ostrzegam Franciszka, że nie ja będę się zajmować chorymi dziećmi. Uważa, że się czepiam.

Środa, 3

Za oknem słońce i tulipany. Franciszek zachęca mnie, żebym wyszła na dwór i przygotowuje dla nas wszystkich siedziska pod czereśnią. Przezornie otulam się polarem, choć dzień wydaje się ciepły. W ogrodzie jest pięknie. Czereśnia zwiesza nad nami gałęzie pokryte kiśćmi białych kwiatów, w których pracowicie uwijają się pszczoły. Dziewczynki biegają po ścieżkach i liczą tulipany. Wyszło im, że w tym roku jest ich sto pięćdziesiąt. Niewiarygodne. Pijemy kawę, jemy tort, a Tosia czyta na głos Kłameczuchę. Aparatem cyfrowym Franciszka robię kilkanaście ujęć tulipanów. Żadne inne kwiaty nie mają w sobie tej sprężystej intensywności barw, co szkarłatnoczerwone tulipany oglądane na początku maja. Zieleń też jest mocna, zdecydowana. Ma się wrażenie, że samo życie postanowiło zakwitnąć. Świeżości majowego ogrodu nie da się z niczym porównać, a przy tym trwa tak krótko. Jak zawsze o tej porze roku, tak i teraz doznaję mieszanych uczuć. Z jednej strony jest bezbrzeżny zachwyt, który aż mnie rozpiera i stawia w poczuciu bezradności przed całym tym pięknem, z drugiej zaś ból zrodzony ze świadomości, że zanim zdążę się nacieszyć niezrównanym festiwalem barw, wszystko to przeminie. Opadną płatki czereśni, pomarszczą się kielichy tulipanów i zbliżymy się ku latu. Będą nowe barwy i tak ukochane przeze mnie upalne (mam nadzieję) długie dni, ale ta unikalna atmosfera, jaką przesycony jest majowy ogród, pojawi się dopiero za rok.

Ośmielona słońcem i niezłym samopoczuciem biorę się za szkicowanie prymulek. Tak bardzo się stęskniłam za rysowaniem w ogrodzie!

Tosia przewróciła się podczas jazdy na rolkach. Bardzo możliwe, że ma złamaną rękę. No cóż, spodziewałam się, że prędzej czy później do tego dojdzie. Nie mogły się dobrze skończyć te idiotyczne zabawy moich dzieci, polegające na ganianiu się i przepychaniu. Franciszek musi jechać z Tosią do Warszawy, żeby prześwietlili jej tę rękę.

W kuchni kompletne pobjowisko. Widać, że nie było mnie tu dwa

dni. Rodzina nie widzi potrzeby robienia porządku na kuchennych blatach.

Czwartek, 4

Znowu gorzej się czuję. Cały dzień leżę w łóżku, słaba na ciele i umyśle. Mogę tylko czytać.

Piątek, 5

Łagodność powietrza tuż przed zmierzchem. Zapach czereśni. Chłonę wszystkie aromaty wiosny i jestem szczęśliwa. Nie chce mi się zmuszać dzieci do wcześniejszego kładzenia się spać. Niech sobie jeszcze pobiegają po ogrodzie.

Sobota, 6

Słońce. Tuż pod murem pigwa okryta tryumfalną czerwienią.

Od rana pracuję w ogrodzie. Wycinam zmarznięte pędy róży pnącej i irgi. Wyrzucam na kompost dwie fuksje zaatakowane przez mączlika szklarniowego. Wystawiam na zewnątrz wszystkie pelargonie z nadzieją, że zimni ogrodnicy im nie zaszkodzą.

Tyle jeszcze pielenia mnie czeka. Chwasty radośnie ruszyły do boju i mnożą się szybciej, niż zdążam je usuwać.

Niedziela, 7

Poranne debaty nad strojami do kościoła. Majka upiera się, żeby włożyć jasnoczerwoną spódnicę, która jest bardzo pognieciona. Nie mam zamiaru brać się w niedzielę za prasowanie. Płacz. Wynajduję jej piękną sukienkę, tyle że z krótkim rękawem. Musi założyć coś na wierzch. Płacz, bo nie chce wkładać żadnego swetra. Żałuję, że nie poszłam na mszę sama, na wcześniejszą godzinę.

Popołudnie. Powoli rozkwita mahonia, napelniając powietrze słodkawym, nieco drażniącym zapachem. Przechadzamy się po ogrodzie, sprawdzając, jakie nowe kwiaty się rozwinęły. Potem siadamy na ogrodowych krzesłach. Nie mogę się napatrzeć na ten festiwal kolorów. Mogłabym trwać w nabożnym zachwycie cały dzień.

Obiad też jemy na dworze. Mrużymy oczy w jaskrawych promieniach słońca. W takie dni najchętniej w ogóle nie wchodziłabym do domu.

Poniedziałek, 8

Uczę się języków, popatrując od czasu do czasu na kwitnącą za oknem czereśnię. Powoli wdrazam się na nowo w poranną rutynę. Śniadanie, ubieranie Duszki, porcja języków. Mała tęskni za towarzystwem siostr. Podchodzi do mnie co pięć minut i lasi się jak małe kociątko.

- Może narysujesz naszą rodzinę? - proponuję znad gramatyki niemieckiej.

- Tak! - pada entuzjastyczna odpowiedź.

Udaje mi się zrobić pół ćwiczenia dotyczącego układania zdań podrzędnie złożonych, gdy Duszka przybiega z kartką.

- Tu jesteś ty, tu Majka, a tu ja w samochodziku.

- Dorysuj jeszcze Tosię i Jonę - kuszę w nadziei, że w tym czasie uda mi się dokończyć ćwiczenie.

Przeliczyłam się. Ledwo napisałam jedno zdanie, a już uzupełniony rysunek ląduje na opasłym tomie gramatyki.

- To dla ciebie!

Wszystkie postaci mają ogromne oczy, a mama jest dodatkowo zaopatrzona w okulary.

Odkładam hiszpański i idę rozwiesić pranie, póki świeci słońce. Potem trzeba brać się za obiad. Niezidentyfikowany kawał mięsa właśnie się rozmroził. Ku mojemu zdziwieniu okazuje się, że jest to udziec indyka.

Czas porozkładać górę prania, która zgromadziła się na moim fotelu. Układam w szafkach bluzki i bluzeczki, przerzucając przy okazji zimowe ubrania na górę szafy i wyciągając letnie ciuszki. Lubię patrzeć na powiewne sukieneczki dziewczęce, zwłaszcza wtedy, gdy widzę je na moich córeczkach. Niestety, dwie starsze chodzą wyłącznie w spodniach.

- Mamo, bo w naszej klasie nikt nie nosi sukienek - wyjaśnia

poważnie Jona, patrząc spoza okularów.

Przypominam sobie, że gdy dziewczynki były małe, w ogóle nie chciały chodzić w spodniach. Tylko sukienki i sukienki. Teraz wpadły w drugą skrajność. A ja bym chciała... tak, czas na chwilę szczerości - chciałabym, żeby były ubrane tak, jak ja chcę. Więc już zamykam buzię i niech noszą to, w czym czują się lepiej.

Z dużego pokoju dobiegają dźwięki pianina. Trwa lekcja muzyki z panią Ritą. Nieoczekiwanie dopada mnie wzruszenie. Nigdy bym nie przypuszczała, że dane mi będzie żyć w takiej muzycznej scenerii. Jona kiedyś mi powiedziała, że bardzo lubi, jak w nocy gram na pianinie. Usypia, słysząc muzykę. „Jest mi tak miło i spokojnie, mamusiu”.

Wtorek, 9

Kwitnąca jabłoń jest tak piękna, że chciałoby się uklęknąć w zachwycie. Wspaniały dziki gołąb siada na gałęzi. Przybiera władcze pozy i wygląda królewsko. Dzieci zbierają opadłe płatki jabłoni i dziwią się ich jędrnej sprężystości.

Obiad jemy na dworze przy niedawno kupionym stole. Plastikowy (niestety), zielony i duży (główna zaleta). Znacznie piękniej wyglądałyby starannie wykończone drewniane meble ogrodowe, na które nas nie stać.

Sucho. Przejeżdżające samochody wzbijają chmury kurzu, osiadającego na kwiatach, włosach i zewnętrznych parapetach, które tak niedawno wycierałam do czysta. Sąsiad Kubaś wali trze-paczką w naszą siatkę. Okropny odgłos. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mali chłopcy lubują się w tego typu rozrywkach?

Tosia wraca z egzaminu na kartę rowerową. Jej koledzy wydziwiali, że przyjechała na składaku. Magda powiedziała, że pokazywanie się na rowerze bez przerzutek to „obciach”. Tosi było przykro, a mnie to rusza. Czuję się winna, że nie dostarczając dziecku określonych dóbr materialnych, narażam je na drwiny. Wytargałabym za włosy to okropne

babsko (Magdę).

Środa, 10

Arktyczny wiatr. Z jabłoni sypią się płatki. Jak śnieg.

- Duszka! Załóż polar!

- Ale jest ciepło!

- Wieje zimny wiatr! Albo wkładasz polar, albo idziesz do domu!

Ryk protestu, ale polar założony. Pogoda okropna. Na przemian słońce i lodowate powiewy. Coraz bardziej boli mnie gardło, ale nie przestaję się zмагаć z kępą trawy, która wrosła w krzak pnącej róży.

- Mamusiu, kiedy nam poczytasz?

Chudziutka Jona, ubrana dzisiaj na zielono, kuca obok mnie i patrzy na walkę z żywiołem, którą prowadzę, posykując z cicha, gdy kolce wbijają mi się w grzbiet dłoni.

- Przy kolacji - wysapuję.

- Bo ja nie mam co robić i ciekawi mnie tylko twoje czytanie. Tośka cały czas czyta sobie Pana Samochodzika, a dziewczyny same się bawią.

- Nie możesz do nich dołączyć?

- Nie... bo to są nudne zabawy.

Wzdycham. Bywają przecież dni, że dzieci ładnie się razem bawią. Widać dzisiejszy do takich nie należy. Prostuję obolałe plecy.

- Dobrze. Zróbcie kolację i zawołajcie mnie, jak będzie gotowa. Wtedy przyjdę wam poczytać.

Głośnie czytanie okazuje się niezłą motywacją. Kiedy zjawiam się w kuchni, wszystko jest gotowe. Na moim talerzu leżą dwie posmarowane masłem połówki bułki.

- Ja chcę mleko z miodem - ogłasza jękliwym głosem Duszka. Jona, która zazwyczaj ociąga się w takich sytuacjach, tym razem biegnie do schowka po karton mleka.

Zaczynamy Idę sierpniową. Tosia krzywi się, bo nie podoba jej się

bohaterka. Podejrzewam po cichu, że to z powodu podobieństwa niektórych cech Idy do jej własnego charakteru. Obie mają skłonność do hipochondrii i przesadnego dramatyzowania.

Noc. Kończę malowanie pamiątkowego kubeczka dla Jony. Ma to być prezent na Pierwszą Komunię. Gryzie mnie sumienie, że nie namalowałam nic dla naszej chrześnicy, ale jestem już potwornie zmęczona. Boli mnie gardło i plecy po wyłożonych pracach ogrodniczych. Gdzie się podziała moja dawna kondycja i możliwość pracowania do późna w nocy?

Ale kubeczek ze stokrotkami wyszedł mi śliczny.

Czwartek, 11

Nawrót choroby. Leżę w łóżku. Majowy ogród oddzielony ode mnie szybą.

Piątek, 12

W niedzielę będzie Pierwsza Komunia Jony, a ja nie mam siły zwlec się z łóżka. Znow potwornie boli mnie gardło. Kręci mi się w głowie.

Zmuszam się, żeby wytrzeć z kurzu parapety. Prasuję stos koszul. Na siedząco! Ręka z żelazkiem wydaje się ciężka jak z ołowiu. Jak sobie dam radę z przygotowaniami?

Sobota, 13

Franciszek wyjechał na cały dzień. Zostałam sama z dziećmi, pieczeniem ciast, gotowaniem rosółu i przyrządzaniem wszystkich innych potraw na jutrzejszą uroczystość. Moja mama miała na ten czas zabrać dziewczynki do siebie, ale okazuje się, że też jest chora. Uparcie odmawiam pomocy ze strony pozostałych babć (czyli mamy i cioci Franciszka). Dzieci są znacznie bardziej zdyscyplinowane i skore do pomocy, gdy są tylko ze mną. W obecności babć grymaszą, rywalizują ze sobą i zachowują się jak rozkapryszone bachory. Franciszek nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego czasem wzbraniam się przed korzystaniem z pomocy naszych mam. Będąc nieobecny w domu, nie czuł, jak załamuje się kruchy domowy ład, a

przywoływanie dzieci do porządku jest dużo trudniejsze. Wybuchają absurdalne awantury o to, kto ma siedzieć przy babci, albo z kim i w co babcia ma się bawić. W końcu nikt nie czuje się dobrze, a ja jestem wykończona.

Powoli prace posuwają się do przodu. Są pieczone udźce indyka, jest rosół, sałatka, dwa ciasta... Co parę godzin biorę kolejny lek przeciwbólowy i opryskuję miejscowo znieczulającym płynem obrzmiały lewy migdał, co przynosi ulgę trwającą mniej więcej pięć sekund.

Niedziela, 14

Pierwsza Komunia Jony. Inne matki w lekkich, eleganckich strojach, a ja w niebieskim golfie i wełnianej chustce owiniętej wokół szyi. Nie czekam z Joną przed kościołem, jak to robią inni rodzice. Wchodzę do środka i siadam na wolnej ławce w bocznej nawie. Miejsca, skąd można mieć najlepszy widok, zostały już dawno pozajmowane. Chce mi się płakać, że cała ta uroczystość przepływa gdzieś obok mnie. Jestem otumaniona bólem i narastającą gorączką. Nie mam siły, żeby ustać na nogach. Wkraczają dzieci, zaczyna się msza. Wszyscy wyciągają szyje, żeby coś zobaczyć. Do oczu po raz kolejny napływają mi łzy. Widzę płynącą wzdłuż bocznej nawy mamę Elizy w zwiewnej spódnicy uszytej z kilku nachodzących na siebie warstw kwiecistego półprzezroczystego materiału (szyfonu?). Wygląda przepięknie. Czuję się przy niej jak stara ciotka.

Udaje mi się zobaczyć moment, w którym Jona przystępuje do komunii. Znowu łzy.

W domu mam pełnić honory gospodyni, a najchętniej położyłabym się do łóżka. Wystawiam półmisek z wędlinami, sałatkę i zaczynam podgrzewać rosół. Uuuu... coś niepięknie wygląda. Muszę poinformować gości, że rosół się skwasił i niech czekają na drugie danie. Cały wielki gar zupy trzeba wylać do sedesu. Staram się nie rozplakać. Mama Franciszka twierdzi, że to z powodu wczorajszej burzy. Że rosół robiony w burzę może

się skwasić. Pewnie chce mnie tak pocieszyć. Przygrzewam indyka, gotuję ryż. Potem podaję ciasta, cały czas jak w półśnie. Ból gardła jest taki, że nie mogę niczego jeść, i dlatego to ja najbardziej żałuję tego rosółu. Był jedyną potrawą, którą byłabym w stanie przelknąć.

Wieczór. Nareszcie w łóżku. Najprawdopodobniej mam ropień migdałka i jutro muszę iść do lekarza.

Poniedziałek, 15

Znowu biorę leki. Tym razem cefalosporynę na ten ropień. Jak nie pomoże, mam iść do laryngologa. Na szczęście pomaga.

Właściwie powinnam traktować siebie jak bohaterkę. Ta niedziela z nieudanym rosółem, gośćmi i krzątaniem się po kuchni to był naprawdę nie lada wyczyn. Ktoś powinien przyznać mi specjalną nagrodę (ktoś, to oczywiście Franciszek).

Tosia znowu chora.

Wtorek, 16

Jak ja lubię sklepy ogrodnicze w maju! Tyle pięknych kwiatów - od razu wpadam w euforię kupowania. Ładuję do kartonów kwitnące begonie, lobelie, szkarłatnoczerwona pelargonie i werbeny. Nie mamy już miejsca na nowe azalie i różaneczniki, choć są tak piękne, że chciałoby się mieć całą ich kolekcję. Przechadzam się wzdłuż alejek, żeby się chociaż napatrzeć.

Powietrze duszne, jak przed burzą. Sadzę begonie, a szyję mam owiniętą chustką, żeby nie wyziębiać tego nieszczęsnego migdałka. Nie uda mi się już dzisiaj porysować, a miałam zamiar zrobić szybkie szkice dąbrówek i błękitnego powojnika, którego drobne kwiatki tworzą szafirową chmurę. Na narysowanie czekają też bzy. W jaki sposób uzyskać na papierze trójwymiarowość pojedynczej liliowej kiści?

Czwartek, 18

W ogrodzie powietrze ciepłe i parne. Wieszam pranie i po chwili czuję, że cała jestem spocona. Boję się zdjąć kurtkę, żeby znowu nie było

jakichś powikłań ze strony gardła, zwłaszcza że jutro mamy jechać z Joną na komunijną wyprawę. To nasz prezent dla niej. Wyjazd tylko z rodzicami, bez sióstr. Czekam na pakowanie, a jeszcze małą chwilkę chcę spędzić w ogrodzie. Błękitny powojnik alpejski jest tak piękny, że biegnę do domu po kredki i robię pospieszny szkic. Bardzo trudno jest oddać grę barw na powierzchni płatków - od gołębiego lazuru po intensywny fiolet.

Z szarego domu naprzeciwko, a konkretnie z jego komina, dobiega donośny skrzekot kawczych piskląt. Cieszę się, że nasze kominy zaopatrzone są w siatkę uniemożliwiającą robienie gniazd.

Z Tosią nie mogę się dogadać. Przez cały dzień czyta komiksy i nie zadzwoniła do koleżanek, żeby dowiedzieć się o lekcje. Już nawet nie chce mi się jej o tym wszystkim przypominać. Może po prostu jest zazdrosna o naszą wyprawę. Dwa lata temu to ona jechała z nami, a dwa lata to długi czas w życiu dziecka. Rozumiem, że może być jej trudno. Nie chcę wystawiać się na strzał pretensji i frustracji, omijam więc pokój starszych dziewczyn dużym łukiem.

Jeszcze jedna chwilka w ogrodzie. Szkicuję bez. Liliowe, pu-chate kiście zwieszają się tuż przed moją twarzą.

Piątek, 19

Lubię wyruszać w podróż. Lubię ten moment, kiedy samochód obładowany bagażami wytacza się z naszej ulicy. Lubię czuć przy nodze mój podniszczony plecak, w którym leży książka Daphne du Maurier *The Loving Spirit* i pamiętnik. I lubię ten moment, gdy opuszczamy brzydkie podwarszawske okolice ze zgiełkiem szyldów i reklam, i szpecącymi krajobraz hurtowniami, składami budowlanymi, zakładami naprawy samochodów i magazynami mieszczącymi mało malowniczy asortyment. Otwiera się przestrzeń, pojawiają się lasy obrzeżone koronką jasnozielonego listowia brzoź, ulegają przeobrażeniu kształty domostw... Same te widoki sprawiają, że zaczynam odpoczywać.

Na obiad zatrzymujemy się za Szydłowcem. Przy restauracji stoją woliery, w których można podziwiać egzotyczne ptaki. Jona i Franciszek robią zdjęcia. Czekam na nich, siedząc pod parasolem reklamującym jakieś piwo. Sąsiedni stolik zajmuje duża grupa ubranych w skórzane kombinezony motocyklistów obojga płci. Wiek na oko między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat. Przyjechali tu na harleyach davidsonach. W czasie gdy jemy obiad, zajeżdżają następni. Domyślam się, że to jakiś zlot. Jedna z pań ma na swetrze wyhaftowane logo harleya.

Jedziemy dalej. Naszym celem są Góry Świętokrzyskie. Stajemy samochodem przed wejściem na Święty Krzyż i rozpoczynamy wspinaczkę szlakiem od strony Nowej Słupi. Prześwietlony słońcem i parujący wilgocią las wygląda baśniowo. Słoneczne błyski na kamieniach i strugi światła padające snopami przez korony drzew. Świergot ptaków i roje komarów. Błyskawicznie się pocę. Jestem jeszcze słaba po chorobie.

Podchodzimy powoli pod mury. Widok na świętokrzyski klasztor psuje rysująca się w tle wieża telewizyjna. Historia Świętego Krzyża przeplata się z historią wojen i grabieży. Obok dzwonnicy, pod kwitnącą jabłonią, leżą szczątki kamiennych kolumn i bliżej niezidentyfikowane odłamki architektury - pamiątki zniszczeń.

Zwiedzamy misyjne muzeum oblatów. Pospiesznie, bo o siedemnastej zamykają. Młodzi zakonnicy oprowadzają wycieczki, opowiadają historie niektórych eksponatów. Przyglądamy się ozdobom z piór i koralików, eskimoskim rzeźbom w kłach morsa, kolorowym obrazkom przedstawiającym egzotyczne krajobrazy.

Zostajemy w kościele na nabożeństwo majowe. Pierwsze ławki zajmują chłopcy z nowicjatu. W czasie śpiewów rozpętuje się straszna burza. Słychać grzmoty. Gdzieś w pobliżu uderza piorun. Nabożeństwo się kończy. Ludzie stoją w przedsionku i czekają, aż przestanie lać. Strumienie wody walą ze wszystkich rynien. Kurtyna deszczu ogranicza widoczność.

Decydujemy się przeczekać burzę w muzeum przyrodniczym. Skuleni przebiegamy po kocich łbach. W salach muzealnych jest potwornie zimno.

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, zza chmur zaczyna przeblyskiwać słońce. Ziemia paruje. Całe wzgórze tonie w kłębach mgły. Franciszek upiera się, żebyśmy szli obejrzeć gołoborze. Idziemy więc, a tymczasem z lewej strony docierają jakieś głuche, burzowe pomruki. Dopiero będziemy się mieli z pyszna, jak nas złapie burza!

Gołoborze jak gołoborze, nie bardzo wiem, czym niby mam się zachwycać. Po prostu leżące luźno skalne odłamki. Może dla znawców stanowią one jakiś rarytas. Znacznie bardziej interesują mnie pozostałości kamiennego wału z czasów pogańskich. W jego obrębie odbywały się obrzędy ku czci słowiańskich bóstw o swojskich imionach: Świst, Poświst i Pogoda. Strasznie dużo tych kamieni. Nie wiedziałam, że Słowianie usypywali takie kręgi. Myślałam, że czcili swoje bóstwa przy świętych dębach albo źródełkach... Nieźle się musieli napracować, żeby wnieść tyle głazów prawie na sam szczyt.

Burza coraz bliżej. Wracamy do klasztoru. O schodzeniu w dół do samochodu nawet nie ma co marzyć. Wdajemy się w pogawędkę ze sprzątającym przedsiónek nowicjuszem w okularach, a tymczasem na zewnątrz istne oberwanie chmury. Przez witrażowe szybki obserwujemy, jak na wewnętrzny dziedziniec chlusta woda z oberwanej rynny. Zaczyna padać grad. Na szczęście mąż kobiety sprzedającej ciastka i herbatę w przykościelnej kawiarence obiecuje, że zawiezie nas do domu, w którym zamówiliśmy sobie nocleg. Potem ma odwiedzić Franciszka w miejsce, gdzie zaparkowaliśmy samochód.

Opuszczamy klasztor. Po drodze widzimy spływające po obu stronach ulicy rwące strumyki o barwie kawy z mlekiem. W jednym miejscu woda podmyła szosę i zniszczyła świeżo położony asfalt.

Dom naszych gospodarzy położony jest na zboczu wzgórza.

Dostajemy duży pokój na piętrze. Franciszek jedzie po samochód, a my z Joną wyglądamy przez okno na zielone zbocze pocięte błotnistymi bruzdami, których dnem ciągle płynie mętna woda, nanosząc glinę na leżącą w dole szosę. Pokój jest ciepły, czysty iumeblowany charakterystyczną dla większości prywatnych kwater mieszaniną robionych na „wysoki połysk” mebli z lat siedemdziesiątych. W przeszklonej szafce stoi serwis do kawy. Filiżanki i dzbanek o pięknym kształcie i szpecącym wzorze na powierzchni. Jak można coś takiego wypuścić do produkcji. I dlaczego ktoś takie szkaradzieństwo kupił? Może zakupu dokonano w czasach kryzysu, kiedy kupowało się często to, co jest, a nie to, co chciałoby się mieć. (Na to ostatnie w ogóle nie było wtedy szansy).

Wieczór. Franciszek czyta w łóżku. Jona też. Ja siedzę w niezbyt wygodnym fotelu i piszę. Na jutro planujemy wyprawę na Łysicę.

Sobota, 20

Siedzę w drewnianej wiacie przed wejściem do Parku Narodowego. Franciszek i Jona poszli na Łysicę. Czuję się zbyt słaba na to, żeby im towarzyszyć. Wilgotne drewno ławki trochę ziębi. Jak już nie będę mogła wytrzymać, to pójdę na dziedziniec pobliskiego klasztoru benedyktynek. U moich stóp płynie strumyk. Chlupie i bulgocze. Woda jest czyściutka, przejrzysta, a tylko w miejscach, gdzie pada na nią słońce - platynowobiała. Bukowy las mieni się wszelkimi odcieniami zieleności. Szkicuję omszałe kamienie, leżące przy brzegu strumyka.

Kilkanaście kroków ode mnie znajduje się budka strażników parku. Obserwuję przechodzące wycieczki. Nie wiedziałam, że taki tu panuje ruch. Dziwi mnie, że pod górę pną się nie tylko grupki młodzieży szkolnej, ale również gromadki panów o wyglądzie biznesowym (garnitury, krawaty i trzewiczki niezbyt odpowiednie na górskie ścieżki). Czyżby wyprawa na Łysicę była elementem wyjazdów służbowych? Oprócz wycieczek pojawiają się co jakiś czas amatorzy wody ze źródła. Źródło znajduje się kilka

kroków od strażniczej budki, ale już w obrębie parku. Bardzo sprytnie posunięcie - kto chce nabrać wody, musi kupić bilet. Nie każdy oczywiście - dla miejscowych jest za darmo. Tyle że taki miejscowy nie zawsze ma przy sobie dokument tożsamości i wtedy rozpoczynają się niekończące dyskusje ze strażnikiem parku.

Zdrętwiałam na tej wilgotnej ławce. Chyba pójdę jednak do benedyktynek. Chowam książkę do plecaka i w tym momencie widzę z daleka liliową bluzę Jony i jej różowy kapelusik.

Podjeżdżamy pod zamek Krzyżtopór w Ujeździe. Franciszek pomstuje na Szwedów, odpowiedzialnych za zniszczenie tej wielkiej i wyrafinowanej rezydencji (w czasach świetności były tu marmurowe żłoby w stajniach i szklany sufit nad salą jadalną - przepych niewyobrażalny). Wypomina im (Szwedom) splądrowanie kościołów i wywiezienie skarbów, które nigdy już potem do Polski nie wróciły. Błądzimy po kolejnych kondygnacjach, wyglądamy przez okienne otwory. Jona krąży po zamku jak zaczarowana. Podoba jej się tu. Siadam w cieniu, żeby popisać, a oni z Franciszkiem robią jeszcze rundę na najwyższe dostępne piętra, a potem do piwnic. Jakaś szkolna wycieczka pali ognisko na trawiastym dziedzińcu. Dolatuje do mnie zapach pieczonych kielbasek i robię się głodna.

Następnym punktem dzisiejszego dnia jest pałac w Kuro-zwękach. Malutki się wydaje, jeśli go porównać z ruinami Krzyżtopora, ale przez to, że mały, bardziej realna staje się renowacja. Właściciel pałacu - Jean Martin Popiel (o którym przewodniczka mówi „pan Marcin”) mieszka z żoną Szwedką i najmłodszym synem w niskim, na biało otynkowanym dworku, który w czasach świetności zamku służył jako budynek gospodarczy. Pan Popiel, potomek przedwojennych właścicieli, odkupił pałac od PGR-u i postanowił zainwestować w jego odbudowę. Część sal, elegancko odnowiona, służy za miejsce urządzania komunijnych przyjęć i wesel. Jedno z nich możemy oglądać, bo właśnie para nowożeńców

fotografuje się u szczytu schodów. Panna młoda trochę starawa. Większość gości rozmawia po angielsku.

Oglądamy na koniec prywatne minizoo - kozy, strusie, ob-łażący z sierści wielbłąd i stado bizonów (ich mięso serwowane jest w pobliskiej restauracji, mieszczącej się w obrębie pałacowego parku). Porcje deseru lodowego finalizują nasz pobyt w Kurozwękach. Jona mało mówi, bardziej chłonie atmosferę, przygląda się ludziom. Gdyby była z nami Tosia, podejrzewam, że nie zamykałyby się jej usta.

Zapada zmrok, ale zajeżdżamy jeszcze do otoczonego kamiennymi murami Szydłowa. Jona zmęczona, nie ma ochoty chodzić. Stoją tu rzędem niskie domki pochylone i zgrzybiałe, jak siedzący przed nimi właściciele. W fosie u stóp ruin zamku przycupnęła mała chałupka, która wygląda jak zbudowana z dykty. Wszystko to zachwyca malowniczością i poraża ubóstwem.

Niedziela, 21

Ostatnie śniadanie u goszczących nas ludzi. Siedzimy w kuchni i robimy kanapki, a tymczasem gospodyni stawia przed swoim mężem talerz żurku. Widząc nasze zdziwienie, wyjaśnia, że jej mąż codziennie je taką zupę na śniadanie i nie ma ochoty na nic innego. Umarłabym z nudów, gdybym przez dwadzieścia lat musiała każdego ranka gotować żurek. Kobiety są naprawdę święte.

Podjeżdżamy na poranną mszę na Święty Krzyż, a potem ruszamy w kierunku Kazimierza. Dziwna pogoda - słońce na przemian z deszczem. Wjeżdżamy na prom i przepływamy na drugą stronę Wisły. Jona trochę popłakuje. Mówi, że źle się czuje. Dopiero widok przycupniętego w trawie zajęcia przywraca jej siły i humor.

W Kazimierzu jak zwykle tłumy. Zwłaszcza na rynku. Nie ma na szczęście snujących się chwiejnym krokiem narkomanów. Chodzą za to Cyganki. Zaczepiają głównie młode dziewczyny i samotnych mężczyzn.

„Powróżyć? Może coś ciekawego powiem?” - dobiega do mnie śpiewne zapytanie. Zagadnięta dziewczyna z niepewnym, nieco zażenowanym uśmiechem wyciąga kartę z podsuniętej talii.

Na środku rynku południowoamerykański zespół w strojach eklektyczno-etnicznych. Grają bardzo pięknie i Jona słucha jak zaczarowana. W ogóle nie chce się ruszyć z miejsca. Przestrzenna muzyka niesie się na pół Kazimierza. Franciszek kupuje dwie płyty. Będą dla Jony pamiątką z wyprawy.

Zaglądam do kilku galerii. Wolalabym oglądać obrazy sama. Obecność Franciszka i Jony automatycznie powoduje, że zaczynam patrzeć na wszystko ich oczyma. Zakłócona zostaje spontaniczność odbioru.

Już w domu. Ogród mokry po deszczu. Azalia rozkwitła tryumfalnie. Jej kwiaty wydają się świecić. Zaraz też przyjeżdżają moi rodzice z pozostałymi dziewczynkami. Mama mówi do mnie z wyrzutem, że dałam dzieciom za cienkie stroje na niedzielę. A skąd miałam wiedzieć, że będzie tak cholernie zimno? Nic tego nie zapowiadało.

Wtorek, 23

Ściągam pranie ze sznurków i podlewam kwiaty w wiszących doniczkach. Ogród aż krzyczy o pielenie. Zagapiam się na grę światła w liściach śliwy i na różową azalię, rosnącą pod siatką. Próbuję ją rysować, ale to, co powstaje pod moją ręką, nijak się ma do tego, co widzę. Kolejny już rok nie potrafię oddać świetlistości jej płatków. Nie jestem w stanie przekazać zachwyty, który mnie ogarnia, gdy patrzę na kwitący krzak.

Biorę się za pielenie grządki południowej z pełną świadomością beznadziejności tego przedsięwzięcia. Chwasty rosną szybciej, niż zdążę pomyśleć.

Środa, 24

Pochmurne niebo i ziab zniechęcają do wychodzenia na zewnątrz. Sennie snuję się po domu. Duszka marudna.

Wieczorem czytam dzieciom przez godzinę Idę sierpniową.

Czwartek, 25

Nie można się nacieszyć majem. Ciągłe jest tak zimno.

- „... dla jajeczka społecznego” - wyśpiewuje Duszka.

Skąd ona coś takiego wzięła? Wydaje mi się, że to fragment głupawej rymowanki, przyniesiony ze szkoły przez którąś z dziewczyn.

Ogród w fazie przejściowej. Kwitną w zasadzie tylko azalie i różaneczniki. Gdzieniedzie jeszcze plama błękitu - to kończą swoją karierę niezapominajki. Bzy też przekwitają. Bardzo powoli wznoszą się ku górze pąki irysów. Nie ma słońca, które zachęciłoby je do żywszej pracy.

Piątek, 26

Jedziemy do Warszawy na mszę z papieżem Benedyktem XVI. Jest zimno. Stajemy pod drzewami w Ogródzie Saskim, w miejscu, z którego można zobaczyć telebim. Cały czas leje. Drzewa trochę nas chronią, ale i tak kurtki i spodnie powoli nasiąkają. Dziewczyny siedzą na karimacie pod parasolem, z którego ściekają krople wody i moczą im rękawy. Jacyś państwo użyczają mi krzeselka i siedzę przez całą mszę, tuląc do siebie Duskę. Nie chce mi się wyciągać szyi, żeby ponad głowami tłumu dostrzec na ekranie skrawek głowy papieża. Nie mogę się skupić ani na samej mszy, ani na kazaniu. Z coraz większym niepokojem patrzę na drżące z zimna dziewczynki.

- Mamusiu, długo jeszcze? - pyta Majka.

- Jeszcze trochę - odpowiadam enigmatycznie.

Wracamy, ślizgając się po błocie, do samochodu. Mam uczucie, jakbym się zsikała, bo spodnie przemokły doszczętnie.

- Mamusiu, ja mam mokre majtki - oznajmia przejęta Jona.

- Ja też mam mokłe majtki i włosy, i skalpety - dołącza się Duszka.

Dzieci zaczynają licytację, kto jest bardziej zmoczony. Karimata jest tak brudna, że nie wiadomo, jak ją nieść. Doceniamy dzielność

dziewczynek.

W domu przebieranie i gorąca herbata. Dzieci dostają kakao. Franciszek włącza radio i słucha relacji z przyjazdu papieża do Krakowa.

Sobota, 27

Znowu dzień, w którym wiatr przegania chmury po niebie. Jeszcze rano świeciło słońce, a teraz już pochmurno. Franciszek schodzi do ogrodu kosić trawnik, w nadziei, że zdąży przed deszczem.

Muszę pilnować, żeby Tosia porządnie odrobiła pianino. Stosowanie się do wskazówek pani Rity przychodzi jej z wielkim trudem. Siadamy obie przy instrumencie. Tosia ma tak niechętną minę, że mam ochotę trzasnąć ją po głowie zbiorem sonatin. Dochodzimy do taktu, który sprawia jej trudność.

- No graj, Tosia, szybciej będziesz to miała za sobą - zachęcam, starając się ubrać swój głos w jak najbardziej przyjacielskie tony.

- Ale mnie boli noga... - Tosia zawiesza wzrok na suficie. -!!!!!!- powstrzymuję się od głośnego wyrażenia swoich uczuć. Majka chodzi po domu w za dużych białych lakierkach. Na głowie ma srebrny diadem, na szyi korale, a na rękach pierścienie i bransolety. Najbardziej ze wszystkich dzieci lubi się przebierać i stroić.

Franciszek słucha transmisji z pobytu papieża w Krakowie. Okrzyki, entuzjazm znacznie większy niż w Warszawie. Kolejny raz przekonuję się z przykrością, że u nas wizyty papieskie naznaczone są nieznośną sztywnością.

W Indonezji trzęsienie ziemi. Chyba przestanę narzekać na nasz klimat i położenie geograficzne Polski. Świadomość, że pod stopami ma się płytę eurazjatycką, daje poczucie bezpieczeństwa.

Niedziela, 28

Deszcze i wiatry. Cały dzień siedzimy w domu. Słuchamy papieskiej mszy na Błoniach. Podczas obiadu czytam Idę sierpniową.

To już końcówka maja i dlaczego, dlaczego wciąż jest zimno? Tak bardzo czekałam na wiosnę, na długie dni spędzane w ogrodzie i co? - Siedzę przy oknie i patrzę na szare niebo. Kwiaty zatrzymały się w rozwoju. W taką pogodę ja też nie miałabym ochoty kwitnąć.

Poniedziałek, 29

Zimno. Chodzę po domu owinięta wełnianym szalem. Szukam legitymacyjnego zdjęcia Tosi. Jest potrzebne do wyrobienia karty rowerowej. Wypijam kubek gorącej herbaty i zabieram się za przekopywanie szuflad i szafki ze zdjęciami. Gdzie może być ten arkusik? Jest! Niosę zdjęcia Tosi, a tymczasem okazuje się, że zaginął jej druczek potwierdzający zdanie egzaminu. Nie powinnam się tym irytować, to ostatecznie jej sprawa, że nie dostanie karty rowerowej. Mimo to złościę się. Skłonna jestem przypisać nałogowe gubienie dokumentów i różnych ważnych rzeczy czynnikom dziedzicznym. Tę samą niezdolność do panowania nad papierami zauważam u Franciszka.

Szukając z Tosią zaginionego druku, przekartkowuję niechęcy jej ćwiczenia do historii i robi mi się czerwono przed oczami - czerwono od uwag pani streszczających się w lakonicznym „Brak pracy domowej!” na każdej niemal stronie. Przytłacza mnie świadomość, że nad Tosią trzeba roztoczyć ścisły nadzór. Za bardzo liczyliśmy na jej samodzielność i poczucie odpowiedzialności.

Środa, 31

Znowu dopada mnie jakaś infekcja. Kaszel, chrypka, lekki ból gardła. Nie mam sił na żadne pisanie.

CZERWIEC

Sobota, 3

Wybieramy się na zakupy. Tosia tak szybko rośnie, że jej spódnica galowa jest już za krótka, a bluzka... „Mamusiu, nikt nie nosi bluzek z poduszkami na ramionach”. Trzeba ją jakoś wyposażyć na lato (które,

mam nadzieję, nadejdzie w końcu).

Chodzimy po centrum handlowym, Tosia przymierza spódnice, bluzki i promienieje.

- Mamusiu, ja po raz pierwszy jestem w takiej przymierzalni.

Rzeczywiście, dotychczas ubrania kupowały jej babcie, czasem ja, a często otrzymywała je w spadku po dwa lata starszej sąsiadce. Teraz nareszcie może sama wybierać i decydować, co chce nosić. Młodsze dziewczyny patrzą z zazdrością. Trudno - to Tosia ma w tej chwili największe braki w garderobie. Za to po zakupach idziemy do kina. Oni idą, bo ja nie chcę oglądać drugiej części Epoki lodowcowej (prawdę mówiąc, nie cierpię tego typu filmów - ze Szrekiem na czele). Mam za to dwie godziny na pochodzenie po sklepach i znalezienie sobie odpowiedniej bluzki na wesele kuzynki, które ma być w przyszłą sobotę. Zadanie z pozoru łatwe, z minuty na minutę staje się coraz bardziej frustrujące. Po pierwsze, potwornie wysokie ceny, przynajmniej jak dla mnie. Po drugie, w tej masie rzeczy trudno jest wynaleźć coś odpowiedniego. Bluzeczki, które na pierwszy rzut oka wydają mi się całkiem ładne, mają dekolty zupełnie nie do przyjęcia. Krążę coraz bardziej nerwowo, świadoma, że za kilkanaście minut skończy się film i będę musiała zejść do kina. W ostatnim dosłownie momencie znajduję czarną bluzkę ze srebrzystymi motywami, która świetnie na mnie pasuje i wyglądam w niej szczupło. Nogi mam spuchnięte od tego chodzenia, ale cel został osiągnięty.

Niedziela, 4

Kwitną irysy. Przypomina mi się nasza pierwsza wiosna w tym domu i pełne zachwyty zaskoczenie wiosennymi kwiatami. Chodziłam po ogrodzie, ja, dziecko bloków, i nie posiadałam się ze zdumienia, że te kępy żółtych i liliowych irysów naprawdę należą do mnie, że mogę je bezkarnie ścinać i pakować do wazonów, że mogę je przesadzać tam, gdzie chcę.

Nigdy nie byłam przywiązana do kolejnych mieszkań w bloku. Nie

czułam się tam tak naprawdę u siebie. Ze wszystkich stron sąsiedzi, dozorca, który miał pretensję, że Franciszek znosił po schodach choinkę, śmierdząca papierosami winda i publiczne parki... W pewnym momencie pojęłam, że nie chcę przeprowadzać się do większego mieszkania... Że pragnę domu z ogrodem, w którym spokojnie mogłyby się bawić moje dzieci bez narażania się na kontakt z psimi odchodami (porozrzucanymi szczerze po całym obszarze Sadów Żoliborskich).

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam dom, w którym teraz mieszkamy, od razu go pokochałam, mimo że w środku był bardzo zapuszczony. Wystarczył ciemnozielony baldachim winorośli zwisający nad gankiem, żebym nabrała niezachwianej pewności, że to jest miejsce, w którym pragnę żyć.

A potem nasza pierwsza noc po przeprowadzce, kiedy do jedenastej w nocy Franciszek wiercił dziury w ścianach, żeby założyć karnisze. Upojne uczucie wolności, że nie obowiązuje cisza nocna od 22.00. Że możemy stukać młotkiem choćby do północy.

Teraz chodzę po ogrodzie z sekatorem i robię bukiet z irysów. A potem jedziemy do Adama i Beaty, na drugą stronę Warszawy. Adam był u nas, ale jego żony nigdy dotąd nie miałam okazji poznać. Wiem tylko, że tak jak ja, lubi haftować.

Mieszkają w szeregowcu i z zewnątrz ich dom niczym się nie wyróżnia, za to w środku... w środku wygląda jak wyjęty żywcem z czasopisma typu „House and Garden” albo „Country Life”. Duża kuchnia-jadalnia z biegnącym górą szlakiem z róż, na ścianach haftowane obrazki i wieńce z suchych pędów winorośli, w pokojach patchworkowe narzuty. I wszędzie czysto. Żadnych smug na ścianach, żadnej rdzy przy kranach, łazienki lśniące. Ciekawa jestem, czy to dzieło Beaty, czy też raczej kogoś wynajętego do sprzątania. Takie pytanie zawsze mnie nawiedza, gdy przekraczam progi tak nieprawdopodobnie wyczyszczonego mieszkania.

Nie umiem uchronić się od porównań. I wciąż dręczy mnie poczucie winy, że nasz dom jest tak zaniedbany, że wybieram inne rzeczy (pisanie, malowanie), traktując czynność sprzątania po macoszemu. Jak zło konieczne.

Adam, który będąc u nas, kilkakrotnie powtarzał, że ja i jego żona powinniśmy się spotkać, miał rację. Mamy wystarczająco dużo wspólnych tematów, żeby od pierwszego wejrzenia osiągnąć porozumienie. Od rozmowy o haftach i patchworkach przechodzimy płynnie do naszych potrzeb duchowych i poszukiwania wolności w obrębie religii, którą wyznajemy (oni są protestantami). Przyglądamy się działającym w naszych kościołach mechanizmom, które próbują wtłaczać nas w schemat albo coś wymuszać.

Siedzimy w jasnych, wygodnych fotelach, nasi mężowie prowadzą jakąś poważną rozmowę w drugim kącie jadalni, a dzieci bawią się w małym ogródku na tyłach domu (ich trzy córki i nasze cztery). Trochę się martwię, bo na dworze nie jest zbyt ciepło i zaczyna kropić drobniutki deszczyk. Przywołanie dzieci do wnętrza oznacza jednak koniec ciekawej rozmowy, więc pozwalam im jeszcze poszaleć.

Zaczynamy schodzić na sprawy wychowania, gdy w sąsiednim fotelu sadowi się Bernadeta - najstarsza córka gospodarzy. To, co się w tym momencie dzieje, sprawia, że otwieram oczy ze zdumienia. Zamiast powiedzieć dziecku spokojnie, żeby odeszło, bo chcemy jeszcze przez chwilę same porozmawiać, Beata bierze głęboki oddech, chowa w głąb siebie irytację i rozczarowanie, że nie może kontynuować interesującego ją tematu, po czym... uśmiecha się szeroko i pyta Bernadetę, co miałyby ochotę zjeść. Ten uśmiech jest tak sztuczny i jednocześnie tak wypracowany, że aż ściska mi się coś w żołądku. Mam wrażenie, że Beata odgrywa rolę idealnej matki (która z nas tego nie robi), w sposób niepozwalający jej na uświadomienie sobie negatywnych uczuć w stosunku do dzieci. (O

wyrażeniu tych uczuć tym bardziej nie ma mowy).

Dziewczynki zjawiają się jedna po drugiej. Piją colę z puszek, częstują się ciasteczkami. Nie wrócimy już do naszej rozmowy. Franciszek daje mi znak, że czas ruszać.

Na dużej posesji sąsiadującej z szeregowcem, w którym mieszkają Beata z Adamem, kwitną nieprawdopodobnie piękne irysy - złocistożółte, białe i ciemnogrnatowe - właśnie takie chciałabym mieć.

Poniedziałek, 5

Wiatr szarpie czereśnię. Po raz kolejny dzisiaj pojawiają się na szybie drobne przecinki deszczu. Franciszek wyszedł kosić, ale chyba zaraz wróci. Podobno takie ma być całe lato. My, mieszkańcy północnego kraju, wymieniamy się zasłyszanyymi prognozami, kiwając przy tym głową z ponurymi minami.

- Wie pani, mówili, że cały czerwiec i lipiec mają być takie - wzdycha nauczycielka angielskiego, wychodząc po ostatnich w tym roku zajęciach.

- Podobno całe lato ma być zimne - mówi pani Rita, żegnając się ze mną po lekcji pianina i dodaje - dobrze, że ja w sierpniu jadę do Włoch.

Dziewczynki biegają po ogrodzie i zrywają stokrotki kwitnące na trawniku. Chcą zdążyć przed kosiarką Franciszka. Potem wręczają mi pękaty białoróżowy bukiet.

- Z okazji zwyczajnego dnia - mówi Jona.

Dzieci przydają życiu niezwykłego blasku. Po raz kolejny przekonuję się o tym.

Wtorek, 6

Duszka na zajęciach, więc z językami rozprawiam się błyskawicznie. Nawet ćwiczenia z niemieckiego nie sprawiły mi szczególnych kłopotów, choć momentami nie jestem pewna, czy warto upierać się przy tym akurat języku. Czasem nawet odczytywanie niektórych słów przychodzi mi z trudnością. Ale przecież tylu ludzi mówi po niemiecku! Chyba nie jestem

głupsza od nich?

Pralka zakończyła ostatnie wirowanie. Zastanawiam się, czy mogę zaryzykować suszenie ubrań na dworze. Ostatnie skrawki błękitnego nieba znikły dwie godziny temu. Teraz widać pogłębiający się granat nabrzmiąłych deszczem chmur. Kiedy w końcu będę mogła chodzić w letnich sukienkach?

Taka pogoda jest świetna na pracę przy komputerze. Żadne słoneczne błyski nie kuszą i nie zachęcają do wyjścia na zewnątrz.

Środa, 7

Słońce wydaje się blade i zimne. Wstaję z łóżka po cichutku, żeby nie obudzić Duszki. Złudna nadzieja - bosa nóżka plaskają o podłogę.

- Najpielow zjem, a potem mnie ubierzesz.

Dobrze. Daję jej mleko z kakaowymi kulkami i wychodzę z kuchni z kubkiem herbaty. Zaczynam od hiszpańskiego.

- A teraz możesz mnie już ubrać.

Tak. Wiem... że mogę cię ubrać. I robię to, prawie płacząc ze złości, bo liczyłam na spokojny samotny poranek. Jestem naładowana irytacją. To chyba przez tę pogodę. Nie mogę się pogodzić z tym, że już czerwiec i ciągle jest tak zimno.

Pielenie. Długotrwałe i uporczywe pielenie jest remedium na moją niedolę. Wyrywam więc zapamiętałe złośliwe kępy mokrzyca, drążę w poszukiwaniu podziemnych kłaczy perzu, wykopuję trawy, uparcie próbujące zagnieździć się na klombach.

- Mamoo! Jesteś tam!?! - oczywiście, Duszka nie może dziś wytrzymać bez kontaktu ze mną.

- Jestem.

- Mamoo! Zobacz, jak szybko jeżdżę!

- Widzę! (trudno nie widzieć - samochodzik, od dawna już za mały, toczy się z hurkotem po chodniku).

- Mamoo! Teraz się bawię w Malysię, która jest w pierwszej klasie i śpiewa!

- Dobrze! - muszę jej odkrzykiwać, żeby wiedziała, że słyszę, co do mnie mówi.

- Mamo! Jestem głodna!

- To idź do taty! Jest w domu.

- Ale on pewnie placuje.

- Ja też pracuję. Tutaj. Na dworze. A tata pracuje w domu. Idź, niech ci da kanapkę z nutellą.

Już druga. Prosto z ogrodu idę do kuchni. Posiedziałabym sobie z książką z piętnaście minut, ale czas już szykować obiad. Dlaczego muszę gotować obiady? Nie zawsze ta konieczność przygnębia mnie aż tak, jak dziś, ale w tym momencie chce mi się płakać. Przytłacza mnie wszystko: i obiad, i pogoda, i wizja zimnego deszczowego lata.

Czwartek, 8

Jak pięknie kwitną naparstnice! Rozrzucone po całym ogrodzie, wystrzelają to tu, to tam. Najbardziej lubię te ciemnopurpurowe, ale białokremowe też mają szczególny urok. Jutro muszę się zmobilizować do wykonania kilku szkiców w ogrodzie.

Dziś dzień za bardzo zajęty. Najpierw występ Jony w szkole z okazji Święta Wiosny, potem przesunięte obchody Dnia Matki i Ojca u Majki w zerówce. Występy miłe rodzicielskiemu sercu, ale tyle godzin w szkole, w dusznej sali, sprawia, że czuję się jak przekręcona przez wyżymaczkę. (Ciekawe, dziś nikt już wyżymaczek nie używa, a wyrażenie pozostało. Tak jak wciąż funkcjonujące „zbić z pantaląku”. Często zastanawiamy się z Franciszkiem, czym był ów tajemniczy pantaląk).

Wieczór. Robimy sobie ognisko z kielbaskami. Wszystko pięknie się mieści na nowym stole. I chleb, i talerzyki, i musztarda, i napoje. Nie ma już walki o miejsca. Tosia z oddaniem piecze kielbaskę dla Duszki. Jest miło.

Ucichł wiejący przez cały dzień wiatr. Niebo jasne. Widać gwiazdy. Pokazujemy dzieciom gwiazdozbiory - tych kilka, które znamy. Ognisko kończy się gonitwą połączoną z piskami. Dziewczynki ścigają Franciszka po całym ogrodzie. Bardzo mało mają w ciągu roku takich beztroskich chwil ze swoim ojcem.

Piątek, 9

W nocy męczące sny, że ktoś ode mnie czegoś ciągle chce. Budzę się wyczerpana. Na jawie też bombardowana jestem potrzebami domowników. Duszka koniecznie chce założyć sukienkę na ramiączkach (bez żadnej bluzki z długim rękawem), a jest dziś na to stanowczo za zimno. Płacze. Płacze. Minęło pół godziny - płacze. Franciszek zamknął się w swoim pokoju, jak zwykle. Zmaganie z rozpoczynającym się dniem przychodzi mi z trudem. Robię języki z Duską na kolanach. Zanikają wszelkie opiewane w literaturze macierzyńskie uczucia. Narasta jedno pragnienie - uciec, schować się, być sama.

Popołudnie. Franciszek zawiózł dzieci do swoich rodziców, tak jak było to wcześniej ustalone. Dopiero teraz przychodzi mi do głowy, że być może Duszka kleiła się do mnie przez cały ranek, bo wiedziała, że przez następne dwa dni nie będziemy się widzieć. Siedzę w ogrodzie i z wolna dochodzę do siebie. Pozwalam, żeby wsączało się we mnie piękno ogrodu. Otulam się polarem i kontempluję strzeliste wieże naparstnic. Przez najbliższe kilka godzin nikt nie będzie ode mnie niczego potrzebował. Taka świadomość niesie ukojenie. Z drugiej strony jest ból, że nie staję na wysokości zadania jako matka. Nie mam ochoty skupiać się na kolejnym rysunku Duszki, choć jej dzieła są coraz piękniejsze. Nie mam cierpliwości wysłuchiwać kolejnych „kompozycji” na pianinie, chociaż widzę, że nie jest to bezmyślne bębnienie, tylko świadome poszukiwanie dźwięków. Bycie matką bywa piękne i trudne. Najgorsze jest poczucie winy, że się nie dorasta...

Rysuję różowawego irysa. Skupienie na doborze kolorów i na wiernym oddaniu licznych załamania światła na pokarbowanych płatkach przywraca mi psychiczną równowagę i spokój.

Zaczyna kropić. Wracam do domu.

Wieczór. Idziemy do Danusi i Grzegorza oglądać mecz. Ścisłej mówiąc, to Franciszek chce oglądać. Ja cieszę się na miłą rozmowę z Danusią. Nie mam zamiaru gryźć palców ze zdenerwowania przed telewizorem. Grzegorz zdobył trąbki, jakich używają kibice podczas meczów, żeby podgrzać atmosferę. Wycofuję się do kuchni.

Danusia ma w sobie całe pokłady troskliwości. Robi panom kolejne kanapki, przynosi picie. Jest taką kobietą karmiącą, jaką ja czasami chciałabym być. Z drugiej strony, kiedy rozmawiamy podczas dekorowania posmarowanych masłem kromek, widzę, jak bardzo brakuje jej pewności siebie. Dając tak wiele swojej rodzinie, nie ma skąd czerpać sił i energii dla siebie. I u niej też daje się zauważyć ciężące na większości matek poczucie winy, że nie dość dobrze... że może inaczej... że może powinnam... i dlaczego dziecko odzywa się do mnie w ten sposób... i jak mam je zachęcić, żeby...

Tymczasem panowie szarpią włosy z głowy, trąbią w trąbki i wydają okrzyki rozpacz, bo nasi przegrywają. I wrzeszczą na nas, gdy na mgnienie oka, niosąc tacę kanapek, przetniemy niewidzialną linię łączącą ich oczy z ekranem telewizora. Danusia, choć podobnie jak ja nie jest zainteresowana piłką nożną, potrafi gorąco współczuć swojemu rozczarowanemu wynikiem meczu mężowi i dzielnie sekunduje jego rozżalonym komentarzom. Wśród moich uczuć dominuje lekkie rozbawienie. Nie chcę go ujawniać, żeby nie narazić się na urażone spojrzenia Franciszka.

Sobota, 10

Wesele kuzynki Angeliki. W mojej bardzo licznej rodzinie co chwila ktoś się żeni albo wychodzi za mąż, więc okazji do spotkań nie brakuje.

Przez ostatnich kilkanaście lat działo się jednak tak, że albo byłam w ciąży, albo z dzieckiem przy piersi, więc wesela, jedno po drugim, mnie omijały, a kuzyni i kuzynki powyrastali z dzieciaków na młodych dorosłych. Jadę więc z duszą na ramieniu, czy aby nie popełnię jakiegoś faux pas, myląc twarze i imiona. W dodatku nie będę miała tym razem pod ręką rodziców, którzy dyskretnie mogliby mi wyjaśnić, kto jest kto. Moich braci, bywających częściej na tego typu uroczystościach, także nie będzie.

Do kościoła wchodzimy w trakcie pieśni na wejście. Korek pod Wyszkowem znacznie opóźnił nasze przybycie. Rozglądam się dyskretnie po zgromadzonych gościach. Franciszek stuka mnie w ramię:

- Zobacz, to chyba najmłodszy brat twojej mamy.

Ma rację. Powoli układam sobie mapę rodziny. Ta mała dziewczynka w różowej sukience to chyba córka Kasi. A ta ładna blondynka to prawdopodobnie żona Roberta (znam ją tylko ze zdjęć).

Msza dobiega końca. Za chwilę wyjdziemy na zewnątrz i rozpocznie się coś, czego nie znoszę, czyli generalne witanie i ob-całowywanie się ze wszystkimi dookoła. I uważanie, żeby, broń Boże kogoś nie pominąć. Jak już się porządnie zestarzeję, wszystko będzie można zwalić na starczą demencję albo osłabły wzrok. I to do mnie różne kuzynki w średnim wieku będą ciągnąć swoje córki: „Przywitaj się z babcią Kamilą. To mama cioci Tosi, twojej chrzestnej matki”. Swoją drogą ciekawe, jaką będę staruszką. Mam nadzieję, że nie zgorzkniałą i narzekającą. Chciałabym być babcią na luzie, która nie przejmuje się tym, co wypada, a co nie i nie ma bzika na swoim punkcie.

Obcałowawszy kogo trzeba, przyglądam się z ciekawością innym gościom. Jedna pani ma włosy usztywnione lakierem w ten sposób, że tworzą jej z tyłu głowy sterczący dziób - wygląda jak zła władczyni z komiksowych kreskówek SR Zastanawiam się, co ją skłoniło do wybrania takiej fryzury.

Wesele. Zadziwia mnie ilość alkoholu, którą mogą wlać w siebie ci wszyscy ludzie. Moje siostry cioteczne, młodsze ode mnie o ponad dziesięć lat, piją wódkę kieliszek za kieliszkiem, mają coraz czerwiejsze policzki i coraz bardziej błyszczące oczy, ale wciąż tańczą, śmieją się i rozmawiają. Gdybym wypila tyle co one, już dawno leżałabym nieprzytomna pod stołem.

Orkiestra gra niezłe, co oznacza, że ma w repertuarze nie tylko same przeboje disco polo. Jak zwykle tańczymy tylko ze sobą, nie bacząc na to, że być może wypadaloby Franciszkowi poprosić do tańca którąś z moich licznych ciotek. Zresztą pal licho ciotki, nieustanny taniec z mężem chroni mnie przed niebezpieczeństwem tańca z podpitymi wujaszkami (zmora moich panińskich wesel).

Teraz przerwa w tańcach. Wokalista zespołu bierze akordeon i zaczyna krążyć pomiędzy stolami, zachęcając gości do śpiewu. Nie cierpię tych świńsko-wulgarnych weselnych pioseneczek. Uciekłabym stąd, gdybym miała dokąd. To właśnie z powodu tych śpiewów oraz sprośnych zabaw po oczepinach nie jestem chętna do zabierania na wesela moich dziewczynek. Myślę, że mogłoby im być bardzo nieprzyjemnie. (Będąc w ich wieku, fatalnie się czułam na tego typu imprezach i gdy o północy wywoływano na środek wszystkie panny, wymykałam się ukradkiem z sali).

Teraz tort i kawa... Nie mam już siły ani jeść, ani tańczyć. Kiedyś byłam bardziej wytrzymała.

Niedziela, 11

Spaliśmy do południa. Teraz leniwe wstawanie i śniadanie we dwoje (dziewczynki u dziadków). Miły jest poranek, kiedy nie trzeba popędzać dzieci, żeby się ubrały, pytać, czy umyły zęby, przypominać o czesaniu, wołać na śniadanie... Włączamy sobie płytę z filmem Mężczyzna moich marzeń z Juliette Binoche w roli głównej.

Za oknem słońce. Wsiadamy w samochód i jedziemy po dzieci. Ciągle jestem trochę senna. Głowa ciąży po nieprzespanej nocy.

Poniedziałek, 12

Słońce. Chodzę w klapkach! (Moje podstawowe letnie obuwie). Na dworze cieplej niż w domu, który nie zdążył się jeszcze nagrzać. Nie mogę spokojnie pisać w ogrodzie, bo do Jony przyszły koleżanki i piskami napelniają powietrze. Coraz bardziej zaczynam rozumieć ideę Domów Pracy Twórczej.

Wrócił Franciszek. Zostawiam mu dzieci i idę do pasmanterii po cekiny do krakowskiego stroju. Na zakończenie roku Majka ma być krakowianką. Moja mama wynalazła gdzieś czarną kamizelkę z grubego sztruksu i mam zamiar przeobrazić ją w mieniący się kolorami, ludowy gorsecik.

Wtorek, 13

Sąsiad oszalał. Od rana szlifuje stare szyny kolejowe, które ma zamiar zużyć do budowy kolejnej komórki na drewno. Na dworze tak pięknie, że chciałoby się jak najdłużej siedzieć w ogrodzie, a tymczasem w uszy wdziera się nieznośny brzęk szlifierki. Przecież mógł to robić wcześniej, kiedy było chłodno. Przechodzę na drugą stronę domu. Tu jest trochę ciszej. Kładę na trawie pudło kredek i rysuję naparstnicę. Gubię się w szczegółach. Jak oddać barwę tych nieregularnych plamek we wnętrzu kielicha? Niby ciemnoliliowe, ale z przymieszką brązu. W jaki sposób odzwierciedlić głębokie cienie? Czy użyć samego błękitu, czy dodać purpury? Studiując naparstnice widzę, jak bardzo poszczególne rośliny różnią się od siebie - jedna ma kielichy wąskie i ciasno skupione, inna baniasto rozdęte, mocno odstające od łodygi. Majka i Duszka skradają się za krzakami.

- Gdzie mama? - szept Duszki, w zamierzeniu dyskretny, niesie się na pół ogródka.

- Ciii - Majka ucisza ją równie scenicznym szeptem. - Mama siedzi tam, na ławeczce.

Teraz są za paprociami. Widać to dokładnie po spazmatycznym falowaniu liści. I do tego tłumione chichoty.

A w świerku, tuż obok mojej głowy, szeleści jakiś ptaszek. Ukrył się tak, że nie widać nawet skrawka dzioba. Powietrze jest tak pełne aromatów, że tylko siedzę i oddycham.

- Ohydna Tośka! Ohydna! - Duszka stoi przede mną nadąsa-na, ze łzami w oczach.

- Jesteś na nią zła?

- Tośka jest ohydna, bo je loda.

- A ty nie jadłaś?

- Jadłam, ale dawno. A ona ma teraz, na deselek.

- Chciałabyś zjeść jeszcze jednego?

- Tak, bo Tośka teraz je loda...

Dlaczego nawet robienie przyjemności dzieciom obraca się przeciwko mnie? Kupiłam im lody i proszę! Od razu problemy.

- Hm... to przykre - mówię na głos, starając się przynajmniej zaakceptować frustrację małej.

Sąsiad hałasuje nadal.

Wieczór. Kolacja.

- Cholera! Ktoś tu coś rozdybdał (słowo zaczerpnięte z dzieł Joanny Chmielewskiej) na podłodze i teraz się lepi do nóg! - wrzeszczy Franciszek.

- To chyba Duszka - mówi któraś z dziewczyn.

Pochyliłam się nad dowodem rzeczowym. Pasta serowa, którą kilka minut wcześniej posmarowałam jej kanapkę.

- Duszka! - teraz ja jestem zła. - Jak się je, to się siedzi przy stole, a nie chodzi po całej kuchni!

- Przeplaszam - mała jest mistrzem w przepraszaniu, kamień by się skręsił.

- Dobrze, że przepraszasz, ale pamiętaj, że nie chodzi się z jedzeniem -

mówię, wycierając podłogę.

- Teraz przez ciebie czuję się zasmucona - popłakuje Duszka.

- Chyba potrzebujesz przytulenia - stwierdzam. W mgnieniu oka znajduje się w moich ramionach.

- Duszka bardzo pięknie potrafi wyrażać uczucia - nareszcie Franciszek mówi coś pozytywnego.

- Tak - potwierdzam, przytulając pulchne ciało. - Bardzo mi się podobało, gdy powiedziała całym zdaniem, że jest zasmucona. Nie lubię, gdy swoje uczucia wyraża mówiąc, że Tośka jest ohydna.

- Przeplaszam, że mówiłam na Tośkę ohydna - głaszcze mnie po ramieniu moja niezwykła córeczka.

- Nie mnie przepraszaj, tylko ją.

Duszka podchodzi do Tosi, przytula się do jej nogi i wypowiada przeprosiny. Starsza siostra głaszcze ją po głowie i gdzieś razem znikają.

O, Duszka jest już z powrotem. W ręczce trzyma lizaka i macha nim do nas.

- Od Tosi, za to, że ją przepłosila.

Środa, 14

Całe przedpołudnie trwa koncert na szlifierkę. Zamykam okna najszczelniej, jak tylko się da. Duszka wchodzi mi na kolana, gdzie spoczywa gramatyka niemiecka.

- Jesteś moją ukochaną mamusią.

Jona poszła na próbę sypania kwiatów przed Bożym Ciałem. Tosia też już wróciła ze szkoły i miłosiernie zajmuje się małą. Bawią się w chowanego. Wymykam się do ogrodu.

Czwartek, 15

Boże Ciało. Szykuję dla Jony koszyczek do sypania kwiatów. Szeroka, biała taśma jakoś nie chce się dobrze trzymać. Dopiero za czwartym razem udaje się ją umocować. Wszyscy idą na procesję, a ja zostaję w domu z

Duszką, która dziś rano tak kaszlała, że aż skończyło się to wymiotami. Jak cicho. Nie ma żadnych sąsiadów, nikt nie krzyczy, nie słycać dziecięcych pisków. Duszka wyczerpana śpi.

Niebo powoli zasnuwa się chmurami. Przydałby się deszcz, inaczej trzeba będzie nastawić podlewanie. Siadam na werandzie z książką. Uchylam drzwi, żeby usłyszeć małą, gdyby mnie wołała. Powietrze jest łagodne. Nawet zapach dymu dochodzący z domku pana Janka nie stanowi dysonansu, tylko wkomponowuje się jakoś w atmosferę spokojnego popołudnia.

Biją dzwony. W tym momencie procesja opuszcza kościół. Mam jeszcze godzinę samotności. Znowu skupiam się na naparstnicach. Powstają kolejne dwa rysunki.

- Mamo! Mamo!

Obudziła się Duszka. Rzucam kredki i biegnę do domu.

Piątek, 16

Przyjeżdżają do mnie dzisiaj Justyna z Alicją. Cieszę się, a jednocześnie, jak zwykle przed czyjąś wizytą, towarzyszy mi lekkie zdenerwowanie. Alicja będzie tu po raz pierwszy. Co powie? Ponieważ jest nie tylko moją przyjaciółką, ale i artystką, jej ocena ma dla mnie duże znaczenie.

Już kiedy przechodzą przez furtkę, widzę, że Alicja jest oczarowana.

- Tak sobie wyobrażam prawdziwy dom - mówi.

Pokazuję jej wnętrze. Patrzę jej oczami na wszystkie dekoracje, którymi przez kolejne lata ozdabiałam nasze pokoje - malowane szybki w drzwiach, malowane kubki, własnoręcznie robione szydełkowe firanki, obrazki na ścianach, hafty. Naprawdę, jestem z siebie dumna.

Zasiadamy w ogrodzie, w cieniu jabłonki. Na zielonym stole herbata i ciastka. Sąsiad na szczęście dzisiaj nie szlifuje. Dzieci pojawiają się i znikają, ale nie zakłócają nam rozmowy. Mają przykazane, żeby ze

wszystkimi sprawami zwracały się do Franciszka.

Powietrze takie łagodne, ptaki śpiewają. Po ogrodzie snuje się zapach jaśminu.

- Tu jest jak w raju - stwierdza Justyna.

Sobota, 17

Jakie to cudowne budzić się ze świadomością, że wstaje kolejny upalny dzień. Tak muszą się czuć mieszkańcy krajów śródziemnomorskich. Wstają co rano ze spokojną pewnością, że czekają ich leniwe, spokojne godziny dziś, jutro, pojutrze... aż do jesieni. No, chyba że czasem jakaś krótka burza... Franciszek pojechał ze starszymi dziewczynkami sprawdzić domek na Mazurach, który chcemy wynająć na wakacje. Młodsze dzieci jeszcze śpią.

Wynoszę do ogrodu czarną kamizelkę i pudełeczka z cekinami. Haftuję krakowski gorsecik i czuję, że każda chwila tego dnia jest doskonałością. Łagodne powietrze, cień, jaki daje rozłożysta jabłoń, zapach nagrzaney trawy, dotyk cienkiego materiału bluzki na ramionach, błyski słońca w cekinach, sikorki skaczące po gałęziach naszej sosenki, dzieci biegające po trawniku w letnich sukienkach. One też czują tę radość, jaką niesie ze sobą prawdziwie letni dzień.

Przerzucam karty grubego dzieła Jadwigi Turskiej, zatytułowanego Polski haft ludowy. Przyglądam się drobiazgowo wyrysowanym wzorom zdobień na krakowskich gorsetach. Lubię być dokładna w takich sprawach.

Po całym dniu pracy nad kamizelką, wcale nie jestem zmęczona. Mogłabym zarabiać haftowaniem strojów regionalnych.

Wtorek, 20

Cudowny upał. Termometr pokazuje trzydzieści stopni.

- Mamo, pani powiedziała, że stroje trzeba przynieść już jutro - oznajmia Majka po powrocie ze szkoły.

Nie zdążę! Myślałam, że mam czas do czwartku - tego dnia zerówki

mają zakończenie roku. Muszę ograniczyć swoje plany hafciarskie. Odkładam na bok kamizelkę i biorę się za montowanie wianka z płóciennych kwiatków, które kupiliśmy wczoraj w hurtowni. Owijam plastikowe lodyżki drucikiem dla majsterkowiczów. Przeplatam na przemian chabry, maki i rumianki. Na koniec dowiązuję pęk wstążek i wołam Majkę. Zakłada wianek, po jej minie widać, że jest zadowolona.

Nogi mi puchną od upału. Kładę je na sąsiednim krześle i kontynuuję wyszywanie. Ponieważ do jutra muszę skończyć, zwolniona jestem z wszelkich domowych prac. Franciszek robi obiad - makaron z truskawkami. Potem jemy lody. Lekki wiaterek przynosi zapach jaśminu. Maki kalifornijskie pokrywają klomby ja-skrawopomarańczowym kobiercem. Lada dzień zaniebieszczą się ostróżki. Momentami czuję się tak szczęśliwa, że aż nie mogę oddychać. Szczęśliwa i obdarowana. Myślę, że gdybym mieszkała na stałe w jakimś cieplejszym klimacie, byłabym znacznie pogodniejszą istotą.

Trzecia w nocy. Przyszywam pęki wstążek do ramion kamizelki. Koniec.

Środa, 21

Rozkosz upalnego poranka. Chodzę na bosaka po trawie, która miło chłodzi stopy. Młode wróble mazurki, które wykluły się z gniazda pod dachem naszego domu, po raz pierwszy próbują latać. Ćwierkają, ćwierkają zdenerwowane, wczepiając się pazurkami w występ muru, a potem frr... przelatują na świerk sąsiadki.

Duszka na bosaka biega w samych majtkach po trawie. Zatacza koła na trawniku i pokrzykuje radośnie. Co chwila przybiega do mnie, żeby się przytulić i jakoś dzielić rozpierającą ją radość. Całuję nagrzane słońcem plecki, które pachną kremem do opalania. Sikorka przelatuje z furkotem tuż przed moim nosem.

Nalewam wody do miski i dziewczynki kąpią tam swoje laleczki lego.

Starsze ubrały się w kostiumy.

- Ja też chcę założyć kostium - stwierdza Duszka.

Zastanawiam się, czy w ten z zeszłego roku jeszcze się zmieści. Okazuje się, że tak.

Sadowię się pod jabłonią. Błogosławię to stare drzewo, którego korona daje cień na pół ogrodu. Jest za gorąco, żeby gotować, za gorąco na jakąkolwiek pracę. Usprawiedliwione dolce far niente.

Latem i u nas powinna obowiązywać sjesta. Trochę boli mnie głowa po wczorajszym nocnym haftowaniu. Zastygam w bezruchu, słuchając trzepotu ptasich skrzydełek i szczebiotu jakichś piskląt. Gdzieś w pobliżu musi być gniazdo. Powoli kręcę głową, żeby nie spłoszyć sikorki trzymającej w dziobie robaka. Dokąd poleci? Och! Tego się nie spodziewałam! Z dziupli na jabłoni dobiegają natarczywe piski. A Franciszek tak pieczołowicie wyszykował im w marcu budki. Widocznie wołały naturalną dziuplę. Wołam dzieci. Stajemy nieruchomo pod drzewem. Sikorka z robakiem przysiada na gałązkach, rozgląda się niespokojnie i w końcu decyduje się dostarczyć jedzenie małym. Pisklaki witają ją entuzjastycznym wrzaskiem.

Wieczór. Franciszek jedzie jutro do Krakowa, więc będę musiała sama iść na zakończenie roku Majki, targając ze sobą na dodatek Duszkę. Franciszek wręcza mi swój aparat cyfrowy.

- Zrób kilka filmików.

- Ale ja nie umiem!

- To proste - zobacz tylko.

Daje mi krótkie instrukcje - rzeczywiście proste, ale wcale mnie to nie uszczęśliwia. Będę musiała przepychać się przed innych rodziców, stawać na palcach, zasłaniać komuś widok albo walczyć o miejsce z tymi, którzy też będą chcieli zrobić zdjęcie swojemu dziecku. To zupełnie nie w moim stylu. Franciszek w takich sytuacjach nie ma żadnych obiekcji.

Czwartek, 22

Upał. Sala zerówki zawałona ludowymi strojami. Większość matek skorzystała z wypożyczalni. Przyglądam się „krakowskim” serdakom. To jakaś lipa. Chaotycznie naćkane cekiny, byle tylko się błyszczało. Z prawdziwie ludowymi haftami nie ma to nic wspólnego. Jedynym mankamentem mojego dzieła jest prosty, a nie wcięty, jak w autentycznych gorsetach, krój.

Dzieci wyglądają pięknie. Majka, uśmiechnięta, co chwila strzela ku mnie oczami. Robię filmiki, na których tak zależało Franciszkowi. Ale z pewnej odległości. Przepychanie się naprzód przed innych rodziców jest ponad moje siły.

Już w domu. Termometr pokazuje trzydzieści dwa stopnie. Na niebie powoli gromadzą się chmury. Jest duszno, jak przed burzą. Muszę dojść do siebie po szkolnej uroczystości. Ciężkimi kroplami zaczyna padać deszcz. Nasila się z każdą sekundą. Chowam się na werandę i patrzę, jak Majka i Jona, przebrane w kostiumy, huśtają się na linie w strugach ulewy. Śmieją się jak szalone.

Przepelnia mnie uczucie radości i beztroski. Może to wpływ gorących dni, zapachu zmoczonego deszczem ogrodu i letnich sukienek? A może świadomość, że jutro ostatni dzień szkoły... Nigdy nie przypuszczałam, że w dorosłym życiu tak bardzo będę tęskniła za wakacjami. I że każdy wrzesień stanowić będzie dla mnie początek żmudnej udręki. Przeżywam to dużo intensywniej niż wtedy, gdy byłam dzieckiem, a nawet i studentką. Chyba przygniata mnie odpowiedzialność za dzieci, konieczność dopilnowywania wszystkiego i poczucie winy, gdy im się nie wiedzie.

Piątek, 23

Wolność. Balkon otwarty na oścież. Po niebie płyną burzowe chmury. Dzieci wróciły ze szkoły. Chowam świadectwa do szuflady z dokumentami. Przede mną rozciągają się długie dni, wolne od harmonogramów, od

przymusów, od dopilnowywania lekcji i zaganiania dzieci do łóżek. Będę pisać i malować.

Ostróżki są szafirowe, a ja szczęśliwa.

KILKA LAT PÓŹNIEJ

- Czy naprawdę całymi dniami chodziłaś naładowana i wściekła? - pyta Franciszek, odkładając na bok moje dawne zapiski. - Przecież były też jakieś lepsze chwile... Miejscami są same negatywne emocje. Udzieliły mi się, kiedy to czytałem.

- One dominowały. Jak wpadałam w furję, to musiałam coś z tym zrobić. Najlepiej opisać. Zauważ, że kiedy zaczyna mi być lżej i zajmuję się tym, na czym mi zależy, notatki od razu stają się bardziej lakoniczne.

- Hm...

Franciszek, nie do końca przekonany, zostawia mnie z plikiem zapisanych kartek. Przeglądam je raz jeszcze. Nie sprawdza się na mnie powiedzenie (dość głupawe zresztą) - „Małe dzieci - mały kłopot. Duże dzieci - duży kłopot”. Mogłabym powiedzieć raczej, że im większe dzieci, tym większa radość. Niedawno Jona zapytała:

- Mamo, a kiedy był twój najlepszy okres w życiu? Bez wahania odpowiedziałam:

- Teraz.

Dziewczynki chodzą do szkoły. Mam wystarczającą ilość czasu na pracę przy komputerze. Naukę języków także ciągnę, oczywiście ze znacznie mniejszym heroizmem. (Niemiecki nadal stanowi przeszkodę nie do pokonania). I lubię przebywać z moimi dziećmi!!! Cieszę się, kiedy wracają ze szkoły i opowiadają mi o tym, co się wydarzyło. Często siedzimy wspólnie przy stole i zaśmiewamy się z czegoś do łez. Wystarczy jednak kilka dni ciągłego przebywania wśród ludzi (choćby podczas świąt) albo większe porządki i mycie okien, a moje akumulatory zaczynają się wyczerpywać. Ta sama co zawsze fala irytacji podjeżdża do gardła. Z

natury jestem odludkiem. I żeby z kimś się spotkać, muszę najpierw spotkać się z samą sobą.

Czasem wracam pamięcią do sytuacji, gdy byłam zbyt surowa, niecierpliwa, wiecznie poirytowana - jednym słowem okropna. Wtedy przepraszam moje córki.

- Mamo, ale my tego w ogóle nie pamiętamy - mówią. Albo:

- My też cię przepraszamy, bo myśmy się ciebie wcale nie słuchały. I byłaś strasznie biedna mamusiu, bo sobie nie mogłaś dać rady.

A potem się przytulały.

KONIEC